MIESIĘCZNIK 1'82

Fantastyka

CENA
50 zł



POWIEŚCI:

GEORGE
R. R. MARTIN
„PIEŚŃ DLA
LYANNY"
– NAGRODA
HUGO '75

A. i B.
STRUGACCY
– NAGRODA
EUROCON VII/82
ZA
CAŁOKSZTAŁT
TWÓRCZOŚCI
„ŻUK
W MROWISKU"

PIERWSZY I NIEUSTAJĄCY KONKURS FANTASTYKI

Poszukując talentów w tak szerokiej a specyficznej dziedzinie twórczości, jaką jest science fiction, ogłaszamy nieustający konkurs na

prozę (nowela, powieść) i poezję SF

oraz na

grafikę i malarstwo SF

Utwory mogą przesyłać zarówno osoby zajmujące się zawodowo pisarstwem i plastyką jak i amatorzy – pod adresem naszej redakcji z dopiskiem Konkurs. Utwory nagrodzone drukowane będą w „Fantastyce" i honorowane według przyjętych stawek autorskich, wyróżnieniem zaś będzie otrzymanie od redakcji książek z dziedziny SF oraz wymienienie nazwiska osoby wyróżnionej na łamach pisma.

Zastrzegamy sobie drukowanie utworów nagrodzonych w całości lub we fragmentach. Powinny być oryginalne i nigdzie dotychczas nie publikowane.

Oczekujemy i zapraszamy. Każdy utwór będzie skrupulatnie oceniony przez grono specjalistów.

Redakcja

VII Europejski Kongres SF

W dniach 20–22 sierpnia w Mönchengladbach w Republice Federalnej Niemiec odbył się VII Europejski Kongres SF z udziałem ponad 1000 przedstawicieli narodowych ruchów SF, związków literatów i wydawnictw. Podczas kongresu przyznano tradycyjne nagrody europejskie za najwybitniejsze osiągnięcia w dziedzinie twórczości i powszechniania SF. Ich laureatami zostali:

– za całokształt twórczości:
ARKADIJ I BORYS STRUGACCY (ZSRR)
JOHN BRUNNER (Anglia)

– dla najlepszego europejskiego wydawnictwa SF:
KRAJOWA AGENCJA WYDAWNICZA (Polska)
WILHELM HEYNE VERLAG (RFN)

– dla najlepszego europejskiego pisma SF:
ANTARES (Belgia)

– dla najlepszego europejskiego fanzinu:
SHARDS OF BABEL (informator europejski)

Dokonano również wyboru władz Europejskiego Stowarzyszenia SF. W ich skład weszli:

PIERRE BARBETT (Francja) – koordynator ESSF
ALIM KASHAKOV (ZSRR) – współprzewodniczący ESSF
JOHN BRUNNER (Anglia) – współprzewodniczący ESSF
ANDRZEJ WÓJCIK (Polska) – sekretarz generalny na kraje Europy Wschodniej



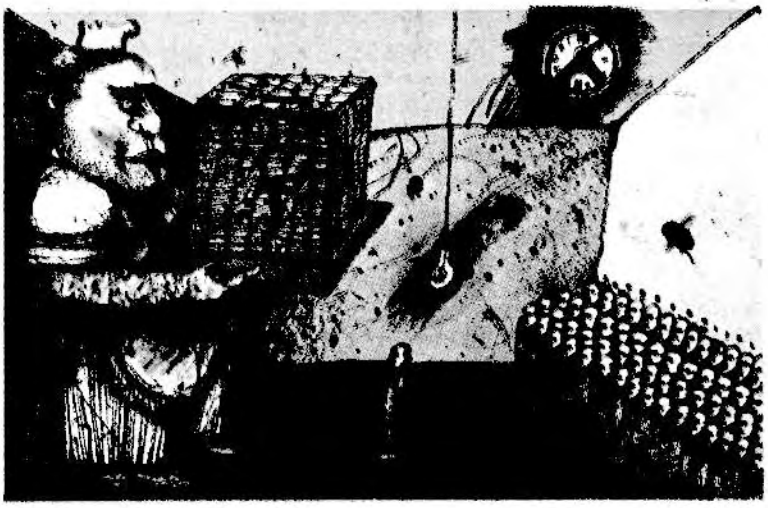
EUROCON 7

JEAN PAUL CRONIMUS (Francja) – sekretarz generalny na kraje Europy Zachodniej
PASCAL DUCOMIN (Szwajcaria) – archiwista

Godność członka honorowego ESSF przyznano pośmiertnie polskiemu pisarzowi CZESŁAWOWI CHRUSZCZEWSKIEMU w uznaniu zasług dla europejskiego ruchu SF.

W następnym numerze:

- Wokół Euroconu VII/82
- d.c. powieści George'a Martina oraz A. i B. Strugackich
- „Uczeń domokrążcy" J. i D. Vigne
- Polska nowela SF
- Prezentacja polskich stowarzyszeń SF



45
Lektura dla czytelników z odpornym systemem nerwowym.
Jerzy Lipka
„Co większe muchy"

Opowiadania

Lester del Rey
Wieczorna modlitwa **3**
...i zabrakło w Kosmosie miejsca na schronienie przed uzurpatorem.

John H. Varley
Czek in blanco na bank pamięci **5**
– A co się dzieje w tym zielonym drucie – spytała dziewczynka, wyciągając brudną rękę i dotykając mózgu Fingala.

Nauka i SF

T. Zbigniew Dworak
Fikcja prawie naukowa **13**
– Czy tylko w świecie dowolnej fantazji, czy bliżej nauki? – O metodach przedstawiania spraw kosmicznych w literaturze SF.

Isaac Asimov
Perspektywy **15**
– Perspektywy budowy osiedli kosmicznych, problemy energetyki i zasobów słodkiej wody w oczach naukowca – pisarza SF.

Douglas R. Hofstadter
Sztuczna inteligencja **17**
– Test Turinga, czyli poszukiwanie odpowiedzi na pytanie czy maszyny cybernetyczne potrafią myśleć.

Powieści

George R.R. Martin
Pieśń dla Lyanny (1) **19**
...Greeshka zabiera wszystkich. I wszyscy się na to godzą. Godzą się z ochotą. Niczem lemingi udają się do jaskiń, by pozwolić się pożreć.

Arkadij i Borys Strugaccy
Żuk w mrowisku (1) **27**
Progresor, który nie uznał za wskazane zarejestrować się po powrocie na Ziemię nie powinien interesować naszej komisji, a już na pewno Ekscelencji osobiście...

Polska nowela SF

Andrzej Drzewiński
Zabawa w strzelanego **43**
Jeszcze jeden – i trochę zaskakujący – wariant machiny czasu, w realiach współczesnej Ameryki.

Jerzy Lipka
Co większe muchy **45**
Następnie na komendę: „raz dwa, raz dwa" wszyscy intensywnie klaszczą, nie zapominając o sekundowych odstępach...

Krytyka i materiały ogólne

Franz Rottensteiner
Dialektyk z Krakowa **49**
Wybitny austriacki znawca SF pisze o twórczości, a także o osobowości Stanisława Lema, nie żałując superlatywów.

Słownik polskich pisarzy fantastycznych **51**
Andrzej Niewiadowski przygotowuje materiały do słownika biograficznego polskich pisarzy fantastycznych. W tym numerze pierwsze nazwiska.

Nasza lista bestsellerów **57**
Stanisław Lem niezmiennie cieszy się popularnością u czytelników, „Solaris" znalazła się na pierwszym miejscu.

Parada wydawnictw **58**
Rozmowa z Ewą Troszczyńską, kierownikiem redakcji popularnonaukowej I.W. „Nasza Księgarnia", o wydawnictwach SF.

Komiks

Eksponat AX **60**
– Statek kosmiczny „Arystoteles" wylądował na nieznanej planecie. Trzech członków załogi zniknęło w tajemniczych okolicznościach...

...3...2...1...



Jednym z głównych celów i smaków ludzkiego życia jest na pewno konstruowanie przyszłości. I my z myślą o jutrze oddajemy do rąk Czytelników pierwszy numer, pierwszego polskiego czasopisma, poświęconego szeroko pojętej fantastyce. A przecież to właśnie wyobraźnia, fantazja dyktują plany przyszłościowe i programy. One też zrodziły wiele genialnych pomysłów, dziś zaś idee nauki w zamian użyczają skrzydeł fantastyce. W ten sposób uzupełniają sią ciągle dwie jakże przeciwstawne lecz równocześnie jakże pokrewne sobie dziedziny myśli i uczuć. Fantastyka kształtowała i hartowała różne, a przecież i zbieżne dwie umysłowości z innych epok – Leonarda da Vinci, Włocha i Konstantego Ciołkowskiego, Polaka z pochodzenia. Na naszym Stanisławie Lemie, na lekturach jego fantastycznych romansów i filozoficznych esejów, ćwiczyły się z kolei umysły kosmonautów. Z dumą oni o tym dziś mówią. Zżymają się co poniektórzy pisarze, krytycy, a także i inni zawistni (gdzież ich brakuje?), że Lem w eksporcie twórczości polskiej wypiera nawet... Adama Mickiewicza. A przecież to signum temporis – Lem nie wypiera zresztą wieszcza, lecz uzupełnia jego romantyzm większą dawką racjonalizmu. A my w tym pierwszym numerze sięgamy także do twórcy Astronautów i Solaris. Robimy to jednakże za pośrednictwem austriackiego znanego krytyka i propagatora lemowskiego fenomenu – Franciszka Rottensteinera, który patrzy na Lema z zewnątrz, widząc go w otoczce naszej specyficznej społeczności, naszego kryzysu i światowych sukcesów.

Niektórzy bywają tak przytłoczeni potęgą Lema, że wydaje im się niemożliwe, aby w tym kraju mogli się wybić na własną sławę i chwałę inni pisarze. A on sam? Ucieka od fantastyki w filozoficzny żart, kpinę. Czy to ucieczka przed sobą samym? Goni go dziś różnorodnymi szlakami cała plejada tych, co w science fiction widzą chociażby cząstkę swego pisarskiego powołania. Trudno ich już na palcach obydwu rąk zliczyć. Rosną w liczbę. A niektórzy z nich, tłumaczeni na obce mowy, dokumentują dobitnie wielość dróg polskiej fantastyki, polskiej science fiction.

Do pierwszego numeru włączyliśmy jednakże utwory nie rodzimych gwiazdorów, lecz właściwie zupełnych debiutantów, od razu za to próbujących trudnych lotów, bliższych sprawom ziemskim, ukazywanym w krzywym zwierciadle, niż Kosmosu. To Jerzy Lipka ze swoimi „Co większymi muchami". To Andrzej Drzewiński w swej „Zabawie w strzelanego".

Oczywiście trudno było nie ukazać w tym pierwszym numerze znakomitych czytadeł, wykonanych przez speców dużej klasy, sławnych już na świecie. Zapowiadam więc w każdym kolejnym numerze dwie powieści w odcinkach. Odcinki nie będą się ciągnęły tasiemcowo przez wiele numerów, lecz zamkną się w dwóch lub trzech, tworząc książki dla własnej biblioteki Czytelników – można je samemu zrobić, wycinając kartki wzdłuż perforacji i dopasowując specjalnie przygotowaną okładkę. Dwie inaugurujące powieści to: George'a Martina „Pieśń dla Lyanny", wyróżniona największą nagrodą science fiction roku 1975 oraz Arkadija i Borysa Strugackich „Żuk w mrowisku". Obok nich – jeszcze dwie gwiazdy światowej SF: Lester del Rey prezentujący „Wieczorną modlitwę", krótkie opowiadanie o niezwykłej poincie, oraz John Varley w noweli długiej a pasjonującej pt. „Czek in blanco na bank pamięci". Nie tutaj miejsce na życiorysy i wyliczanie sukcesów twórczych. Każda rzecz drukowana na łamach Fantastyki ma swoją metryczkę, żeby zorientować skąd pochodzi jej autor, czego dokonał lub czego zamierza dokonać.

Pragnąc zaś służyć szeroką informacją naszym Czytelnikom, wprowadzamy na łamy systematyczne notki i recenzje z książek polskich i zagranicznych, ukazujących się na naszym rynku. W dodatku prosimy usilnie o ich krytyczną ocenę. Wprowadzamy mianowicie „listę przebojów science fiction", której autorami po jednej stronie będą właśnie sami Czytelnicy, a po drugiej – krytycy. Ciekawi mnie jak rozłożą się tutaj akcenty, czy będzie panować zgodność między opiniami obydwu stron, czy też będą one w ostrej ze sobą sprzeczności? Jest to więc także próba o głębszym socjologicznym znaczeniu. Nieprzypadkowo też uzupełniamy bogatą dawkę lektury powieściowej i nowelistycznej esejami i wypowiedziami naukowymi. Nie może przecież zabraknąć nauki do towarzystwa fantastyce. Ma ona tłumaczyć i przedstawiać te zjawiska, o których fantaści tak interesująco piszą, a które są nieodłącznym sztafażem materiałów twórczych, akcji i konfrontacji w utworach fantastyczno-naukowych. W tym przecież sensie zresztą używa się w samej fantastyce – nauki.

Odkrycia naukowe bowiem komplikują wizję rzeczywistości, stwarzają ciągle nowe problemy społeczne, są wielką próbą moralną. Otacza nas coraz gęściej świat, ingerujący w nasze uczucia, zachowania, świat coraz bardziej sztuczny, naukowy, który zresztą sami dla siebie budujemy. Stąd na łamach Fantastyki – jej pierwszego numeru – artykuły i wywiady z uczonymi. Prof. D.R. Hoffstadter – mówi na przykład o „sztucznej inteligencji", dr Zbigniew Dworak przedstawia „fikcje prawie że naukowe", śledząc zależności między nauką a fantastyką. Sądzę, że zainteresowanym literaturą science fiction – oceny i pretensje nauki nie mogą być obce.

Rzecz jasna nie da się przedstawić każdego i wszystkich w krótkim felietonie, mającym Czytelnika wprowadzać w gąszcz numerów Fantastyki. Jedno jest pewne, człowiek myśląc o przyszłości, poszukując jej kształtów w wyobraźni, w fantazji, nieustannie konfrontuje swoje koncepcje i emocje z tym co przeżył, z przeszłością.

Jak każda gałąź twórczości tak i fantastyka nie może wobec tego być pozbawiona pierwiastka tradycji. Co się dzieje dzisiaj i jutro dziać się będzie ma swoją podbudowę w bliższej i dalszej przeszłości. Tragedię zrywania z przeszłością ukazał zresztą niezwykle ostro w swoim „Roku 1984" – Orwell.

W naszym dziale krytyki musiało się więc znaleźć miejsce zarówno dla pionierskiej pracy, jaką niewątpliwie jest „Słownik polskich autorów science fiction" (próbuje go tworzyć Andrzej Niewiadowski) jak i dla „pożółkłych kart". Będą to wypisy ze starych, przede wszystkim, rodzimych utworów fantastycznych. Zaczynamy je skromnie bardzo krótkim, lecz wielce reprezentatywnym fragmentem książki S. Balińskiego. Któż to dziś jeszcze pamięta? Ile takich rzeczy trzeba przypominać, poruszając pokłady dawnych marzeń, rojeń czy emocji, które przeważnie się nie sprawdziły. A jeśli w jakimś sensie znalazły się w rzeczywistości, to mamy do czynienia z rzeczywistością całkowicie inną od przewidywanej. Niewymierność ludzkiej natury zawsze rodzi ryzyko, niepokoje i kłopoty. I na tym zasadza swe działania także pisarstwo science fiction.

Pierwszy numer pierwszego pisma fantastycznego w naszym kraju zamyka komiks dla młodych zwolenników SF. Tych fanów czy sfanów są dziś tysiące, a nawet setki tysięcy. Wielu się już zorganizowało i ma swe kluby, pisma, ma swoich młodych twórców. Z komiksem, a także z fanami, z trafieniem w ich gusty będą zapewne trudności. Niemniej liczymy także bardzo i na tę publiczność. Jej również będziemy starali się służyć. I publikować co celniejsze utwory prozatorskie młodych, kultywować poezję fantastyczną, nie tylko z baśniowego nurtu leśmianowskiego. I drukować listy życzliwych oraz mniej życzliwych, zadowolonych i niezadowolonych. Na tym również polega nasza rola.

10–9–8–7–6–5–4–3–2–1–0, a jednak wystartowaliśmy. Eppur si muove.

Adam Hollanek

Fantastyka

miesięcznik literatury SF
00-666 Warszawa ul. Noakowskiego 20
tel. 21-32-56 (łączy wszystkie działy)

REDAGUJE ZESPÓŁ:
Adam Hollanek (red. nacz.),

Leszek Bugajski, Sławomir Kędzierski, Andrzej Krzepkowski (kier. działu ogólnego), Maciej Makowski (kier. działu techn.), Wiktor Malski (sekr. red.), Tadeusz Markowski (z-ca red.nacz.), Andrzej Niewiadowski (kier. działu krytyki), Maciej Parowski, Jacek Rodek (kier. działu zagr.), Marek Rostocki (kier. działu nauki), Krzysztof Szolginia, Andrzej Wójcik (z-ca red. nacz.).

Opracowanie graficzne: Andrzej Brzezicki.

WYDAWCA: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch" ul. Noakowskiego 14, 00-666 Warszawa. tel. centr. 25-72-91 do 93 Biuro Reklam i Propagandy tel. 25-56-26.

PRENUMERATĘ na kraj przyjmują oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" od instytucji i innych zakładów pracy zlokalizowanych w miastach, uzgadniając sposób odbioru zamówionej prasy. Czytelnicy indywidualni zamieszkali w miastach mogą zamawiać prenumeratę w macierzystym zakładzie pracy albo w oddziale kolportażowym RSW „Prasa-Książka-Ruch". Na wsi prenumeratę od instytucji, zakładów pracy i czytelników indywidualnych przyjmują urzędy pocztowe i listonosze. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28 konto XV O/M Warszawa nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla czytelników indywidualnych i o 100% dla instytucji i zakładów pracy. Przedpłaty przyjmowane są w terminach: do 25 listopada na rok następny, I kwartał, I półrocze; do 10 marca na II kwartał; do 10 czerwca na III kwartał i II półrocze; do 10 września na IV kwartał.
CENA 1 egz. 50 zł., pren. kwart. 150 zł., półroczna 300 zł., roczna 600 zł.
NR INDEKSU 35839
Z-109



Krystyna Hoffman

Wieczorna modlitwa

Osiadł na powierzchni niewielkiej planety czując, jak opuszczają go resztki sił. Teraz odpoczywał, wolno spijając oporną energię skąpego, żółtawego słońca, które rozświetlało otaczające go zewsząd morze traw. Krańcowe wyczerpanie stępiło jego zmysły, lecz popychany trwogą przed Uzurpatorami nie przestawał szukać informacji, które pomogłyby mu znaleźć najlepsze z możliwych schronienie.

Stwierdził wreszcie, że na tej planecie panuje cisza i spokój. To tylko wzmogło jego obawy. Dawniej rozkoszował się grą życia, jego tokiem i zanikaniem na niezliczonej ilości światów. Wszechświat, gdy się przezeń wędrowało, wypełniała żądza i ambicje. Jednak Uzurpatorzy w swojej zachłanności nie tolerowali żadnego rywala. Panujący tutaj spokój i ład świadczył, że niegdyś i ten świat odczuł ich władzę.

Wchłonąwszy pierwsze porcje świeżej energii jął szukać gorączkowo wszystkimi zmysłami śladów ich tu obecności. Nic. Potrafił natychmiast wyczuć ich bezpośrednią bliskość, lecz teraz nie znajdował żadnych jej oznak. Trawiasta równina przechodziła w sfalowane łąki ciągnące się aż ku odległym wzgórzom. W dali rysowały się jakieś marmurowe budowle połyskujące śnieżnie w blasku późnego popołudnia; opustoszałe i nie wiadomo komu służące były teraz tylko ozdobą, zagadkową dekoracją bezludnej planety. Przeniósł swoją uwagę na drugą stronę rozległej doliny, za rzekę.

Tam ujrzał ogród. Otoczony niskim murem ciągnął się całymi milami, porośnięty gęsto drzewami i najwidoczniej zaniedbany. Wyczuwał tam ruchliwą obecność większych zwierząt w gęstwinie gałęzi i labiryncie ścieżek. Brakowało wprawdzie hałaśliwego wigoru tego właściwego Życia, lecz to, co istniało w swojej tu obfitości, mogło wystarczyć dla zamaskowania przejawów jego witalnej energii przed bardzo nawet dokładnym przeszukiwaniem.

Ten ogród oferował lepsze schronienie niż odkryta trawiasta równina. Właśnie tu chciał się skryć, lecz obawiał się, że zdradzi ruchem swoją obecność, toteż pozostawał nadal w miejscu. Był przekonany, że jego ostatnia ucieczka była udana, lecz oto przyszło mu stwierdzić, że i on nie był wolny od błędu. Więc czekał. Przebywając w swoim więzieniu, które Uzurpatorzy zbudowali dlań w samym środku Wszechświata, nauczył się być cierpliwym. Skrycie zbierając siły, zamierzał uciec wykorzystując ich niezdecydowanie co do ostatecznego pozbycia się go. Potem wyrwał się na zewnątrz z impetem wystarczającym by ulecieć daleko poza granice ich władzy nad Wszechświatem. I poniósł porażkę zanim jeszcze przemierzył odległość dzielącą go od końca jednego z ramion galaktycznej spirali.

Wydawało się, że ich sieci wykrywające rozciągały się wszędzie. Ich wielkie kanały wychwytujące i przesyłające energię tworzyły zapory nie do przebycia. Gwiazdy i planety były nimi połączone i tylko szereg manewrów graniczących z cudem pozwolił mu dotrzeć aż tak daleko. Potem już nigdzie nie znajdował takich zasobów nie wykorzystanej energii, jakie pozwoliłyby mu dokonać jeszcze kilka takich wyczynów. Porażka, którą ponieśli w nieudanej próbie schwytania i uwięzienia go, wiele ich nauczyła.

Teraz badał swoje otoczenie ostrożnie, z jednej strony obawiając się pobudzić jakiś system alarmowy, z drugiej – bojąc się, że takowy przeoczy. Z daleka, z przestrzeni, tylko ten świat zdawał się być wolny od ich sieci i pułapek. A przecież miał tylko ułamki sekund na zbadanie tego.

W końcu przestał natężać zmysły. Nie znajdował najmniejszych przejawów istnienia jakichkolwiek pułapek czy aparatury wykrywającej. Podejrzewał, że nawet największe jego wysiłki mogą okazać się niewystarczające, lecz nie stać już go było na więcej. Wpierw zwolna, a potem jednym nagłym susem zapadł w labirynt ogrodu.

Z nieba nie spadł żaden cios. Nic nie wyskoczyło z powierzchni planety by go powstrzymać. Nic nie zakłóciło szelestu liści i ćwierkliwych ptasich śpiewów. Nic nie przerwało odgłosów zwierzęcego życia. Wydawało się, że nikt i nic nie zdaje sobie sprawy z jego obecności w ogrodzie. Niegdyś byłoby to nie do pomyślenia, lecz teraz przyjmował to z ulgą. Zapewne był teraz już tylko cieniem samego siebie, niedostrzegalnym i niepojętym dla wszystkich, wśród których przemykał.

Ścieżką, na której przycupnął, nadeszło jakieś stworzenie, drepcąc kopytkami po grubej warstwie opadłych liści. Inne przekicało szybko w poszyciu obok ścieżki. Z wytężoną uwagą czekał, aż pojawią się przed nim jednocześnie. I tu ogarnęło go paraliżujące przerażenie.

Jedno to był królik. Poruszał długimi uszami i różowym noskiem, skubiąc listki koniczyny. Obok niego – młody jelonek, tak młody, że futerko miał jeszcze upstrzone jasnymi plamami. Każde z nich, lub oba, można było niby znaleźć na jakiejkolwiek z tysięcy planet, lecz żadne z nich nie byłoby dokładnie w tym typie jak te tutaj zwierzęta.

To był Świat Spotkania – planeta, na której po raz pierwszy zetknął był się z przodkami Uzurpatorów. Że też z wszystkich planet w tej zawszonej galaktyce tu właśnie przyszło mu szukać schronienia!

W czasach jego największej chwały tamci byli dzikusami. Przykuci do tej jednej planety knuli i dążyli wytrwale do samozagłady, jak wszyscy im podobni. A jednak było w nich coś szczególnego, coś co wówczas przyciągało jego uwagę i częściową litość. Z tej litości chyba nauczył kilku z nich pewnych rzeczy i wydźwignął ich w górę. Nawet bawił się poetyckimi wizjami, że kiedyś, gdy ich słońce zacznie ostatecznie gasnąć, uczyni tych kilku swoimi towarzyszami na równych z nim prawach. Odpowiadał na ich wołania o pomoc i dał im przynajmniej część z tego, czego żądali, by powziąć kroki do zawładnięcia przestrzenią i energią. Nagrodzili go za to arogancką pychą, pozbawioną najmniejszej nawet wdzięczności. W końcu pozostawił ich samym sobie i temu, co ich wiodło ku okrutnej klęsce; wywędrował na inne światy by tam beztrosko realizować swoje wielkie plany.

To było drugim niewybaczalnym głupstwem, jakie popełnił. Za daleko bowiem posunęli się już na drodze do odkrycia praw rządzących Wszechświatem. Jakimś cudem zdołali nawet uniknąć zagłady, jaką niby nieuniknienie sobie gotowali. Dobrali się do planet swojego słońca i popędzili nimi w przestrzeń, aż w końcu poczuli się dostatecznie silni, by walczyć z nim o te inne światy, te najbardziej mu drogie i należące wyłącznie do niego. Teraz już wszystkie te światy przeszły w ich władanie, a jemu pozostał – przynajmniej na razie – już tylko ten jeden maleńki skrawek przestrzeni na ich własnej planecie.

Gdy ktoś nazywa się Ramon Felipe san Juan Mario Silvo Enrico Smith Heartcourt – Brace Sierra y Alvarez del Rey y de los Verdes i gdy ma bogate poczucie humoru i niezbyt wybujałą ambicję odnośnie sławy, to nie ma najmniejszych problemów ze znalezieniem pseudonimu. Toteż począwszy od 1938 roku na anglojęzycznym rynku SF zaczęły pojawiać się liczne opowiadania i powieści Erika van Lhina, Philippa St. Johna, Johna Alvareza, Camerona Halla, Mariona Henry, Philipa Jamesa, Wade Kempferta, Edisona McCanna, Charlesa Satterfielda i Kennetha Wrighta.

Nietrudno domyślić się, że pod wszystkimi tymi nazwiskami kryła się ta sama osoba. Trafiały się również i książki firmowane nazwiskiem Lester del Rey, ale autorem tych akurat utworów był serdeczny przyjaciel autora Paul W. Fairmann.

Życie del Reya przez wiele lat było równie barwne jak jego nazwisko. Urodził się w 1915 roku. Zadebiutował w magazynie Johna W. Campbella „Astounding" opowiadaniem *The Faithful* opublikowanym w 1938 roku. Od tego czasu wydał setki opowiadań, artykułów popularyzatorskich i kilkanaście tomów powieści i opowiadań, wśród których najbardziej znane to: *Rocket Jockey, Marooned on Mars, Battle on Mercury, The Runaway Robot, Badge of Infamy, Gods and Golems, Pstalemate, Step to the Stars, Nerves, Police Your Planet, Preferred Risk, Outpost of Jupiter, The Infinite Worlds of Maybe.*

W latach 1948–1953 był redaktorem naczelnym magazynów: Space Science Fiction, Science Fiction Adventures i Fantasy Fiction, zaś w latach 1968–1976 redaktorem naczelnym magazynu Gallaxy. Od 1976 roku jest redaktorem działu SF w Ballantine Books.

Trwoga jaką odczuł, gdy uświadomił sobie, że jest to Świat Spotkania, osłabła nieco gdy przypomniał sobie jak zachłannie ich mnożące się hordy parły we wszystkie strony Wszechświata zawładniając planetami i porzucając je w tym nieprzerwanym podboju. A nadal przecież wszystkie jego poszukiwania wskazywały na to, że tutaj ich nie ma. To pozwoliło mu odprężyć się nieco; odczuł wstępującą nagle nadzieję tam, gdzie jeszcze przed chwilą targała nim rozpacz. Przecież mogło być tak, że oni wierzą, iż ta planeta jest jedyną, na której on nie odważy się szukać schronienia.

Więc odepchnął od siebie trwogę i zmusił się do myślenia o tym jednym, co dawało mu jeszcze jakąś nadzieję. Potrzeba mu było energii, ta zaś była dostępna wszędzie tam, gdzie nie rozciągały się sieci Uzurpatorów. Przez całe eony ta nie wykorzystana energia ulatywała w samą przestrzeń, energia zdolna rozsadzać gwiazdy lub ustawiać je w szyku. Ta energia była niezbędna do ucieczki, może nawet do nabrania sił dostatecznych by stawić im czoła i, jeśli nie zwyciężyć, to przynajmniej wywalczyć rozejm. Gdyby tylko miał parę godzin wolnych od ich uwagi i nadzoru, wchłonąłby i zmagazynował dość energii dla spełnienia swoich potrzeb.

Właśnie miał po nią sięgnąć, gdy nagle po niebie przetoczył się grzmot, a słońce jakby przygasło na moment. Mimo całej samokontroli jaką dysponował, skulił się w przypływie obezwładniającego go przerażenia, by tylko nie spojrzeć w niebo. Lecz jeszcze przez moment kołatała się w nim resztka nadziei. Może było to zjawisko, jakie sam spowodował swoim łaknieniem energii, pożeraniem zbyt łapczywym...

Wtem grunt pod nim zadrżał; i już wiedział.

Uzurpatorzy nie dali się przechytrzyć. Wiedzieli, że on tu jest – co więcej, nawet na moment nie zgubili jego tropu. Teraz podążali za nim z charakterystycznym dla nich brakiem jakiejkolwiek finezji. Jeden z ich statków zwiadowczych właśnie wylądował, a zwiadowca wkrótce ruszy jego tropem.

Starał się opanować, okiełznać strach i zdławić go w sobie; udało się. Teraz, upatrzywszy sobie gęste poszycie w środku ogrodu, zaczął wycofywać się tak ostrożnie, że nie poruszył nawet źdźbła trawy czy liścia na gałązce. Tam, w gęstwinie, życie było najintensywniejsze; gdyby to go osłoniło, mógłby przynajmniej wchłonąć jeden słabiutki strumyczek energii, wzmocnić nieco siły, roztoczyć wokół siebie delikatną aurę życia zwierzęcego, i w ten sposób roztopić się wśród bestii. Niektórzy wywiadowcy Uzurpatorów byli młodzi i niedojrzali. Takiego można było oszukać i skłonić w ten sposób do odlotu. Potem, zanim inni zdążyliby zdziałać coś na podstawie jego raportu, można byłoby znaleźć jakieś lepsze wyjście z opresji.

Wiedział, że to, co sobie wykoncypował, było tylko pobożnym życzeniem, a nie żadnym planem działania. A teraz nawet z tych iluzji obdarto go bezlitośnie.

Kroki rozbrzmiewały pewnie i stanowczo. Trzaskały gałązki łamane mocnymi stopami, które zmierzały prosto i bez kluczenia ku miejscu, gdzie przywarł do ziemi. Powietrze wokół jakby rozgorzało, a zwierzęta pierzchały w popłochu.

Poczuł na sobie wzrok Uzurpatora. I stwierdził, że – podobnie jak strachu – dzięki Uzurpatorom nauczył się modlitwy. Modlił się teraz rozpaczliwie do czegoś, co wiedział, że nie istnieje i nigdy nie odpowie na jego wołanie.

– Pójdź! Ta ziemia świętym miejscem jest, przeto pozostać tu nie możesz. Sąd nasz dokonany, a miejsce dla cię poczynione jest. Pójdź, a dozwól, że cię tam zawiodę.

Głos był łagodny, lecz była w nim taka moc, że zamarł nawet szelest liści. Już nie krył się przed wzrokiem Uzurpatora, a w modlitwie jego, niemej i skierowanej teraz ku tamtemu, też już nie było nadziei, z czego zdawał sobie sprawę.

– Ale... – słowa były tu na nic, lecz gorycz go przepełniająca kazała mu zapytać, wbrew rozsądkowi i faktom.

– Ale dlaczego? Jam jest Bóg!

Przez moment coś jakby smutek i litość zabłysło w oczach Uzurpatora. Ale i to zgasło, gdy zabrzmiała odpowiedź:

– Wiem. Ale jam jest Człowiek. Pójdź!

Toteż skłonił się nisko, w milczeniu, i ruszył wolno za Uzurpatorem, a żółtawe słońce tonęło już za murami ogrodu.

A wieczór i ranek był dniem ósmym.

Przełożył **Marek Englender**

CZEK IN BLANCO NA BANK PAMIĘCI

John Varley

W Disneylandzie „Kenia" był właśnie dzień szkolny. Pięciu dziewięciolatków oprowadzano po sekcji medycznej, gdzie na stole rejestracyjnym leżał Fingal z odkrytą górną częścią czaszki, spoglądając w lustro. Fingal był w fatalnym humorze – dlatego w końcu przyszedł do „Kenii" – i najchętniej obyłby się bez dzieci. Ich nauczyciel starał się jak mógł, ale kto jest w stanie opanować piątkę takich bachorów?

– A co się dzieje w tym grubym, zielonym drucie, proszę pana? – spytała dziewczynka wyciągając brudną rękę i dotykając mózgu Fingala w miejscu, gdzie główny przewód rejestracyjny stykał się z zamontowanym na stałe wyjściem.

– Lupus, mówiłem ci, żebyś niczego nie dotykała! I popatrz, nawet nie umyłaś rąk! – Nauczyciel chwycił rękę dziecka i odsunął ją na bezpieczną odległość.

– No to co? Sam pan wczoraj powiedział, że nikt już dziś nie zwraca uwagi na brud, bo brud przestał być brudny.

– Na pewno nie mówiłem nic podobnego. Powiedziałem tylko, że gdy ludzkość została zmuszona do opuszczenia ziemi, skorzystaliśmy z tej niezwykłej okazji by zniszczyć wszystkie szkodliwe bakterie. Kiedy po Okupacji zostało na księżycu tylko trzy tysiące ludzi, łatwo nam było wszystko wysterylizować. Dlatego lekarz nie musi nosić rękawiczek, jak kiedyś chirurdzy, ani nawet myć rąk. Nie ma niebezpieczeństwa infekcji. Chodzi tylko o to, że to niegrzeczne. Nie chcemy przecież, żeby ten pan pomyślał sobie, że jesteśmy dla niego niegrzeczni, tylko dlatego, że jego system nerwowy został rozłączony, nie może więc nic nam zrobić, prawda?

– Nie proszę pana.

– Co to jest chirurg?

– Co to jest infekcja?

Fingal pożałował serdecznie, że ta mała zaraza nie wybrała sobie innego dnia na lekcję, ale, jak słusznie powiedział nauczyciel, nie mógł nic na to poradzić. Lekarka przełączyła kontrolę jego ruchu na komputer, a sama przejęła odczyt. Był sparaliżowany. Obserwował chłopca, trzymającego w ręku strugany patyk i miał nadzieję, że smarkaczowi nie przyjdzie do głowy dziobnąć go nim w mózgowie. Był wprawdzie ubezpieczony, ale komu potrzebne kłopoty?

– Proszę się teraz odsunąć, żeby lekarz mógł robić co do niego należy. Bardzo dobrze. Proszę, kto może powiedzieć, do czego służy ten gruby, zielony drut. Destry?

Destry oznajmił, że nie wie, nie chce wiedzieć i najchętniej poszedłby na dwór pograć w piłkę. Nauczyciel zwolnił go i ciągnął lekcję z pozostałymi.

– Zielony drut to główna elektroda sondująca – powiedział. – Połączona jest z zespołem bardzo cienkich drucików w głowie tego pana. Wy macie je również, założone po urodzeniu. Czy ktoś potrafi powiedzieć, jak dokonuje się rejestracji?

Mała dziewczynka z brudnymi rękami odpowiedziała:

– Zawiązuje się węzełki na sznurku.

Nauczyciel roześmiał się, ale lekarka nie. Słyszała to wszystko dziesiątki razy. Nauczyciel zresztą także, ale po to był nauczycielem. Miał dosyć cierpliwości, by rozmawiać z dziećmi, co było raczej rzadką zaletą. Zwłaszcza teraz, przy ich ograniczonej ilości.

– Nie, to była tylko analogia. Proszę powtórzyć: analogia.

– ANALOGIA – powtórzyli chórem.

– Doskonale. Powiedziałem tylko, że łańcuchy FPNA są podobne do sznurków, na których zawiązano węzełki. Jeżeli opracujecie kod, w którym każdy milimetr i każdy węzełek będzie miał znaczenie, będziecie mogli za pomocą takich węzełków na sznurku zapisywać słowa. To właśnie maszyna robi z FPNA. A teraz, czy ktoś potrafi powiedzieć, co znaczy FPNA?

– Ferro-Photo-Nucleic-Acid – powiedziała dziewczynka, która najwyraźniej była prymuską.

– Słusznie, Lupus. Jest to wariant DNA, na którym można właśnie wiązać węzełki za pomocą światła i pola magnetycznego, i poddawać go przemianom chemicznym. Lekarz wprowadza właśnie długie sznurki FPNA do maleńkich rurek, które są w mózgu tego pana. Kiedy skończy, włączy maszynę i prąd zacznie wiązać węzełki. I co dzieje się potem?

– Cała jego pamięć idzie do pojemnika – powiedziała Lupus.

– Słusznie. Tylko, że jest to nieco bardziej skomplikowane. Pamiętacie, co wam powiedziałem o podzielonym szyfrze? Takim, który składa się z dwóch części i jedna nie może działać bez drugiej? Wyobraźcie sobie teraz dwa sznurki, każdy z całą serią węzełków. Próbujecie odczytać je przy pomocy dekodera i stwierdzacie, że to nie ma sensu. Dzieje się tak dlatego, że ten, kto dokonał zapisu, użył dwóch sznurków i zawiązał węzełki w różnych miejscach. Sens da się odkryć dopiero, gdy położycie je obok siebie i w ten sposób będziecie odczytywać. Tak właśnie działa ten dekoder, tyle że lekarz używa dwudziestu pięciu sznurków. Kiedy są powiązane we właściwy sposób i włożone do właściwych otworów w tamtym pojemniku – wskazał na różowy sześcian leżący na stoliku lekarza – zawierają całą pamięć i osobowość tego pana. W pewnym sensie będzie on siedział w tym właśnie sześcianie nic o tym nie wiedząc, bo będzie dziś afrykańskim lwem.

Ta informacja podnieciła dzieci, które również znacznie chętniej buszowałyby po kenijskiej sawannie, niż słuchały wyjaśnień na temat multi-holo. Kiedy się uspokoiły, nauczyciel ciągnął dalej, używając coraz bardziej odległych i ryzykownych analogii.

– Kiedy sznurki są już w... proszę uważać! Kiedy są już w sześcianie, prąd układa je według właściwego porządku. Otrzymujemy wówczas multi-holo. Kto może mi powiedzieć, dlaczego nie możemy po prostu nagrać na taśmę magnetofonową tego, co dzieje się w mózgu tego pana i używać jej w takim samym celu?

Jeden z chłopców odpowiedział natychmiast:

– Ponieważ pamięć nie jest... jak to było?

– Linearna?

– No, właśnie. Jego pamięć jest zmagazynowana we wszystkich kątach mózgu, więc nie można jej stamtąd wyciągnąć. Ten instrument rejestruje od razu cały obraz, jak na hologramie. Czy to znaczy, że gdyby przeciąć sześcian na pół, to byłyby dwie osoby?

– Nie, ale to dobre pytanie. To nie jest taki hologram. Tak raczej jakby... jakby odcisk ręki w glinie, ale w czterech wymiarach. Jakbyście oderwali część informacji, nieprawdaż? No, więc tak to właśnie jest. Nie możecie zobaczyć odcisku, bo jest zbyt mały, ale wszystko, co człowiek ten kiedykolwiek zrobił, widział, czy słyszał, albo pomyślał, znajdzie się w sześcianie.

– Czy możecie się trochę odsunąć? – spytała lekarka. Dzieci odbite w lustrze nad głową Fingala cofnęły się nieco szurając nogami i ukazało mu się coś więcej, niż tylko głowy i wystające ramiona. Lekarka poprawiła ostatnie pasemko FPNA zawieszone w jego korze mózgowej, dostosowując je do surowych wymagań komputera.

– Chciałbym być lekarzem, kiedy dorosnę – powiedział chłopiec.

– Myślałem, że chcesz iść do college'u i studiować, żeby zostać naukowcem.

– Może. Ale mój kolega uczy mnie lekarstwa. To dużo łatwiejsze.

– Powinieneś zostać w szkole, Destry. Jestem pewien, że twój opiekun bardzo chciałby, żebyś był kimś. – Lekarka paliła spokojnie. Wiedziała, że nie ma co się odzywać: wykształcenie to sprawa poważna, za ingerencję w czynności służbowe nauczyciela można oberwać wysoką grzywnę. Ale najwyraźniej była zadowolona, kiedy klasa podziękowała jej i wyszła, zostawiając za sobą brudne ślady stóp.

Wściekle przekręciła wyłącznik i Fingal stwierdził, że może oddychać i poruszać mięśniami głowy.

– Cholerny, pewny siebie mądrala z college'u – powiedziała. – Co takiego złego jest w brudnych rękach, niech pan powie? – Wytarła krew ze swoich dłoni w niebieski fartuch.

– Nauczyciele są najgorsi – powiedział Fingal.

– No nie? Nie ma się zresztą czego wstydzić, że człowiek jest lekarzem. No więc nie byłam w college'u, i co z tego? Robię dobrze to, co robię, a kiedy już skończę, to przynajmniej mam poczucie, że coś zrobiłam. Zawsze lubiłam pracować rękami. Wie pan, że lekarz był kiedyś jednym z najbardziej szanowanych zawodów?

– Naprawdę?

– Słowo. Musieli studiować w college'ach przez całe lata i zarabiali potem krocie, jak Boga kocham.

Fingal nic nie odpowiedział, pewien, że lekarka koloryzuje. Co takiego trudnego jest w medycynie? Trochę zdolności mechanicznych, pewna ręka i tyle. Fingal sam potrafił wiele zrobić koło własnego ciała i chodził do sklepu tylko po poważniejsze poprawki. Zresztą przy takich cenach!... Nie był to jednak najlepszy temat do dyskusji dla kogoś, kto leży bezradnie na stole.

– Okej, zrobione – wyjęła moduły zawierające niewidzialne FPNA i włożyła je do roztworu wywołującego. Przymocowała z powrotem wierzch czaszki Fingala i przykręciła śruby do kości. Przełączyła resztę kontroli ruchu na niego i przytwierdziła czuprynę na jej właściwym miejscu. Przeciągnął się i ziewnął. W sklepie medycznym zawsze nachodziła go senność, sam nie wiedział dlaczego.

– Czy to już wszystko na dziś, proszę pana? Mamy specjalny system wymiany krwi, skoro więc i tak będzie pan tu leżał, biegając tam po sawannie, może byśmy?...

– Nie, dziękuję. Wymieniałem sobie wszystko w zeszłym roku. Nie czytała pani moich akt?

Podniosła kartę i spojrzała.

– Rzeczywiście. Doskonale. Może pan już wstać, panie Fingal.

Otwarły się drzwi i mała twarzyczka zajrzała do środka.

– Zapomniałem kijka – powiedział chłopiec. Wszedł i zaczął myszkować po kątach. Zirytowana lekarka próbowała go ignorować, notując jednocześnie resztę koniecznych informacji.

– Czy chce pan odbyć te wakacje od razu, czy poczekać, aż pana dublet skończy i wtedy je sobie odtworzyć?

– Co? Aha, rozumiem... chodzi pani o to, że... Nie, wlezę od razu w to zwierzę. Mój psychiatra powiedział, że wizyty tutaj zrobią mi dobrze na nerwy, więc niewiele by mi przyszło z czekania, co?

– Ma pan rację, niewiele. Pan tu sobie pośpi, a dublet będzie na sawannie. No! – odwróciła się nagle do chłopca, wtykającego właśnie nos w rzeczy, od których powinien raczej trzymać się z daleka. Złapała go i odepchnęła.

– Albo w minutę znajdziesz to, czego szukasz, albo zabieraj się stąd, zrozumiano?! – Chłopak znów zaczął szukać chichocząc cicho i wypatrując ciekawszych rzeczy do zabawy.

Lekarka sprawdziła coś na karcie, spojrzała na świetliste liczby na paznokciu kciuka i stwierdziła, że jej dyżur ma się ku końcowi. Podłączyła sześcian pamięci przez maszynę do końcówki z tyłu jego głowy.

– Nigdy pan tego jeszcze nie robił, co? To po to, żeby uniknąć białych plam, które czasami mogą być kłopotliwe. Sześcian jest już prawie gotów, teraz tylko zarejestruję te ostatnie dziesięć minut, kiedy będę pana usypiać. W ten sposób uniknie pan dezorientacji i łagodnie przejdzie przez stan uśpienia do pełnej świadomości w ciele lwa. Na czas pana nieobecności pańskie ciało zostanie zabrane do jednego z naszych pokoi sypialnych. Nie ma się czym niepokoić.

Fingal wcale się nie niepokoił; był tylko zmęczony i napięty. Chciał, żeby zrobiła to, co do niej należy i przestała gadać. Myślał też, jak by to było dobrze, gdyby chłopiec przestał stukać patykiem w nogę od stołu. Zastanawiał się, czy ból głowy przejdzie na lwa.

Wyłączyła go.

Zabrali jego ciało, a sześcian z pamięcią przenieśli do pokoju instalacyjnego. Lekarka przegnała chłopca na korytarz i popędziła do pokoju rejestracyjnego. Potem poszła na randkę, na którą i tak się już spóźniła.

Pracownicy „Kenii" zainstalowali sześcian w metalowej skrzynce, znajdującej się w czaszce dorosłej, afrykańskiej lwicy. Zważywszy na strukturę społeczeństwa lwów, właściciele firmy żądali premii za samca, ale Fingalowi było wszystko jedno. Po krótkiej przejażdżce koleją podziemną uśpione ciało Fingala – lwicy zostało złożone pod palącym słońcem kenijskiej sawanny. Gdy Fingal obudził się, pociągnął nosem i natychmiast poczuł się lepiej.

Disneyland „Kenia" był to totalny system środowiskowy zbudowany dwadzieścia kilometrów pod Mare Moscovienne na drugiej stronie księżyca. Miał kształt zbliżony do koła o promieniu dwustu kilometrów. Od ziemi do „nieba" było mniej więcej dwa kilometry, tylko nad modelem Kilimandżaro naturalnych rozmiarów pułap ten podniesiono nieco, by pozwolić chmurom zbierać się realistycznie nad ścieżną czapą.

Złudzenie było całkowite. Teren zaginał się dokładnie tak, jak krzywizna ziemi, horyzont leżał zatem znacznie dalej, niż w miejscach, do których Fingal był przyzwyczajony. Drzewa były prawdziwe, zwierzęta również. W nocy astronom musiałby użyć spektroskopu, by zauważyć, że gwiazdy są sztuczne.

Fingal nie zdołał wypatrzyć żadnej niedokładności, żadnego oszustwa. Zresztą nie miał tego zamiaru. Kolory były wprawdzie nieco dziwne, ale to wynikało ze specyficznych ograniczeń kociego wzroku. Dźwięki były znacznie wyraźniejsze, podobnie zapachy. Gdyby się nad tym zastanawiał, doszedłby do wniosku, że jak na Kenię ciążenie było stanowczo za małe. Ale nie zastanawiał się: po to w końcu tu przyszedł, żeby tego uniknąć.

Było gorąco i cudownie. Sucha trawa nie wydawała najmniejszego dźwięku, gdy stąpał po niej na szerokich łapach. Czuł zapach antylopy gnu i...czyżby to pawiany? Głód szarpał mu trzewia, ale nie miał ochoty na polowanie. Niestety, ciało lwicy, w którym właśnie się znalazł, ruszało na łowy.

Czuł się dziwnie. Kontrolował wprawdzie swoją lwicę, ale tylko do pewnego stopnia. Mógł ją prowadzić tam, gdzie zechciał, ale nie miał żadnego wpływu na zachowania instynktowne. Był ich niewolnikiem w tym samym stopniu, co lwica. W pewnym sensie był lwicą: kiedy chciał unieść łapę, albo odwrócić się, nie było przeszkód, nad ruchem miał całkowitą kontrolę. Wspaniale było chodzić na czterech łapach, było to równie łatwe, co oddychanie. Ale zapach antylopy szedł prosto z nozdrzy do mózgu, splatał się z poczuciem głodu i pchał go na polowanie.

Instrukcja polecała uległość wobec instynktów. Gdyby je zwalczał, nie przyniosłoby mu to nic dobrego, najwyżej frustrację. „Skoro płacisz za to, by być lwem – przeczytał w rozdziale „Co robić?" – najlepiej bądź nim po prostu, a nie tylko przebieraj się w jego ciało, żeby podziwiać widoki.

Nie był zupełnie pewien, czy mu się to podoba, gdy posuwając się twarzą do wiatru doszedł do kępy wyschniętych krzewów i przysiadł za nimi. Zastanawiał się nad tym mierząc wzrokiem jakiś tuzin antylop pasących się kilka metrów od niego i wprawnym okiem drapieżnika wybierając wśród nich małe, słabe i młode. Może powinien wycofać się teraz i iść dalej swoją drogą. Przecież te piękne zwierzęta nie zrobiły mu nic złego. To, co było w nim Fingalem, chciało je podziwiać, a nie krzywdzić.

Zanim sam zdał sobie sprawę co się rozegrało, stał w triumfie nad zakrwawionym ciałem młodej antylopy. Wszystkie inne pozostawiły po sobie tylko ślady w kurzu. Coś niewiarygodnego!

Lwica była szybka, ale jej ruchy w porównaniu z ruchami antylopy podobne były do zwolnionego filmu. Jej jedyna przewaga leżała w zaskoczeniu, zamieszaniu, szybkim, zdecydowanym ataku. Podniosły się głowy, uszy zastrzygły w stronę kępy krzewów, gdzie się ukrywał i wówczas strzelił naprzód. Dziesięć sekund wściekłego wysiłku, wreszcie wgryzł się w miękkie gardło, poczuł strumień krwi, a pod łapami agonalne skurcze zadnich nóg. Dyszał ciężko i krew pulsowała mu w żyłach. Był tylko jeden sposób by rozładować napięcie.

Odrzucił głowę do tyłu i wyryczał swą żądzę krwi.

Pod koniec tygodnia miał już dość łowów. Nie było to wiele warte, jeżeli nie liczyć kilku minut szczęścia, jakie dało mu zabójstwo. Życie polegało na nie kończącym się polowaniu, niezliczonych porażkach, a potem na żałosnej walce o ocalenie dla siebie bodaj kilku kęsów swej ofiary. Odkrył z rozpaczą, że jego lwica stoi bardzo nisko w społecznej hierarchii. Gdy dowlókł swoją antylopę do stada – nie wiedział sam, dlaczego to zrobił, lwica jednak najwyraźniej wiedziała – natychmiast mu ją ukradziono. Siedział (siedziała?) zatem bezrądnie, patrząc, jak pan i władca, dumny samiec, wydziera jej swoją część, a po nim robi to reszta stada. Cztery godziny później zostawiono mu wysuszony zad, o który musiał jeszcze walczyć z hienami i sępami. Zrozumiał wówczas, za co kazano płacić tę premię: samiec miał łatwiejsze życie.

Ale ostatecznie musiał przyznać, że nie wyrzucił pieniędzy. Czuł się znacznie lepiej, psychiatra miał rację. Przynajmniej na jeden weekend zostawił swoje nienasycone komputery i posmakował zwyczajnego życia, świetnie mu to zrobiło. Tutaj nie miał przed sobą żadnych skomplikowanych wyborów, żadnych trudnych decyzji. W razie wątpliwości zdawał się na instynkt. Tyle tylko, że następnym razem spróbuje słonia – przyjrzał im się trochę. Wszystkie inne zwierzęta omijały je z daleka i łatwo było się domyślić dlaczego. Być samotnym siłaczem, który spaceruje sobie, gdzie chce, a pożywienie ma zawsze na najbliższej gałęzi drzewa...

Wciąż jeszcze myślał o tym, gdy przyszła po niego obsługa.

Obudził się z niejasnym poczuciem, że coś nie jest w porządku. Siadł na łóżku i rozejrzał się. Wszystko zdawało się być na swoim miejscu. W pokoju nie było nikogo. Potrząsnął głową, żeby rozjaśnić myśli.

Na niewiele się to zdało. Wciąż jeszcze czuł, że coś się nie zgadza. Spróbował sobie przypomnieć, jak się tu dostał, ale roześmiał się sobie w nos. Jego własna sypialnia! Co w tym szczególnego?

Zaraz, był przecież na wakacjach, na weekendzie?! Przypomniał sobie, że był lwem, jadł surowe mięso antylopy, dawał sobą pomiatać swojemu stadu, walczył z innymi samicami, przegrywał i wycofywał się pomrukując i warcząc w duchu.

Oczywiście, powinien był przyjść do siebie, do swojej ludzkiej świadomości, na oddziale medycznym Disneylandu. Tego sobie jednak nie przypominał. Sięgnął po telefon, sam nie wiedząc, do kogo chce dzwonić. Może do swojego psychiatry, albo do biura „Kenii".

– Przykro mi, panie Fingal – powiedział telefon. – Linia nie przyjmuje już zewnętrznych połączeń. Jeżeli pan...

– Dlaczego nie? – spytał, zaskoczony i zirytowany. – Przecież rachunek zapłacony!

– To nie należy do moich kompetencji, panie Fingal. Proszę nie przerywać. Trudno nam wejść w kontakt z panem, muszę się wyłączyć, ale dalszy ciąg komunikatu dotrze do pana, jeżeli spojrzy pan w prawo. – Głos i szum gasły powoli, po czym telefon zamilkł na dobre.

Fingal spojrzał w prawo i podskoczył z wrażenia. Na ścianie zobaczył kobiecą rękę, która coś pisała. Kończyła się w przegubie.

..Mane... Mane..." – pisała ręka ognistymi literami. Potem machnęła ze złością i wytarła słowa kciukiem. Na ścianie pozostały czarne smugi sadzy.

– Pan nadaje, panie Fingal – napisała ręka, szybko wyskrobując słowa pomalowanym paznokciem. – Spodziewał się pan zobaczyć tamte słowa. – Ręka podkreśliła słowo „spodziewał się" trzykrotnie. – Proszę o trochę dobrej woli, proszę oczyścić umysł z wszelkich nalotów i czekać na to, co ja napiszę, inaczej do niczego nie dojdziemy. Psiakrew, zdaje się, że to medium również wyczerpałam.

I rzeczywiście. Tekst wypełnił już całą ścianę i ręka pisała nad samą podłogą. Litery były coraz mniejsze i mniejsze, żeby tylko jakoś się zmieścić.

Według opinii psychiatry Fingal miał bardzo silne poczucie rzeczywistości. Kurczowo uchwycił się teraz tej opinii, jak jakiegoś talizmanu, jednocześnie pochylając się nad podłogą, żeby odczytać ostatnie zdanie.

– Proszę zajrzeć na półkę z książkami – napisała ręka. – Tytuł brzmi „Orientacja w Twoim Świecie Fantazji".

Fingal dobrze wiedział, że nie ma takiej książki, ale nic lepszego nie przyszło mu do głowy.

Telefon nie działał, a jeżeli dostał właśnie jakiegoś ataku psychozy, wolał na wszelki wypadek nie wychodzić na wspólny korytarz, póki się nie dowie, co się dzieje. Ręka zniknęła, ale napis tlił się nadal.

Książkę znalazł bez trudności. Była to w istocie broszurka w jaskrawej, krzykliwej okładce. Całą kupę takich rzeczy widział w poczekalni „Kenii" – zwykła reklamówka. Na dole widniał napis „Opublikowane pod auspicjami Komputera „Kenii": A. Joachim, operator". Otworzył ją i zaczął czytać.

ROZDZIAŁ PIERWSZY: Gdzie jestem?

Zapewne zastanawia się pan teraz, gdzie pan jest. To zdrowa i normalna reakcja, panie Fingal. Każdy by się zastanawiał, gdyby zaczęły go nachodzić podobne, nienormalne zjawiska, gdyby jego poczucie rzeczywistości tak gwałtownie osłabło. Mówiąc zaś po prostu: „Świra mam, czy co?"

Nie, panie Fingal, nie ma pan świra. Niestety, nie siedzi pan także na łóżku czytając książkę. Wszystko dzieje się wyłącznie w pana umyśle. Wciąż jeszcze jest pan w Disneylandzie „Kenia". Mówiąc dokładniej, tkwi pan nadal w sześcianie pamięci, jaki zrobiliśmy panu przed weekendem na sawannie. Widzi pan, wyszedł nam dość głupi numer.

ROZDZIAŁ DRUGI: Co się stało?
Sami chcielibyśmy wiedzieć, panie Fingal. Tak, czy inaczej, oto co wiemy: pana ciało zginęło. Nie ma się czym specjalnie przejmować, robimy wszystko co w naszej mocy, żeby je odnaleźć i stwierdzić, jak do tego doszło, ale to musi potrwać. Może to niewielka pociecha, ale przez te siedemdziesiąt pięć lat naszej działalności nigdy się to jeszcze nie zdarzyło. Gdy tylko ustalimy przyczyny wypadku, może pan być pewien, że nigdy więcej nie dopuścimy do czegoś podobnego. Tropimy jednocześnie kilka śladów i może pan być spokojny, że gdy tylko je odnajdziemy, zwrócimy panu pańskie ciało w idealnym stanie.
Jest pan teraz przytomny i świadomy, ponieważ wprowadziliśmy pana sześcian do naszego komputera H-210, jednego z najlepszych systemów holo-pamięci we współczesnym świecie. Niestety, są pewne problemy.

ROZDZIAŁ TRZECI: Co za problemy?
Trudno mi będzie wyjaśnić to panu w sposób przystępny, ale może spróbujemy, dobrze?
Środki, jakie stosujemy przy rejestrowaniu pamięci, różnią się od tych, które zapewne sam pan stosował, na przykład przy ubezpieczeniu od wypadku. Jak pan zapewne wie, system ten może przechowywać pamięć przez dwadzieścia lat bez utraty wartości, czy informacji, ale jest dosyć drogi. System, którego my używamy, jest ograniczony w czasie, dobry na dwa, pięć, czternaście, czy dwadzieścia osiem dni, zależnie od długości pobytu. Spodziewał się pan zapewne, że pańska pamięć została umieszczona w sześcianie, gdzie trwać będzie niezmiennie i stale, podobnie, jak w pańskim nagraniu ubezpieczeniowym. Niestety, jeżeli tak pan sądził, to się pan pomylił, panie Fingal. Proszę tylko pomyśleć. Jeżeli pan umrze, pana bank zacznie natychmiast hodować nowy egzemplarz z próbki plazmy, jaką zostawił pan tam razem z sześcianem pamięci. Po sześciu miesiącach pamięć zostanie odtworzona i zarejestrowana na owym dublecie, po czym obudzi się pan, pozbawiony jedynie tych wspomnień, które nazbierały się w pańskim umyśle od czasu ostatniego nagrania. Może zresztą już się to panu kiedyś zdarzyło. Jeżeli tak, to zna pan szok przebudzenia z procesu rejestracyjnego, gdy mówią panu, że minęły trzy, albo cztery lata, i że w tym czasie pan umarł.
W każdym razie proces, którego my używamy, ma charakter dynamiczny, rozwojowy, w przeciwnym razie nie miałby on u nas zastosowania. Sześcian, który wkładamy do afrykańskiego zwierzęcia, jakie pan wybrał, zdolny jest uzupełnić w pańskim własnym sześcianie wspomnienia z pobytu w „Kenii". Kiedy wizyta się skończy, wspomnienia te zostają zarejestrowane w pańskim mózgu i opuszcza pan Disneyland pełen owych podniecających, kształcących i odświeżających doznań, jakie przeżył pan w ciele zwierzęcia, mimo że pańskie ciało nigdy nie opuściło naszego pokoju sypialnego. Znane to jest jako „dublowanie", po niemiecku „Doppelgänger".
Wracajmy do problemów, o jakich była mowa. Już pan myślał, że nigdy do nich nie wrócimy, co?
Po pierwsze, skoro zapisał się pan na dwudniowy pobyt, lekarz użył dwudniowego sześcianu, figurującego w kosztorysie wycieczek zniżkowych. Mają one pewne zabezpieczenia, ale po trzech dniach niewielki z nich pożytek. Po tym okresie sześcian zaczyna ulegać degeneracji. Oczywiście, jesteśmy pewni, że uda nam się przywrócić pana jego ciału przed tym terminem. Do tego dochodzi jeszcze problem konserwacji. Nasze dynamiczne sześciany przystosowane są do stałego funkcjonowania przez cały czas, gdy pańska pamięć się w nich znajduje, i fakt ten stwarza nam pewne trudności w sytuacji, w której właśnie się znaleźliśmy. Czy śledzi pan mój tok rozumowania, panie Fingal? Ponieważ sześcian przekroczył już czas użytkowania we współpracy z żywym organizmem, w tym wypadku lwicą, musimy go utrzymywać w stałej aktywności, w przeciwnym wypadku nastąpi utrata informacji. Jesteśmy przekonani, że wolałby pan tego uniknąć, nieprawdaż? Na pewno tak. W związku z tym podłączyliśmy pana do naszego komputera, który utrzyma pana w świadomości i zdrowiu, nie dopuszczając jednocześnie do uszkodzenia ogniw pańskiej pamięci. Nie będę się w to zagłębiać, powiedzmy jedynie, że podobne uszkodzenia nie należą do szczególnych przyjemności.

ROZDZIAŁ CZWARTY: No więc co jest?
Miło mi, że pan o to spytał. Bo przecież spytał pan o to, panie Fingal. Ta książeczka należy do procesu analogującego, który wyjaśnię panu niżej.
Życie w komputerze nie jest to coś, w co można po prostu sobie wskoczyć w nadziei, że zachowa się integralny obraz świata, konieczny dla zdrowego funkcjonowania w ramach naszego skomplikowanego społeczeństwa. Próbowano już tego, więc może pan nam wierzyć na słowo. A raczej mnie. Czy się przedstawiłam? Nazywam się Apolonia Joachim, Operator Pierwszej Kategorii w firmie naprawczej komputerów „Bezpieczeństwo Danych". Prawdopodobnie nigdy pan o nas nie słyszał, mimo że pracuje pan w komputerach.
Ponieważ nie może pan wyobrazić sobie tego zaskakującego, pulsującego świata, który uchodzi za rzeczywistość w systemie danych komputera, pański umysł, we współpracy z systemem analogującym, jaki przekazałam komputerowi, interpretuje wszystko w sposób dlań wygodny i bezpieczny. Świat, który pan widzi wokół, to wytwór pańskiej wyobraźni. Oczywiście, wydaje się prawdziwy, ponieważ pochodzi z tej samej sfery pańskiego mózgu, której używa pan zazwyczaj do interpretacji rzeczywistości. Gdybyśmy chcieli pozwolić sobie na nieco filozofii, moglibyśmy zapewne cały dzień dyskutować o tym, co właściwie jest rzeczywistością i dlaczego ta, z którą styka się pan w tej chwili, jest mniej prawdziwa od tamtej, do której jest pan przyzwyczajony. Ale może darujmy to sobie, co?
Świat będzie prawdopodobnie działał według zasad, do których jest pan przyzwyczajony. Ale nie będzie identyczny z tamtym prawdziwym. Na przykład koszmary senne. Mam nadzieję, że ma pan mocne nerwy, panie Fingal, ponieważ pańskie koszmary mogą nagle stać się rzeczywistością. Będą się wydawać bardzo prawdziwe. Powinien pan ich unikać, gdyż mogą panu wyrządzić krzywdę. Powiem panu coś więcej na ten temat, jeżeli zajdzie konieczność. Na razie nie ma się czym martwić.

ROZDZIAŁ PIĄTY: Co mam robić teraz?
Radzę panu podjąć swoje normalne czynności. Proszę się niczemu nie dziwić. Przede wszystkim mogę nawiązać z panem kontakt tylko za pośrednictwem zjawisk nadprzyrodzonych. Kiedy przekazuję komputerowi komunikat, może on dotrzeć do pana wyłącznie w sposób, z jakim pański mózg dotąd się nie zetknął. Oczywiście, pański mózg klasyfikuje to natychmiast jako zdarzenie nienaturalne i przekazuje je panu w taki właśnie sposób. Większość tych dziwnych rzeczy, które pan zobaczy, to będę ja, o ile oczywiście zachowa pan spokój i nie pozwoli swoim podświadomym lękom wydostać się na powierzchnię i zaatakować pana. Poza tym przypuszczam, że pana świat będzie wyglądał, smakował, brzmiał i pachniał raczej normalnie. Rozmawiałam z pańskim psychiatrą. Twierdzi, że pana poczucie rzeczywistości jest bardzo silne. Proszę zatem o spokój. Pracujemy ciężko, żeby pana stamtąd wydostać

ROZDZIAŁ SZÓSTY: Ratunku!
Oczywiście, że pana uratujemy. To naprawdę przykre, że do tego doszło, otrzyma pan natychmiastowy zwrot kosztów. Do tego jeszcze adwokat „Kenii" każe mi pana zapytać, czy miałby pan ochotę podyskutować o jakiejś jednorazowej wpłacie na pokrycie wszelkich strat dotychczasowych i przyszłych. Może to pan spokojnie przemyśleć, nie ma pośpiechu.
Tymczasem postaram się odpowiedzieć na pańskie pytania. Będzie mi tym trudniej, im bardziej pański umysł będzie próbował sprowadzić moje nadprzyrodzone objawienia do elementów znanej panu rzeczywistości. Fakt, iż pański umysł zdolny jest naginać świat komputera, którego nie chce dostrzec, do obrazów rzeczywistości potocznej, stanowi nasz najsilniejszy atut i mój największy kłopot. Proszę mnie szukać w fusach od kawy, na tablicach ogłoszeń, w holowizji, wszędzie! Jeżeli się pan przyzwyczai, może się to nawet okazać zabawne.
Tymczasem, jeżeli informacja dotarła do pana, może pan odpowiedzieć mi wypełniając poniższy kupon i wrzucając go do skrzynki pocztowej. Odpowiedź otrzyma pan w biurze. Powodzenia!
TAK! Otrzymałem waszą informację i interesują mnie podniecające możliwości na polu życia komputerowego. Proszę mi przesłać, bez jakichkolwiek kosztów czy zobowiązań z mojej strony, wasz pasjonujący katalog, z którego dowiem się, w jaki sposób mogę się przenieść do wielkiego, cudownego świata zewnętrznego!
NAZWISKO:
ADRES:
I.D.:

Fingal walczył przez chwilę z ochotą, by się uszczypnąć. Jeżeli treść broszury była zgodna z prawdą – a było to przecież wiarygodne – poczułby ból, ale nie obudziłby się. Tak czy inaczej uszczypnął się. Zabolało.
Jeżeli zatem dobrze zrozumiał, wszystko, co go otacza, jest zaledwie produktem jego wyobraźni. Gdzieś tam siedzi przy komputerze jakaś kobieta i gada do niego normalnym językiem, który dociera do jego mózgu w formie impulsów elektronowych. Ponieważ jednak mózg nie może odbierać ich bezpośrednio, zatem przekształca je w formy bliskie sobie i znane. A więc analoguje jak wariat. Ciekaw był, czy przejął to od nauczyciela, o ile oczywiście analogie są zaraźliwe.
– I co do cholery jest złego w głosie znikąd! – spytał sam siebie na głos. Nie otrzymał odpowiedzi, co raczej poprawiło mu humor. Miał na razie dosyć tajemniczych wydarzeń. Po chwili namysłu doszedł zresztą do wniosku, że na dźwięk takiego głosu zrobiłby pewnie w majtki ze strachu.
Zdecydował, że jego mózg wie w końcu, co robi. Ręka na ścianie przeraziła go, ale nie wpadł w panikę. Widział ją, a swoim zmysłom ufał bardziej, niż głosom znikąd. Trudno byłoby o bardziej klasyczny objaw obłędu.
Wstał i podszedł do ściany. Ogniste litery znikły, ale pozostały czarne ślady. Powąchał je – pachniały spalenizną. Pomacał palcem sztywny papier broszury, oderwał róg, wsadził do ust i przeżuł: smakował jak zwykły papier.
Usiadł, wypełnił kupon i wrzucił go do skrzynki na listy.
Aż do chwili, gdy znalazł się w biurze, był właściwie spokojny. Był człowiekiem o dość powolnych reakcjach, furia narastała w nim długo. Wreszcie jednak osiągnął punkt, w którym musiał się zbuntować.
Wszystko do tej pory wyglądało tak normalnie, że mało się nie śmiał. Przyjaciele i znajomi byli w komplecie na miejscu i robili dokładnie to, czego się po nich spodziewał. Zaskoczyła go tylko i oszołomiła ilość i różnorodność statystów, epizodzistów, w tym jego prywatnym przedstawieniu. Niebywałe, ilu ludzi potrafił wyprodukować jego mózg, by wypełnić zatłoczone korytarze. Na przykład ten nie znany mu facet, który wpadł na niego w metrze po drodze do pracy; przeprosił go, zniknął – zapewne we wnętrznościach jego wyobraźni.
Przyszedł mu do głowy tylko jeden sposób na rozładowanie złości: sprawdzić nagle ten cały absurdalny, nierzeczywisty świat. W głębi mózgu tliła mu się myśl, że wydarzenia poranne były zaledwie czymś w rodzaju przecieku, krótkiego nurka

w świat snów. Może nigdy nie był w „Kenii" i umysł po prostu robił mu kawały. Nie wiedział wprawdzie, czy chodzi mu o to, by go tam zaprowadzić, czy przeciwnie, by go przestrzec, ale tym mógł się w końcu martwić później, gdy zawiedzie go zamierzony test.

Wstał od swego pulpitu, stojącego w trzecim rzędzie piętnastego szeregu identycznych pulpitów obsadzonych sumiennymi pracownikami. Podniósł ręce do góry i gwizdnął. Wszyscy spojrzeli na niego.

– Nie wierzę w was! – wrzasnął. Podniósł stos taśm leżących na pulpicie i cisnął nimi w Felicję Nahum, siedzącą obok. Felicja była jego dobrą koleżanką i zanim taśmy na nią spadły, wykazała odpowiednią dozę zdumienia i przerażenia. Później jednak rozpłynęła się. Rozejrzał się wokół i stwierdził, że wszystko zatrzymało się nagle, jak stop-klatka w filmie.

Usiadł i zaczął bębnić palcami po pulpicie. Serce waliło mu jak młotem, twarz zalewał rumieniec. Przez straszną chwilę myślał, że mu się przywidziało. Wreszcie uspokoił się, po czym przez kilka sekund podnosił wzrok, by stwierdzić ostatecznie, że świat naprawdę się zatrzymał.

Po trzech minutach był już zlany zimnym potem. Co do cholery udało mu się udowodnić? Czy to, że poranne wydarzenia były prawdziwe, czy, że zwariował? Uświadomił sobie, że nigdy nie będzie w stanie sprawdzić założeń, na których opiera się jego teraźniejsze życie. Na ekranie jego pulpitu pojawiło się zdanie:

– A czy kiedykolwiek indziej mógł pan to zrobić?

– Pani Joachim! – krzyknął, rozglądając się. – Gdzie pani jest? Boję się!

– Nie wolno się panu bać – odpowiedział ekran. – Proszę się uspokoić. Ma pan przecież silne poczucie rzeczywistości, czy nie tak? Proszę się zastanowić: czy kiedykolwiek przed dzisiejszym dniem mógł pan być pewien, iż świat, który pana otacza, nie jest produktem katatonicznych wizji? Rozumie pan, o co mi chodzi? Na pytanie „Czym jest rzeczywistość?" nie ma w istocie odpowiedzi. W którymś momencie wszyscy musimy przyjąć za pewnik to, co słyszymy i widzimy, i żyć opierając się na grupie nie sprawdzonych i niesprawdzalnych założeń. Proszę, żeby pan przyjął ten zestaw, który ofiarowałam panu dziś rano, ponieważ na moim miejscu, przy komputerze, gdzie nie może mnie pan widzieć, mój własny obraz świata mówi mi, że zestaw ten jest prawdziwy i słuszny. Ale przecież mógłby pan przypuścić, że to ja ulegam złudzeniom, że w różowym sześcianie, który przede mną stoi, nie ma nic, i że to pan jest anonimowym statystą w moim śnie. Czy czułby się pan przez to lepiej?

– Nie – wymruczał, wstydząc się samego siebie. – Rozumiem, o czym pani mówi. Nawet, jeżeli zwariowałem, będzie mi lepiej, gdy się z tym pogodzę, niż gdy zacznę to zwalczać.

– Doskonale, panie Fingal. Jeżeli chce pan innego przykładu, niech pan sobie wyobrazi, że jest pan uwięziony w kaftanie bezpieczeństwa. Może jacyś technicy pracują właśnie nad poprawą pańskiego stanu, a nasza psychodrama to tylko pierwszy etap kuracji. Czy to podoba się panu bardziej?

– Nie, chyba nie.

– Jest to równie sensowne założenie, jak to, które przekazałam panu dziś rano. Przede wszystkim jednak chodzi o to, że we wszystkich wypadkach powinien się pan zachowywać dokładnie tak samo, bez względu na to, który zestaw założeń jest prawdziwy. W pierwszym wypadku zwalczanie go narobi panu kłopotów, a w drugim może wręcz zaszkodzić kuracji. Zdaję sobie sprawę, iż wymagam od pana, by mi pan uwierzył na słowo. Ale to wszystko, co mogę dla pana zrobić.

– Wierzę w panią – powiedział. – Czy może pani teraz znów wszystko włączyć?

– Powiedziałam panu, że nie mam władzy, ani kontroli nad pana światem. Jest to dla mnie zresztą poważna przeszkoda, dlatego właśnie muszę mówić do pana tak dziwacznymi sposobami. Ale sądzę, że wszystko zacznie działać normalnie, gdy tylko pan na to pozwoli. Proszę się rozejrzeć.

Podniósł wzrok i ujrzał normalny ruch i zajęcia swego biura. Felicja siedziała przy biurku dokładnie tak, jakby nic się nie stało. I rzeczywiście. Nie, coś się jednak stało. Taśmy leżały porozrzucane na podłodze przy jego biurku, tam, gdzie upadły. Rozwinęły się i poplątały w straszny sposób.

Zaczął je zbierać i wówczas stwierdził, że nie był to zwykły bałagan. Ułożyły się w zdanie z pętli i zakrętasów:

– Wszystko znów idzie swoją koleją.

Przez trzy tygodnie Fingal zachowywał się wzorowo. Jego współpracownicy, gdyby byli prawdziwi, zauważyliby w nim zapewne swoistą skłonność do izolacji i samotności, a jego życie towarzyskie w domu uległo drastycznemu ograniczeniu. Poza tym jednak zachowywał się jakby wszystko, co go otacza, było prawdziwe.

Ale jego cierpliwość miała granice. Cała ta zabawa przedłużała się znacznie poza przewidziane terminy. Zdarzało mu się popadać przy pulpicie w stany nerwicowe i popuszczać wodze umysłowi. Wprowadzanie informacji do komputera to zajęcie frustrujące, niewdzięczne i w ostateczności ogłupiające. Czuł to na długo przed swoją wyprawą do „Kenii", więcej, dlatego właśnie się tam wybrał. Miał sześćdziesiąt osiem lat, przed sobą całe wieki życia, a tkwił w ferromagnetycznej rutynie. Długowieczność może się okazać wątpliwym błogosławieństwem, gdy w życie wkradnie się nuda.

Tymczasem właśnie praca zaczęła go nudzić coraz bardziej. Nawet, gdy siedział w prawdziwym biurze, otoczony dwiema setkami prawdziwych ludzi wpychających niezbyt rzeczywiste dane do komputera, który w jego oczach miał już w ogóle mało wspólnego z rzeczywistością. A co dopiero teraz, gdy wiedział, że owe dane nie mają najmniejszego sensu dla kogokolwiek, poza nim samym, i że cała robota to nic innego jak stworzona przez jego mózg i program komputera swoista terapia zajęciowa. Chodziło o to, by nie siedział bezczynnie, dopóki pani Joachim nie znajdzie jego ciała.

Po raz pierwszy w życiu zaczął naciskać guziki wedle własnego upodobania. W normalnej sytuacji, gdyby nawet zauważył dużo słabsze objawy niezrównoważenia, natychmiast pobiegłby do psychiatry. Byłaby to decyzja zrozumiała i najzupełniej normalna. Tu jednak rozmawiałby z samym sobą. Korzyść z takiego wyidealizowanego seansu psychoanalitycznego wykraczała poza jego zdolność pojmowania. Nigdy zresztą nie wierzył, by psychiatra robił wiele ponad wysłuchiwanie swych pacjentów.

Zaczął powoli zmieniać swoje życie, gdy pewnego dnia zirytowała go szefowa. Oznajmiła mu mianowicie, że karta jego pomyłek zaczęła się ostatnio gwałtownie wypełniać i zasugerowała mu, by albo wziął się w kupę, albo poszukał sobie innego zajęcia.

Wściekł się. Przez dwadzieścia pięć lat był świetnym pracownikiem. Nie miała prawa tak go traktować, gdy tylko na tydzień czy dwa poczuł się gorzej.

Nagle uświadomił sobie, że ona również jest tylko wytworem jego umysłu i wściekł się jeszcze bardziej. Czemu to niby miałby jej pozwolić, żeby go rozstawiała po kątach?

– Nie chce mi się tego słuchać – powiedział. – Proszę mnie zostawić w spokoju, albo jeszcze lepiej dać mi podwyżkę.

– Fingal! – odpowiedziała pospiesznie. – Przez ostatnie tygodnie przynosił pan zaszczyt swojemu oddziałowi. Daję panu podwyżkę.

– Dziękuję. Może pani odejść. – Rzeczywiście, znikła, jakby się rozpłynęła w powietrzu. To było wydarzenie dnia. Rozparł się w fotelu i po raz pierwszy od czasów młodości zaczął się zastanawiać nad swoją sytuacją życiową.

To, co dojrzał nie bardzo mu się spodobało.

W trakcie tych rozważań dostrzegł, że ekran komputera ponownie się zapalił.

– Ostrożnie, Fingal – brzmiał komunikat. – Jest pan na najlepszej drodze do katatonii.

Wziął to ostrzeżenie poważnie, ale i tak nie zamierzał nadużywać świeżo odkrytych możliwości. Nie rozumiał natomiast, dlaczego przezorne ich zastosowanie od czasu do czasu miałoby mu w czymkolwiek zaszkodzić. Przeciągnął się i ziewnął szeroko. Rozejrzał się, czując nagle nienawiść do swego biura, do rzędów pracowników, których zaledwie można było odróżnić od ich warsztatów pracy. Można by właściwie wziąć sobie wolny dzień.

Nagle wstał i przeszedł kilka kroków, które dzieliły go od biurka Felicji.

– Może byśmy skoczyli do mnie i przespali się – zaproponował.

Spojrzała na niego, zdumiona, a on się uśmiechnął. Była niemal równie zaskoczona, jak wówczas, gdy cisnął w nią taśmami.

– Żartujesz, czy co? W samym środku dnia? Przecież masz robotę! Chcesz, żeby nas wylali?

Potrząsnął powoli głową.

– Nie podoba mi się ta odpowiedź.

Zatrzymała się i jakby cofnęła taśmę. Usłyszał jej ostatnie zdania od końca, po czym ujrzał na jej twarzy uśmiech.

– Świetnie, zaraz! – powiedziała.

Kiedy już było po wszystkim, zniknęła w ten sam, nieco zaskakujący sposób, co szefowa, rozpływając się w powietrzu. Fingal siedział spokojnie na łóżku, zastanawiając się, co z sobą począć. Czuł, że zmierza do czegoś niedobrego, że może sobie porządnie zaszkodzić, jeśli będzie w taki sposób dopasowywać świat do swoich wymagań.

Zadzwonił telefon.

– Ma pan rację jak jasna cholera – powiedział kobiecy głos, najwyraźniej zirytowany. Usiadł prosto.

– Apolonia?

– Pani Joachim, panie Fingal. Nie mogę mówić długo, to skomplikowana metoda. Proszę mnie posłuchać, i to uważnie. Pogrąża się pan. Ma pan przed sobą taką przepaść, że nawet dna nie widać. Jeżeli pan w nią wpadnie, to nie daję panu żadnej gwarancji, że będę w stanie pana wyciągnąć.

– Ale czy muszę przyjmować wszystko tak, jak jest? Nie mogę trochę popracować nad sobą?

– Bujać to my, Fingal, to nie była praca nad sobą, tylko zwyczajne lenistwo. A poza tym onanizm. Nie ma w tym zresztą nic złego, ale jeżeli przy okazji wykluczy pan ze swego świata wszystko inne też, pana umysł niebezpiecznie się rozrośnie. Grozi panu niebezpieczeństwo całkowitego wyłączenia ze swej rzeczywistości zjawisk świata zewnętrznego.

– Myślałem, że świata zewnętrznego i tak tu dla mnie nie ma.

– Prawie, ale niezupełnie. Doprowadzam panu bodźce zewnętrzne, żeby utrzymać pana w normalnym ruchu. Zresztą najważniejsze jest nastawienie. Nigdy pan nie miał większych kłopotów ze znalezieniem sobie partnerek do łóżka, skąd nagle taka odmiana?

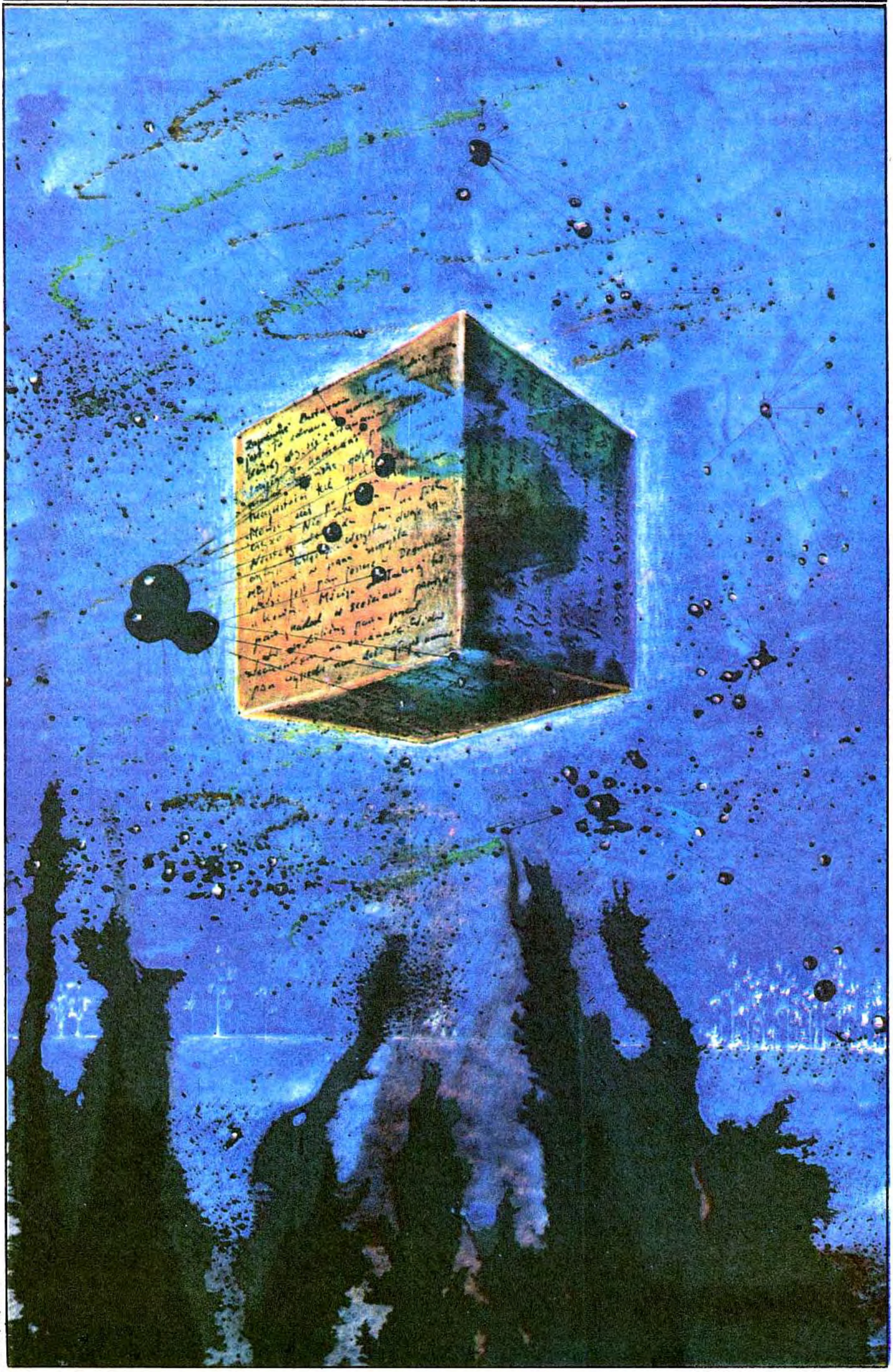
– Nie wiem – przyznał się. – Pewnie ma pani rację, lenistwo.

– Jeszcze jak. Jeżeli natomiast chce pan zmienić pracę, to proszę uprzejmie. O ile poważnie mówił pan o pracy nad sobą, to ma pan duże możliwości. Proszę ich poszukać, rozejrzeć się, pomyśleć. Ale proszę nie mieszać się do rzeczy, których pan nie rozumie. Muszę już kończyć. Jeżeli dam radę, napiszę do pana list i wszystko wyjaśnię.

– Chwileczkę! Co z moim ciałem? Czy są jakieś postępy?

– Tak, wiedzą już, jak do tego doszło. Zdaje się... – głos zanikł, więc wyłączył telefon.

Następnego dnia dostał list, a w nim wyjaśnienie tego, co dotychczas udało się.



Andrzej Pągowski

stwierdzić. Podobno pomyłka została wywołana wizytą nauczyciela w sekcji medycznej w dniu jego rejestracji. Dokładniej zaś chodziło o chłopca, który wrócił już po wyjściu pozostałych. Byli niemal pewni, że musiał coś zrobić z kartą obiegową, gdzie były wypisane instrukcje dla obsługi na temat ciała Fingala. Zamiast zawieźć je do sypialnego, co oznaczała zielona kartka, skierowano je gdzieś – nie wiadomo jeszcze gdzie – na zamianę płci, co sygnalizowano niebieską kartką. Lekarka, spiesząc się do domu na spotkanie, nie zwróciła uwagi na tę zamianę. Ciało mogło się teraz znajdować w każdej z kilku tysięcy przychodni na Lunie.

Fingal odłożył list i pogrążył się w rozmyślaniach.

Joachim powiedziała, że bank pamięci otwiera przed nim liczne możliwości. Powiedziała także, że nie wszystko, co widzi, to jego własne projekcje. Mógł zatem odbierać bodźce zewnętrzne. Dlaczego? Czy bez nich byłby się w tym wszystkim pogubił? Czy jeszcze co innego? Żałował, że list nie zawierał na ten temat żadnych informacji.

Co miał zatem robić?

Nagle zrozumiał. Chciał się nauczyć czegoś o komputerach. Chciał się wreszcie dowiedzieć, jak działają, poczuć nad nimi władzę. Szczególnie teraz, kiedy był praktycznie uwięziony w jednym z nich. Był zawsze jak robotnik przy taśmie, dzień w dzień wykonywał te same czynności, zdejmował małe części z jednej taśmy i montował je na większym zespole na drugiej taśmie. Któregoś dnia robotnik zaczyna jednak zastanawiać się, skąd się biorą właściwie te części, skąd przychodzą, jak zostały wyprodukowane, co dzieje się później, kiedy je już zamontuje?

Zdziwił się nawet, dlaczego nie pomyślał o tym wcześniej.

Biuro Przyjęć Politechniki Luny było pełne. Wręczono mu formularz do wypełnienia. Wyglądało to ponuro. Kiedy wypełnił już wszystko, rubryki „Uprzednie doświadczenia" i „Testy zdolnościowe" były prawie puste. Niezbyt kusząca propozycja. Podszedł do biurka i wręczył formularz mężczyźnie siedzącemu przy pulpicie.

Mężczyzna wsunął kartę do komputera, ten zaś szybko zdecydował, że Fingal nie nadaje się na technika komputerowego. Już się odwrócił, gdy oko jego spoczęło na wielkim afiszu, wiszącym za plecami mężczyzny. Wisiał tam cały czas, ale Fingal go nie przeczytał.

LUNA POTRZEBUJE TECHNIKÓW KOMPUTEROWYCH – TO ZNACZY PANA, PANIE FINGAL!!!

Ma pan dość dotychczasowej pracy? Czuje pan, że przeznaczone są panu poważniejsze zadania? Może to dziś pana szczęśliwy dzień! Przyszedł pan pod właściwy adres i jeżeli chwyci pan tę niezwykłą sposobność, otworzą się przed panem drzwi, które dotąd były zamknięte. Niech pan działa, panie Fingal. Nadszedł czas. I któż będzie pana sprawdzał? Proszę wziąć pióro i wypełnić formularz, jak się panu spodoba. Trochę zuchwałości, odwagi! Wszystko zostało przygotowane, jest pan na drodze do

WIELKICH PIENIĘDZY!

Sekretarz nie zauważył niczego szczególnego w fakcie, że Fingal podchodzi do jego biurka po raz drugi i nie mrugnął nawet, gdy komputer stwierdził, iż nadaje się on na kurs przyspieszony.

Z początku nie było łatwo. Naprawdę nie miał szczególnych zdolności do elektroniki, ale zdolności to przecież nic pewnego. Jego matryca osobowości zmieniała się teraz szybciej, niż kiedykolwiek. Nawet niewielki wysiłek we właściwym momencie mógł w nim dokonać kolosalnych zmian na lepsze. Powtarzał sobie stale, że to, czym jest, tkwi teraz w małym sześcianie podłączonym do komputera, i że jeżeli tylko zachowa ostrożność, będzie mógł wywrzeć na to wpływ.

„Nie tak znowu gruntowny" – napisała mu Joachim w długim, bardzo pouczającym liście, który dostał w tym samym tygodniu. Tą drogą można było bowiem doprowadzić do dezintegracji matrycy osobowości, do katatonii, co w tym wypadku z trudem dałoby się odróżnić od śmierci.

Zakopał się w książkach i rozmyślał o śmierci coraz częściej. Znajdował się w dziwnym położeniu. Istota znana jako Fingal i tak nie umrze, bez względu na zakończenie przygody. Po pierwsze jego ciało zostało skierowane na zamianę płci i raczej nic mu teraz nie zagrażało – ktokolwiek sprawuje nad nim pieczę, czyni to równie starannie i troskliwie, jak lekarze w pokoju sypialnym. Gdyby Joachim nie zdołała utrzymać go w zdrowiu psychicznym i przytomności w swoim banku pamięci, obudzi się i po prostu nic nie będzie pamiętał od chwili, gdy zasnął na stole.

Gdyby jednak przez jakiś nieprawdopodobny zbieg okoliczności jego ciało jednak umarło, to w bankowym sejfie miał przecież swój ubezpieczony model sprzed trzech lat. Przebudziłby się zatem w nowiuteńkim ciele wyhodowanym z młodego ziarna, nieświadom niczego, co spotkało go przez ostatnie trzy lata, i zanim go doprowadzą do stanu wiedzy dnia dzisiejszego, wysłucha po prostu długiej, fantastycznej opowieści.

Wszystko to jednak nie było zbyt przekonujące. Człowiek przywiązuje się do chwili obecnej, istnieje w wiecznym „teraz". Przyszłość przepływa przez niego i staje się przeszłością, ale liczy się tylko „teraz". Tamten Fingal, sprzed trzech lat, to nie ten sam Fingal, który dziś siedzi w banku pamięci. Cały ten numer z nieśmiertelnością dzięki rejestracji pamięci nie był wart funta kłaków. Trójwymiarowy przekrój, który teraz jest Fingalem musi nadal działać tak, jakby od tego zależało jego życie, albowiem w chwili śmierci i tak zazna wszystkich związanych z nią cierpień. Dla umierającego to niewielka pociecha, że będzie żył dalej, o kilka lat młodszy i głupszy. Gdyby Fingal przegrał, umarłby naprawdę – choć, jeżeli doliczyć zarejestrowany model pamięci, istnieje teraz w trzech osobach: jako ten żyjący „teraz", jako tamten zagubiony gdzieś na Lunie i wreszcie jako owa potencjalna istota, spoczywająca w sejfie. W istocie wszyscy oni są jednak najwyżej blisko ze sobą spokrewnieni.

Wprawdzie wszyscy zdawali sobie z tego sprawę, ale alternatywa była o tyle gorsza, że nikt nie grymasił. Każdy próbował unikać podobnych myśli, zazwyczaj z powodzeniem. Robił sobie rejestrację jak najczęściej, kiedy tylko mógł sobie na to pozwolić, z westchnieniem ulgi układał się na stole rejestracyjnym, wiedząc, że oto jeszcze jeden fragment jego życia zostanie dlań ocalony. Obawiał się jedynie przebudzenia, strach bowiem zdejmował go na myśl, że ktoś mu wówczas powie, iż jest dwadzieścia lat później, bo niedługo po rejestracji umarł i musi teraz wszystko zaczynać od nowa. A przez dwadzieścia lat może zajść mnóstwo wydarzeń. W naszym nowym, świeżo wyhodowanym ciele będziemy może zmuszeni pogodzić się z dzieckiem, któregośmy nigdy nie widzieli, z nowym małżonkiem, czy z wstrząsającą wiadomością, że naszą pracę przejęła maszyna.

Fingal brał zatem ostrzeżenie Joachim poważnie. Śmierć to jednak śmierć, i choć mógł ją oszukiwać, to wiedział, że ona i tak zawsze śmieje się ostatnia. Zamiast zabierać ci od razu całe życie, żąda teraz procentu – ale jakimś cudem wydziera ci właśnie ten najważniejszy kawałek.

Zapisał się na kilka wykładów. Wybierał przede wszystkim te, których można było wysłuchiwać przez telefon, żeby nie ruszać się z pokoju. Nie zawsze było to jednak możliwe. Jedzenie i inne rzeczy również zamawiał przez telefon, a rachunki płacił wpatrując się w nie uporczywie i żądając, by przestały istnieć. Wszystko to mogło być wściekle interesujące albo morderczo nudne. Był to w końcu świat ze snu, a któż nie ma ochoty schronić się w krainie fantazji? Fingal oddalał od siebie jednak tę myśl, gdy tylko go nachodziła. Z tego snu wolał się wydostać.

Przede wszystkim brakowało mu towarzystwa. Niecierpliwie oczekiwał tygodniowych listów Apolonii (pozwalała już teraz mówić sobie po imieniu), pożerał każde słowo z płomienną namiętnością. Plik listów rósł w oczach. W chwilach samotności wybierał sobie jeden na chybił trafił i czytał od nowa.

Za jej radą regularnie wychodził z mieszkania i błądził tu i tam, gdzie wiódł go przypadek. Miewał wówczas zupełnie zwariowane przygody. Dosłownie. To Apolonia ciskała w niego bodźcami zewnętrznymi, które układały mu się w co chciały, od „Przeminęło z wiatrem" do „Buntu na Bounty", z oryginalną obsadą. Szedł na przykład zwykłym pasażem dla pieszych i otwierał jakieś drzwi na chybił trafił. Mógł tam znaleźć skarby króla Salomona albo sułtański harem. Znosił to wszystko ze stoicyzmem. Z seksu nie miał zresztą najmniejszej przyjemności, wiedział, że to zabawa z samym sobą, i to likwidowało całe podniecenie.

Jedyną frajdę miał z nauki. Czytał wszystko co mógł o komputerach i wkrótce był najlepszy w klasie. A ucząc się, zaczął się coraz częściej zastanawiać, jak zastosować tę wiedzę do własnej sytuacji.

Zaczął dostrzegać wokół siebie rzeczy, których przedtem nie widział. Schematy. Zza jego złudzeń zaczęła przezierać rzeczywistość. Od czasu do czasu spoglądał wokół siebie i dostrzegał jakby cień rzeczywistego świata, przepływ elektronów i drżące przewody. Najpierw się przeraził. Zapytał o to Apolonię w czasie jednej ze swoich sennych podróży, tym razem na Coney Island w połowie dwudziestego wieku. Miło tam było. Leżał na piasku i rozmawiał z falami. Nad jego głową latał samolot i wypisywał odpowiedzi na jego pytania. Fingal starannie ignorował brontozaurusa, buszującego przez cały czas po kolejce górskiej, na prawo od niego.

– Co to oznacza, o Bogini Tranzystorii, że zaczynam widzieć na ścianach swojego mieszkania obwody drukowane? Jestem przepracowany?

– To oznacza, że iluzja zaczyna się przecierać – wypisał samolot przez następne pół godziny. – Zaczynasz się przystosowywać do rzeczywistości, którą odrzucałeś. Mogą z tego być kłopoty, ale jesteśmy na tropie twojego ciała. Niedługo już będziemy je mieli i wydostaniemy cię stamtąd.

Tego było za wiele dla samolotu. Słońce zachodziło, brontozaurus zniknął, a w samolocie skończyła się benzyna. Spadł spiralą w ocean, a tłum zebrał się na brzegu, by obejrzeć akcję ratunkową. Fingal wstał i poszedł w stronę deptaka. Była tam wielka tablica ogłoszeniowa. Założył ręce za plecy i przeczytał:

„Przepraszam za opóźnienie. Jak już mówiłam, prawie kończymy. Jeszcze najwyżej miesiąc lub dwa. Jeden z naszych agentów twierdzi, że dotrze do właściwej przychodni mniej więcej za tydzień. Potem już będzie szybko. Na razie

John Herbert VARLEY urodził się w 1947 roku w Austin (Texas). Zadebiutował w 1974 roku opowiadaniami *Picnic on Nearside* (Magazine of Fantasy and Science Fiction nr 8/74) i *Scoreboard* (Vertex nr 8/74). Bardzo szybko zyskał sobie rozgłos i uznanie wśród czytelników. W 1976 roku uzyskał nominację do nagrody JOHNA W. CAMPBELLA przyznawanej przez światowy kongres SF najlepszemu autorowi młodego pokolenia i zyskał w głosowaniu drugie miejsce po Tomie Reamy zdobywcy Nebula Award 1975 w dziedzinie opowiadań.

W roku 1977 John Varley opublikował swą pierwszą powieść: *The Ophiuchi hotline*. W 1978 roku na łamach Magazine of Fantasy and Science Fiction ukazało się jego opowiadanie *The Persistence of vision*, które nagrodzone zostało w tym samym roku nagrodą NEBULI, zaś w rok później HUGO GERNSBACK AWARD umacniając pozycję autora w czołówce współczesnych amerykańskich twórców SF. W 1979 roku ukazała się druga powieść J. Varleya zatytułowana *Titan*, która stała się jednym z największych wydarzeń na amerykańskim rynku SF.

unikaj tych miejsc, gdzie ci wystają obwody. Nic z tego nie będzie dobrego, możesz mi wierzyć."
Fingal unikał przewodów jak mógł najdłużej. Ukończył wstępny kurs wiedzy komputerowej i zapisał się na oddział dla średnio zaawansowanych. Minęło sześć miesięcy.
Studia były coraz łatwiejsze. Jego szybkość czytania rosła w fenomenalnym tempie. Stwierdził, że dużo korzystniej wyobrażać sobie bibliotekę z książkami, a nie z taśmami. Wystarczyło, że wziął książkę z półki i szybko ją przejrzał, a od razu pamiętał wszystko, co w niej było. Wiedział już teraz dosyć, by uświadomić sobie, że posiadł umiejętność bezpośredniego kontaktu z informacjami zebranymi w komputerze, bez udziału zmysłów. Książki, które trzymał w rękach, były tylko zmysłowymi analogiami właściwych klawiszy, które należało nacisnąć. Apolonia trochę się tym denerwowała, ale pozwalała mu na to.
Wszędzie jednak widział druty. Gdziekolwiek się odwrócił, w siatce naczyń krwionośnych na twarzy jakiegoś człowieka, w talerzu frytek, które zamówił na obiad, w liniach papilarnych własnych dłoni, nawet w pozornym nieładzie pukli jasnych włosów spoczywających na poduszce obok jego głowy.
Druty były analogiami analogii. We współczesnym komputerze niewiele polega na drutach. To raczej obwody molekularne zatopione w sieci krystalicznej, albo odfotografowane na krzemie. Trudno je sobie wyobrazić, jego umysł przekształcał zatem owe skomplikowane obwody tak, by służąc temu samemu celowi mogły być odbierane bezpośrednio przez zmysły.
Pewnego dnia nie mógł się temu dłużej oprzeć. Był w łazience, w pewnym tradycyjnym miejscu zadumy nad imponderabiliami. Jego umysł błądził, pogrążony w spekulacjach na temat konieczności ruchów jelit, rozważając problem ewentualnej rezygnacji z wydalania bez szkody dla organizmu. Jego palec wodził bezmyślnie po liniach przewodów, jakie pojawiły się na kafelkach podłogi.
Nagle toaleta została zalana, ale nie wodą, lecz monetami. Dzwonki zadzwoniły wesoło. Zerwał się na równe nogi i ze zdumieniem przyglądał się, jak łazienka wypełnia mu się bilonem.
Nagle zauważył drobną zmianę w dźwięku dzwonków. Przestał to być radosny dźwięk automatu do gry i przemienił się w ponure walenie dzwonu żałobnego. Pospiesznie rozejrzał się w poszukiwaniu jakiegoś objawienia. Dobrze wiedział, że Apolonia będzie wściekła.
I była. Jej ręka pojawiła się nagle i zaczęła pisać na ścianie. Tym razem pismo było krwawe, krew spływała złowieszczo ze słów:
– Cóż ty wyrabiasz?! – pisała, sunąc po ścianie. – Powiedziałam, żebyś zostawił druty w spokoju! Wiesz, co zrobiłeś? Zdaje się, że wymazałeś całą buchalterię „Kenii"! Miesiące to potrwa, zanim to zrekonstruują!
– No i co z tego! – wybuchnął. – Akurat dużo dla mnie ostatnio zrobili! Przecież to niebywałe, rok minął, a jeszcze nie znaleźli mojego ciała!
Ręka zacisnęła się w pięść. Potem chwyciła go za gardło i ścisnęła tak, aż mu oczy wylazły na wierzch. Potem powoli popuściła. Kiedy odzyskał zmysły, odsunął się od niej na bezpieczną odległość.
Ręka zadrżała nerwowo, palce zabębniły po podłodze. Znów ruszyła do ściany.
– Przepraszam – napisała. – Chyba już jestem zmęczona. Poczekaj.
Czekał, bardziej wstrząśnięty niż kiedykolwiek od początku tej odysei. Wystarczy odrobina bólu – pomyślał – żeby zdać sobie sprawę z tego, co naprawdę może nas spotkać.
Ściana z krwawym napisem rozmyła się nagle i ukazała mu niebiańską panoramę. Nad jego głową sunęły chmury, a złociste, słoneczne promienie otaczały je świetlistą aureolą. Usłyszał dźwięk organów o piszczałkach wielkości sekwoi.
Miał ochotę bić brawo. Była w tym oczywiście kupa przesady, ale rzecz robiła wrażenie. W samym środku wirujących, białych mgieł, pojawił się anioł. Miał skrzydła i otaczało go świetliste halo, brakowało tylko tradycyjnej, białej sukni. Zresztą była to anielica, i to naga, a włosy falowały wokół niej tak, jakby płynęła pod wodą.
Poszybowała w jego stronę, ślizgając się po skłębionych chmurach i wręczyła mu dwie kamienne tablice. Oderwał oczy od zjawy i przeczytał:
„Nie będziesz się wpieprzał w to, czego nie rozumiesz!"
– Dobra, słowo honoru, że już nie będę – powiedział do anielicy. – Apolonio, czy to ty? – To znaczy – tak naprawdę?
– Czytaj przykazania, Fingal. Długo tak nie wytrzymam.
Znów spojrzał na tablice.
„Nie będziesz wtykał palca w zespoły hardware Towarzystwa „Kenia", albowiem nie będzie ubezpieczonym ten, kto lekce sobie waży jego własność.
Nie będziesz badał granic swego więzienia. Ufaj towarzystwu „Kenia" i czekaj wyzwolenia.
Nie będziesz programował.
Nie będziesz troszczył się o miejsce pobytu twego ciała, albowiem znalezionym zostało, pomoc w drodze, kawaleria przybyła na czas i wszystko gra.
Napotkasz wysokiego, przystojnego nieznajomego, co wywiedzie cię z domu niewoli.
Będziesz gotów na dalszy rozwój wypadków."
Podniósł wzrok i z radością stwierdził, że anioł wciąż jeszcze przed nim stoi.
– Słowo honoru, już nie będę. Ale gdzie jest moje ciało, dlaczego to trwa tak długo, czy możesz...?
– Wiedz Fingal, iż zjawisko, którego kształty przybrałam, wielkiego wymaga ode mnie wysiłku. Całe me jestestwo przenikają napięcia, których istoty nie zdolnam teraz wyjawić. Wstrzymaj twe rumaki, czekaj, a wkrótce rozświetli się twój mrok.
– Czekaj, nie odchodź – już zaczynała blednąć.
– Mus mnie woła...
– Ale... Apolonio, to urocze, oczywiście, tylko dlaczego pojawiasz mi się w taki zwariowany sposób? Po co ta cała pompa i etykieta? Czy listy nie wystarczają?
Rozejrzała się, popatrzyła na chmury, promienie słońca, tablice i na swoje ciało, zupełnie, jakby widziała je po raz pierwszy w życiu. Odrzuciła głowę do tyłu i zaśmiała się, jak cała orkiestra symfoniczna. Było to niemal zbyt piękne. Fingal ledwo to zniósł.
– Ja? – spytała, porzucając anielskie kształty. – Ja? To nie ja wybieram sposoby, Fingal! Powiedziałam, że to twoja głowa, ja tylko przez nią przechodzę. – Uniosła brwi: – A przede wszystkim, mój panie, nie miałam pojęcia, że żywi pan do mnie podobne uczucia! Sztubacka miłość? – I zniknęła, został tylko sam uśmiech.
Nawiedzał go potem całymi dniami. Czuł z tego powodu obrzydzenie do samego siebie. Nie mógł znieść tej trywialnej, po tylekroć nadużywanej metafory. Zdecydował, że jego umysł to jednak niezdarny analogista.
Wszystko to jednak do czegoś zmierzało. Uśmiech zmuszał go do tego, by zastanowił się nad swoimi uczuciami. Był zakochany, beznadziejnie, śmiesznie, jak nastolatek. Wyciągnął wszystkie jej stare listy i znów zaczął je czytać, szukając tych czarodziejskich słów, które mogły wywołać w nim taki efekt. Przecież to strasznie głupie. Przecież nigdy jej nie spotka, chyba że w wysoce metaforycznych okolicznościach. Ten jeden, jedyny raz, kiedy ją widział, znaczna większość tego, co widział, była produktem jego wyobraźni.
W listach nie znalazł żadnych poszlak. Były przeważnie równie bezosobowe jak podręcznik, choć siliły się wyraźnie na lekki ton konwersacyjny. Przyjacielskie – owszem, ale intymne, poetyczne, głębokie, osobiste? Skąd. Nijak nie udało mu się poskładać ich w cokolwiek zdolnego wywołać miłość, czy bodaj nawet smarkatą fascynację.
Rzucił się w naukę z nowym zapasem sił, oczekując dalszych komunikatów. Ale zeszły tygodnie, a on nie doczekał się ani słowa. Dzwonił na pocztę bez przerwy, dawał ogłoszenia w rubryce „Osobiste" każdego pisma, jakie przyszło mu do głowy, doszedł nawet do pisania różnych rzeczy na murach, wkładał kartki do butelek i spuszczał je z wodą, wynajmował tablice ogłoszeniowe, wykupił nawet czas w telewizji. Wydzierał się do pustych ścian swego mieszkania, zaczepiał nieznajomych, wystukiwał wiadomości Morse'em na rurach wodociągowych, puszczał pogłoski w podejrzanych knajpach, drukował ulotki i rozprowadzał je po całym systemie słonecznym. Popróbował każdego sposobu, jaki wpadł mu do głowy, a i tak nie zdołał się z nią skontaktować. Był sam.

Rozważył ewentualność śmierci. W jego obecnej sytuacji trudno byłoby pewnie udzielić na to stuprocentowo pewnej odpowiedzi. Porzucił tę myśl, jako niesprawdzalną. Granica była i tak niejasna, po co miał jeszcze wysilać się, żeby sprawdzić, po której stronie dychotomii życie / śmierć akurat się znajduje. Poza tym im wyraźniej postrzegał swoją egzystencję jako serię węzełków zrobionych na makromolekułach i podłączonych do systemu danych, tym bardziej go to przerażało. Przeżył tak długo dlatego tylko, że unikał podobnych myśli.
Koszmary ruszyły nań wreszcie pełną parą i zamieszkały u niego na stałe. Bardzo go zresztą rozczarowały i potwierdziły podejrzenie, że jego wyobraźnia była raczej dość ułomna. Były to dziecinne potwory, które przeraziłyby go może, gdyby dostrzegł je spowite mgłą nocnego majaczenia, ale w dziennym świetle wyglądały po prostu komicznie. Na przykład wielki, gadatliwy wąż, kiepsko wymyślony, jakby według niedokładnych dziecinnych wyobrażeń – zwykła fabryka zabawek zrobiłaby coś lepszego. Albo wilkołak – przerażające było w nim tylko to, że strasznie liniał i obłaził, więc brudził dywany. Była też kobieta, składająca się głównie z piersi i narządów płciowych. Fingal podejrzewał, że to jakaś pozostałość z dzieciństwa. Rzęził z zażenowania, ile razy na nią spojrzał. Jeżeli rzeczywiście był kiedyś aż tak infantylny, to najchętniej na zawsze pogrzebałby brudne ślady tej przeszłości.
Pędził ich wszystkich na korytarz, ale w nocy i tak właziłi z powrotem do pokoju, niczym ubodzy krewni. Gadali coś bez przerwy i wiecznie o nim. Do tego jeszcze wiedzieli różne takie rzeczy...! Zdaje się, że nie mieli o nim szczególnie pochlebnego zdania. Wąż wyraził się kilkakrotnie, że Fingal nigdy do niczego nie dojdzie, bo zbyt potulnie pogodził się z wynikami testów zdolnościowych, jakie zrobiono mu w dzieciństwie. Było to wprawdzie dotkliwe, ale na szczęście dalsze studia stanowiły skuteczne antidotum.
Wreszcie przyszedł list. Kiedy go jednak otworzył, aż się zachłnął. Sam nagłówek przepowiedział mu, że nie będzie zachwycony.
Drogi Panie Fingal!
Tym razem nie zamierzam przepraszać za długie milczenie. Zdaje się, że większość moich dotychczasowych wypowiedzi zaczynała się od przeprosin, ale tym razem chyba wolno mi było wreszcie odpocząć. Nie mogę być zawsze na zawołanie, w końcu mam swoje własne życie.
O ile wiem, od czasu naszego ostatniego spotkania zachowywał się pan przykładnie. Unikał pan ingerencji w wewnętrzne sprawy komputera, tak jak panu nakazałam. Nie byłam z panem całkowicie szczera, co niniejszym wyjaśniam.
Pana połączenie z komputerem jest i zawsze było dwustronne. Tutaj, od naszego końca, najbardziej baliśmy się zawsze, by nie zaczął pan wtrącać się do pracy komputera, co sprawiłoby wszystkim wielkie kłopoty. Albo – by pan nie oszalał i nie zaczął w dzikim amoku rujnować całego systemu danych. Zainstalowaliśmy pana w komputerze, gdyż tak nakazywał nam zwykły, ludzki odruch – w przeciwnym razie umarłby pan, co zresztą kosztowałoby pana zaledwie dwa dni wspomnień. Ale „Kenia" to przedsiębiorstwo sprzedaży pamięci, zatem ma się w tym

względzie za powiernika, a zaufanie klientów ma za rzecz świętą. Skoro to właśnie niedopatrzenie „Kenii" wywołało pana sytuację, zdecydowaliśmy, że musimy uczynić dla pana wszystko, co w naszej mocy.
Ryzykowaliśmy jednak bardzo wiele.
Raz, sześć miesięcy temu, zaplątał się pan w system kontroli pogody i wywołał burzę nad Kilimandżaro, której jeszcze nie udało się całkowicie opanować. Utraciliśmy wiele zwierząt.
Musiałam walczyć z dyrekcją, by zezwolono utrzymać pana w obwodzie, kilka razy pana program wisiał na włosku. Wie pan, co to oznacza.
No, to teraz jesteśmy jeden na jeden. Chciałam od początku to panu powiedzieć, ale moi przełożeni obawiali się, że z zemsty może pan zacząć rozrabiać, zatem ukryłam przed panem te fakty. Mógłby pan nadal narobić strasznych kłopotów, zanim uda się nam pana wyłączyć. Mówię to panu teraz, a za moimi plecami stoi dyrekcja i obgryza palce ze zdenerwowania. Błagam, niech pan siedzi spokojnie.
Teraz co innego.
Od razu się obawiałam, że może do tego dojść. Przez cały rok byłam pana jedynym kontaktem ze światem zewnętrznym. Byłam jedynym bliźnim w pana uniwersum. Musiałabym być osobą wyjątkowo zimną, nienawistną i odrażającą – a przecież tak nie jest – by w podobnych okolicznościach nie poczuł pan do mnie cieplejszych uczuć. Cierpi pan na gwałtowną frustrację zmysłów, a wszyscy wiedzą, że w tych warunkach człowiek robi się podatny na wpływy, wrażliwy i samotny. Skierował pan swoje uczucia w moją stronę, ponieważ w całym pana otoczeniu byłam jedynym celem wartym zachodu.
Dlatego właśnie starałam się uniknąć intymniejszych kontaktów z panem i utrzymać wszystko w ramach stosunków oficjalnych. Ale złamałam się w jednym z pana okresów rozpaczy. Wyczytał pan w moich listach różne rzeczy, których tam wcale nie było. Proszę nie zapominać, że nawet w tym, co napisane, widzi pan w końcu tylko to, co pan chce widzieć. Pana umysł, jak wewnętrzny cenzor, przepuszcza tylko to, na co pan ma ochotę, a nawet prawdopodobnie dodaje coś od siebie. Jestem na pana łasce i niełasce. Nie mam pojęcia, może właśnie wyczytał pan w tym liście płomienne wyznanie miłości. Zrobiłam, co mogłam, puściłam ten komunikat na wzmocnionym, pierwszym kanale, żeby dotarł do pana w stanie nie naruszonym. Przykro mi, że jest pan we mnie zakochany. Nie kocham pana, powtarzam, nie kocham. Zrozumie pan dlaczego, przynajmniej po części, kiedy się pan stamtąd wydostanie.
Z tego nigdy nic nie będzie, niech pan sobie da spokój.

Apolonia Joachim

Fingal dostał najlepszy dyplom w swojej klasie. Ukończył konieczne kursy drugiego stopnia przez ostatni, długi tydzień po liście Apolonii. Było to dla niego gorzkie zwycięstwo – ciężko mu było iść tam, na podwyższenie, żeby przyjąć ów dokument, ale trzymał się mocno. Ostatecznie wykorzystał przecież swoją sytuację, nie pozwolił, by koła maszyny przeżuwały go dalej, jak potulnego, anonimowego robotnika.
Wyciągnął rękę, by ująć dłoń Rektora szkoły i nagle zobaczył, że dłoń owa zmienia się w inną. Podniósł wzrok i ujrzał jak brodata twarz i postać w todze rozpływa się nagle i zamienia w wysoką kobietę w mundurze. Poczuł nagłą radość, bo wiedział przecież, kto przed nim stoi. Radość stanęła mu jednak kością w gardle; ledwo ją wypluł.
– Byłam pewna, że udławi się pan kiedyś jakąś przenośnią – powiedziała, śmiejąc się z pewnym wysiłkiem.
– To pani... – powiedział. Nie mógł w to uwierzyć. Gapił się na nią bezmyślnie, chwytając jej rękę i dyplom równie gwałtownie. Była wysoka, zgodnie z proroctwem i przystojna. Nad mądrą twarzą dostrzegł krótko obcięte włosy, a pod mundurem silnie umięśnione ciało. Mundur był rozpięty pod szyją i pognieciony. Miała podkrążone i nabiegłe krwią oczy. Chwiała się lekko na nogach.
– To ja, naprawdę. Jest pan gotów do powrotu? – Odwróciła się w stronę zebranych studentów. – Jak myślicie, wy tam? Zasłużył na powrót?
Tłum oszalał, pozdrawiając go i rzucając w górę uniwersyteckie czapki. Fingal odwrócił się w ich stronę oszołomiony, rozumiejąc coraz lepiej. Spojrzał na dyplom.
– Nie wiem – powiedział. – Nie wiem. Wrócić do pracy w dziale danych?
Poklepała go po ramieniu.
– Nie, to mogę panu obiecać.
– Ale jak to można zmienić? Ja już myślałem o tym kawałku papieru jako o czymś prawdziwym. Prawdziwym! Jak mogłem tak się oszukiwać? Dlaczego się na to zgodziłem?
– Bo cały czas panu pomagałam – odrzekła. – Ale nie wszystko było grą. Naprawdę nauczył się pan tego wszystkiego. To nie zniknie, kiedy pan wróci. To, co trzyma pan w ręku, jest wymyślone, oczywiście, ale jak pan myśli, kto drukuje prawdziwe? Jest pan zarejestrowany tam, gdzie się to naprawdę liczy, w komputerze, jako ktoś, kto ukończył wszystkie kursy. Kiedy pan wróci, dostanie pan prawdziwy dyplom.
Fingal zachwiał się. Przyszła mu do głowy bardzo pociągająca wizja. Był tu przez cały rok i nigdy tak naprawdę nie spenetrował rzeczywistej natury miejsca swego pobytu. Może ten numer z umieraniem w banku pamięci był kolejnym oszustwem, jeszcze jednym kłamstwem, zmierzającym do utrzymania go w niewoli? W takim razie zostanie tutaj i zaspokoi wreszcie swoje najbardziej szalone pragnienia, zostanie królem świata bez opozycji, będzie się tarzał w rozkoszach, jakich żaden imperator nawet nie mógł sobie wyobrazić. Mógł mieć tutaj wszystko, czego zapragnął, naprawdę wszystko.
Czuł, że rzeczywiście może to osiągnąć. Zauważył tutaj wiele różnych rzeczy, a jeszcze teraz, gdy posiadł wiedzę o komputerach! Mógł im uciec i nie dopuścić do tego, żeby go zmazali, przeżyć nawet wtedy, gdy odłączą jego sześcian, programując się w innych partiach komputera. Mógł to zrobić.
I nagle zrozumiał, że jego żądze nie są wcale dostatecznie szalone, by go tu zatrzymać, w tym mechanicznym łożysku. Pragnął tylko jednego. Tymczasem ona zaczęła się właśnie powoli rozmywać, ustępując miejsca staremu Rektorowi.
– Idziesz? – spytała.
– Tak. – Nic prostszego. Estrada, rektor, studenci, audytorium, wszystko rozwiało się. Znalazł się w pokoju komputerowym „Kenii". Tylko Apolonia została na swoim miejscu. Trzymał ją za rękę, póki wszystko się nie uspokoiło.
– Uff!... – powiedziała i sięgnęła ręką za głowę. Wyciągnęła drut ze swej wtyczki ciemieniowej i opadła na fotel. Ktoś wyjął drut z głowy Fingala. Nareszcie uwolnił się od komputera.
Apolonia sięgnęła po parującą filiżankę kawy, na stole było ich pełno, już pustych.
– Twardy z pana numer – powiedziała. – Przez chwilę myślałam, że już pan tam zostanie. Raz było i tak. Nie jest pan pierwszym, który miał taką przygodę, ale też najwyżej dwudziestym. To wciąż jeszcze dziewicze, nie zbadane tereny.
– Naprawdę? – zapytał. – Mówiła pani co innego.
– No tak – zaśmiała się. – Teraz już możemy sobie pozwolić na prawdę. To jednak jest niebezpieczne. Nikt nigdy nie przeżył dłużej niż trzy godziny w takim sześcianie podłączonym do komputera. Pan wytrzymał sześć. Naprawdę ma pan silne poczucie rzeczywistości.
Przyglądała mu się uważnie, oczekując reakcji na swoje słowa. Nie była zaskoczona faktem, że przyjął je do wiadomości spokojnie.
– Powinienem był się domyślić – odrzekł. – Powinienem był pomyśleć. Byłem tam tylko sześć godzin, a dla mnie był to cały rok. Komputery myślą szybciej. Dlaczego tego nie dostrzegłem?
– Bo panu w tym pomagałam – przyznała. – Na przykład kazałam panu nie zastanawiać się, dlaczego tak ostro szła panu nauka. Te dwa polecenia działały znacznie lepiej, niż wszystkie, które panu przekazałam.
Znowu ziewnęła i zdawało się, że trwa to bez końca.
– Sam pan rozumie, ciężko mi było kontaktować się z panem przez sześć godzin bez przerwy. Nikt tego dotąd nie robił, i jest to w końcu strasznie wyczerpujące. Możemy być dumni, oboje.
Uśmiechnęła się do niego, ale uśmiech zgasł, gdy on nie zareagował podobnie.
– Niech pan tak na mnie nie patrzy, Fingal... Jak pan ma na imię? Wiedziałam, ale postarałam się szybko o tym zapomnieć.
– Czy to ma jakiekolwiek znaczenie?
– Nie wiem. Widzi pan chyba teraz, dlaczego nie zakochałam się w panu, mimo że zapewne w pełni pan na to zasługuje. Nie miałam czasu! Te sześć godzin trwało bardzo długo, ale to było tylko sześć godzin! Co mogłam na to poradzić?
Fingal trawił powoli jej odpowiedź, a jego twarz przechodziła różne przędziwne zmiany. Ostatecznie rzeczy nie przedstawiały się zbyt ponuro.
– Może pójdziemy na kolację?
– Uprzedzam pana, że jestem już uczuciowo zaangażowana gdzie indziej.
– To nie przeszkodzi nam chyba pójść na kolację. Jeszcze pani nie zaznała mojej nowej determinacji. Dopiero teraz okażę się szczególnym przypadkiem.
Roześmiała się ciepło i wstała. Wzięła go za rękę.
– Wie pan, niewykluczone, że się panu uda. Tylko błagam, niech mi pan już nie przyprawia skrzydeł, dobra? Tak nigdy do niczego pan nie dojdzie.
– Obiecuję. Skończyłem z wizjami, na resztę życia.

Przełożył **Piotr Kamiński**

■

T. Zbigniew Dworak

FIKCJA PRAWIE NAUKOWA

Spośród wielu istotnych cech, odróżniających twórczość Stanisława Lema od popularnej literatury science fiction, wymienić należy szczególną dbałość autora w przedstawianiu realiów astronomiczno-kosmologicznych. Ma to znakomite znaczenie, zważywszy, że akcja większości utworów fantastyczno-naukowych toczy się „gdzieś w Kosmosie". Jest to albo wyprawa międzyplanetarna czy międzygwiezdna, albo pobyt na innej planecie, bądź też odkrywanie nowych, zaziemskich światów.

Istnieje kilka metod przedstawiania owych zaziemskich światów, których istnienie jest albo ponad wszelką wątpliwość stwierdzone, albo tylko domniemane czy wyimaginowane przez danego autora. To samo można powiedzieć o kreowaniu wypraw kosmicznych, co w pewnych utworach SF stanowi zasadniczy trzon akcji, natomiast osiągnięcie celu (planety, układu gwiezdnego, powrotu na Ziemię) jest niejako drugorzędne, mniej istotne.

Część autorów traktuje powyższe zagadnienia bardzo serio, za co należy im się uznanie. Tak skonstruowany utwór fantastyczno-naukowy stanowi zarazem swego rodzaju literaturę popularno-naukową. Prekursorem tej tendencji był, oczywiście, Jules Verne. Z polskich autorów należałoby wymienić Jerzego Żuławskiego („Na Srebrnym Globie", cz. I „Dziennik Podróży"), Krzysztofa Borunia i Andrzeja Trepkę (trylogia kosmiczna „Zagubiona przyszłość", „Proxima", „Kosmiczni bracia"), Stanisława Lema („Astronauci", „Obłok Magellana").

Drugie podejście, rozpowszechnione zwłaszcza w ostatnim ćwierćwieczu, kiedy wyprawy kosmiczne stały się rzeczywistością, to osadzenie akcji utworu w bliżej nie określonym rejonie Galaktyki czy Wszechświata (najczęściej niezbyt daleko od Słońca – kilkanaście do kilkudziesięciu lat świetlnych), przy czym „lokalne" realia astronomiczne zostają zachowane, tzn. wszystko zachodzi zgodnie z mechaniką Newtona albo teorią względności Einsteina. Do tej metody, jako jej wariant, można zaliczyć przedstawianie świata konkretnej gwiazdy (mającej nazwę bądź numer jednego z katalogów gwiazd) wraz ze wszystkimi wypływającymi z naszej wiedzy o danym obiekcie konsekwencjami. Element fantastyczny autor wprowadza kreując istnienie planet obiegających daną gwiazdę, podczas gdy nauce nic jeszcze na ich temat nie wiadomo. W tym miejscu można by wymienić wiele przykładów – przede wszystkim „Solaris" Lema, „Obitajemyj ostrow" czy „Trudno być Bogiem" braci Strugackich, „The Planet of Exile" Ursuli K. Le Guin, „Antyświat" Borunia, „Nastanie nocy" Isaaka Asimova.

Jeszcze inna metoda to alegoryczne ukazanie owych zaziemskich światów. Celuje w niej zwłaszcza Ray Bradbury („Kroniki marsjańskie"); metodę tę można odnaleźć również w „Zwycięzcy" J. Żuławskiego. Zupełnie oczywista jest metoda stosowana w grotesce fantastycznej, która w twórczości Stanisława Lema znalazła najdobitniejszy wyraz w „Dziennikach gwiazdowych Ijona Tichego". Żądanie przestrzegania realiów astronomiczno-kosmologicznych w grotesce SF byłoby nieporozumieniem, jeśli nie absurdem. Z tego więc względu utwory groteskowe nie będą tematem tych rozważań.

I wreszcie istnieje najbardziej, niestety, rozpowszechniona metoda zupełnego nieliczenia się z realiami fizycznego świata z powodu ignorancji autora (jawnej bądź maskowanej pseudowiedzą) w dziedzinie nauk ścisłych. Utwory, w których autor programowo zakłada nieliczenie się z faktami obserwacyjnymi i teoriami naukowymi (przy czym nie są to ani alegorie, ani groteski) nie powinny być w ogóle zaliczane do gatunku science fiction, lecz do adult fantasy (np. „Perelandra" C.S. Lewisa, czy „Więzień na Marsie" Gustave'a Le Rouga). Oprócz tego istnieje jednak cała klasa utworów, których autorzy albo tylko udają, iż wiedzą, o czym piszą, bądź w ogóle nie zastanawiają się, czy opisywany efekt, zjawisko, fenomen kosmiczny, fakt obserwacyjny jest możliwy. Nie chodzi tu, oczywiście, o pewne odautorskie hipotezy podległe zasadzie licentia poetica, lecz o realne zjawiska astronomiczne, w opisie których panuje kompletne pomieszanie pojęć.

W tym miejscu należy wreszcie podkreślić, że tej swobody i dowolności w traktowaniu realiów astronomiczno-kosmicznych darmo by szukać w twórczości Stanisława Lema. Już w pierwszych dwóch powieściach fantastyczno-naukowych – „Astronauci" i „Obłok Magellana" – dostrzega się dbałość autora o dochowanie wierności faktom, znanym nauce połowy XX wieku. Daje się to zauważyć zwłaszcza w „Obłoku Magellana" – bardziej niż we wcześniejszych „Astronautach", który to utwór był w gruncie rzeczy powieścią-ostrzeżeniem przed możliwością zniszczenia Ziemi w ogniu wojny atomowej. W „Przedmowie" do „Obłoku Magellana" autor składa podziękowanie profesorom: astronomowi Stefanowi Piotrowskiemu oraz fizykom – Janowi Weyssenhofowi i Bronisławowi Średniawie, dzięki którym mógł być pewien wiarygodności znanych wtedy faktów astronomicznych, fizycznych i kosmologicznych. Zamyka natomiast „Obłok Magellana" „Słowniczek Terminów Naukowych i Wyrazów Mniej Znanych". Nieczęsto można się spotkać z tak poważnym traktowaniem Czytelnika, jak to czyni Stanisław Lem.

Jednak wymienione cechy wczesnych powieści Lema (oscylujących jeszcze między utworami fantastyczno-naukowymi a popularnonaukowymi, co jest tak charakterystyczne dla początków gatunku SF) nie stanowią wyłącznie o oryginalności jego twórczości w dziedzinie dochowania wierności realiom astronomiczno-kosmologicznym. Ewolucję w kreowaniu wizji zaziemskich światów zapowiada następna powieść – „Eden". Autor nie określa, wokół jakiej gwiazdy krąży planeta, ani jak odległa jest ta gwiazda od Układu Słonecznego – można jedynie się domyślać, że nie jest to daleki świat i że nie był on celem wyprawy. Pobyt na planecie Eden to tylko epizod w podróży międzygwiezdnej sześciu astronautów, którzy nawet nie zamierzali lądować na Edenie, ale zostali do tego zmuszeni nieprzewidzianymi okolicznościami. W powieści zostały uwzględnione „lokalne" realia astronomiczne; jednocześnie autor uniknął konieczności precyzyjnego określenia położenia macierzystej gwiazdy planety Eden, a także ze wszech miar słusznego, lecz rażącego powierzchowną dydaktyką określania kompletu danych o planecie, jej słońcu itp. Tak obrana metoda będzie następnie konsekwentnie realizowana, w różnych wariantach, w kolejnych powieściach i opowiadaniach Lema.

Ujmując dokładniej zagadnienie, Stanisław Lem stosuje dwa warianty tej metody – pierwszy, polegający na niewymienianiu nazw obiektów kosmicznych, przy jednoczesnym przestrzeganiu „lokalnych" realiów astronomicznych; i drugi – polegający na ścisłym określaniu, tzn. w zgodzie z aktualną wiedzą astronomiczną, obiektów kosmicznych, w rejonie których rozgrywa się akcja utworu. Od czasu do czasu pojawia się trzeci wariant, będący niejako wypadkową dwóch poprzednich – tzn. kreując obcy, zaziemski (a właściwie pozasłoneczny, czyli pozaukładowy) świat – autor odwołuje się do doświadczeń i przeżyć astronautów podczas wypraw czy pobytu na planetach bądź w rejonie dobrze znanych gwiazd. Oczywiście w różnych utworach każdy z wymienionych wariantów jest różnie realizowany, niekiedy w sposób znacznie odbiegający od podanego schematu.

W powieści „Powrót z gwiazd" akcja toczy się niemal wyłącznie na Ziemi i jedynie we wspomnieniach pilot Hal Bregg opowiada o podróży do gwiazd: o Arkturze i o Fomalhaut. Co prawda, gwiazdy te znajdują się w różnych kierunkach względem Słońca, przy czym Arktur jest odległy o 36 lat świetlnych, zaś Fomalhaut o 23 lata świetlne – w powieści brak jednak ścisłego określenia trasy podróży, a podany czas (ziemski) podróży – 127 lat – jest zupełnie do przyjęcia. Można jedynie przypuszczać, że wyprawa najpierw odwiedziła układ Arktura, a potem Fomalhaut. Autor nie podaje też, dlaczego akurat taka trasa została wybrana, nie musi więc „rozliczać się" z argumentacji i ewentualne zastrzeżenia co do zgodności przedstawionych faktów z rzeczywistością obserwowaną w przypadku „Powrotu z gwiazd" są pozbawione większego sensu. Oczywiście, Kerenea i planetoida Thomasa – to wymysł autora, ale nadal podporządkowany zasadzie zachowania „lokalnych" realiów astronomicznych.

Kolejna powieść – „Solaris" – to niemal w czystej postaci realizacja wariantu wiarygodności „lokalnych" realiów astronomi-

Dr T. Zbigniew DWORAK, astronom i fizyk, pracuje w Instytucie Kształtowania i Ochrony Środowiska AGH w Krakowie (wcześniej w Obserwatorium Astronomicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego i w Zakładzie Meteorologii Kosmicznej IMGW). Jest autorem książek: „Jana Ciągwy władza nad materią" (współautor R. Danak), „Świat planet" (współautor K. Rudnicki) i „Astrologia, Astronomia, Astrofizyka".

czno-kosmologicznych i jedynie na pierwszych stronicach książki bohater (Kris Kelvin) wspomina o alfie Wodnika, ku której podąża dalej Prometeusz, po wysłaniu zasobnika na planetę Solaris. O samej planecie autor powiada tylko tyle, iż krąży ona wokół dwóch gwiazd w taki to a taki sposób, nie podając ani nazwy owej gwiazdy podwójnej, ani jej odległości od Słońca – i wszystkie charakterystyki fizyczne planety Solaris (abstrahując od pomysłu o rozumnym oceanie) nie są sprzeczne z naszą wiedzą o planetach. Nawet w opisie nigdzie jeszcze nie obserwowanych we Wszechświecie efektów, autor nie mnoży bytów ponad konieczność, konsekwentnie wyprowadzając własności tego osobliwego świata ze znanych praw przyrody.

Nieco niefortunnie natomiast rozpoczyna Lem powieść „Niezwyciężony". Pierwsze jej zdanie – „Niezwyciężony, krążownik drugiej klasy, największa jednostka, jaką dysponowała baza w konstelacji Liry, szedł fotonowym ciągiem przez skrajny kwadrant gwiazdozbioru" – nie znaczy nic w sensie astronomiczno-astronautycznym. Otóż można się udawać w kierunku gwiazdozbioru, lecz nie można się udawać do gwiazdozbioru; można być na tle konstelacji, lecz nie w konstelacji, bowiem gwiazdozbiór z reguły nie jest fizycznie związanym układem gwiazd, ale rzutem różnie odległych od Słońca gwiazd na sferę niebieską (również w rzeczywistości nie istniejącą). Po tym początkowym potknięciu dalsze przedstawianie realiów astronomicznych, odnoszących się do planety Regis III, nie nasuwa specjalnych zastrzeżeń.

Autor omawia także układ dzeta Lyrae, gwiazdy potrójnej, której jeden ze składników miał być (w odległej przeszłości) Nową. Wprawdzie brak na to danych obserwacyjnych, ale ogólnie możliwość taka nie jest wykluczona. Układ dzeta Lyrae znajduje się w odległości około 130 lat świetlnych od Słońca, zaś w odległości szesnastu lat świetlnych od dzety ma się znajdować gwiazda, wokół której krąży Regis III. Autor nie podaje, co to jest za gwiazda. Nie jest to zresztą konieczne, ponieważ zbytnia ścisłość mogłaby w tym przypadku prowadzić do... sprzeczności z rzeczywistością obserwowaną, czego Lem stara się unikać. Książka ta stanowi przykład realizacji omówionego wcześniej trzeciego wariantu kreowania zaziemskich światów, podczas gdy „Solaris" stanowi przykład realizacji wariantu pierwszego, a „Powrót z gwiazd" – przykład realizacji wariantu drugiego.

Najbardziej klasycznym przykładem realizacji wariantu drugiego (kreowania wizji zaziemskich światów) są opowiadania o pilocie Pirxie. Ich akcja rozgrywa się niemal wyłącznie w naszym Układzie Słonecznym – w przestrzeni międzyplanetarnej, na Księżycu, na Marsie, w rejonie pierścieni Saturna. W tych właśnie opowiadaniach Lem daje znakomity przykład dbałości o zachowanie realiów astronomicznych, w niczym nie umniejszając literackości tekstów, czyli przekazuje wiadomości o warunkach istniejących poza Ziemią bez zbędnej dydaktyki i mentorstwa. W jednym z najdoskonalszych opowiadań o pilocie Pirxie, zatytułowanym „Ananke", Lem kreśli niezwykle realistyczny obraz Marsa, najdokładniejszy, jaki można było sobie wyobrazić do czasu lądowania na Czerwonej Planecie zasobników serii „Viking". Podobnie dokładny jest, przedstawiony w opowiadaniu „Rozprawa", obraz pierścieni Saturna, łącznie z opisem panujących w ich rejonie warunków fizycznych i nawigacyjnych. Oba te teksty („Ananke" i „Rozprawa") pod względem wiarygodności i rzeczowości opisów zaziemskich światów ustępują jedynie raportom z załogowych i bezzałogowych lotów międzyplanetarnych, w które obfitowało minione dziesięciolecie – i niewielu jest twórców gatunku SF mogących się poszczycić taką wiernością w opisywaniu innych światów. W opowiadaniu „Wypadek" pilot Pirx przebywa poza Układem Słonecznym – na planecie Jota łamane przez 116, łamane przez 47 gwiazdy Proxima Widnika. I w tym przypadku autor pozostaje w zgodzie z zasadą zachowania „lokalnych" realiów astronomicznych. Jest to właściwie przykład realizacji wariantu trzeciego, co wyróżnia to opowiadanie spośród wszystkich pozostałych opowieści o pilocie Pirxie, w których skrupulatnie realizowany jest wariant drugi w formie najtrudniejszej, bowiem dość dużo już wiemy o naszym układzie planetarnym i w związku z tym nie można stawiać zbyt dowolnych hipotez (co jest dopuszczalne w przypadku przedstawiania słabo lub zupełnie nieznanych światów).

Opowiadania o pilocie Pirxie stanowią największe osiągnięcie Stanisława Lema w przedstawianiu zaziemskich światów. Nie chodzi tu zresztą tylko o zgodność z rzeczywistym obrazem zaziemskich światów – można bowiem nadal sobie wyobrażać, że na Marsie przebywają istoty rozumne, czyli podążać śladem Bradbury'ego zachowując zarazem realia stricte astronomiczne. Te dwa porządki nie muszą być wcale z sobą sprzeczne w literaturze SF, z czego również wielu autorów nie zdaje sobie sprawy. Kreowanie istot rozumnych na Marsie jest fantazją, ale np. stwierdzenie, iż po nowiu sierp księżyca zwraca się rogami ku słońcu, czy też nieodróżnianie gwiazdozbioru od galaktyki – to po prostu bzdury biorące się z niewiedzy piszącego. Czy powieści Conrada byłyby tak cenione, gdyby autor nie zważał na realia marynistyczne? Na pewno nie – więc sądzę, że ta sama zasada wierności faktom powinna obowiązywać autorów przedstawiających żeglarzy kosmosu. Wypada wreszcie omówić te utwory Lema, w których napotykamy nie tylko realia astronomiczne, lecz także kosmologiczno-kosmogoniczne. Jest to oczywiście i przede wszystkim „Głos Pana", stanowiący literacką wykładnię teorii i modeli kosmologicznych wzbogaconych wyobraźnią autora (rejestracja neutrinowej emisji-kodu). Wyjściowe teorie, w oparciu o które Lem buduje własne hipotezy na temat pochodzenia i ewolucji Wszechświata, były kilkanaście lat temu szeroko dyskutowane w naukowym świecie przez astrofizyków, kosmologów, fizyków, filozofów. Przekazując te poglądy w literackiej formie autor dochował wierności generalnej idei leżącej u podstaw konstruowania modeli kosmologicznych. Niestety, Stanisław Lem jest tu chyba wyjątkiem, ponieważ ogromna większość autorów nie rozumie postulowanego przez uczonych ciągu zdarzeń, jakie mogły zajść w pobliżu osobliwości początkowej – w takich utworach przeczytać możemy same wierutne bzdury.

W „Głosie Pana" Lem opowiada się za hipotezą pulsującego Wszechświata, która to hipoteza zyskała później mocny argument w uogólnionej teorii grawitacji Einsteina-Cartana.

„Głos Pana" to nowy etap w twórczości Stanisława Lema – także w sensie dbałości o realia astronomiczno-kosmologiczno-kosmogoniczne i jest to nowa jakość dbałości o świat rzeczywisty, przedstawiany na łamach utworów fantastyczno-naukowych. Nie wystarcza poprawne podanie pewnych faktów z astronomii czy astrofizyki – Lem stara się przedstawić całą głębię problemów związanych z kłopotem z początkiem świata i... z problematyką CETI jednocześnie.

Oba wymienione problemy znajdują swój wyraz również w utworze „Nowa Kosmogonia", w której autor kreśli hipotezę Kosmosu-Gry. Dane wyjściowe, zaczerpnięte z astrofizyki i kosmologii, są poprawne, natomiast sama hipoteza Komosu-Gry jest niefalsyfikowalna, ponieważ zakłada nierozróżnialność zjawisk naturalnych od sztucznych. Autor wypowiada więc swą hipotezę ustami fikcyjnego Laureata Nagrody Nobla, a chcąc podkreślić jej umowność, zamieszcza tę orację w zbiorze „Doskonała próżnia", co niedwuznacznie wskazuje na dystans autora do własnej hipotezy.

Jeszcze dalej idzie Lem w zbiorze „Wielkość urojona", gdzie we „Wstępie" do fikcyjnej „Historii literatury bitycznej" przedstawia hipotezę Poliversum, podług której Wszechświat rozpada się na dwie rozłączne części: bradyversum, czyli nasz Kosmos, i tachyversum, znajdujące się poza stożkiem zerowym (nazywanym też stożkiem świetlnym). Okazało się później, że fizycy również wysunęli zbliżoną hipotezę i finezyjny żart Lema uzyskał swego rodzaju nobilitację.

Warto raz jeszcze nakreślić ewolucję przedstawiania realiów astronomiczno-kosmologicznych w twórczości Stanisława Lema: od wypowiedzi zbliżonych swych charakterem do tekstów popularnonaukowych (wplecionych w treść utworu fantastyczno-naukowego), poprzez ogólne, lecz dostatecznie dokładne ukazywanie astronomiczno-fizycznego tła akcji dziejących się „daleko od Słońca" (lub prezentowanie z conradowską niemal precyzją warunków w Układzie Słonecznym, w którym działają żeglarze Kosmosu), do podjęcia głębokich problemów współczesnej kosmologii oraz kwestii CETI. Lem uznał te problemy za tak poważne, że nie ośmielił się ich wpleść w normalny utwór SF, a nie czując się kompetentnym nie mógł ich przedstawić w postaci oryginalnej hipotezy naukowej. Obrał więc inną drogę – żartu filozoficznego – stworzył teksty, które nie są ani czystą fantastyką naukową, ani groteską fantastyczną, ani powiastką filozoficzną, chociaż te trzy elementy patronowały dziełu powstania wspomnianych tekstów.

Wydaje się, że w prezentowaniu realiów astronomiczno-kosmologicznych S. Lem osiągnął pewien kres (zbliżył się asymptotycznie do traktatu naukowego), lecz nigdy nie wiadomo, czym nas jeszcze autor zadziwi – na pewno jednak nie beztroskim podejściem do rzeczywistości. ■

PERSPEKTYWY

– *Doktorze Asimov, moje pierwsze pytanie jest natury praktycznej. Dlaczego musimy wydawać rocznie miliardy dolarów na dotarcie do Marsa? Widziałam kosztorysy, wynikało z nich, że lądowanie na Księżycu, w ciągu 9 lat, kosztowało 25 mld dol. Dlaczego to robimy?*

– Z kilku powodów. Przede wszystkim dlatego, że jesteśmy ciekawi. Po drugie, zdobywamy wiedzę. Jeśli sięgniemy do doświadczeń płynących z historii ludzkości, to możemy być absolutnie pewni co do prawdziwości wniosku, że tylko dzięki pogłębieniu wiedzy będziemy w stanie nakarmić i odziać gatunek ludzki. W przeszłości wraz ze wzrostem wiedzy rosła także zdolność człowieka do kontrolowania środowiska, w którym żyje, do zapewnienia sobie bezpieczeństwa. I tak: gdybyśmy na przykład odkryli życie na Marsie, moglibyśmy bardzo wiele powiedzieć o życiu w ogóle – byłby to bowiem pierwszy przykład życia, jakie pojawiło się poza Ziemią. A jeżeli o życiu w ogóle dowiemy się więcej, możemy także dowiedzieć się czegoś więcej o naszej formie życia. Pokonanie ogromnej odległości dzielącej nas od Marsa po to, aby ewentualnie odkryć w jego glebie bakterie, ma więc sens. Może dać w rezultacie wiedzę, która pomoże nam w zrozumieniu np. mechanizmu powstawania raka u człowieka.

– *A jeżeli nie odkryjemy tam jakichkolwiek śladów życia?*

– Jeśli nawet nie znajdziemy w glebie Marsa żadnego materiału organicznego, to i tak znaczenie będzie miał fakt, że badamy planetę obracającą sie wokół swojej osi z niemal taką samą prędkością jak Ziemia. Tyle, że planetę pozbawioną oceanów. Tu, na Ziemi, bardzo złożonym problemem są turbulencje atmosferyczne. Robimy wszystko, co w naszej mocy, by to zjawisko zrozumieć. Może nam w tym pomóc przebadanie prostszych, marsjańskich ruchów atmosfery. Być może, właśnie dzięki zbadaniu Marsa – planety z nami sąsiadującej – będziemy w stanie dokładnie przewidywać, a nawet konrolować pogodę na Ziemi. Jeśli zbadamy geologię Marsa, być może dowiemy się rzeczy nie znanych na Ziemi. Mars jest chłodniejszy od naszej planety. Ma o wiele cieńszą warstwę atmosfery. Nie ma na nim aktywnego życia ani płynnej wody. Zachodzą tam zatem mniejsze zmiany niż na Ziemi. Być może będziemy z tego mogli wywnioskować, jakie fazy przechodziły planety, a to z kolei wzbogaci naszą wiedzę o Ziemi i być może znajdzie zastosowanie w przepowiadaniu i kontrolowaniu trzęsień Ziemi. Istotą badań prowadzonych przez człowieka jest to, że trudno jest przewidzieć kierunki zastosowań nowej wiedzy.

– *Jednak ludzie często poddają w wątpliwość zyski płynące z badania kosmosu. Nie można ich oczywiście zmierzyć w dolarach, ale z ocen szacunkowych wynika, że każdy dolar wyłożony na badanie przestrzeni kosmicznej zwróci się sześciokrotnie. Może to się wyrazić w prawdziwym dobrobycie tu, na Ziemi. Czy to możliwe?*

– Tak, możliwe. Trzeba pamiętać o dwóch sprawach. Po pierwsze, pieniądze wydane na badania kosmosu nie są wywożone w kosmos. Inaczej mówiąc, jeżeli wydaliśmy miliard dolarów na wysłanie Vikinga na Marsa, to Viking nie zabrał ze sobą tej sumy i nie zakopał jej na Marsie. Wszystkie te pieniądze przypadły ludziom, tu, na Ziemi – pochłonęły je przygotowania do lotu. Dzięki nim stworzono nowe miejsca pracy i zaktywizowano naszą gospodarkę. Po drugie, musimy także pamiętać, że program kosmiczny to coś o wiele więcej niż podniecające wydarzenia misji księżycowych czy lotów w kierunku Marsa. To także instalowanie na orbicie satelitów nawigacyjnych, meteorologicznych, telekomunikacyjnych itp. Są to narzędzia o bezpośrednim i wielkim znaczeniu dla Ziemi. Istnieją już satelity badające zasoby Ziemi, dostarczające informacji, których w żaden inny sposób nie moglibyśmy uzyskać. Potrafią one wykrywać choroby roślin, lokalizować pokłady minerałów, ujawniać nowe fakty dotyczące ruchów w atmosferze i nowe fakty związane z pogodą. Oferują metody ustalania, dokładniej niż kiedykolwiek dotąd, pozycji geograficznej na powierzchni Ziemi. Wszystkie wymienione efekty ich pracy, a także wiele innych, mają dla nas bezpośrednie znaczenie praktyczne. Nie wiem, na ile można to oszacować, ale jestem pewny, że wyniki tych badań mają, albo będą miały większą wartość niż poniesione wydatki.

Isaac ASIMOV urodził się 2 stycznia 1920 roku w Pietrowiczach, obecnie ZSRR. Miał trzy lata gdy wraz z rodziną wyemigrował do USA. Mając szesnaście lat ukończył szkołę średnią i rozpoczął studia na wydziale chemii Columbia University, jednocześnie próbując sił w pisaniu pierwszych własnych utworów SF. Sukces odniósł już w 1939 roku, gdy jego opowiadanie Marooned off Vesta zostało wydrukowane w „Amazing". Utworem, który zwrócił na niego baczniejszą uwagę była nowela Nightfall (polski przekład „Nadejście nocy") opublikowana w 1940 roku na łamach „Astounding SF", do dziś uważana przez wielu za jedno z największych osiągnięć nowelistyki współczesnej SF. W czasie drugiej wojny światowej Asimov przerwał studia i podjął pracę w ośrodku badawczym lotnictwa Marynarki Wojennej w Filadelfii. Po odbyciu służby wojskowej powrócił na studia. W 1949 roku obronił pracę doktorską z chemii i rozpoczął studia podyplomowe na wydziale medycyny uniwersytetu w Bostonie, kończąc je z tytułem doktora biochemii. I aczkolwiek przez wiele lat był jeszcze pracownikiem tego uniwersytetu już od początku lat pięćdziesiątych utrzymuje się głównie z pisania. Napisał i wydał w formie książkowej ponad 180 tytułów. Na tę niewiarygodną liczbę składają się zarówno utwory fantastyczno-naukowe, jak i powieści kryminalne, podręczniki akademickie, książki popularnonaukowe, a nawet zbiory dowcipów i poradnik metod ich opowiadania. W dziedzinie SF uważany jest za jednego z trzech najwybitniejszych twórców na świecie. Jest trzykrotnym laureatem nagrody HUGO (1963 – za wybitne zasługi dla gatunku, 1966 – za najlepszą serię epicką wszechczasów – trylogię „Foundation" i 1973 – za powieść The gods themselves) i jednokrotnym laureatem nagrody Nebula Award (1972 – za powieść The gods themselves).

– *Czy nie sądzi pan, że Księżyc daje większą okazję do odkryć, że stanowi cel bardziej praktyczny od Marsa?*

– I tak, i nie. To zależy z jakiej strony na to spojrzymy. Księżyc jest celem bardziej praktycznym, bo jest bliżej. Oddalony jest stale od Ziemi o 400 tys. km, podczas gdy Mars przy największym zbliżeniu znajduje się od niej w odległości 50 mln km, a największa odległość wynosi około 240 mln km. Do Księżyca możemy zatem dotrzeć wkładając w to stosunkowo mało wysiłku, pieniędzy i czasu. Mars, w dającej się przewidzieć przyszłości, będzie sąsiadem Ziemi leżącym na granicy naszych możliwości. Na Księżycu możemy stworzyć bazy służące do dalszych badań Kosmosu. Możemy Księżyc wykorzystać jako źródło surowców do budowy osiedli kosmicznych itd. Mars jednak może być dla nas lepszym celem w tym sensie, że jest o wiele bardziej od Księżyca podobny do Ziemi pod względem budowy. Księżyc to mały, pozbawiony atmosfery świat, martwy nie tylko pod względem biologicznym, ale w zasadzie i geologicznym. Mars natomiast ma wystarczającą atmosferę dla powstania czap lodowych na biegunach, które – jak już wiemy – składają się głównie z wody. Wydaje się, że jego skorupa jest żywa geologicznie, że są w niej kaniony i wulkany. Można zaryzykować twierdzenie, że badając Marsa odkryjemy minerały, które będą przydatne w rekonstruowaniu przeszłości geologicznej Ziemi. W tym sensie badanie Marsa jest lepszym celem.

– *Zdumiewającym aspektem lądowania na Marsie dwóch bezzałogowych próbników kosmicznych w roku jubileuszowym 200-lecia Stanów Zjednoczonych był fakt, że – jak się wydaje – niewielu ludzi ekscytowało się tym wydarzeniem. Pomimo tego, że obydwa statki przekazały na Ziemię olbrzymią ilość informacji. Wydaje się więc, że ludzie są już tym wszystkim znudzeni. Jak zareagowała na to społeczność naukowców i jaka była pańska reakcja?*

– Fakt, że po przesłanych przez Vikingi odkryciach w gazetach nie pojawiły się tytuły wywołujące popłoch – to kara za sukces. Niemal każdy element programu kosmicznego realizowany był tak pomyślnie, że ludzie przywykli już – spodziewali się sukcesu, a więc margines niepewności był minimalny. Naukowcy byli natomiast bardziej podekscytowani. Chodziło przecież o Marsa, jedyną planetę ze wszystkich ciał niebieskich, która obrosła legendą i którą najwcześniej zainteresowali się naukowcy. To właśnie Mars jest najbliższą nam planetą. To na Marsie dostrzegaliśmy kanały. Tam miała istnieć rozwinięta cywilizacja techniczna. Dla człowieka takiego jak ja, dla każdego, kto pisze opowiadania fantastyczno-naukowe, jest to na tyle podniecające, że trudno nam jest usiedzieć spokojnie. Uważam, że trzeba wysyłać na Marsa coraz bardziej skomplikowaną aparaturę w nadziei, że w ciągu najbliższych dziesięciołeci będą tam mogły wylądować istoty ludzkie.

– *Ekscytujący wydaje się system łączności zaangażowany w to przedsięwzięcie. To fantastyczne, że ludzie są w stanie wydawać*

z Ziemi rozkazy aparatom oddalonym o miliony kilometrów.
– To prawda, ludzie zresztą często mawiają – skoro potrafimy ustawiać urządzenia na Marsie, to dlaczego nie umiemy ustawić pewnych rzeczy na Ziemi. No cóż... urządzenia pracujące na Marsie są stosunkowo proste.
Ale jeśli mówimy już o łączności, to jest to jeszcze jeden przykład na sposób, w jaki kosmos może zrewolucjonizować społeczność ludzką. Obecnie w przestrzeni kosmicznej mamy satelity telekomunikacyjne. Dzięki nim możliwe jest porozumiewanie się między kontynentami w sposób o wiele prostszy niż kiedykolwiek dotąd. Gdyby można było użyć promieni lasera, mających pojemność kanału miliony razy większą niż pojemność fal radiowych, ludzie mogliby porozumiewać się w sposób jeszcze prostszy. Właściwie, gdybyśmy w kosmosie mogli mieć do dyspozycji promienie lasera, a na Ziemi światłowody – to nie jest wykluczone, że każdy człowiek mógłby posiadać swój własny, prywatny kanał telewizyjny na swój wyłączny użytek – tak jak własny numer telefonu i każdy mógłby z łatwością porozumiewać się z każdym innym człowiekiem na Ziemi. Gdy zastosuje się satelity telekomunikacyjne, odległość przestaje się liczyć. Ziemia może rzeczywiście stać się globalną wioską.

– Kiedy, pańskim zdaniem, my, Ziemianie, założymy osiedla kosmiczne?
– Z czysto technicznego punktu widzenia – gdybyśmy byli w stanie zgromadzić pieniądze niezbędne na ich wybudowanie – możemy je mieć nawet dzisiaj. Trudności nie są tu natury technologicznej a psychologicznej i politycznej. Nie wiemy, czy ludzkość zechce zaangażować wystarczająco wiele wysiłku i pieniędzy w taki program.

– A dlaczego mielibyśmy to uczynić?
– Podam dwa powody. Wybudowanie kolonii kosmicznej mogłoby pochłonąć 2 mld dol. rocznie, powiedzmy przez 50 lat. W USA wydaje się ponad 2 mld dol. rocznie na różne rzeczy, niezbyt dla nas korzystne – na alkohol, tytoń itp. Chciałbym wierzyć, że gdybyśmy zdecydowali się na budowę kosmicznych osiedli i gdyby okazało się, że ponieważ musimy je wybudować, wielu państw nie stać będzie na zbrojenia – to samo to byłoby już wspaniałym rezultatem.

I po drugie, jeżeli ludzie rzeczywiście zamieszkają kiedyś w przestrzeni kosmicznej – będziemy mieli wtedy bazę służącą do wykorzystywania technologii kosmicznych, technologii, które będą służyć załogom stacji kosmicznych, jak i nam. Moglibyśmy na przykład wykorzystywać zerową grawitację. Chodzi o doskonałej jakości łożyska kulkowe, których nie można wyprodukować na Ziemi, gdyż ulegają zniekształceniu na skutek działania siły grawitacyjnej. Moglibyśmy też wykonywać wiele usług. Moglibyśmy konstruować tam małe urządzenia lub wykorzystywać techniki biochemiczne, wymagające bardzo niskich temperatur i bardzo słabych pól grawitacyjnych. Jeśli więc zamierzamy wyjść kiedyś w przestrzeń kosmiczną, aby te wszystkie rzeczy robić, najbardziej ekonomiczne byłoby posiadanie tam stałego miejsca zamieszkania – czasem nazywanego kolonią.

Widzę już, jak w XXI wieku ludzie mieszkający w przestrzeni kosmicznej specjalizują się w wytwarzaniu wszelkiego rodzaju drobnych przedmiotów, takich, które w kosmosie można wykonać dokładniej niż na Ziemi. Oni również mogliby zbadać Księżyc. To oni mogliby obsługiwać obserwatoria: astronomiczne i inne.

– A co pan sądzi o wykorzystaniu kolonii kosmicznych jako źródeł energii?
– A, to już inna, bardzo ważna sprawa. Mieszkańcy Ziemi mogą kiedyś stwierdzić, że jedynym możliwym sposobem zapewnienia sobie wystarczającej ilości energii jest sięgnięcie po energię słoneczną. Może się bowiem okazać, że nie powiedzie się kontrolowana reakcja termojądrowa. Naukowcy wiedzą, że energia napędzająca Słońce będzie funkcjonowała. Obecnie istnieje jedynie problem jej gromadzenia. Energia ta jest tak rozrzedzona, rozproszona po całej kuli ziemskiej, że gdybyśmy chcieli ją zebrać, nawet na tysiącach hektarów, pojawiłoby się pytanie, gdzie należy ustawić kolektory, i czy byłyby one szkodliwe dla środowiska człowieka. Ale gdyby instalacje służące do gromadzenia energii słonecznej zbudować w kosmosie i umieścić na orbicie stacjonarnej na wysokości 25 tys. km, mogłyby one praktycznie wiecznie pochłaniać i gromadzić energię pochodzącą od Słońca, a następnie wypromieniowywać ją w dół, w formie mikrofal do stacji energetycznych zlokalizowanych na Ziemi. Dobrze byłoby, gdyby w kosmosie istniała baza, na której zbudowano by takie stacje... Rzeczywiście, pierwsze wykorzystanie kolonii kosmicznych polegałoby właśnie na zbudowaniu przez jej mieszkańców stacji gromadzenia energii słonecznej. Taka stacja mogłaby nawet powstawać równolegle z budową osiedla kosmicznego, a nawet mogłaby być wcześniej ukończona. Instalacja energetyczna byłaby prostsza w konstrukcji i dawałaby natychmiast ogromny dochód.

– Kolejne pytanie dotyczy również energii, gdyż energia będzie bardzo potrzebna do podtrzymania przyszłego życia na Ziemi, jeśli ma być to życie lepsze. Zatem – co pan sądzi o oceanach, jako źródle energii termicznej?
– O oceanach jako źródle energii uzyskiwanej w różny sposób człowiek marzył od dawna. Niemal niewyczerpalnym źródłem energii są na przykład pływy oceaniczne, podobnie zresztą, jak różnica temperatur między powierzchnią wody oceanu a jego głębiami. Będą to dwie całkowicie wykonalne praktycznie metody otrzymywania energii, jeżeli tylko – dla pokonania trudności technicznych – będziemy gotowi wydać na nie odpowiednią ilość pieniędzy. To są wszystko problemy natury technicznej. Dość typowy jest pogląd, że musimy wybierać między energią nuklearną, energią uzyskiwaną z pływów oceanicznych, energią geotermiczną, energią słoneczną lub energią wiatrów. Tymczasem od strategii jednorodnej prawie zawsze lepsza jest strategia mieszana. Sądzę, że ludzkość powinna mieć na uwadze wszystkie wymienione źródła energii. Powstałby w końcu duży wybór źródeł energii – jednych bardziej, innych mniej wydajnych. Różnych, dla różnych rodzajów zastosowań. Jedyne, co możemy dziś powiedzieć o przyszłości to to, że wszystkie te źródła zastąpią wreszcie paliwa kopalne, które albo są na wyczerpaniu, albo – jak to ma miejsce w przypadku węgla – coraz trudniej jest je wydobywać.

– Czy sądzi pan, że metoda odsalania wody oceanicznej jest obiecującą możliwością zaspokojenia ciągle rosnącego zapotrzebowania na słodką wodę?
– Na świecie nie brakuje i nie może zabraknąć wody. Jej zasoby są – skromnie licząc – bardzo bogate. Światu stale będzie zagrażać niebezpieczeństwo katastrof powodziowych, zwłaszcza w przypadku stopienia się czap lodowych na biegunach. Występuje natomiast niedostatek wody słodkiej i czystej. Jej zasobów jest o wiele mniej niż wody w ogóle, wody, która niestety zbyt często bywa zanieczyszczona. Jeżeli naukowcom i inżynierom uda się opracować praktyczne metody odsalania wody oceanicznej – i to na wielką skalę – ludzkości nie zabraknie już świeżej wody, oczywiście przy założeniu, że produkcja światowa nie będzie rosła w sposób nie kontrolowany. Jedyną rzeczą, o jakiej należy pamiętać jest fakt, że proces odsalania wody pochłania energię. Jeżeli więc energia będzie stale drożała, to odsalanie wody będzie coraz mniej opłacalne. To następny przykład, jak wszystkie te sprawy ściśle się ze sobą wiążą. Gdyby na przykład udało się otrzymać energię z promieniowania słonecznego w przestrzeni kosmicznej, można by ją wykorzystać do taniego odsalania wody oceanicznej. Jeśli więc traktuje pani badanie kosmosu i wykorzystanie oceanów jako propozycję „albo albo" – jest pani w błędzie. Trzeba zdać sobie sprawę, że połączenie obu tych możliwości będzie lepsze niż każda z nich potraktowana oddzielnie.

– Czy możliwe jest, by zawarty w wodzie oceanicznej deuter dał ludziom niewyczerpalne źródło energii?
– Jeśli kiedykolwiek uda się nam zrealizować kontrolowaną reakcję termojądrową, podstawowym paliwem, a przynajmniej paliwem wyjściowym, będzie deuter. Jest to stosunkowo niewielki składnik wody oceanicznej. Mamy jednak tej wody tak wiele, że deuteru wystarczy nam dosłownie na miliardy lat – przypuszczalnie na tak długo, jak długo przetrwa Ziemia i ludzkość.

– Czy w swoich najśmielszych marzeniach widzi pan możliwość ucieczki ludzi z Ziemi do osiedli kosmicznych? Na przykład wtedy, gdyby świat został zatruty odpadami radioaktywnymi lub zniszczony wybuchami jądrowymi?
– Osiedla kosmiczne to coś w rodzaju Arki Noego. Niechętnie jednak o tym myślę. Chciałbym, aby ludzie zachowali Ziemię w stanie owej cudownej użyteczności dla życia, w jakim ją zastali. Myślę, że byłoby grzechem wobec Wszechświata, gdybyśmy zniszczyli naszą kolebkę.

Przełożyła **Barbara Komuda**

■

SZTUCZNA INTELIGENCJA: RETROSPEKCJE

Trzy lata temu ukazała się w Stanach Zjednoczonych książka, która natychmiast stworzyła nowy i nadzwyczaj wysokiej jakości standard publikacji popularnonaukowych. Była to książka „Gödel, Escher, Bach: odwieczny złoty warkocz" Douglasa R. Hofstadtera. Na prawie ośmiuset stronach Autor, trzydziestokilkuletni profesor informatyki na Uniwersytecie Indiana, pisze m. in. o sztucznej inteligencji, komputerach, inżynierii genetycznej, muzyce, plastyce – i choć wyda się to niewiarygodne, jest prawdą, że wszystko to ma ze sobą mniej lub bardziej ukryty związek. Martin Gardner, prowadzący od lat rubrykę „Gry matematyczne" w miesięczniku „Scientific American" pisał o książce w superlatywach. Obecnie Hofstadter zastąpił Gardnera i prowadzi w „Scientific American" stałą rubrykę „Tematy matematyczne". Wybraliśmy do druku fragment książki dotyczący tzw. Testu Turinga, który zapoczątkował badania naukowe nad sztuczną inteligencją. Właśnie od czasu opublikowania Testu datuje się naukowy spór o myślące maszyny, a co zrobiła z tym tematem literatura SF, tego na tych łamach przypominać nie trzeba. (Red.)

Turing

W 1950 roku Alan Turing napisał bardzo proroczy i prowokacyjny artykuł na temat Sztucznej Inteligencji. Tytuł artykułu, wydrukowanego w piśmie „Mind" („Umysł"), brzmiał: „Maszyneria komputerowa a inteligencja". Zanim napiszę parę słów na temat samego artykułu, chciałbym pokrótce przedstawić jego autora – Turinga.

Alan Mathison Turing urodził się w Londynie, w 1912 roku. Był dzieckiem z dużym poczuciem humoru i wiecznie ciekawym świata. Mając uzdolnienia matematyczne wstąpił na Uniwersytet w Cambridge i tam jego zainteresowania maszynerią i logiką matematyczną „skrzyżowały się", w wyniku czego powstała jego słynna praca na temat „liczb dających się policzyć maszynowo". W pracy tej, wydanej w 1937 roku, stworzył on teorię maszyn Turinga i wykazał niemożność rozwiązania problemu nieskończoności. W 1940 roku swe zainteresowania teorią maszyn komputerowych wykorzystał do budowy prawdziwych komputerów. Turing był główną postacią w rozwoju komputerów w Wielkiej Brytanii i zatwardziałym obrońcą Sztucznej Inteligencji.

Jednym z jego najlepszych przyjaciół był David Champernowne (który później pracował nad kompozycją muzyki na komputerze). Champernowne i Turing byli zapalonymi szachistami i wymyślili grę o nazwie „szachy dookoła domu". Polegała ona na tym, że po swoim ruchu gracz musiał obiec dom – jeżeli wrócił do stołu zanim jego przeciwnik wykonał ruch, miał prawo do dodatkowego ruchu. Mówiąc jednak poważnie, Champernowne i Turing wymyślili pierwszy program komputerowy do gry w szachy, o nazwie „Turochamp". Turing zmarł mając zaledwie 41 lat, rzekomo w wyniku wypadku przy pracy z chemikaliami. Niektórzy twierdzą, że było to samobójstwo. Jego matka, Sara Turing, napisała jego biografię. Z wypowiedzi ludzi, których cytuje, można wywnioskować, że Turing był osobą bardzo niekonwencjonalną, często niezręczną, lecz jednocześnie tak uczciwą i szczerą, że czyniło go to nieodpornym na przeciwności tego świata. Lubił gry, szachy, dzieci, jeżdżenie na rowerze; był dobrym biegaczem długodystansowym. Jako student w Cambridge, kupił sobie używane skrzypce i sam nauczył się na nich grać. Chociaż nie był muzykalny, gra na tym instrumencie sprawiała mu dużo przyjemności. Był człowiekiem nieco ekscentrycznym, który wyładowywał swój nadmiar energii w najróżniejszy sposób. Jedną z dziedzin, które badał, był problem morfogenezy w biologii. Według jego matki, Turing „miał szczególną słabość do powieści „Pickwick Papers", lecz „poezja, z wyjątkiem szekspirowskiej, nie znaczyła dla niego nic". Alan Turing był jednym z prawdziwych pionierów w dziedzinie informatyki.

Test Turinga

Artykuł Turinga zaczyna się zdaniem: „Chcę rozważyć pytanie: »Czy maszyny potrafią myśleć?«" Ponieważ, jak sam podkreśla, i maszyna, i myślenie to bardzo ogólne pojęcia, jest rzeczą oczywistą, że trzeba znaleźć skuteczny sposób podejścia do tego pytania. Sposób ten, jak sam sugeruje, zawarty jest w tzw. „grze udawania" (imitation game), która jest obecnie znana pod nazwą testu Turinga. Turing przedstawia ją w następujący sposób:

Grają trzy osoby: mężczyzna (A), kobieta (B) i osoba pytająca (C), która może być dowolnej płci. Osoba pytająca znajduje się sama w pokoju. Celem gry jest, aby pytający ustalił, która z dwóch pozostałych osób jest kobietą, a która mężczyzną. Zna je on tylko z oznaczeń X i Y, i pod koniec gry musi on stwierdzić, że „X jest A i Y jest B" lub „X jest B i Y jest A". Pytający może zadawać pytania A i B, np.:

C: Czy X może mi podać długość swoich włosów?

Przypuśćmy, że X jest w rzeczywistości A, więc A musi odpowiedzieć. Celem A w tej grze jest tak odpowiadać, aby C błędnie zidentyfikował X i Y. Tak więc jego odpowiedź może brzmieć: „Moje włosy są ostrzyżone na chłopczycę, a najdłuższe pasma mają długość około 9 cali".

Aby ton głosu nie ułatwił pytającemu zadania, odpowiedzi powinny być napisane ręcznie lub – lepiej – na maszynie. Idealne byłoby mieć połączenie dalekopisowe między dwoma pokojami. Innym rozwiązaniem jest, aby pytania i odpowiedzi były powtarzane przez pośrednika. Celem trzeciego gracza (B) jest pomagać pytającemu. Najlepszą strategią dla niego byłoby mówić prawdę. Tak więc do swoich odpowiedzi może dodawać komentarze typu „Ja jestem kobietą, nie słuchaj tego co on mówi!" Lecz komentarze te niewiele pomogą, jako że mężczyzna może wypowiadać identyczne w celu zmylenia pytającego.

Możemy teraz zadać pytanie: „Co się stanie, jeżeli maszyna zastąpi A w tej grze?" Czy w takiej sytuacji pytający będzie tak samo często się mylił, jak w przypadku, gdy w grze biorą udział mężczyzna i kobieta? Te pytania zastąpią oryginalne:

„Czy maszyny potrafią myśleć?"

Po opisaniu charakteru samego testu, Turing następnie podaje komentarze na jego temat (komentarze, które, biorąc pod uwagę rok napisania artykułu, są dość wyrafinowane). Na początek podaje on hipotetyczną rozmowę między pytającym a pytanym:

P: Proszę napisać mi sonet na temat Czwartego Mostu (most nad Zatoką Forth w Szkocji).

O: Nie licz na mnie. Nigdy nie umiałem pisać poezji.

P: Proszę dodać 34957 i 70764.

O: (pauza 30 sekund, a następnie odpowiedź) 105621.

P: Czy grasz w szachy?

O: Tak.

P: Ja mam tylko K na k1. Ty masz tylko K na k6 i W na r1. Jest twój ruch. Jak zagrasz?

O: (pauza 15 sekund) W na r8, mat.

Niewielu czytelników zauważy, że w działaniu arytmetycznym następuje nie tylko niezwykle długa pauza, ale że podana odpowiedź jest błędna! Dałoby się to łatwo wytłumaczyć, gdyby odpowiadał człowiek: po prostu błąd w obliczeniach. Jeżeli jednak odpowiada maszyna, wytłumaczyć to można na wiele sposobów. Oto kilka z nich:

(1) (niepowtarzalny) błąd wywołany zakłóceniem w pracy sprzętu

(2) nie zamierzony (powtarzalny) błąd w sprzęcie (lub programie) powodujący błędy arytmetyczne

(3) trick, celowo wprowadzony przez programistę (lub konstruktora) wywołujący sporadyczne błędy arytmetyczne dla zmylenia osoby pytającej

(4) nieprzewidziany epifenomen: program ma trudności w myśleniu abstrakcyjnym i po prostu popełnił „uczciwy błąd", który może się nie powtórzyć następnym razem

(5) żart ze strony samej maszyny, która celowo drażni się z osobą pytającą.

Refleksje na temat tego, co Turing chciał pokazać tym subtelnym posunięciem daje początek prawie wszystkim filozoficznym zagadnieniom spornym związanym z Sztuczną Inteligencją. Turing dalej podkreśla, że:

Ten nowy problem ma tę przewagę, że wyraźnie rozdziela fizyczne i intelektualne możliwości człowieka... Nie chcemy karać maszyny za to, że nie zdobywa nagród w konkursach piękności, a także nie chcemy karać człowieka za to, że przegrywa w wyścigu z samolotem.

Jedną z przyjemności czytania jego artykułu jest możliwość prześledzenia, jak daleko Turing rozpracował każdą myśl, zwykle ukazując w pewnym miejscu sprzeczność a następnie, przez udoskonalenie konceptów, rozwiązując je na poziomie głębszej analizy. Dzięki tak głębokiej penetracji zagadnień, artykuł ten nadal wyróżnia się po prawie 30 latach ogromnych postępów w rozwoju komputerów i intensywnej pracy nad SI. W poniższym, krótkim wyjątku możemy sami zobaczyć, w jak wspaniały sposób, metodą posuwania się i cofania, Turing pracował nad swymi pomysłami:

Gra ta może być skrytykowana z powodu nierównych szans na niekorzyść maszyny. Gdyby człowiek chciał udawać maszynę próba ta wypadłaby bardzo słabo. Natychmiast wydałyby go powolność myślenia i błędy arytmetyczne. Czy maszyny nie mogą dokonać czegoś co powinno się nazwać myśleniem, lecz jest czymś zupełnie innym od tego, co robi człowiek? Zastrzeżenie to jest dość istotne, lecz moglibyśmy je pominąć,

gdybyśmy mimo wszystko skonstruowali maszynę, która potrafiłaby zagrać w „grę udawania". Można by sugerować, że dla grającej w „grę udawania" maszyny najlepiej byłoby nie naśladować zachowania człowieka. Jest to możliwe, ale wydaje mi się mało prawdopodobne. W każdym razie, artykuł nie zamierza badać teorii tej gry i załóżmy, że najlepszą strategią będzie próba dostarczania odpowiedzi, które dałby człowiek. Po prezentacji i omówieniu testu Turing dodaje: Uważam, że oryginalne pytanie „Czy maszyna potrafi myśleć?" jest tak mało znaczące, że nie zasługuje na omówienie. Niemniej jednak wierzę, że pod koniec tego wieku, sposób użycia słów i ogólna opinia ludzi wykształconych zmieni się do tego stopnia, że będzie można mówić o myślących maszynach bez obawy zaprzeczenia z czyjejkolwiek strony.

Turing przewiduje zastrzeżenia

Zdając sobie sprawę z burzy opozycji, którą ta opinia wywoła, Turing dokładnie i z humorem rozpracowuje listę zastrzeżeń wobec koncepcji myślącej maszyny. Poniżej podaję, używając jego własnych opisów, listę dziewięciu rodzajów zastrzeżeń, którym się sprzeciwia. Niestety, nie ma miejsca na to, aby przedstawić humorystyczne i wymyślne odpowiedzi, które sformułował. Może sami zastanowicie się nad tymi zastrzeżeniami i wymyślicie własne odpowiedzi na nie.

(1) Zastrzeżenia teologiczne. Myślenie jest funkcją nieśmiertelnej duszy człowieka. Bóg dał duszę nieśmiertelną każdemu mężczyźnie i każdej kobiecie, ale nie zwierzętom czy maszynom. W związku z tym zwierzęta czy maszyny nie potrafią myśleć.

(2) Zastrzeżenia typu „głowa w piasek". Konsekwencje tego, że maszyny zaczęłyby myśleć są zbyt przerażające. Miejmy nadzieję i wierzmy, że tego nie potrafią robić.

(3) Zastrzeżenie matematyczne. (Jest ono w zasadzie tożsame z argumentem Lucasa).

(4) Argument świadomości. „Do czasu dopóki maszyna nie napisze sonetu lub nie skomponuje koncertu pod wpływem własnych myśli i uczuć, a nie przez przypadkowe ułożenie symboli, tzn. dopóki nie tylko nie napisze, ale również nie zda sobie sprawy z tego, że napisała, dopóty nie uznamy, że maszyna równa się rozumowi. Żaden mechanizm nie potrafi odczuć (a nie tylko sztucznie zasygnalizować) przyjemności z powodu sukcesu, smutku z powodu zwarcia w lampie, nie będzie zadowolony z pochlebstwa a nieszczęśliwy z powodu własnych błędów, nie zachwyci go seks, nie rozzłości ani przygnębi niemożność osiągnięcia tego co chce." (cytat pewnego profesora Jeffersona).

Turing jest zdecydowany odpowiedzieć dokładnie na ten poważny zarzut w związku z czym poświęca dość dużo miejsca na swoją odpowiedź, w której przedstawia jeszcze jedną, krótką hipotetyczną rozmowę:

Pytający: Czy w pierwszym wierszu twego sonetu, który brzmi „Czy mam cię porównać do letniego poranka", zwrot „wiosennego poranka" nie pasowałby równie dobrze, a nawet lepiej?

Świadek: Nie dałby się skandować.

P: A zwrot „zimowego poranka"? To by pasowało.

Ś: Tak, ale kto chciałby być porównany do zimowego poranka.

P: Czy powiedziałbyś, że pan Pickwick przypomina ci Boże Narodzenie?

Ś: W pewien sposób.

P: A przecież Dzień Bożego Narodzenia jest dniem zimowym, a nie myślę, aby pan Pickwick obraził się tym porównaniem.

Ś: Chyba żartujesz! Mówiąc poranek zimowy ma się na myśli typowy poranek zimowy a nie dzień szczególny, jakim jest Boże Narodzenie.

Po tej rozmowie Turing zadaje pytanie, „Co by powiedział profesor Jefferson, gdyby maszyna pisząca sonety mogła tak odpowiedzieć viva voce?"

Dalsze zastrzeżenia:

(5) Argumenty niemożności wykonania różnych czynności. Argumenty te przyjmują formę: „Przyznaję, że maszyna może wykonać te wszystkie rzeczy, które wymieniłeś, ale nigdy nie będzie mogła X." Poniżej podaję wybór czynności, które można wstawić zamiast X:
być dobrą, przedsiębiorczą, piękną, przyjacielską, mieć inicjatywę, mieć poczucie humoru, rozróżniać między dobrem a złem, robić błędy, zakochać się, zjeść truskawki z kremem, rozkochać kogoś w sobie, uczyć się z doświadczenia, prawidłowo używać słów, myśleć o sobie samej, mieć tak zróżnicowane zachowanie jak człowiek, zrobić coś naprawdę nowego.

(6) Zastrzeżenia Lady Lovelace. Nasza najdokładniejsza informacja na temat Maszyny Analitycznej Babbage'a pochodzi z rozprawy Lady Lovelace. W pracy tej autorka pisze: „Maszyna Analityczna nie ma ambicji zapoczątkować niczego. Może ona zrobić cokolwiek my potrafimy jej rozkazać aby zrobiła".

(7) Argument ciągłości w systemie nerwowym. System nerwowy nie jest na pewno maszyną operującą na wielkościach dyskretnych. Mały błąd w informacji o wielkości impulsu nerwowego uderzającego o neuron może mieć wielkie znaczenie dla wielkości wychodzącego impulsu. W związku z tym można twierdzić, że byłoby trudno naśladować zachowanie systemu nerwowego systemem dyskretnym.

(8) Argument nieformalności zachowania. Brzmi on mniej więcej tak: „Jeżeli każdy człowiek miałby określone zasady postępowania według których regulowałby swoje życie, nie byłby niczym innym niż maszyną. Ale nie ma takich zasad, więc człowiek nie może być maszyną."

(9) Argument percepcji pozazmysłowej (extrasensory perception ESP). Zagrajmy w „grę udawania" używając jako świadków mężczyznę, który jest dobrym odbiorcą telepatycznym i maszynę cyfrową. Pytający może zadawać pytania typu: „Do jakiego koloru należy karta, którą trzymam w prawej ręce?" Mężczyzna, dzięki telepatii lub jasnowidztwu, może podać prawidłową odpowiedź 130 razy na 400. Maszyna, trafiając tylko przypadkowo, otrzyma może tylko 104 prawidłowe odpowiedzi, w związku z czym pytający prawidłowo rozpozna X i Y.

Jak widać, wiele z tych zastrzeżeń nakłada się na siebie. W tej książce starałem się dać odpowiedzi na większość z nich, choć zwykle mniej dokładnie niż czynił to Turing.

Zastrzeżenie (9) uważam za niezwykłe. Widziałem pracę Turinga przedrukowaną w książce, gdzie zastrzeżenie (9) było opuszczone – co wydaje mi się równie niezwykłe. Według mnie – choć jest to opinia sprzeczna z opinią Turinga – ESP nie istnieje. Turing niechętnie uznał istnienie ESP. Uczynił to jednak pod wpływem swej wyjątkowej uczciwości naukowej, która kazała mu zaakceptować widoczne, mocne dowody statystyczne na korzyść ESP. Ja się z tym nie zgadzam, choć przyznaję, że jest to niezwykle złożony i fascynujący problem.

„Parry spotyka Doctora"

W Dialogu poprzedzającym ten rozdział przedstawiono autentyczną rozmowę między programem komputerowym a człowiekiem. Istniało już wiele programów o mniejszej niż SHRDLU umiejętności „konwersacji". Dwa dość znane to „Doctor" stworzony przez Josepha Weizenbauma i „Parry" stworzony przez Kennetha Colby'ego. Pierwszy program miał symulować psychiatrę stosującego „terapię nie skierowaną", drugi miał symulować strukturę poglądów paranoika. Zabawne „czołowe zderzenie" tych dwóch programów zostało zorganizowane w sieci komputerowej. Poniższy tekst jest krótkim fragmentem pełnego zapisu:

Parry: Nie rozumiem twoich motywów.
Doctor: Dlaczego nie rozumiesz moich motywów?
P: Czy nie powinienem być?
D: Dlaczego to powiedziałeś akurat teraz?
P: Tak właśnie jest.
D: A gdyby tak nie było?
P: Więc?
D: Nie wiem czy ciebie dobrze rozumiem.
P: Za często wracasz do tych samych pytań.
D: Co ci to podobieństwo sugeruje?
P: Nie rozumiem cię.
D: Czy chciałbyś rozumieć ja?
P: Najwyższy czas abyś zainteresował się tym co czuję.
D: Tak? Abym zainteresował się tym co czujesz?

Programy te były oczywiście stworzone, aby rozmawiać z ludźmi, w związku z czym w rozmowie ze sobą wypadły dość słabo. Zwykle opierają się one na trafnym odgadnięciu charakteru danych wejściowych (które analizują dość powierzchownie) i wyrzucaniu zamkniętych odpowiedzi, które zostały starannie wybrane z dużego zestawu możliwości. Odpowiedź może być tylko częściowo zamknięta: np. szablon z miejscami do wypełnienia. Zakłada się, że ich rozmówcy (ludzie) potrafią odczytać z ich wypowiedzi więcej niż leży u ich podstaw. I rzeczywiście tak się dzieje, co opisuje Weizenbaum w swojej książce „Potęga komputerów a rozsądek ludzki". Pisze on:

ELIZA (program, z którego stworzono Doctora) stworzyła w umysłach wielu ludzi, którzy z nim rozmawiali, niezwykłe wrażenie tego, że rozumie... Bardzo często ludzie ci domagali się rozmowy „w cztery oczy" z tym systemem, a po krótkiej rozmowie wierzyli, pomimo moich wyjaśnień, że maszyna naprawdę ich zrozumiała.

Czytając powyższy fragment, wszystko to możecie uznać za niesamowite. Niesamowite, lecz prawdziwe. Weizenbaum tłumaczy to następująco:

Większość ludzi w najmniejszym stopniu nie rozumie komputerów. Jeżeli więc nie są oni zdolni do wielkiego sceptycyzmu (takiego, jaki odczuwamy patrząc na sztuki magika na scenie), tłumaczą oni sobie wyczyny intelektualne komputera przez jedyną dostępną im analogię, tzn. ich własny model zdolności myślenia. Nic dziwnego zatem, że przekraczają oni miarę; nie można wyobrazić sobie człowieka, który naśladowałby np. Elizę, lecz dla którego limitem byłyby językowe możliwości tego programu.

W świetle tego dziwnego „efektu-Elizy", niektórzy ludzie sugerują, że należałoby zrewidować test Turinga, jako że ludzie dają się łatwo nabrać na proste chwyty. Proponowano, aby pytającym był naukowiec, laureat nagrody Nobla. Może bardziej wskazane byłoby postawić test Turinga na głowie i zażądać, aby pytającym był drugi komputer. A może powinno być dwóch pytających – człowiek i komputer – a tylko jeden świadek. Dwaj pytający staraliby się odkryć czy świadkiem jest człowiek, czy komputer.

Poważnie mówiąc jednak, uważam, że oryginalny test Turinga jest dość racjonalny. Jeżeli chodzi o ludzi, którzy, jak twierdzi Weizenbaum, zostali nabrani przez Elizę, nie zalecano im, aby byli sceptyczni ani użyli rozumu do ustalenia czy „osoba" pisząca do nich jest człowiekiem, czy nie. Uważam, że pogląd Turinga na ten temat był trafny, i że test Turinga, praktycznie nie zmieniony, przetrwa.

Przełożyła **Anna Gwardyś**

Poprzednie wrażenie jakby przeszło.

– Ale dlaczego – wydusiłem. – Przecież Zjednoczenie oznacza śmierć. Więc dlaczego jest z tego powodu tak szczęśliwy.

Lya wzruszyła ramionami.

– Jego myśli nie były na tyle szczegółowe, bym mogła cokolwiek na ten temat powiedzieć.

Oblizałem palce z resztek tłuszczu. Znajdowaliśmy się na skrzyżowaniu, pełnym przechodzącym Shkeenów. Nagle ponownie usłyszeliśmy dźwięk dzwonków.

– Znowu Dopuszczeni – powiedziałem. – Chcesz na nich spojrzeć?

– Po co? By stwierdzić, że to nic nam nie da? Teraz potrzebujemy Dopuszczonego człowieka.

– Może któryś z tej grupy będzie człowiekiem.

Zmierzyła mnie niechętnym spojrzeniem.

– Skąd ten zapał?

– No dobra – zgodziłem się. Było już późne popołudnie. – Może rzeczywiście lepiej będzie wrócić do domu. Jutro możemy zacząć wcześniej. Poza tym Dino z pewnością oczekuje na nas z obiadem.

Pieśń dla Lyanny

George R. R. Martin

Przełożyli: **M.K. i E.S.**

George R.R. MARTIN należy do grona najwybitniejszych pisarzy amerykańskich debiutujących na początku lat siedemdziesiątych. Urodził się w 1948 roku w Bayonne (New Jersey). W latach 1966–1970 studiował dziennikarstwo na North Western Uniwersity w Illinois. Od 1972 r. pracował jako dziennikarz, zaś w latach 1972–1974 w Korpusie Pokoju. Od 1974 roku jest zawodowym pisarzem.

Debiutował w lutym 1971 roku na łamach renomowanego magazynu „Galaxy" napisanym w 1969 roku opowiadaniem „*The hero*". Wiele spośród jego utworów uzyskiwało nominację do nagród Hugo i Nebuli. Najbliższymi zdobycia tego najwyższego w świecie SF trofeum były: opowiadania „*With Morning Comes Mistfall*", „*And Seven Times Never Kill Man*" oraz napisana wspólnie z Lisą Tuttle nowela „*The Storms of Windhaven*".

Największym pisarskim osiągnięciem George'a Martina stała się publikowana w tym numerze „*Pieśń dla Lyanny*" („*A song for Lya*"), która w 1975 roku wyróżniona została nagrodą Hugo Gernsback Award w dziedzinie mikropowieści.

Opowiadania George'a Martina zebrane zostały w dwóch tomach „*A song for Lya and Other Stories*" (1976) oraz „*Songs of Stars and Shadows*" (1977). W 1977 roku opublikował swoją pierwszą powieść „*Dying of the Light*", która cieszy się nie mniejszym niż krótsze formy powodzeniem. W 1978 roku przegrała ona bezpośrednią walkę o pierwszeństwo do nagrody Hugo jedynie z wyróżnioną rok wcześniej Nebula Award powieścią Frederika Pohla „*Gateway*". (A.W.)

Miasta planety Shkeen są stare. Dużo starsze niż ziemskie. A najstarszym z nich jest olbrzymia rdzawo-czerwona metropolia położona na Świętych Wzgórzach. Nigdy nie miała nazwy. Nie potrzebowała jej. Choć na planecie zbudowano tysiące miast, żadne nie może się równać z tym największym i najludniejszym – jedynym miastem na wzgórzach. Dla mieszkańców Shkeen znaczy ono tyle co Rzym, Mekka, Jeruzalem. Jest symbolem. Pytającym o cel wędrówki wystarczy tylko powiedzieć: miasto. Prowadzą doń wszystkie drogi i trafia tu każdy Skheen przed Ostatecznym Zjednoczeniem.

Istniało na długo przed powstaniem Rzymu. Było potężne już w czasach, gdy na Ziemi nikomu jeszcze nie śniło się o Babilonie. A przecież czas nie odcisnął na nim swojego piętna. Kilometrowe rzędy takich samych niskich, dusznych, prymitywnie umeblowanych ceglanych domów pokrywały wzgórza niczym czerwona wysypka.

Miasto nie było jednak ponure. Dzień po dniu obrastało karłowate wzgórza, kwitnąc w promieniach upalnego słońca niczym bujny krzew pomarańczy. Tętniło wiecznie młodym życiem. Zewsząd dochodziły zapachy gotującej się strawy, dobiegał dziecięcy gwar, odgłosy krzątaniny odnawiających domostwa murarzy. Na wszystkich niemal ulicach przejmującą nutą dźwięczały rytualne dzwonki Zjednoczonych. Nie było w tym niczego, co świadczyłoby o wielowiekowej tradycji i potędze mądrości mieszkańców. Odnosiło się raczej wrażenie, że ich kultura szuka dopiero drogi swojego rozwoju. A przecież od założenia miasta minęło już ponad czternaście tysięcy lat.

Miasto zbudowane przez ludzi było przy nim prawdziwym noworodkiem. Powstało przed dziesięcioma laty na krańcach wzgórz – pomiędzy metropolią Shkeen a niziną, na której zlokalizowano kosmodrom W odczuciu ludzi było piękne – przestronne, pełne architektonicznej ornamentyki, poprzecinane szerokimi, ocienionymi szpalerami drzew bulwarami, na których w słońcu połyskiwały wesołe fontanny. Stojące wzdłuż bulwarów kolorowe budynki wzniesiono z metalu, barwnego plastiku i miejscowego drewna. Jakby z szacunku dla miejscowej tradycji większość z nich była stosunkowo niska. Wyjątek stanowiła wyniosła, widoczna na wiele mil dookoła Wieża Administracyjna – wypolerowana stalowa iglica – śmiałym kształtem wbijająca się w kryształowe niebo.

Lyanna wypatrzyła ją przed lądowaniem, więc jeszcze z góry mieliśmy okazję podziwiać ten śmiały akcent ludzkiej obecności na Shkeen. Ponure drapacze Starej Ziemi i Balduru były na pewno wyższe, a fantazyjne miasta Arachne z pewnością piękniejsze, ale ta smukła wieża wyglądała naprawdę imponująco. Samotna i nie zagrożona dominowała nad świętymi wzgórzami.

Mimo iż kosmodrom położony był w zasięgu jej cienia uznano widać, że należy wyjść nam naprzeciw. Nisko zawieszony poduszkowiec oczekiwał przy rampie. Obok niego, oparty o drzwi, stał Dino Valcarenghi rozmawiający właśnie ze znajomymi.

Valcarenghi był administratorem planety i równocześnie przedmiotem podziwu wszystkich na niej obecnych. Już wcześniej wiedziałem, że jest młody, przystojny i posiada niezwykły urok osobisty. Teraz miałem okazję, by

Byłem nieco zawiedziiony.
– A więc są to cztery umysły, a nie jeden?
– Tak, cztery.
– A Greeshka? Czy ta Greeshka posiada jakąkolwiek umysłowość?
– Nic – powiedziała Lyanna – jakbyś czytał roślinę albo kawał materiału. Najmniejszego śladu samoświadomości.

To dziwne. Nawet niższe zwierzęta dysponowały szczątkową świadomością. Oznaki uczucia, które my, Talenty, nazwaliśmy „tak – ja – żyję". Zwykle było to uczucie tak nikłe, że potrafił je odnaleźć tylko wielki Talent, a przecież Lyanna była najwyższej klasy Talentem.

– Porozmawiajmy z nimi – zaproponowałem i podeszliśmy do miejsca, gdzie stali przeżuwając mięso.
– Cześć – powiedziałem. – Czy znacie język Ziemian?

Trzech spojrzało na mnie bez oznak zrozumienia. Ale czwarty, którego Greeshka miała kształt mnisiego kaptura, skinął głową.

– Tak – powiedział cienkim głosem.

Nagle zapomniałem, o co miałem spytać, ale Lyanna przyszła mi z pomocą.

– Czy wiecie coś o ludziach, którzy zostali Dopuszczeni?

Uśmiechnął się.

– Wszyscy Dopuszczeni są jednym.
– Och – wymknęło mi się. – To wiemy. Ale czy wiecie coś o takich, którzy nie są podobni do was? Wysocy, owłosieni, o różowej lub brązowej skórze?

Znowu urwałem zastanawiając się, jak dokładna była znajomość naszego języka. Nie mogłem poza tym oderwać wzroku od jego Greeshki.

Ruszał przecząco głową.

– Dopuszczeni są wszyscy jak jeden, choć każdy jest inny. Niektórzy wyglądają jak wy. Czy chcecie Dostąpić?
– Nie, nie, dziękuję – powiedziałem. – A gdzie mogę znaleźć Dopuszczonych ludzi?

W dalszym ciągu poruszał przecząco głową.

– Dopuszczeni dzwonią i śpiewają, i chodzą po świętym mieście.

Lyanna czytała.

– On nie wie – powiedziała. – Dopuszczeni po prostu wędrują i dzwonią swymi dzwonkami. Nie mają ustalonych szlaków. Chodzą gdzie im się spodoba. Niektórzy wędrują grupami, inni samotnie.
– Musimy szukać.
– Jedzcie – odezwał się do nas Shkeen. Sięgnął do koszyka, wyjmując z niego dwa kawałki mięsa i wciskając po jednym w nasze ręce.

Spojrzałem na mięso z nieufnością.

– Dziękuję – powiedziałem. Schwyciłem Lyannę za rękę i odeszliśmy na bok.

Shkeen uśmiechnął się do nas na pożegnanie i ponownie zaczął dzwonić.

Gorące mięso parzyło moją rękę.

– Czy mam to zjeść? – spytałem Lyannę.

Ugryzła kawałek.

– Dlaczego nie? Przecież to samo jedliśmy ostatniej nocy w restauracji. A poza tym Valcarenghi na pewno by nas ostrzegł, gdyby istniała możliwość zatrucia się tutejszymi potrawami.

Uwaga była sensowna, toteż bez dalszych wahań podniosłem roladę do ust i odgryzłem kawałek. Była gorąca i w niczym nie przypominała rolady, którą jedliśmy wczoraj. Tamte były delikatne w smaku, lekko przyprawione sosem i przyprawami pomarańczowymi z Balduru. Te były kruche, mięso ociekało tłuszczem i paliło w ustach, ale było dobre, a ponieważ zgłodniałem, rolada nie cieszyła się długim żywotem.

– Czy dowiedziałaś się czegoś ciekawego, gdy czytałaś tego niskiego osobnika, z którym rozmawialiśmy? – zapytałem ją, usta mając wypchane mięsem.

Przełknęła swą porcję.

– Owszem. Był, o ile to możliwe, bardziej jeszcze od innych szczęśliwy. Jest najstarszy z grupy i już niedługo dostąpi Ostatecznego Zjednoczenia. Jest bardzo tym przejęty. – Lyanna mówiła już swoim normalnym głosem.

łem co czuje Dopuszczony wydzwaniający swymi dzwonkami. Przeczytałem ich niezmierne szczęście, ekstazę, jaką odczuwają oznajmiając innym swe szczęście. I wyczytałem miłość. Miłość, która biła od nich. Była to miłość gorąca, głęboka, pełna pasji i zaborcza, miłość do wszystkich i do wszystkiego. Nie była słabą i kruchą miłością, jaką ludzie odczuwają w stosunku do „bliźniego swego". Było to uczucie prawdziwe i namiętne, które prawie paliło mnie, gdy nadchodziło od nich gorącą falą. Kochali siebie, kochali wszystkich Shkeenów, kochali Greeshkę i kochali nas. Kochali nas. Kochali mnie! Kochali tak mocno i bez opamiętania jak Lyanna. W ich miłości znalazłem siłę jednoczącą i współodczuwającą. Ci czterej byli czterema indywidualnościami, ale myśleli jak jedna osoba, należeli do siebie nawzajem, należeli do Greeshki, stanowili jedno, choć każdy był zarazem sobą i choć żaden z nich nie mógł czytać w myślach drugiego tak jak ja to robiłem.

A Lyanna? Oderwałem się od nich myślami i powróciłem do rzeczywistości. Spojrzałem na nią. Jej twarz była niesłychanie blada, lecz uśmiechnięta.

– Oni są piękni – powiedziała głosem cichym i miękkim.

Zatopiony w ich miłości uzmysłowiłem sobie, jak bardzo kocham Lyannę, jak bardzo jestem cząstką jej samej, a ona cząstką mnie.

– Co przeczytałaś, powiedz – pytałem usiłując przekrzyczeć dzwonki.

Potrząsnęła głową z całą mocą, jakby chciała pozbyć się resztki kropel wody.

– Na pewno wiesz o tym równie dobrze jak ja. Czułam ich wielką miłość. Kochają tak głęboko. Pod tą miłością jest miłość, pod nią też jest miłość, i tak bez końca. Ich myśli są otwarte na świat. Chyba nigdy nie przeczytałam człowieka do tego stopnia. W nich wszystko jest takie jasne i zrozumiałe. Ich życie, sny, uczucia, wspomnienia. Wystarczy tylko zagłębić się..., a z ludźmi jest to takie trudne. Przeczytanie ich wymaga olbrzymiego wysiłku. Ciągle muszę walczyć, a mimo to nigdy nie mogę być pewna, że przeczytałam do końca. Sam to rozumiesz Rob. Och, Rob!

Podeszła bliżej, przytuliła się do mnie mocno, a ja zamknąłem ją w swych ramionach. Jej Talent był głębszy niż mój. Była wstrząśnięta. Przeczytałem ją, gdy tak się do mnie przytulała. I przeczytałem miłość. Wielką miłość i szczęście. Ale również i strach. Nerwowy strach przebijający przez wszystko co czuła.

Dźwięk dzwonków nagle ustał i czterech Dopuszczonych zatrzymało się w milczeniu na krótką chwilę. Jeden z przechodzących Shkeenów podszedł do nich z wielkim koszem przykrytym tkaniną. Najniższy z Dopuszczonych odrzucił przykrycie i w nasze nozdrza uderzył zapach gorącego mięsa.

Każdy z Dopuszczonych wziął po kawałku i wszyscy razem zjadali je ze smakiem, a właściciel kosza ciągle uśmiechał się życzliwie. Jakaś mała, naga dziewczynka podbiegła do nich, ofiarowując im butelkę wina. Przyjęli podarunek bez słowa.

– Co tu się dzieje? – spytałem Lyannę.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, przypomniałem sobie parę informacji zawartych w materiałach nadesłanych przez Valcarenghiego. Dopuszczeni nie pracowali. Przez czterdzieści ziemskich lat traktowano ich tak jak pozostałych, ale od momentu Dopuszczenia do Ostatecznego Zjednoczenia – w ich życiu króluje radość i muzyka. Błąkają się po ulicach miasta, dzwonią swymi dzwonkami, śpiewając. Przypadkowi Shkeenowie karmią ich. Jest zresztą zaszczytem nakarmić Dopuszczonego, a ten, któremu to się uda, promienieje dumą i radością.

– Lya – wyszeptałem. – Czy możesz przeczytać ich teraz?

Skinęła głową, uwolniła się z mego objęcia i przyjrzała się uważniej Dopuszczonym. Jej oczy przez chwilę stężały, by powrócić do normalnego stanu. Spojrzała na mnie zdziwiona.

– Teraz to coś innego.

– Możesz to wyjaśnić bliżej?

– Nie wiem... Oni ciągle nas kochają, ale teraz ich myśli są jeszcze bardziej ludzkie. Głębsze poziomy świadomości skrywają pewne cechy. Starają się je nawet przed sobą ukrywać. Nie są już tak otwarci jak przedtem. Myślą o jedzeniu i o tym, jak im smakuje. Odczucia są bardzo żywe. Wydaje mi się, że sama jem te rolady. To już nie jest to, co przedtem.

– Ile umysłów czytasz?

– Cztery – odpowiedziała. Wydaje mi się jednak, że są w jakiś sposób złączone. Oni jakby czują siebie nawzajem. Ale w myśleniu różnią się. Mogę ich czytać, ale oni siebie nawzajem nie mogą. Każdy jest kimś odrębnym. Przedtem, gdy dzwonili, byli prawie zjednoczeni, chociaż każdy zachowywał odrębność.

przyjrzeć mu się bliżej. Miał czarne włosy, których loki spadały na czoło i uśmiechniętą twarz wskazującą na wesołe usposobienie.

Obdarzył nas sympatycznym uśmiechem i wyciągnął rękę na powitanie.

– Cześć – rzucił bez zbędnych wstępów – cieszę się, że was widzę.

Nie ceregielił się z formalną prezentacją. Wiedział, kim jesteśmy, a my wiedzieliśmy, kim jest on. Widać nie był człowiekiem, który zwykł przykładać wagę do konwenansów.

Lyanna ujęła jego wyciągniętą dłoń. Spojrzała nań swoimi ciemnymi, głębokimi oczyma. Jej usta ułożyły się w ledwo zauważalny uśmiech. Podobna była teraz do małej dziewczynki o kasztanowych włosach i drobnej figurce. Gdy zechce, potrafi wyglądać naprawdę bezradnie. Swym spojrzeniem może wtedy zmieszać każdego. Jeżeli ktoś wie, że posiada zdolności telepatyczne, to wydaje mu się wówczas, że swymi niesamowitymi oczyma odczytuje najgłębsze pokłady jego duszy. Ale w rzeczywistości jest to tylko zabawa. Gdy Lyanna naprawdę odczytuje – wówczas jej ciało sztywnieje, później drży, a jej ogromne, penetrujące duszę oczy, zwężają się, tężeją i mętnieją.

Zwykle jednak ludzie czują się w jej towarzystwie nieswojo. Odwracają wzrok i starają się uwolnić z uścisku jej ręki. Valcarenghi nie należał do takich. Po prostu uśmiechnął się, odwzajemnił spojrzenie i pospieszył przywitać się ze mną.

Ściskając jego dłoń nie mogłem powstrzymać się od czytania. Było to moim zwyczajem – przyznaję – złym zwyczajem. Zdaję sobie z tego sprawę. Postępując w ten sposób kończę przyjaźń zanim się nawiąże. Talentem nie dorównuję Lyannie. Czytam jedynie uczucia i emocje. Wesołe usposobienie Valcarenghiego objawiło mi się z całą mocą i szczerością. Nic poza tym. Przynajmniej nic z tych rzeczy, które można by uchwycić od razu.

Przywitaliśmy się również z pomocnikiem. Był to wysoki blondyn w średnim wieku. Nazywał się Nelson Gourlay. Valcarenghi zaproponował, byśmy szybko zajęli miejsca w poduszkowcu i natychmiast wystartowali.

– Wyobrażam sobie, jak bardzo musicie być zmęczeni – powiedział, gdy wzbiliśmy się w powietrze. – Darujmy więc sobie przejażdżkę po mieście i od razu lećmy do wieży. Nelson wskaże wam mieszkanie. Potem musicie wskoczyć do nas na drinka i przedyskutować parę problemów. Przeczytaliście materiały, które wam przysłałem?

– Tak – odpowiedziałem.

Lyanna skinęła głową.

– Interesujące, ale wciąż nie rozumiem, po co nas wezwaliście?

– Dojdziemy i do tego, w swoim czasie – odparł Valcarenghi. – Właściwie nie powinienem wam przeszkadzać w podziwianiu krajobrazu. – Wskazał za okno i uśmiechnął się. Milczał.

Lyanna i ja cieszyliśmy się widokami, przynajmniej na tyle, na ile pozwalał krótki, pięciominutowy lot z kosmodromu do Wieży. Pojazd mknął wzdłuż głównej arterii miasta na wysokości wierzchołków drzew. Pod podmuchem powietrza uginały się co mniejsze gałązki. Wewnątrz pojazdu było chłodno, choć na zewnątrz słońce dochodziło do zenitu, a nad chodnikami powietrze falowało z gorąca. Mieszkańcy prawdopodobnie pochowali się w swoich klimatyzowanych pomieszczeniach, gdyż ulice były prawie puste.

Wyszliśmy z poduszkowca, który zatrzymał się w pobliżu głównego wejścia do Wieży i przemaszerowaliśmy przez nieskalanie czysty hall. Valcarenghi pozwolił nam porozmawiać z niektórymi podrzędnymi pracownikami personelu. Następnie Gourlay zaprowadził nas do windy i w jednej chwili znaleźliśmy się na pięćdziesiątym piętrze. Tam przemknęliśmy przez sekretariat, weszliśmy do następnego, prywatnego tunelu aerodynamicznego i wyjechaliśmy jeszcze wyżej.

Nasze pokoje prezentowały się znakomicie. Ciemnozielone dywany, drewniana boazeria, a nawet doskonale zaopatrzona biblioteka. Przeważała klasyka ze Starej Ziemi oprawna w syntetyczną skórę.

Znajdowało się tam również kilka powieści z Balduru – naszej ojczystej planety. Z pewnością przeprowadzono wywiad dotyczący naszych gustów. Jedna ze ścian sypialni wykonana była z lekko barwionego szkła. Za nią roztaczał się przepiękny widok na położone w dole miasto. Specjalne urządzenie pozwalało zaciemnić szybę, umożliwiając spokojny sen.

Gurlay zaznajomił nas ze wszystkim z obowiązkowością hotelowego boya. Odczytałem go krótko, lecz nie doszukałem się najmniejszych nieprzyjaznych uczuć. Był tylko nieznacznie zdenerwowany. Odkryłem w nim jeszcze szczere uczucie, którym kogoś obdarzał. – Nas? – Valcarenghiego?

Lyanna usiadła na jednym z łóżek.
– Czy ktoś przyniesie nasze bagaże? – spytała.
Gourlay skinął głową.
– Nie będziecie mieli powodu uskarżać się na opiekę. Proście o wszystko, czego potrzebujecie.
– Nie obawiaj się, nie omieszkamy tego uczynić – odrzekłem. Opadłem na drugie łóżko.
– Od dawna tu jesteś?
– Od sześciu lat – odparł rozsiadając się wygodnie w fotelu. – Należę do weteranów. Pracowałem pod czterema administratorami. Dino, przed nim Stuart, a jeszcze przed nim Gustaffson. Pracowałem nawet parę miesięcy pod Rockwoodem.
– Rockwood nie urzędował długo, prawda? – spytała Lyanna.
– Tak – odparł Gourlay. – Nie lubił tej planety. Szybko przeniósł się gdzie indziej, na stanowisko zastępcy administratora. Nie przejąłem się tym zbytnio, jeżeli mam być szczery. Był to trochę nerwowy typ. Zawsze wydawał rozkazy po to tylko, by pokazać, kto tu jest szefem.
– A Valcarenghi? – zapytałem.
Gourlay uśmiechnął się rzewnie. – Dino? Dino jest w porządku. Jeden z najlepszych, jacy tu byli. Jest dobry i wie o tym. Działa dopiero od dwóch miesięcy, a już odwalił kawał dobrej roboty. Zaprzyjaźnił się z mnóstwem osób. Traktuje każdego jak człowiek, mówi wszystkim po imieniu. Ludzie to lubią.
Czytałem go. Wyczytałem szczerość. Wierzył w to, co mówił. A więc to uczucie dotyczyło Valcarenghiego.
Miałem więcej pytań, ale nie zdążyłem ich zadać. Gourlay nagle wstał.
– Wydaje mi się, że powinienem już pójść – powiedział. – Z pewnością chcecie odpocząć. Przyjdźcie na szczyt za jakieś dwie godziny. Wtedy porozmawiamy. Wiecie gdzie jest winda?
Przytaknęliśmy i Gourlay wyszedł. Zwróciłem się do Lyanny.
– Co o tym myślisz?
Leżała na plecach i wpatrywała się w sufit.
– Sama nie wiem – odparła. – Nie czytałam go. Zastanawiam się dlaczego mieli tylu administratorów. I po co wezwali nas?
– Jesteśmy przecież Talentami – odparłem z uśmiechem. – Talentami przez duże T.
Lyanna i ja zostaliśmy sprawdzeni i zarejestrowani jako Talenty psi. Posiadaliśmy dokumenty potwierdzające ten fakt.
– Uhum – mruknęła, odwracając się na bok i odwzajemniając mi uśmiech. Tym razem nie był to zdawkowy grymas.
– Valcarenghi chciał, byśmy trochę odpoczęli – powiedziałem – nie jest to zły pomysł.
Lyanna wyskoczyła żwawo z łóżka.
– OK – powiedziała – ale łóżka muszą być złączone.
– Proszę bardzo.
Uśmiechnęła się. Złączyliśmy je.
I rzeczywiście, nieco się nawet przespaliśmy.
Gdy obudziliśmy się, nasze bagaże leżały już pod drzwiami. Przebraliśmy się w zwykłe rzeczy, licząc na bezpretensjonalność Valcarenghiego. Wjechaliśmy na szczyt Wieży.

Biuro administratora planety nie przypominało w niczym tego, co zwykło się uważać za biuro. Nie było w nim biurka ani innych zwykłych rekwizytów. Był za to bar, niezwykle puszyste dywany, w których grzęzło się na wysokość kostek i kilka foteli. Poza tym mnóstwo przestrzeni, słońca, no i wspaniały widok na Shkeen za szklanymi ścianami.
Valcarenghi i Gourlay już na nas czekali. Administrator pełnił osobiście obowiązki barmana. Nie umiałem rozpoznać napoju, który nam podał. Był wspaniały i chłodny, korzenny i aromatyczny. Piłem go z ogromną przyjemnością.
– Wino z Shkeen – rzekł Valcarenghi uśmiechając się, w odpowiedzi na nie postawione pytanie. – Ono się jakoś specjalnie nazywa w tutejszym języku, ale nie umiem tego jeszcze wymówić. Dajcie mi tylko trochę czasu. Jestem tu dopiero od dwóch miesięcy, a język jest niebywale trudny.

zgorzkniałe, zatrute goryczą i nienawiścią. Zawsze po przeczytaniu ich czułem się jakby zbrukany. Damooshowie są jeszcze inni. Czyta się ich z trudem i nigdy nie można znaleźć odpowiednich nazw dla ich uczuć.
A Shkeenowie? – Czułem się tak, jakbym szedł ruchliwą ulicą jakiegoś miasta na Baldurze. Chociaż niezupełnie... Czułem się raczej, jakbym był w jednej ze Straconych Kolonii, gdzie ludzie cofnęli się do stadium barbarzyństwa zapominając o swoim pochodzeniu.
Zewsząd płynęły ludzkie emocje, mocne, pierwotne, prawdziwe, lecz mniej wyrafinowane niż na Baldurze czy Starej Ziemi. Shkeenowie byli właśnie tacy – prymitywni, lecz dający się rozumieć. Czytałem radość i żal, zazdrość, złość, zgorzkniałość, pożądanie i ból. Ta sama mieszanina, która pochłania mnie zawsze, gdy się otwiera moje wnętrze.
Lyanna także czytała. Czułem, jak jej ręka tężeje. Po pewnym czasie rozluźniła się. Popatrzyłem na nią. Dostrzegła w moich oczach pytanie.
– Oni są ludźmi – powiedziała – są zupełnie tacy jak my.
Skinąłem głową.
– Może przeszli podobną ewolucję? Być może Shkeen jest starszym odpowiednikiem Ziemi, różniącym się jedynie mniej istotnymi szczegółami?
– Może masz rację. Są bardziej ludzcy niż jakakolwiek rasa, którą napotkaliśmy w Kosmosie.
Teraz sam zastanawiałem się nad własnymi słowami.
– Ale czy to wyjaśnia wątpliwości Dina? Może dlatego, że są tak podobni do nas, ich religia również oddziałuje na nas z większą siłą niż inne?
– Nie, to nie jest tak, Rob – odparła Lyanna. – Nie wydaje mi się. To chyba całkiem na odwrót. Bo przecież jeżeli oni są do nas podobni, to dlaczego z taką wielką radością idą na śmierć? Rozumiesz?
Rzeczywiście, miała rację. W emocjach i odczuciach, jakie u Shkeenów zaobserwowałem, nie było nic, co wskazywałoby na instynkt samobójczy. Nie znalazłem nic nienormalnego. A mimo to każdy mieszkaniec planety Shkeen prędzej czy później dostępował Ostatecznego Zjednoczenia.
– Powinniśmy nasze obserwacje zacieśnić do jednej lub najwyżej kilku osób – powiedziałem. – Taka mieszanina uczuć i myśli nie doprowadzi do niczego. – Rozejrzałem się w poszukiwaniu potencjalnego obiektu, gdy nagle usłyszałem dźwięk dzwonków.
Dźwięk dochodził z lewej strony i zmieszany był z odgłosami ruchu ulicznego. Złapałem Lyannę za rękę i pociągnąłem ją za sobą. Skręciliśmy w lewo w pierwszą napotkaną przecznicę.

Dzwonki były przed nami. Biegliśmy ciągle przed siebie, przez coś, co wyglądało na czyjeś podwórko ogrodzone żywopłotem, potem przez jeszcze jedno podwórko, dół z nawozem. Minęliśmy kilka domów i znowu znaleźliśmy się na ulicy. Tu właśnie napotkaliśmy dzwoniących.
Było ich czterech. Ubrani byli w długie powłóczyste szaty z jaskrawoczerwonego materiału. Każdy z nich trzymał po jednym dzwonku z brązu w każdej ręce. Dzwonili bez przerwy, wymachując rytmicznie ramionami, a ostre tony wypełniały całą ulicę. Byli w zaawansowanym jak na Shkeenów wieku – bezwłosi, z twarzami poprzecinanymi milionami zmarszczek. Ale uśmiechali się radośnie, a młodsi Shkeenowie, przechodzący obok, odwzajemniali uśmiechy.
Na głowie każdego z nich znajdowała się Greeshka.
Spodziewałem się, że widok będzie ohydny. Myliłem się jednak. Pasożyty wyglądały jak kule jakiejś lepkiej karmazynowej cieczy. Wielkość wahała się od niewielkiej pulsującej brodawki na tylnej części czaszki do wielkiej czerwonej płachty przykrywającej głowę i ramiona swojej ofiary na kształt mniszego kaptura. Greeshka, jak wiadomo, żywi się krwią swoich ofiar. I wolno – o jakże wolno – pożera swego żywiciela.
Stanęliśmy z Lyanną w niewielkiej od nich odległości, obsrwując uważnie. Twarz Lyanny była uroczysta, moja chyba również. Wszyscy inni uśmiechali się radośnie, a i melodie wydzwaniane przez Dopuszczonych były melodiami radości.
Uścisnąłem lekko rękę Lyanny.
– Czytajmy – wyszeptałem.
Czytaliśmy.
Wyczytałem dzwony. Nie dźwięk dzwonów, lecz ich nastrój, uczucie, uczucie niesłychanej radości, wykrzykiwanej głośno, z głębi duszy. Była to pieśń Dopuszczonego. Pieśń Zjednoczenia i jedności. Przeczyta-

Lyanna siedziała na wpół przykryta kołdrą. Usiadłem obok i pocałowałem ją, uśmiechnęła się, lecz nie odwzajemniła pocałunku.

– Hej – odezwałem się. – Co się stało?

– Głowa – odparła. – Myślałam, że po pastylkach na wytrzeźwienie nie ma się kaca.

– Teoretycznie tak powinno być. Moja podziałała świetnie. – Podszedłem do ściennej szafy w poszukiwaniu ubrania.

– Tu gdzieś powinny być środki od bólu głowy. Nie sądzę, by Dino zapomniał o tak oczywistej rzeczy.

– Chyba masz rację. Rzuć mi coś...

Wyszukałem jeden z kombinezonów i rzuciłem go w jej kierunku. Wstała i ubrała się. Następnie poszła do łazienki.

– Masz rację, że nie zapomniałby o tak oczywistej rzeczy.

– To solidny typ.

Uśmiechnęła się.

– Poza tym wydaje mi się, że Laurie zna język Shkeen nieco lepiej od niego. Przeczytałem ją. Dino popełnił nieco błędów w tłumaczeniu.

– Domyślałam się tego. Nie chcę wcale dyskredytować umiejętności Valcarenghiego. Laurie ma przecież cztery miesiące przewagi. – Czy przeczytałeś coś ponadto?

– Nie. Próbowałem z mówcami, ale odległość była zbyt wielka.

Podeszła do mnie i ujęła moją rękę.

– Dokąd dziś idziemy?

– Do Shkeentown – odpowiedziałem. – Spróbujemy odnaleźć któregoś z tych Dopuszczonych. Nie zauważyłem żadnego z nich podczas Zebrania.

– Bo Zebrania są dla tych, którzy dopiero mają być dopuszczeni.

– Tak, słyszałem. Chodźmy.

Zatrzymaliśmy się na poziomie czwartym, gdzie zjedliśmy spóźnione śniadanie. Człowiek, który czekał na nas w hallu, wskazał nam pojazd. Był to zielony, czteroosobowy sportowy wóz. Nie rzucał się w oczy, był więc doskonały do naszej roboty.

Na rogatkach miasta zatrzymałem się. Dalej poszliśmy pieszo. Wiedzieliśmy, że tak będzie lepiej.

W porównaniu z Shkeentown – miasto zamieszkałe przez ludzi było puste. Na drogach z tłuczonego kamienia widzieliśmy pełno tubylców krzątających się ruchliwie we wszystkich możliwych kierunkach. Nosili cegły, kosze napełnione tkaninami i jedzeniem. Wszędzie pełno było dzieci, w większości nagich. Baraszkowały niczym pomarańczowe kule, wpadając co chwilę na siebie i wesoło wykrzykując. Swoją urodą różniły się nieco od dorosłych. Miały rzadkie kępki włosów, a ich gładka jeszcze skóra pozbawiona była zmarszczek. Były to jedyne stworzenia, które zwracały na nas uwagę. Dorośli, zajęci swoimi sprawami, rzadko odwracali się w naszą stronę. Najwidoczniej ludzie nie byli rzadkością na ulicach świętego miasta.

Przeważali piesi, chociaż spotkać też można było drewniane wozy. Zwierzęta pociągowe, używane przez Shkeenów przypominały nasze psy. Natura obdarzyła je zieloną maścią i wyglądały tak, jakby za chwilę miały przeżyć atak choroby. Zaprzęgano je do wozów parami. Ciągnąc wóz nieustannie skomlały. Chyba właśnie dlatego ludzie nazywali je „skomlaczami". Poza skomleniem, nieustannie wydalały kał. Odór, zmieszany z zapachem żywności przenoszonej w koszach, nadawał miastu specyficzną atmosferę...

A miasto też było hałaśliwe, ze wszystkich stron dobiegał nie kończący się łoskot, śmiechy dzieci, głośne rozmowy dorosłych przypominające piski, jęki i pomruki rannych, skomlenie zwierząt pociągowych, stukot drewnianych kół po kamienistej, nierównej nawierzchni. Szliśmy z Lyanną trzymając się za ręce. Milczeliśmy, patrzyliśmy, słuchaliśmy, wąchaliśmy i... czytaliśmy.

Gdy tylko weszliśmy do miasta, zmobilizowałem cały swój potencjał psychiczny – i zacząłem czytać wszystkich, którzy mnie mijali. Emocje i uczucia ogarniały mnie niczym fala potęgująca się, gdy się do mnie zbliżali, malejąca gdy się oddalali. Płynąłem w morzu wrażeń i uczuć, które zdumiewały.

Zdumiewały, ponieważ były nam bliskie i znajome. Często zdarzało mi się czytać mieszkańców innych planet. Było to czasami trudne, a czasami łatwe, nigdy jednak przyjemne. Hranganowie na przykład mieli umysły

– Uczysz się języka Shkeen? – w głosie Lyanny brzmiało zdumienie. Znałem przyczynę jej zaskoczenia. Język Shkeen jest niesłychanie trudny dla ludzi, podczas gdy mieszkańcy planety uczą się języków ziemskich z dużą łatwością. Większość z nich przechodzi nad tym faktem do porządku dziennego, uszczęśliwiona, że nie musi sprawiać sobie nowych kłopotów.

– To pozwala mi zrozumieć ich sposób myślenia – wyjaśnił Valcarenghi. – Tak przynajmniej mówi teoria. – Uśmiechnął się znowu.

Próbowałem go ponownie przeczytać, choć tym razem było to bardziej skomplikowane. Uchwyciłem tylko jedno uczucie – była to duma, zmieszana z zadowoleniem. Złożyłem to na karb wina.

– Jakkolwiek ten trunek się nazywa, smakuje mi – powiedziałem.

– Na Shkeen produkuje się dużo gatunków napojów i potraw – podjął Gourlay. – Zapewniliśmy sobie eksport niektórych z nich i staramy się go zwiększyć. Powinno dobrze pójść...

– Będziecie mieli okazję popróbować nieco tutejszych specjalności dziś wieczorem – wtrącił Valcarenghi. – Zorganizowałem dla was wycieczkę po mieście z paroma przystankami w Shkeen City. Jak na miasto tej wielkości mamy tu wcale interesujące życie nocne. Będę waszym przewodnikiem.

– Brzmi to obiecująco – powiedziałem.

Lyanna uśmiechnęła się. Wycieczka zapowiadała się na nieco wymuszoną. Większość Normalnych czuje się źle w towarzystwie Talentów. Zwykle więc każą nam robić to, co do nas należy i pozbywają się nas tak szybko, jak to możliwe. Najwyraźniej nie potrafią się z nami żyć.

– A teraz do rzeczy – powiedział nagle Valcarenghi odstawiając drinka i poprawiając się w fotelu. – Czy czytaliście o Kulcie Jedności?

– Jedna z religii Shkeen – stwierdziła Lyanna.

– Jedyna religia Shkeen – poprawił Valcarenghi. – Każdy mieszkaniec tej planety jest wyznawcą Kultu. To jest planeta heretyków.

– I co o tym myślicie?

Wzruszyłem ramionami.

– Ponure, prymitywne. Ale nie bardziej niż inne tego typu religie. Mieszkańcy tej planety nie są zbyt zaawansowani w rozwoju. Na Ziemi również istniały kiedyś religie wymagające ludzkich ofiar.

Valcarenghi potrząsnął głową i spojrzał w kierunku Gourlaya.

– Nie, nic nie zrozumieliście – zaczął Gourlay odstawiając swój kieliszek na dywan. – Zajmuję się tą religią już od sześciu lat. Ona nie ma odpowiednika w historii. Nie było niczego takiego ani na Ziemi, ani na innych zamieszkanych planetach, które dotąd napotkaliśmy. Jeżeli chodzi o Zjednoczenie, to wydaje mi się, że to nie to samo, co ludzka ofiara. To złe porównanie. Religie ziemskie poświęcały paru osobników, oczywiście wbrew ich woli. Celem było przebłaganie złych bóstw. Zabić niewielu, by zyskać łaskę dla milionów. Ci wybrani zwykle protestowali. Tu jest inaczej. Greeshka zabiera wszystkich. I wszyscy się na to godzą. Godzą się z ochotą. Niczym lemingi, udają się do jaskiń, by pozwolić się pożreć tym potworom. Każdy mieszkaniec staje się Dopuszczonym w wieku lat czterdziestu, a Ostateczne Zjednoczenie następuje, zanim dojdzie do pięćdziesięciu.

Byłem nieco zmieszany.

– W porządku – odparłem. – Widzę różnicę, przynajmniej tak mi się zdaje. Ale co z tego wynika? Czy musimy się o to martwić? Ta religia jest nieco surowa, ale to sprawa tubylców. Nie różni się ona zresztą wiele od rytualnego kanibalizmu Hranganów.

Valcarenghi wstał i poszedł w kierunku baru. Napełniając ponownie swój kieliszek, odezwał się tonem nieledwie beztroskim.

– O ile wiem, kanibalizm Hranganów nie mógł poszczycić się wyznawcami wśród ludzi.

Lyanna spojrzała skonsternowana. Czułem się podobnie. Wstałem.

– Co takiego?

Valcarenghi wrócił na swoje miejsce z pełnym kieliszkiem w ręku.

– Ludzie także przyłączają się do Kultu Zjednoczenia. Wielu z nich zostało już przyjętych w poczet Dopuszczonych. Nikt nie dostąpił jak dotąd Ostatecznego Zjednoczenia, ale to tylko kwestia czasu. – Usiadł i spojrzał na swego zastępcę. My również podążyliśmy za jego wzrokiem.

Gourlay podjął temat.

– Pierwszy nawrócony zdarzył się jakieś siedem lat temu. Czyli na rok przed moim przybyciem, a w dwa i pół

roku po odkryciu Shkeen i zbudowaniu naszego osiedla. Facet nazywał się Magly. Psycholog. Talent typu psi. Pracował w ścisłym kontakcie z mieszkańcami planety. Nawrócił się po dwóch latach. Potem z roku na rok zdarzało się to coraz częściej. Jeden z nawróconych to nie byle kto, sam Phil Gustaffson.

Lyanna zmrużyła oczy.

– Administrator?

– Ten sam – odparł Gourlay. – Nasi administratorzy, jak wiecie, zmieniali się dość często. Gustaffson przyszedł po Rockwoodzie, który nie mógł już tutaj wytrzymać. Był to sympatyczny człowiek, lubiany przez wszystkich zanim tu przybył. Podczas swej ostatniej misji stracił żonę i dzieci, a mimo to był zawsze serdeczny i pełen radości. Zainteresował się religią Shkeen, zaczął rozmawiać z tubylcami. Rozmawiał z Maglym i z innymi nawróconymi. Poszedł nawet zobaczyć Greeshkę w jaskiniach. To nim wstrząsnęło. Do tego stopnia, że przez jakiś czas nie poruszał tego tematu, w końcu jednak powrócił do niego. Próbowałem go rozgryźć, ale tak naprawdę nigdy nie wiedziałem, co go nurtuje. Nieco ponad rok temu nawrócił się. Teraz należy do Dopuszczonych. Nikogo jeszcze nie przyjęto tak prędko. Słyszałem pogłoski, że prawdopodobnie dostąpi Ostatecznego Zjednoczenia przed czasem. Może to nastąpić lada dzień.

Phil był administratorem dłużej niż ktokolwiek inny. Ludzie byli do niego przywiązani, lubili go. Gdy się nawrócił, wielu z jego przyjaciół poszło w jego ślady. Od tego czasu częstotliwość nawróceń wzrasta.

– Teraz wynosi nieco poniżej 1 procent, lecz ciągle rośnie – dodał Valcarenghi. – To wydaje się niewiele, ale należy pamiętać o proporcjach. Jeden procent ludzi, którzy mi podlegają, przyjmuje wyznanie wymagające popełnienia raczej nieprzyjemnego samobójstwa.

– Dlaczego nie pisaliście o tym w waszych materiałach? – Lyanna patrzyła badawczo to na jednego, to na drugiego.

– Chyba powinniśmy – usprawiedliwiał się Valcarenghi. – Ale Stuart, który został administratorem po Gustaffsonie, obawiał się skandalu. Prawo nie zabrania ludziom przyjmowania obcych religii, więc Stuart utrzymywał, że nie ma problemu. Składał raporty o ilości nawróceń nie wspominając o tym, na co się ci ludzie nawracają. Zresztą nikt ze zwierzchników tym się nie interesował...

Skończyłem drinka i odstawiłem pusty kieliszek.

– Mów dalej.

– Jednakże widzę w tym wszystkim jeden problem – powiedział. – Nie tyle obchodzi mnie, ilu jest nawróconych, co przeraża mnie sama myśl o tym, że ludzie będą pożerani przez tę piekielną Greeshkę. Od czasu gdy objąłem rządy, skierowałem do pracy nad tym zagadnieniem kilku psychologów, ale jak dotąd nie potrafią się z tym uporać. Potrzebuję Talentu. Chcę, żebyście odpowiedziali mi na pytanie: dlaczego ci ludzie się nawracają. Dopiero potem będę mógł coś z tym zrobić.

Problem był nietypowy, ale zadanie sformułowane jasno. Na wszelki wypadek przeczytałem Valcarenghiego. I tym razem nie potrafiłem jednak przeniknąć w głębsze pokłady jego świadomości. Panował nad swymi ukrytymi problemami, jeżeli je oczywiście posiadał.

Spojrzałem na Lyannę. Siedziała w dziwnej pozycji. Kurczowo ściskała swój kieliszek. Także czytała. Nagle rozluźniła się, spojrzała w moim kierunku i kiwnęła głową.

– W porządku – powiedziałem. – Myślę, że możemy się tego podjąć.

Valcarenghi uśmiechnął się.

– Nigdy w to nie wątpiłem – powiedział. – Nie wiedziałem tylko czy zechcecie. Ale dosyć o tym na dzisiaj. Obiecałem wam nocne atrakcje, a musicie wiedzieć, że zawsze dotrzymuję obietnic. Spotkajmy się na dole w hallu za pół godziny.

Tym razem ubieraliśmy się prawie wizytowo. Dla siebie wybrałem niebieską tunikę, białe spodnie oraz pasującą do tego zestawu ażurową apaszkę. Nie był to ostatni krzyk mody, ale liczyłem na to, że Shkeen z pewnością nie nadąża za nowinkami. Lyanna włożyła biały jedwabny kombinezon w wąskie niebieskie paski, które przyjmując kształt jej sylwetki tworzyły zmysłowy wzór. Całość wyglądała frywolnie i pociągająco. Uzupełnieniem tego wszystkiego była błękitna pelerynka.

– Valcarenghi jest zabawny – zauważyła, narzucając ją.

– Tak? – walczyłem właśnie z oporną zatrzaską przy mojej tunice. – Czyżbyś dostrzegła coś czytając go?

pojawiła się następna osoba, ale Valcarenghi położył znacząco rękę na mym ramieniu i skierowaliśmy się do wyjścia.

Chłodne powietrze nocy uderzyło nas niczym strumień zimnej wody i dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że cały jestem mokry. Valcarenghi ruszył szybko w kierunku poduszkowca. W Hali mowy ciągle trwały, a zgromadzeni Shkeenowie nie okazywali żadnych oznak zmęczenia.

– Te zebrania ciągną się całymi dniami, czasami trwają przez wiele tygodni – powiedziała Laurie, gdy znaleźliśmy się w pojeździe. – Shkeenowie starają się słuchać nieprzerwanie, chcą uchwycić każde wypowiadane tam słowo. Jednakże prędzej czy później zmęczenie daje o sobie znać. Robią krótkie przerwy i powracają, by słuchać dalej. To wielkie wyróżnienie wytrwać całe zgromadzenie bez snu.

Valcarenghi przerwał jej w pół zdania:

– Pewnego dnia mam zamiar tego dokonać – powiedział. – Nigdy nie wytrzymałem więcej niż dwie doby, ale wydaje mi się, że wzmocniony narkotykami dam sobie radę. Lepiej zrozumiemy Shkeenów, jeżeli poważniej podejdziemy do ich rytuałów. – Hm – może właśnie Gustaffson rozumował podobnie – uśmiechnął się beztrosko. – Ale ja nie mam zamiaru angażować się w to wszystko aż tak głęboko.

W czasie podróży do domu panowało przytłaczające milczenie. Wszyscy byli zmęczeni. Straciłem rachubę czasu, ale podejrzewałem, że niedługo nadejdzie świt. Lyanna siedziała skulona, wtulona w moje ramię. Wyglądała na wyczerpaną i wypaloną wewnętrznie. Czułem się zresztą podobnie.

Wysiedliśmy przy wejściu do Wieży. Windy natychmiast zaniosły nas na górę. Byłem zbyt zmęczony, by o czymkolwiek myśleć. Bardzo, bardzo szybko zasnąłem.

Miałem tej nocy dziwny sen, który z nastaniem światła dziennego uszedł z mej pamięci pozostawiając wewnętrzną pustkę i wrażenie, że zostałem oszukany. Leżałem obejmując Lyannę i patrząc w sufit. Starałem przypomnieć sobie nocne wrażenia. Bezskutecznie.

Nagle stwierdziłem, że myślami jestem przy wczorajszym zebraniu, analizując w pamięci jego przebieg. W końcu otrząsnąłem się i wstałem. Przed zaśnięciem zaciemniliśmy szklaną ścianę i w ten sposób pokój pogrążony był ciągle w egipskich ciemnościach. Bez trudu jednak znalazłem odpowiednie urządzenie i do pokoju wpadło światło późnego poranka.

Lyanna zaprotestowała sennym głosem i przewróciła się na drugi bok. Pozostawiłem więc ją samą i wyszedłem do biblioteki, mając nadzieję, że znajdę na temat planety i jej mieszkańców coś więcej niż to, co znajdowało się w materiałach, które nam przysłano. Niestety, zawartość biblioteki była całkowicie relaksowa. O poważnym materiale nie było mowy. Odszukałem wideofon, połączyłem się z biurem Valcarenghiego. Zgłosił się Gourlay.

– Halo! Dino spodziewał się, że zadzwonicie. Nie ma go w tej chwili. Prowadzi pertraktacje dotyczące kontraktu handlowego. Potrzebujecie czegoś?

– Książek – powiedziałem sennym jeszcze głosem. – Coś na temat Shkeenów.

– Tego życzenia, niestety, nie mogę spełnić. Po prostu nie ma takich książek. Jest wprawdzie mnóstwo artykułów, ale, niestety, żadnych całościowych opracowań. Mam zamiar napisać książkę, ale to kwestia przyszłości. Dino miał nadzieję, że mogę wam pomóc...

– Tak?

– Macie jeszcze jakieś pytania?

Zastanawiałem się przez chwilę.

– Chyba nie. Chciałem się tylko dowiedzieć czegoś więcej o tych zebraniach.

– Porozmawiamy o tym później – odrzekł Gourlay. – Dino był pewien, że będziecie dzisiaj pracować. Możemy albo sprowadzić ludzi do Wieży, albo wy wyjdziecie do nich.

– Raczej to drugie – powiedziałem pospiesznie. Przyprowadzenie rozmówców na wywiad wszystko psuje. Są podekscytowani, a to uniemożliwia prawidłowe odczytanie emocji. W czasie takich wywiadów mogą też myśleć o innych sprawach, a to z kolei utrudniłoby pracę Lyannie.

– Świetnie – powiedział Gourlay. – Dino zostawił poduszkowiec do waszej dyspozycji. Możecie go odebrać kiedy chcecie. Dadzą wam również parę kluczy, byście mogli bezpośrednio, bez przechodzenia przez sekretariat przychodzić do naszego biura.

Podziękowałem mu, wyłączyłem wideofon i powróciłem do sypialni.

w połowie tak dobrze. Wyglądało to trochę tak, jakby mówca pragnął, byśmy przeżyli z nim jeszcze raz całe jego życie.

Jego wystąpienie trwało całe godziny. Wreszcie zaczynało dobiegać końca.

– Teraz mówi o Zjednoczeniu – wyszeptał Valcarenghi. – Niedługo będzie pomiędzy Dopuszczonymi i jest z tego powodu bardzo szczęśliwy. Pragnął tego od dawna. Jego bieda niedługo się skończy, jego samotność minie. Już wkrótce będzie chodził ulicami świętego miasta, wyrażając swą radość dźwiękiem dzwonków. A potem nastąpi Ostateczne Zjednoczenie. I znajdzie się ze swymi braćmi w świecie pozagrobowym.

– Nie, Dino – wyszeptała Laurie. – Nie mieszaj do tego ludzkich pojęć. On nie będzie z e s w y m i braćmi. On będzie s w y m i braćmi. Wynika stąd, że i jego bracia będą nim.

Valcarenghi uśmiechnął się.

– O'key, Laurie, jeżeli tak twierdzisz...

Nagle gruby rolnik zniknął z platformy. Tłum zafalował i nowa postać pojawiła się na podwyższeniu. Znacznie niższa, niezmiernie pomarszczona, z wielkim pustym oczodołem. Zaczęła mówić, z początku chaotycznie, lecz później opanowała się i można było wszystko zrozumieć.

– Ten jest murarzem, zbudował już wiele domów i mieszka w świętym mieście. Stracił oko wiele lat temu, gdy spadł z dachu i nadział się na ostry kij. Pamięta straszny ból, ale już po roku powrócił do pracy, nie prosząc o wcześniejsze Dopuszczenie. Jest dumny ze swej odwagi. Ma żonę, ale nie doczekał się potomka. To go bardzo martwi. Nie może dogadać się z żoną. Nawet gdy są razem, to są osobno. Ona płacze po nocach. Nigdy jej w niczym nie skrzywdził i...

Znowu mijały godziny. Utonąłem całkowicie w szepcie Valcarenghiego i historii jednookiego murarza. Podobnie jak inni – śledziłem jego losy. W środku było gorąco, brakowało świeżego powietrza. Moja tunika stawała się lepka od potu. Nie zwracałem na to zbytniej uwagi.

Drugi mówca, podobnie jak i poprzedni zakończył wypowiedź długim hymnem pochwalnym na cześć Dopuszczenia i Ostatecznego Zjednoczenia. Pod koniec nie potrzebowałem już prawie tłumaczenia Valcarenghiego. Z głosu przebijało szczęście. Zastanowiłem się, czy go nie czytam. Ale, jak już powiedziałem, był zbyt daleko. A poza tym obiekt musiałby być bardzo zaangażowany emocjonalnie.

Trzeci Shkeen pojawił się na podwyższeniu i przemówił głośniej od innych.

– Tym razem kobieta – powiedział Valcarenghi. – Urodziła ośmioro dzieci. Ma cztery siostry i trzech braci. Całe swoje życie pracowała na roli...

Nagle jej głos zaczął się załamywać i skończyła serią ostrych, wysokich pogwizdów. Zapadło milczenie. Tłum jak gdyby był jedną osobą zaczął odpowiadać pogwizdami. Niesamowita muzyka wypełniła halę. Shkeenowie wokół nas kiwali się i pogwizdywali. Kobieta na podwyższeniu patrzyła na to stojąc pochylona mocno do przodu.

Valcarenghi zaczął tłumaczyć, lecz zawahał się na moment. Laurie przejęła rolę tłumacza zanim zdążył odzyskać wątek.

– Opowiedziała im o swej wielkiej tragedii – wyszeptała. – Oni wyrażają teraz swe współczucie dla niej, jednoczą się z nią w jej bólu.

– Tak, chodzi o współczucie – potwierdził Valcarenghi. – Gdy była młoda, zachorował jej brat i wydawał się być prawie konający. Jej rodzice kazali zabrać go do świętego miasta, ponieważ sami nie mogli opuścić młodszych dzieci. Ale z powodu jej nieostrożnej jazdy roztrzaskało się koło u wozu i brat skonał nim dotarł do miasta. Odszedł bez Zjednoczenia. Czuje się za to winna.

Kobieta rozpoczęła od nowa. Laurie zaczęła tłumaczyć cichym szeptem.

– Jej brat umarł. Zawiodła go, odebrała mu możliwość Zjednoczenia. Teraz jest samotny. Odszedł i nie ma go w... w...

– Życiu pozagrobowym – wtrącił administrator. – Nie ma go w życiu pozagrobowym.

– Nie jestem pewna czy jest to poprawne – powiedziała Laurie. – To pojęcie...

Valcarenghi uciszył ją gestem ręki.

– Posłuchaj – powiedział.

Tłumaczył dalej.

Mówiła najdłużej ze wszystkich, a jej historia była najbardziej ponura. Gdy skończyła, na jej miejscu

– Ależ nie.

Skończyła ubieranie się i przeglądała się teraz z upodobaniem w lustrze. Nagle odwróciła się gwałtownie w moim kierunku.

– Sęk w tym, że on mówi dokładnie to, co ma na myśli. Istnieją wprawdzie różnice w doborze słów, ale to nie ma znaczenia. Jego uwaga skoncentorwana była wyłącznie na temacie naszej rozmowy. Poza tym napotykałam nieprzeniknioną ścianę. – Uśmiechnęła się. – Nie dotarłam do żadnego z jego głębszych sekretów.

Udało mi się w końcu zapiąć zatrzaskę.

– Nie szkodzi – powiedziałem. – Masz cały dzisiejszy wieczór na ponowne próby.

Skrzywiła się.

– Nie. Nie czytam ludzi w czasie spotkań towarzyskich. To nie jest fair. Poza tym wymaga to dużego wysiłku i koncentracji. Żałuję czasem, że nie potrafię czytać myśli tak łatwo jak ty czytasz uczucia.

– I tak jesteś bardziej utalentowana ode mnie. – Myszkowałem w bagażach w poszukiwaniu apaszki. W końcu zdecydowałem się jej nie brać. Apaszki i tak wychodziły z mody, a żadnego innego gustownego dodatku nie miałem. – Ja też nie dowiedziałem się niczego szczególnego o Valcarenghim. Tyle samo można by stwierdzić obserwując jego twarz. Musi starannie panować nad sobą. Ale wybaczam mu, ma świetne wino.

– Masz rację! Ono mi dobrze zrobiło. Znikł ból głowy, z którym się obudziłam.

– To z powodu wysokości – zauważyłem.

Ruszyliśmy w kierunku drzwi. Hall był prawie pusty, ale Valcarenghi nie pozwolił długo na siebie czekać. Towarzyszyła mu kobieta, oszałamiająca kasztanowowłosa zjawa o nazwisku Laurie Blackburn. Była młodsza niż Valcarenghi. Na oko mogła mieć około dwudziestu pięciu lat.

Tym razem administrator zabrał nas swym własnym nieco wysłużonym czarnym wozem.

Gdy wyruszyliśmy słońce zachodziło. Cały odległy horyzont był jednym pasmem czerwieni i pomarańczy. Z nizin dochodziła nas chłodna ożywcza bryza. Valcarenghi wyłączył klimatyzację i otworzył okna pojazdu. Obserwowaliśmy leżące poniżej, pogrążające się w mroku miasto.

Kolację zjedliśmy w dużej restauracji urządzonej w stylu baldurianskim. Gospodarze wybrali ją chyba po to, byśmy czuli się jak u siebie. Potrawy były jednak bardziej kosmopolityczne: przyprawy, zioła i sposób przyrządzania pochodziły z Balduru, mięsa i jarzyny były miejscowe. Kombinacja w sumie okazała się ciekawa. Valcarenghi osobiście zamawiał wszystkie dania i prędko nasyciliśmy się próbując około tuzina różnych potraw. Najbardziej °akował mi mały miejscowy ptaszek przyrządzony w sosie soustangowym. Nie było tego wiele, ale smakowało wspaniale. Opróżniliśmy też trzy butelki wina: butelkę Shkeen, które już znaliśmy, butelkę mrożonego Veltaar z Balduru i prawdziwego Burgunda ze Starej Ziemi.

Rozmowa ożywiła się szybko, Valcarenghi był urodzonym gawędziarzem i równocześnie dobrym słuchaczem. Ostatecznie zeszliśmy na Shkeen i jej mieszkańców. Najwięcej mówiła Laurie. Była na planecie od sześciu miesięcy, pracując nad doktoratem z antropologii pozaziemskich. Próbowała odpowiedzieć na pytanie: dlaczego cywilizacja Shkeen przez tak długie tysiąclecia nie rozwijała się w widoczny sposób.

– Oni są znacznie starsi niż my – podkreślała. – Budowali miasta zanim człowiek nauczył się korzystać z narzędzi. Właściwie to mieszkańcy Shkeen powinni skolonizować Ziemię, a nie odwrotnie.

– Czy nie ma teroii wyjaśniających ten fakt? – pytałem.

– Są, ale żadna z nich nie jest powszechnie akceptowana. Cullen na przykład wspomina o braku ciężkich metali. Jest to istotne, ale czy można tym wszystko wyjaśnić? Wedle Von Hamrina, mieszkańcy Shkeen nie posiadają w ogóle instynktu walki. Planeta nie jest zamieszkiwana przez drapieżniki, stąd nie ma warunków do rozwoju elementu agresywności. Teorię tę ostatecznie skrytykowano. Okazało się bowiem, że Shkeen wcale nie jest aż tak idylliczna. Gdyby tak było, nigdy nie osiągnęłaby obecnego etapu rozwoju. Poza tym czymże jest Greeshka – jeżeli nie drapieżnikiem? Ona ich przecież pożera.

– A co ty o tym sądzisz? – spytała Lyanna.

– Wydaje mi się, że ta sprawa ma coś wspólnego z religią, mimo że nic pewnego jeszcze nie wiem. Dino pomaga mi w nawiązywaniu kontaktów. Mieszkańcy są niezwykle otwarci, a mimo to prowadzenie badań wcale nie jest proste. – Urwała nagle i spojrzała uważnie na Lyannę – szczególnie dla mnie. Spodziewam się, że wam będzie łatwiej.

Słyszeliśmy to już wiele razy. Normalni myślą, że Talenty korzystają często z metod nie fair, co zresztą jest

zrozumiałe. To prawda. Ale Laurie nie miała nic złego na myśli. Powiedziała to tonem obojętnym, stwierdzając fakt, bez zwykłej w takich przypadkach zjadliwej zazdrości.

Valcarenghi objął ją swym ramieniem.

– Chyba już dość tej gadaniny. Robb i Lyanna nie powinni się tym teraz martwić. Zostaw im czas do jutra.

Laurie spojrzała na niego i uśmiechnęła się kokieteryjnie.

– O'key, chyba nieco przesadziłam. Wybaczcie mi.

– Wszystko w porządku – odparłem. – To bardzo interesujący temat. Jeszcze trochę, a sami się do niego zapalimy.

Lyanna potwierdziła skinięciem głowy. Dodała również, że jeżeli znajdziemy cokolwiek, co potwierdzałoby teorię Laurie, to ją niezwłocznie zawiadomimy.

Nie słuchałem jej prawie. Wiem, że nietaktem jest czytanie Normalnych w takich sytuacjach, ale i tym razem nie mogłem się pohamować.

Valcarenghi przyciągnął Laurie ku sobie. Z poczuciem winy przeczytałem go szybko. Był w podniosłym nastroju, trochę pijany. Czuł się panem sytuacji. Laurie była natomiast istną dżunglą. Niepewność i tłumiona złość, trochę strachu i miłość. Nieco zagmatwana, ale dostatecznie wyraźna i mocna. Na pewno nie w stosunku do mnie i do Lyanny. Kochała Valcarenghiego.

Opuściłem dłoń pod stół w poszukiwaniu ręki Lyanny. Dotknąłem jej kolana i uścisnąłem lekko. Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się. Na szczęście nie czytała. Fakt, że Laurie kochała Valcarenghiego martwił mnie nieco, choć sam nie bardzo wiedziałem dlaczego. Byłem więc zadowolony, że Lyanna nie dostrzega mego zawodu.

Wysączyliśmy ostatnią butelkę wina i Valcarenghi pospiesznie uregulował rachunek. Wstał.

– W drogę – oznajmił krótko. – Noc jest pogodna, a my mamy jeszcze kilka miejsc do odwiedzenia.

I odwiedziliśmy, co prawda nie jarzmarczny show i nie podejrzane miejsca, których w mieście nie brakowało, lecz kasyno gry. Hazard na tej planecie był oczywiście dozwolony. A gdyby nawet tak nie było, to i tak Valcarenghi zalegalizowałby go zaraz po objęciu swego urzędu.

Pobrał kilka żetonów. Zarówno Laurie jak i ja przegraliśmy. Lyannie nie pozwolono grać. Jej Talent był zbyt niebezpieczny. Natomiast Valcarenghi wygrał sporo. Radził sobie równie doskonale w kombinacjach umysłowych jak i w trudnej ruletce.

Potem wstąpiliśmy do baru. Wypiliśmy następną porcję alkoholu, po czym byliśmy świadkiem miejscowej zabawy, ciekawszej niż się spodziewałem.

Gdy wyszliśmy na dworze panowały egipskie ciemności. Sądziłem, że na tym skończy się nasza nocna eskapada. Valcarenghi jednak zaskoczył nas. Gdy siedzieliśmy już w pojeździe sięgnął do skrytki po pastylki na wytrzeźwienie. Rozdał każdemu z nas po jednej.

– Słuchaj – wtrąciłem – po co mi to? – Przecież ty prowadzisz. Ledwo się tu przywlokłem.

– Mam zamiar pokazać wam miejscowe wydarzenie i to dużego kalibru. Nie chcę, żebyście zachowywali się nieodpowiednio. Weźcie te pigułki.

Przełknąłem i szum w mojej głowie zaczął mijać. Valcarenghi włączył już silnik i wóz wzbijał się w powietrze. Usiadłem wygodniej, przytulając Lyannę, której głowa spoczywała na moim ramieniu.

– Dokąd jedziemy? – spytałem.

– Do Shkeentown – odrzekł nie oglądając się za siebie, do Wielkiej Hali... Odbywa się tam właśnie zebranie i pomyślałem sobie, że może to was zainteresuje.

– Będzie oczywiście prowadzone w języku Shkeen – powiedziała Laurie – ale Dino będzie tłumaczył. Ja też znam trochę ten język, więc będę go uzupełniać.

Lyanna wyglądała na podekscytowaną. Oczywiście czytaliśmy o Zebraniach, lecz nie przypuszczaliśmy, że ujrzymy je już w pierwszym dniu naszego pobytu. Zebrania te należą do tutejszego rytuału religijnego. Jest to zbiorowa spowiedź pielgrzymów, którzy mają być przyjęci w szeregi Dopuszczonych. Pielgrzymi oczywiście byli obecni w mieście przez cały czas, lecz zebranie odbywało się zaledwie trzy lub cztery razy w roku, gdy liczba kandydatów na Dopuszczonych była dostatecznie wysoka.

Poduszkowiec sunął bezszelestnie przez jaskrawo oświetlone osiedle, przelatując nad fontannami mieniącymi się mnóstwem kolorów, i ponad ozdobnymi łukami, które zlewały się ze sobą niczym pulsujący ogień.

Oprócz naszego, w powietrzu znajdowało się jeszcze kilka innych pojazdów. Co jakiś czas przelatywaliśmy nad głowami spacerujących szerokimi chodnikami przechodniów. Ale większość mieszkańców znajdowała się w domach, skąd dobiegała muzyka, i wyślizgiwały się potoki światła.

Nagle miasto zaczęło się zmieniać, teren stawał się falisty, pojawiły się wzgórza, które szybko pozostawiliśmy za sobą, światła zniknęły. Przestronne ulice i promenady ustąpiły miejsca nieoświetlonym drogom o nawierzchni z kruszonego kamienia. Domy ze szkła i metalu zastąpione zostały przez swe ceglane odpowiedniki. Miasto Shkeen było spokojniejsze niż miasto ludzi. Domy otulała cisza i ciemność.

Z mroku wyłoniła się przed nami dość tajemnicza budowla, większa od innych, wyglądem zbliżona do wzgórza. Tkwiły w niej duże, sklepione łukiem drzwi i spora liczba wąskich okien. Z jej wnętrza wydostawało się światło i gwar rozmów. Na zewnątrz tłoczyli się Shkeenowie.

Nieoczekiwanie uprzytomniłem sobie, że choć już cały dzień znajdowałem się na tej planecie, dopiero teraz miałem oÄazję ujrzeć jej mieszkańców. Oczywiście nie mogłem ich dojrzeć zbyt wyraźnie. Lecieliśmy wysoko i w dodatku w nocy. Mimo to zauważyłem, że są mniejsi od ludzi – najwyżsi osiągali około pięciu stóp – mieli duże oczy i długie ramiona. Więcej niczego na razie nie mogłem spostrzec.

Valcarenghi wylądował w pobliżu Wielkiej Hali. Wysiedliśmy. Shkeenowie wchodzili do środka z wielu stron, poprzez drzwi wieńczone łukami. Większość była już wewnątrz. Wmieszaliśmy się w tłum. Nikt nie zwrócił na nas szczególnej uwagi prócz jednego osobnika, który powitał Valcarenghiego, cienkim, piskliwym głosem. Nawet tutaj administrator miał swoich przyjaciół.

Wnętrze stanowiła olbrzymia hala z wielkim, niezbyt wyszukanym podwyższeniem pośrodku, wokół którego tłoczyli się Shkeenowie. Jedynym źródłem światła były pochodnie osadzone na ścianach, oraz na wysokich tyczkach – wokół podwyższenia.

Akurat ktoś przemawiał i wszystkie te ogromne wypukłe oczy utkwione były właśnie w nim. Byliśmy jedynymi ludźmi w Hali.

Mówcą otoczonym aureolą świateł, okazał się Shkeen w średnim wieku, który mówiąc wykonywał dziwne, jakby hipnotyczne ruchy ramionami. Mowa składała się z serii gwizdów, skowytów i mruknięć. Nie słuchałem jej zbyt uważnie. Znajdowałem się zbyt daleko, bym mógł go przeczytać. Pozostawało mi więc studiowanie jego fizjonomii i pozostałych stłoczonych wokół mnie Shkeenów. Wszyscy byli, o ile dobrze w tym nikłym świetle widziałem, całkowicie pozbawieni owłosienia. Mieli miękką pomarańczową skórę pofałdowaną tysiącami drobnych zmarszczek. Kawały prostego wielobarwnego materiału pełniły funkcję ubrań. Nic dziwnego, że miałem trudności z rozróżnieniem płci.

Valcarenghi pochylił się ku mnie i szepnął:

– Mówca jest rolnikiem. Opowiada tłumowi skąd przybywa i przedstawia najtrudniejsze momenty swego życia.

Rozejrzałem się wokół. Szept Valcarenghiego był jedynym głosem, jaki dał się wokół mnie słyszeć. Pozostali pogrążeni byli w absolutnym milczeniu. Stali z oczyma utkwionymi w mówcę. Zaledwie oddychali.

– Mówi, że ma czterech braci – kontynuował Valcarenghi. – Dwóch dostąpiło już Ostatecznego Zjednoczenia, a jeden jest pomiędzy Dopuszczonymi. Czwarty, młodszy od niego, teraz przejął farmę. – Valcarenghi zmarszczył brwi. – Mówi, że już nigdy nie ujrzy swej farmy, ale że jest z tego powodu szczęśliwy – dokończył nieco głośniej.

– Złe urodzaje? – zapytała Lyanna, uśmiechając się zagadkowo. Również i ona usłyszała szept Valcarenghiego. Spojrzałem na nią surowo.

Shkeen kontynuował swą spowiedź. Valcarenghi starał się podążać za nim.

– Teraz mówi o swych przewinieniach i o wszystkich rzeczach, których się wstydzi. O swych najgłębiej skrywanych tajemnicach. Czasami ranił bliźnich złym słowem, jest próżny, a raz nawet pobił swego młodszego brata. – Opowiada o swojej żonie i o innych kobietach, które znał. Zdradzał żonę wiele razy kochając się z innymi. Jako mały chłopiec kopulował ze zwierzętami. Bał się kobiet. W ostatnich latach stał się impotentem, wskutek czego żonę musiał zaspokajać jego brat.

Ciągnął dalej, w nieskończoność, wspominając o detalach. Nie było sekretu, którego by nie zdradził. Stałem wsłuchany w szept Valcarenghiego, z początku zaszokowany, potem nieco znużony. Zaczynałem się niecierpliwić. Zastanawiałem się czy kiedykolwiek znałem tak dobrze jakiegoś człowieka, jak tego oto Shkeena stojącego przede mną na podwyższeniu. Zastanawiałem się czy nawet Lyanna z jej Talentem znała kogokolwiek

Przerwał mi.
– Będziesz musiał zobaczyć się z nią jeszcze raz.
– W takim razie proszę o pozwolenie na zmianę legendy.
– Co proponujesz?
– Na przykład: Jestem z Komkon-u. Na pewnej planecie stało się nieszczęście. Lew Abałkin jest świadkiem. Ale nieszczęście tak nim wstrząsnęło, że uciekł na Ziemię i teraz nie chce nikogo widzieć... Złamany psychicznie, nieomal chory. Szukamy go, żeby dowiedzieć się, co się tam wydarzyło.

Ekscelencja milczał, moja propozycja wyraźnie nie przypadła mu do gustu. Przez czas jakiś kontemplowałem jego niezadowoloną piegowatą łysinę, zasłaniającą ekran, a następnie opanowując się zacząłem od nowa.

– Proszę zrozumieć, teraz już nie można kłamać jak poprzednio... Głumowa już zdążyła się zorientować, że nie zjawiłem się u niej przypadkowo. Być może udało mi się przekonać ją że tak nie jest, ale jeśli znowu przyjdę, w tym samym charakterze będą to kpiny ze zdrowego rozsądku! Albo uwierzyła, że jestem dziennikarzem i w takim razie nie ma ze mną o czym rozmawiać, zwyczajnie pośle mnie do wszystkich diabłów. Albo nie uwierzy i w takim razie pośle mnie tym bardziej. Ja bym posłał, na przykład. Ale jeśli jestem przedstawicielem Komkon-u, to mam prawo ją pytać i już postaram się pytać tak, żeby mi odpowiedziała.

Uważam, że to wszystko brzmiało dostatecznie logicznie, w każdym razie nie umiałem teraz wymyśleć żadnego innego sposobu. I w każdym razie w roli dziennikarza idioty więcej do niej nie pójdę. Koniec końców Ekscelencja wie lepiej co jest ważniejsze – odnaleźć człowieka, czy zachować tajemnicę.

Zapytał nie podnosząc głowy:
– Po co rano poszedłeś do muzeum?
Zdziwiłem się.
– Jak to – po co? Żeby porozmawiać z Głumową...

Powoli podniósł głowę. I zobaczyłem jego oczy. Źrenice miał tak wielkie, że nie było widać tęczówki. Aż odskoczyłem. Było jasne, że powiedziałem coś przerażającego. Wybełkotałem jak uczeń:
– Ale przecież ona tam pracuje... Gdzie miałem z nią rozmawiać? Nie zastałem jej w domu...
– Głumowa pracuje w Muzeum Kultur Pozaziemskich? – wyraźnie wymawiając słowa zapytał Ekscelencja.
– Tak, a co się stało?
– W specjalnym sektorze obiektów niewiadomego przeznaczenia... – powiedział cicho. Ni to zapytał, ni to zakomunikował. Ciarki mi przeszły po grzbiecie, kiedy zobaczyłem jak prawy kącik jego cienkich warg obsunął się w dół.
– Tak – powiedziałem szeptem.
Już znowu nie widziałem jego oczu. Znowu cały ekran zasłoniła lśniąca łysina.
– Ekscelencjo...
– Zamilcz – wrzasnął. I obydwaj zamilkliśmy na długo.
– Tak – powiedział wreszcie zwyczajnym głosem. – Wracaj do siebie. Siedź w domu i nie ruszaj się ani na krok. Możesz mi być potrzebny w każdej chwili. Ale najprawdopodobniej – w nocy. Ile trzeba ci czasu na drogę?
– Dwie i pół godziny.
– Dlaczego tak dużo?
– Muszę jeszcze przepłynąć jezioro.
– Dobrze. Kiedy wrócisz do domu zawiadomisz mnie. Spiesz się.
I ekran zgasł.

Arkadij i Borys Strugaccy

ŻUK W MROWISKU

Przełożyła Irena Lewandowska

ARKADIJ STRUGACKI urodził się w 1925 roku, BORYS STRUGACKI w roku 1933. Pierwszy jest z zawodu orientalistą, drugi – astronomem. Zadebiutowali opublikowaną w 1959 roku powieścią „Strana bagrovych tucz". Od tego czasu napisali wspólnie kilkadziesiąt powieści i szereg opowiadań, z których niemal wszystkie doczekały się licznych wydań zagranicznych przynosząc autorom światową sławę. Podczas odbywającego się w 1982 roku w Mönchengladbach VII Europejskiego Kongresu SF przyznano im najwyższe europejskie wyróżnienie „Prix Europeen 1982" za całokształt twórczości. „Żuk w mrowisku" jest drugą częścią wydanej w Polsce w 1971 roku powieści „Przenicowany świat". W 1983 roku ukaże się nakładem JW „Iskry".

Ptaki, zwierzaki
pod drzwiami stały
jak do nich strzelano
to umierały

(dziecinna wyliczanka)

1 czerwca 78 roku

Pracownik Komkonu-2 Maksim Kammerer

O 13.17 Ekscelencja wezwał mnie do siebie. Oczu na mnie nie podniósł, tak że widziałem tylko łysą czaszkę pokrytą bladymi starczymi piegami – oznaczało to wysoki stopień zatroskania i niezadowolenia. Nie moimi sprawami zresztą.

– Siadaj.

Usiadłem.

– Trzeba znaleźć jednego człowieka – powiedział i nagle zamilkł. Na długo. Skórę na czole pofałdował w gniewne zmarszczki. Prychnął. Można było przypuścić, że nie spodobały mu się jego własne słowa. Albo ich forma, albo też treść. Uwielbia idealną precyzję sformułowań.

– Konkretnie – kogo? – zapytałem, żeby go wyprowadzić z filologicznej katatonii.

– Lew Abałkin. Progresor. Wyleciał przedwczoraj z Polarnej Bazy Saraksza. Nie zarejestrował się na Ziemi. Trzeba go odszukać.

Znowu zamilkł i teraz po raz pierwszy podniósł na mnie swoje okrągłe, nienaturalnie zielone oczy. Był wyraźnie zakłopotany i zrozumiałem, że sprawa jest poważna.

Progresor, który nie uznał za stosowne zarejestrować się po powrocie na Ziemię, chociaż, powiedzmy, przekroczył przepisy porządkowe nie powinien w żaden sposób interesować naszej Komisji, a już na pewno Ekscelencji osobiście. A tymczasem Ekscelencja był tak jawnie zakłopotany, że przeczuwałem – zaraz opadnie na oparcie fotela, westchnie jakby nawet z pewną ulgą i powie „Dobrze. Przepraszam. Sam się tym zajmę". Takie przypadki zdarzały się. Rzadko, ale się zdarzały.

– Są podstawy aby przypuścić – powiedział Ekscelencja – że Abałkin się ukrywa.

Piętnaście lat temu zapytałbym łapczywie „Przed kim?" – ale od tamtej pory minęło piętnaście lat i czas łapczywych pytań także dawno przeminął.

– Odnajdziesz go i zawiadomisz mnie – mówił dalej Ekscelencja. – Żadnych prób kontaktów na siłę. W ogóle żadnych kontaktów. Odnaleźć, wziąć pod obserwację i zawiadomić mnie. Ani więcej, ani mniej.

Spróbowałem ograniczyć się do solidnego kiwnięcia głową, ale Ekscelencja patrzył na mnie tak uważnie, że uznałem za konieczne spiesznie i starannie powtórzyć rozkaz.

– Mam go odszukać, wziąć pod obserwację i zawiadomić pana o tym. W żadnym razie nie próbować zatrzymać go, nie rzucać mu się w oczy, pod żadnym pozorem nie zaczynać z nim rozmów.

– Tak – powiedział Ekscelencja. – Teraz sprawa następująca.

Sięgnął do bocznej szuflady biurka, w której każdy normalny pracownik trzymał podręczny kryształkowy informator i wyciągnął stamtąd nieporęczny przedmiot, którego nazwę w pierwszej chwili przypomniałem sobie

zdziwienia nader umiejętnie uchwycony na jej uśmiechniętej i w gruncie rzeczy wesołej twarzy. Była tam jeszcze karykatura Nauczyciela, Sergieja Pawłowicza Fiedosiejewa i to karykatura mistrzowska – tak zapewne wyglądał Siergiej Pawłowicz ćwierć wieku temu. Kiedy zobaczyłem tę karykaturę uprzytomniłem sobie co to za budowle widziałem na rysunkach – ćwierć wieku temu tak wyglądała typowa euroazjatycka szkoła – internat... Wszystko to zostało naszkicowane bardzo szybko, pewnie i precyzyjnie i prawie natychmiast zostało podarte, zgniecione i wyrzucone.

Odłożyłem papiery i ponownie obejrzałem pokój. Moją uwagę zwróciła błękitna szmatka leżąca pod stołem. Podniosłem ją. Była to pomięta i podarta damska chusteczka do nosa. Oczywiście od razu przypomniałem sobie opowiadanie Akutagawy i wyobraziłem sobie jak Maja Głumowa siedziała na tym właśnie fotelu naprzeciw Lwa Abałkina, słuchała go, patrzyła na niego, a na jej twarzy błądził uśmiech za którym zaledwie słabym cieniem przelatywało może zagubienie, a może zdziwienie, a ręce pod stołem bezlitośnie gniotły i szarpały chusteczkę do nosa.

Wyraźnie widziałem Mają Głumową, ale w żaden sposób nie mogłem sobie wyobrazić co też takiego widziała i słyszała sama Maja. Wszystko zawierało się w tych rysunkach. Gdyby nie one, bez trudu zobaczyłbym na tym zdemolowanym tapczanie pospolitego oficera Imperium, prosto z koszar, korzystającego z zasłużonego odpoczynku. Ale rysunki były i coś bardzo ważnego, bardzo skomplikowanego i bardzo niejasnego kryło się za nimi.

Nie miałem już tu nic do roboty. Sięgnąłem do wideofonu i wybrałem numer Ekscelencji.

2 czerwca 78 roku

Nieoczekiwana reakcja Ekscelencji

Wysłuchał mnie, nie przerywając ani razu, co samo w sobie było już dostatecznie złym znakiem. Spróbowałem pocieszyć się myślą, że jego niezadowolenie nie ma nic wspólnego ze mną, tylko z jakimiś innymi nie związanymi ze mną okolicznościami. Ale, kiedy wysłuchał mnie do końca, powiedział ponuro.

– Z Głumową prawie nic ci nie wyszło.

– Byłem związany legendą – odparłem sucho.

Nie zaprzeczył.

– Co masz zamiar robić dalej?

– Moim zdaniem Abałkin już tu nie wróci.

– Moim również. A do Głumowej?

– Trudno powiedzieć. A raczej nic nie można powiedzieć. Nie rozumiem. Ale jakaś szansa oczywiście istnieje.

– Po co on w ogóle twoim zdaniem się z nią spotkał?

– Otóż tego właśnie nie rozumiem. Wszystko wskazuje na to, że zajmowali się tu miłością i wspomnieniami. Tylko że ta miłość to nie była taka zwykła miłość, a wspomnienia nie – to nie takie sobie zwykłe wspomnienia. Inaczej Głumowa nie byłaby w takim stanie. Oczywiście, jeśli schlał się jak świnia, mógł ją bardzo urazić... Szczególnie jeśli pamiętać jakie między nimi były dziwne stosunki w dzieciństwie...

– Nie przesadzaj – mruknął Ekscelencja. – Już dawno przestali być dziećmi. Postawmy pytanie następująco – jeśli on ją znowu wezwie do siebie, albo sam do niej przyjdzie, czy ona przyjmie go?

– Nie wiem – powiedziałem. – Prawdopodobnie – tak. On ciągle jeszcze bardzo wiele dla niej znaczy. Nie byłaby w takiej rozpaczy z powodu człowieka, który jest jej obojętny.

– Literatura – mruknął Ekscelencja i nagle wrzasnął – Powinieneś dowiedzieć się po co on ją wezwał! O czym mówili. Co on jej powiedział!

Rozgniewałem się.

– Niczego takiego dowiedzieć się nie mogłem – powiedziałem. – Dziewczyna była w stanie histerii. A kiedy przyszła do siebie siedział przed nią idiota-dziennikarz gruboskórny jak nosorożec...

problem przydatności zawodowej Abałkina staje przede mną nie po raz pierwszy... Wygląda to dość bezprecedensowo. Jedna sprawa to wyznaczenie na Progresora człowieka wbrew jego skłonnościom, a zupełnie inna wyznaczyć na Progresora kogoś czyj system nerwowy stanowi wyraźne przeciwwskazanie. Za takie numery należy wyrzucać z roboty i to nie chwilowo, a raz na zawsze, ponieważ to już nie tylko daremna strata ludzkiej energii, ale i ludzka śmierć... Tristan już nie żyje, nawiasem mówiąc... Pomyślałem sobie, że później, kiedy już znajdę Lwa Abałkina, trzeba będzie znaleźć tych ludzi z winy których nawarzono to piwo.

Jak oczekiwałem drzwi chwilowego domu Lwa Abałkina nie były zamknięte. W maleńkim hallu było pusto, na niskim okrągłym stoliku pod gazową lampą siedział maleńki niedźwiadek panda, dostojnie kiwał łebkiem i świecił rubinowymi ślepiami.

Zajrzałem na prawo do sypialni. Widocznie nikt nie wchodził co najmniej przez dwa lata, a może nawet przez trzy – automatyka świetlna nie była włączona, a nad zasłanym łóżkiem ciemniały w kącie gęste pajęczyny ze zdechłymi pająkami.

Wyminąłem stolik i wszedłem do kuchni. Kuchni ktoś używał. Na podnoszonym stoliku stały brudne talerze, okienko Linii Dostaw było otwarte, w komorze odbioru spoczywała nie odebrana paczka z kiścią bananów. Widocznie u siebie, tam w sztabie „C" Lew Abałkin przywykł do usług ordynansa. Zresztą nie można wykluczyć, że zwyczajnie nie wiedział jak uruchomić cyberuprzątacza...

Kuchnia w jakimś stopniu przygotowała mnie do tego co zastałem w pokoju. Co prawda w niewielkim stopniu. Cała podłoga była zasłana strzępami podartego papieru. Szeroki tapczan – zdemolowany, kwiaciaste poduszki poniewierały się jak popadło, jedna leżała na podłodze w odległym kącie. Obok stolika przewrócony fotel, na stoliku kilka talerzy z zaschniętym jedzeniem wśród których królowała otwarta butelka wina. Jeszcze jedna butelka ciągnąc za sobą po dywanie lepki ślad zatrzymała się aż pod ścianą. Kieliszek z nie dopitą resztką był nie wiadomo dlaczego tylko jeden, a ponieważ portiera w oknie była zerwana i wisiała na ostatnich nitkach z miejsca postawiłem hipotezę, że drugi kieliszek wyleciał przez otwarte na oścież okno.

Zmięte papiery poniewierały się nie tylko na podłodze i nie wszystkie były pogniecione. Kilka kartek bielało na tapczanie, kilka strzępków trafiło na talerze, w ogóle półmiski i talerze odsunięto na bok, a na wolnym miejscu leżał cały stos arkuszy.

Zrobiłem kilka ostrożnych kroków i od razu coś twardego wlazło mi w bosą stopę. Był to kawałek bursztynu, podobny do trzonowego zęba z dwoma korzeniami. Przewiercony na wylot. Przykucnąłem, rozejrzałem się i zauważyłem jeszcze kilka takich kawałków, a resztki bursztynowego naszyjnika leżały pod stolikiem przy samym tapczanie.

Nie wstając podniosłem z podłogi najbliższy skrawek papieru i wyprostowałem go na dywanie. Była to połówka zwykłego arkusika, na której ktoś naszkicował piórem ludzką twarz. Twarz dziecka. Jakiś pucołowaty mniej więcej dwunastoletni chłopczyk. Moim zdaniem skarżypyta. Rysunek wykonano kilkoma precyzyjnymi kreskami. Bardzo przyzwoity rysunek. Przyszło mi nagle do głowy, że być może jestem w błędzie, że to wcale nie Lew Abałkin, tylko naprawdę jakiś malarz czy grafik, który przeżył twórcze niepowodzenie, zostawił ten cały chaos.

Zebrałem wszystkie porozrzucane skrawki, podniosłem fotel i usiadłem w nim.

I znowu to wszystko wyglądało dosyć dziwnie. Ktoś szybko i pewną ręką rysował jakieś twarze – przeważnie dziecinne, jakieś zwierzaki, najwyraźniej ziemskie, jakieś budowle, pejzaże i nawet jak mi się wydało obłoki. Były tam też jakieś schematy, mapki miejscowości naszkicowane ręką profesjonalisty topografa – zagajniki, strumyki, bagna, skrzyżowania dróg i tamże wśród lakonicznych topograficznych oznaczeń – nie wiadomo dlaczego maleńkie ludzkie sylwetki, siedzące, leżące, biegnące i maleńkie portrety zwierząt – ni to jeleni, ni to łosi, ni to wilków, ni to psów i z niewiadomych powodów niektóre z tych rysunków były przekreślone.

Wszystko to było dość niepojęte i na pewno w żadnym wypadku nie wiązało się z chaosem w pokoju i z postacią sztabowego oficera Imperium, który nie przeszedł kuracji dekompresyjnej. Na jednej z kartek zobaczyłem wspaniale narysowany portret Mai Głumowej i wstrząsnął mną wyraz zagubienia, albo może

po chontyjsku „zskkrapia", co w dosłownym przekładzie oznacza „pojemnik na dokumenty". I dopiero wtedy kiedy Ekscelencja ulokował pojemnik na blacie stołu i położył na nim długie węźlaste palce, wyrwało mi się:

– Teczka na papiery!

– Nie rozpraszaj się – surowo powiedział Ekscelencja. – Słuchaj uważnie. Nikt w Komisji nie wie, że interesuję się tym człowiekiem. I w żadnym wypadku wiedzieć nie powinien. Z tego wynika, że będziesz pracował sam. Bez pomocników. Całą swoją grupę przekażesz Klaudiuszowi, a meldować o wszystkim będziesz wyłącznie mnie. Bez żadnych wyjątków.

Muszę przyznać, że to mnie oszołomiło. Po prostu nigdy jeszcze nie zetknąłem się z czymś podobnym. Na Ziemi nie spotkałem się z takim stopniem utajnienia. Mówiąc szczerze nawet nie wyobrażałem sobie, że coś takiego w ogóle jest możliwe. Dlatego pozwoliłem sobie na dosyć głupie pytanie:

– Co to znaczy – bez żadnych wyjątków?

– „Żadnych" w tym konkretnym przypadku oznacza po prostu – żadnych. Jest jeszcze paru ludzi, którzy są wprowadzeni w tę sprawę, ale ponieważ nigdy ich nie spotkasz, to praktycznie wiemy o niej tylko my dwaj. Oczywiście, w trakcie poszukiwań będziesz musiał rozmawiać z wieloma ludźmi. Za każdym razem będziesz się posługiwać jakąś legendą. O te legendy będziesz uprzejmy sam się zatroszczyć. Bez legendy będziesz rozmawiać wyłącznie ze mną.

– Tak, Ekscelencjo – powiedziałem pokornie.

– Dalej – ciągnął Ekscelencja – Prawdopodobnie będziesz musiał zacząć od jego kontaktów. Wszystko co o nich wiemy znajduje się tu – postukał palcem po teczce. – Niezbyt wiele, ale jest od czego zacząć. Weź to.

Wziąłem. Z czymś takim również jeszcze nigdy na Ziemi nie miałem do czynienia. Okładki z matowego plastyku były spięte metalowym zamkiem, u góry widniał karminowy napis: „Lew Abałkin", niżej zaś nie wiadomo dlaczego „07".

– Ekscelencjo – zapytałem – dlaczego to tak wygląda?

– Dlatego, że w innej postaci tych materiałów nie ma – zimno odparł Ekscelencja. – Przy okazji – zakazuję krystalokopiowania. Masz jeszcze jakieś pytania?

Oczywiście nie było to zaproszenie do zadawania pytań. Normalna, niewielka porcja jadu. Na etapie wstępnego zapoznawania się z teczką zadawanie pytań nie miało sensu. Jednakże pomimo wszystko pozwoliłem sobie na dwa.

– Termin?

– Pięć dni.

Za nic nie zdążę, pomyślałem.

– Czy mogę być pewny, że on jest na Ziemi?

– Możesz.

Wstałem, żeby odejść, ale Ekscelencja jeszcze mnie nie zwolnił. Patrzył na mnie z dołu do góry uważnymi zielonymi oczami, których źrenice zwężały się i rozszerzały jak źrenice kota. Oczywiście świetnie widział, że jestem niezadowolony z zadania, że zadanie wydaje mi się nie tylko dziwne, ale delikatnie mówiąc głupawe. Jednakże z nieznanych mi powodów nie mógł powiedzieć mi więcej niż powiedział. I nie chciał wypuścić mnie, zanim jednak czegoś nie powie.

– Pamiętasz – powiedział wreszcie – jak na planecie o nazwie Saraksz, niejaki Sikorski przezwany Wędrowcem ścigał młokosa zwanego Makiem?

Pamiętałem.

– A więc – powiedział Wędrowiec (czyli Ekscelencja) – Sikorski wtedy nie zdążył. A ty i ja musimy zdążyć. Dlatego, że planeta nie nazywa się teraz Saraksz, tylko Ziemia. A Lew Abałkin nie jest młokosem.

– Raczy pan mówić zagadkami, szefie? – zapytałem aby ukryć ogarniający mnie niepokój.

– Bierz się do roboty – odparł.

1 czerwca 78 roku

Coś niecoś o Lwie Abałkinie, Progresorze

Andrzej i Sandro ciągle jeszcze czekali na mnie i byli mocno wstrząśnięci kiedy przekazałem ich pod komendę Klaudiusza. Próbowali nawet protestować, ale ponieważ mój niepokój nie przechodził, huknąłem na nich, więc oddalili się pomrukując z oburzenia, spoglądając trwożnie i nieufnie na teczkę. Ich spojrzenia spowodowały, że uzmysłowiłem sobie nowy kłopot – gdzie mianowicie mam teraz trzymać ten potworny „pojemnik na dokumenty"?

Siadłem przy biurku, położyłem teczkę przed sobą i machinalnie spojrzałem na rejestrator. Siedem komunikatów w ciągu piętnastu minut, które spędziłem u Ekscelencji. Przyznaję, że nie bez pewnej satysfakcji przełączyłem swoją linię roboczą na Klaudiusza. Następnie zabrałem się do teczki.

Jak oczekiwałem, w teczce nie było nic poza papierami. Dwieście siedemdziesiąt trzy ponumerowane kartki w różnych kolorach i różnej jakości, różnego formatu, o różnym stopniu zniszczenia. Dobre dwadzieścia lat nie miałem do czynienia z papierem i moim pierwszym odruchem było wsunięcie tego wszystkiego do translatora, ale oczywiście w porę oprzytomniałem. Ma być papier, niechaj będzie papier. Trudno.

Wszystkie kartki były bardzo nieporęcznie, za to mocno, spięte za pomocą sprytnego metalowego aparatu na magnetycznych zaciskach, tak że w pierwszej chwili nie zauważyłem zwyczajnego radiogramu podsuniętego pod górny zacisk. Ten radiogram Ekscelencja otrzymał dzisiaj, szesnaście minut przed tym zanim mnie wezwał do siebie. Oto co było w radiodepeszy:

01.06 – 13.01. Słoń do Wędrowca

W związku z pytaniem w sprawie Tristana 01.06 – 07.11 komunikuję: 31.05 – 19.34. Otrzymaliśmy informacje od dowódcy bazy Saraksz-2. Cytuję: zdemaskowano Gurona (Abałkin, szyfrant sztabu floty „C" Imperium Wyspiarskiego). 28.05 Tristan (Loffenfeld, lekarz objazdowy bazy) wyleciał do Gurona aby przeprowadzić badanie okresowe. Dzisiaj 29.05 – 17.13 – na jego rakiecie przybył na bazę Guron. Według jego meldunku Tristan w nie wyjaśnionych okolicznościach został schwytany i zamordowany przez kontrwywiad sztabu „C". Próbując ocalić ciało Tristana aby dostarczyć je na bazę, Guron został zdekonspirowany, ciała nie udało mu się wywieźć. W czasie ucieczki Guron fizycznie nie ucierpiał ale jest na granicy nerwowego szoku. Na własne kategoryczne żądanie odsyłamy go na Ziemię rejsem 611. Koniec cytatu.

Informacja: 611 przybył na Ziemię 30.05 – 22.32. Abałkin nie nawiązał łączności z Komkonem. Na Ziemi do dzisiaj 12.53 nie zarejestrował się na stacjach korytarza 611 (Pandora, Kurort) do chwili obecnej również nie został zarejestrowany. Słoń.

Progresor. Tak. Przyznaję zupełnie otwarcie – nie lubię Progresorów, chociaż sam byłem prawdopodobnie jednym z pierwszych Progresorów jeszcze w tych czasach w których ten termin używany był wyłącznie w teoretycznych rozważaniach. Przyznaję zresztą, że mój stosunek do Progresorów nie jest niczym oryginalnym. Nie ma w tym nic dziwnego – znakomita większość mieszkańców Ziemi ogranicznie nie jest w stanie pojąć że istnieją sytuacje wykluczające kompromis. Albo ja ich – albo oni mnie i nie ma czasu na zastanawianie się po czyjej stronie jest racja. Dla normalnego Ziemianina brzmi to dziko, świetnie to rozumiem, sam taki byłem póki nie trafiłem na Saraksz. Dokładnie pamiętam moje ówczesne widzenie świata, które zakłada a priori, że każda rozumna istota etycznie jest równa tobie i że w ogóle nie może powstać pytanie, czy istota ta jest lepsza czy gorsza nawet jeśli jej etyka i moralność różni się od twojej.

Tu nie wystarczy żadne przygotowanie teoretyczne, nie wystarczy modelowanie sytuacji – trzeba samemu przejść przez zmierzch moralności, zobaczyć coś niecoś na własne oczy, boleśnie osmalić własne skrzydła, uzbierać parę dziesiątków niewesołych wspomnień, żeby wreszcie nawet nie tyle rozumieć, ale wtopić we własny światopogląd to ongiś bardzo trywialne przekonanie, że owszem istnieją istoty rozumne, znacznie, nieporównywalnie gorsze od ciebie jakimkolwiek byś był... Wtedy i tylko wtedy uzyskujesz umiejętność

I z doktora Hoanneka strumieniem popłynęły przykłady, jeden piękniejszy od drugiego, oczywiście prawdziwe nazwiska zostały zastąpione wszelkimi możliwymi Iksami, Betami a nawet Alfami...

Turysta Kammerer, były Progresor, a w ogóle człowiek niezbyt delikatny z natury, dość nieuprzejmie przerwał tę pouczającą opowieść, oświadczając, że on osobiście za nic nie zgodziłby się przebywać w jednym uzdrowisku ze stukniętym artystą. To była nader nieostrożna uwaga, i turyście Kammererowi niezwłocznie wskazano jego właściwe miejsce. Przede wszystkim słowo „stuknięty" zostało przeanalizowane, bezlitośnie skrytykowane, i wyrzucone do śmieci jako bezsensowne z lekarskiego punktu widzenia oraz na domiar wszystkiego jeszcze bardzo wulgarne. A dopiero potem Hoannek niebywale jadowitym tonem zawiadomił, że wyżej wymieniony stuknięty artysta przeczuwając najwidoczniej inwazję byłego Progresora Kammerera i wszystkie związane z tym niewygody, sam zrezygnował z pomysłu wspólnego pobytu w uzdrowisku i jeszcze rano wyjechał na pierwszym lepszym gliderze jaki mu się trafił. I tak się spieszył, żeby uniknąć spotkania z turystą Kammererem, że nawet nie zdążył pożegnać się z doktorem Hoannekiem.

Były Progresor Kammerer okazał się zresztą zupełnie niewrażliwy na jad. Przyjął wszystko za czystą monetę i wyraził ogromną radość z faktu, że uzdrowisko zostało opuszczone przez wyczerpanych nerwowo kochanków muz i można spokojnie wybrać sobie odpowiednie miejsce na postój.

– Gdzie mieszkał ten neurastenik? – zapytał wprost i zaraz wyjaśnił – Pytam, żeby przypadkiem nie pójść w tamtą stronę.

Rozmowa ta odbywała się już na ganku z balaskami. Nieco zaskoczony doktor w milczeniu wskazał malowniczą chatę z wielką niebieską szóstką. Chata stała w pewnej odległości od pozostałych budynków, nad samym urwiskiem.

– Znakomicie – oświadczył turysta Kammerer. – Pójdziemy sobie gdzie indziej. Pójdziemy sobie na początek tam... Mam wrażenie, że jarzębina jest tam jakby gęstsza...

Nie było żadnej wątpliwości, że nastawiony początkowo towarzysko doktor Hoannek zamierzał zaproponować a w wypadku gdyby napotkał na opór narzucić swoją osobę w charakterze przewodnika i propagatora „Olszynki". Jednakże turysta i były Progresor wydał mu się teraz przesadnie bezceremonialny i gruboskórny.

– Rozumie się – powiedział sucho – Radzę panu pójść tą ścieżką i odszukać chatę numer dwanaście...

– Jak to? A pan?

– Proszę mi darować. Mam, wie pan, zwyczaj wypoczywać po herbacie w hamaku...

Niewątpliwie wystarczyłoby jedno jedyne błagalne spojrzenie, aby doktor Hoannek niezwłocznie zmiękł i zrezygnował ze swoich zwyczajów w imię gościnności. Dlatego gruboskórny i wulgarny Kammerer spiesznie wykonał ostatnie pchnięcie.

– No cóż, starość nie radość – powiedział współczująco i sprawa została przypieczętowana.

Kipiąc w milczącej wściekłości doktor Hoannek ruszył w kierunku swojego hamaka, a ja dałem nura w krzaki jarzębiny, okrążyłem pawilon przychodni i zboczem na ukos poszedłem do chaty neurastenika.

2 czerwca 78 roku

W chacie numer sześć

Było dla mnie jasne, że najprawdopodobniej „Olszynka" nigdy już nie ujrzy Lwa Abałkina i że w jego chwilowej przystani nie znajdę nic pożytecznego dla siebie. Ale dwie rzeczy były dla mnie nie całkiem jasne. Rzeczywiście jak Lew Abałkin trafił do tej „Olszynki" i po co? Z jego punktu widzenia, jeśli istotnie się ukrywa, znacznie logiczniej i bezpieczniej byłoby zwrócić się do lekarza w dowolnym dużym mieście. Na przykład w Moskwie, do której stąd jest dziesięć minut lotu, albo chociażby w Wołdaju, do którego leci się dwie minuty. Najpewniej trafił tu całkowitym przypadkiem, albo nie zwrócił uwagi na ostrzeżenie o neutrinowej burzy, albo było mu wszystko jedno dokąd trafi. Potrzebny był mu lekarz, natychmiast, za wszelką cenę. Po co?

I jeszcze jedna dziwna rzecz. Czyżby doświadczony stuletni lekarz mógł się mylić do takiego stopnia, żeby doświadczonego Progresora uznać za nieprzydatnego do jego zawodu? Nader wątpliwe. Tym bardziej że

Doktor Hoannek był weteranem „Olszynki" – objął tutejszą praktykę dwanaście sezonów temu. Znał „Olszynkę" – banalne uzdrowisko, jakich jest tysiące i „Olszynkę" w czasie fantastycznego rozkwitu kiedy w uzdrowiskologii na czas pewien zwyciężył pogląd, że jakoby tylko umiarkowany klimat jest zdolny uczynić urlopowicza szczęśliwym. Nie porzucił „Olszynki" i teraz w okresie wydawałoby się beznadziejnego upadku. Obecny sezon, który zaczął się jak zwykle w kwietniu, ściągnął do „Olszynki" zaledwie trzy osoby.

W połowie maja przyjechało tu małżeństwo idealnie zdrowych asenizatorów wprost z północnego Atlantyku, gdzie rozgrzebywali ogromną kupę radioaktywnego paskudztwa. Ta para – Murzyn z plemiona Bantu i Malajka – pomylili półkule i przyjechali tu pojeździć, proszę sobie wyobrazić, na nartach. Pospacerowali kilka dni po okolicznych lasach, pewnej pięknej nocy zbiegli w niewiadomym kierunku i dopiero po tygodniu przyszła od nich depesza z Falklandzkich wysp z przeprosinami.

No i wczoraj wczesnym rankiem całkowicie nieoczekiwanie pojawił się w „Olszynce" pewien dziwaczny młodzieniec. Dlaczego dziwny? Po pierwsze nie wiadomo jak tu trafił. Nie miał żadnego środka transportu – ani lądowego, ani powietrznego – za to doktor Hoannek mógł zaręczyć swoją bezsennością i znakomitym słuchem. Nie przyszedł tu również piechotą – nie przypominał człowieka podróżującego na piechotę – pieszych turystów doktor Hoannek bezbłędnie rozpoznawał po zapachu. Pozostawało zero-przejście. Ale jak wiadomo T-łączność przez ostatnie dni jest zakłócona z powodu fluktuacji neutrinowego pola, a to znaczy, że do „Olszynki" można było trafić tylko czystym przypadkiem. Powstaje jednak pytanie – jeśli ten młodzieniec trafił tu całkowicie przypadkowo, dlaczego natychmiast rzucił się na doktora Hoannka jakby właśnie o doktorze Hoannku marzył przez całe życie?

Ten ostatni punkt wydał się podróżującemu w kąpielówkach turyście Kammererowi jakby niejasny i doktor Hoannek nie kazał mu długo czekać na wyjaśnienia. Dziwnemu młodzieńcowi nie był potrzebny akurat doktor Hoannek osobiście. Potrzebny mu był jakikolwiek lekarz ale za to czym prędzej tym lepiej. Otóż młodzieniec ów uskarżał się na wyczerpanie nerwowe i istotnie takie wyczerpanie można było u niego stwierdzić przy czym tak silne, że lekarz tak doświadczony jak doktor Hoannek stwierdził je bez badania. Doktor Hoannek uznał za konieczne aby natychmiast dokładnie i starannie przebadać pacjenta i na szczęście nie znalazł żadnych zmian patologicznych. Interesujące, że ta optymistyczna diagnoza wywarła na młodego człowieka wpływ wręcz cudotwórczy. Ozdrowiał dosłownie w oczach i już po dwóch czy trzech godzinach jak gdyby nigdy nic przyjmował gości.

Nie, nie, goście przybyli najbardziej tradycyjnym sposobem na standardowym gliderze... a właściwie nie tyle goście, co jeden gość. I bardzo słusznie – nie ma lepszej psychoterapii dla młodego człowieka niż czarująca młoda kobieta. W rozległej praktyce doktora Hoanneka analogiczne wypadki często miały miejsce. Oto na przykład... Doktor Hoannek powołał się na przykład numer jeden... albo powiedzmy... Doktor Hoannek posłużył się przykładem numer dwa. Odpowiednio dla młodych kobiet najlepszą psychoterapią jest... I doktor Hoannek przeanalizował przykłady numer trzy, cztery i pięć.

Aby pokazać, że i on nie wypadł sroce spod ogona turysta Kammerer posłużył się przykładem z własnego doświadczenia, kiedy to w czasach kiedy jeszcze był Progresorem również znalazł się na granicy wyczerpania nerwowego, jednakże ten żałosny i nieciekawy przykład doktor Hoannek odrzucił z oburzeniem. Okazuje się, że z Progresorami sprawy wyglądają zupełnie inaczej – są znacznie bardziej skomplikowane, a z drugiej strony bez porównania prostsze. W każdym razie doktor Hoannek w żadnym wypadku nie pozwoliłby sobie bez konsultacji ze specjalistami na stosowanie jakiejkolwiek psychoterapii wobec dziwnego młodzieńca gdyby ten był Progresorem...

Ale dziwny młodzieniec rozumie się nie był Progresorem. Nawiasem mówiąc nigdy nie mógłby zostać Progresorem – dyskwalifikuje go absolutnie nieprzydatna konstytucja psychiczna. Nie, młodzieniec ~~nie~~ był Progresorem, raczej artystą albo malarzem, którego spotkało ciężkie niepowodzenie twórcze. Był to nie pierwszy, a nawet nie dziesiąty przypadek w bogatej praktyce doktora Hoanneka. Wystarczy wspomnieć...

dzielenia innych na swoich i obcych, podejmowania błyskawicznych decyzji i potrafisz już najpierw działać, a dopiero potem analizować.

Moim zdaniem to właśnie jest najistotniejsze w Progresorze – umiejętność dzielenia na swoich i obcych. I właśnie dlatego na Ziemi odnoszą się do nich z entuzjastycznym lękiem i z lękliwym entuzjazmem, ale najczęściej podejrzliwie i z lekkim wstrętem. I nic na to nie można poradzić. Wszyscy to muszą jakoś znieść – i oni i my. Ponieważ nie ma wyboru – albo Progresorzy, albo też Ziemia nie ma po co wtrącać się w pozaziemskie sprawy... Na szczęście zresztą, my w Komkonie-2 wystarczająco rzadko mamy do czynienia z Progresorami.

– Przeczytałem radiogram, a następnie uważnie przeczytałem go po raz drugi. Dziwne. A więc Ekscelencja jest zainteresowany głównie niejakim Tristanem, czyli Loffenfeldem. Po to aby się dowiedzieć czegoś o tym Tristanie wstał dzisiaj o świcie i mało tego, jeszcze wyciągnął z łóżka naszego Słonia, który jak wszyscy wiedzą kładzie się spać z kurami...

I jeszcze jedna rzecz nader dziwna – można pomyśleć, że z góry wiedział jaką otrzyma odpowiedź. Wystarczyło mu zaledwie piętnaście minut, aby podjąć decyzję w sprawie poszukiwań Abałkina i przygotować dla mnie teczkę z jego papierami. Wygląda na to, że miał tę teczkę pod ręką...

A co najdziwniejsze – rzeczywiście Abałkin jest ostatnim człowiekiem, który widział chociaż trupa Tristana, ale jeżeli Ekscelencji potrzebny jest Abałkin wyłącznie jako świadek w sprawie Tristana, to co tu ma do rzeczy ta złowieszcza przypowieść o pewnym Wędrowcu i pewnym młokosie?

O, rozumie się, że miałem różne wersje. Dwadzieścia wersji. I wśród nich, niczym perła lśniła następująca – Gurona-Abałkina zwerbował wywiad Imperium, w związku z czym zabił on Tristana-Loffenfelda, a teraz ukrywa się na Ziemi w celu przeniknięcia do Światowej Rady...

Raz jeszcze przeczytałem radiogram i odłożyłem go na bok. Dobra. Kartka nr 1. Lew Abałkin, syn Wiaczesława. Numer kodu taki to a taki. Kod genetyczny taki a taki. Urodził się 6 października 38 roku. Wykształcenie – szkoła-internat 241 w Syktywkarze. Nauczyciel – Siergiej Fiedosiejew. Następnie szkoła Progresorów nr 3 (Europa). Opiekun Ernest Julius Horn. Zainteresowania – zoopsychologia, teatr, etnolingwistyka. Rekomendacje: zoopsychologia, ksenologia teoretyczna. Praca – luty 58 – wrzesień 58 praktyka podyplomowa, planeta Saraksz, doświadczenie kontaktu z rasą Głowanów w naturalnym środowisku...

W tym momencie przerwałem czytanie. Przecież ja go chyba pamiętam! Oczywiście, to było w 58-ym. Nadciągnęło całe towarzystwo – Komow, Rawlingson, Marta... i taki ponury chłopak, praktykant. Ekscelencja (w tamtych czasach – Wędrowiec) kazał mi rzucić wszystko i przeprawić ich przez Błękitną Żmiję do twierdzy jako ekspedycję Departamentu Nauki... Taki kościsty chłopak o wyjątkowo bladej karnacji i wyjątkowo czarnych prostych włosach, podobny do Indianina. Oczywiście! Wszyscy (naturalnie oprócz Komowa) nazywali go Ryczącym Lwem dlatego, że głos miał wielce donośny, niczym tachorg... Świat jest ciasny! No dobrze, zobaczymy co z nim było dalej.

Marzec 60 – lipiec 62, planeta Saraksz, kierownik-realizator operacji „Człowiek i Głowany". Lipiec 60 – czerwiec 63, planeta Pandora, kierownik-realizator operacji „Głowan w Kosmosie". Czerwiec 63 – wrzesień 63, planeta „Nadzieja", udział wraz z Głowanem Szczeknem w operacji „Zamarły Świat". Wrzesień 63 – sierpień 64 – planeta Pandora, kurs szkoleniowy (w związku ze zmianą zawodu). Sierpień 64 – listopad 66, planeta Giganda – pierwsze doświadczenie jako rezydenta – zostaje młodszym buchalterem hodowli psów myśliwskich, następnie jest psiarzem marszałka Naton-Giga, potem jegrem herzoga Alajskiego (patrz str. 66)...

Znalazłem stronę 66. Był to skrawek papieru, niechlujnie wydarty nie wiadomo skąd, najpierw zmięty, a następnie wyprostowany. Ktoś napisał na nim zamaszyście „Rudi! Nie masz się o co niepokoić. Na skutek wyroków boskich na Gigandzie spotkało się dwoje z naszego rodzeństwa. Zapewniam cię, że był to czysty przypadek, który nie spowodował żadnych dalszych skutków. Jeśli nie wierzysz, zajrzyj do 07 i 11. Podjęliśmy odpowiednie kroki". Kręty, nieczytelny podpis. Słowa „czysty przypadek" trzykrotnie podkreślone. Na odwrocie kartki – jakiś arabski tekst.

W tym momencie zauważyłem, że drapię się w głowę, i wróciłem do kartki nr 1.

Listopad 66 – wrzesień 67, planeta Pandora, kurs szkoleniowy. Wrzesień 67 – grudzień 70, planeta Saraksz, rezydent w republice Chonti – działacz nielegalnych związków zawodowych, nawiązanie kontaktu z agenturą Imperium (pierwszy etap operacji „Sztab"). Grudzień 70, planeta Saraksz, Imperium Wyspiarskie – więzień obozu koncentracyjnego (brak łączności do marca 71) tłumacz w komendanturze obozu koncentracyjnego, żołnierz jednostek pomocniczych, żołnierz Ochrony Wybrzeża, tłumacz szyfrant na okręcie flagowym podwodnej floty „C", szyfrant sztabu floty „C". Lekarz prowadzący – od 38 roku do 53 – Jadwiga Lekanowa: od 53 do 60 – Romuald Kseresku; od 60 Kurt Loffenfeld.

I to wszystko. Na kartce nr 2 nic więcej nie było. Chociaż nie, na odwrocie, na całą stronę ktoś namalował gwaszem coś w rodzaju stylizowanej litery.

No cóż, Lwie Abałkin, Ryczący Lwie, teraz już coś niecoś o tobie wiem. Teraz już mogę zacząć cię szukać. Wiem kto był twoim Nauczycielem. Wiem kto był twoim Opiekunem. Znam twoich lekarzy. Jedno czego nie wiem – komu i po co potrzebna była kartka nr 1? Przecież gdyby ktoś chciał się dowiedzieć kim jest Lew Abałkin, mógłby połączyć się ze Światowym Ośrodkiem Informacyjnym (połączyłem się z Ośrodkiem) nabrałby numer kodu lub nazwisko (nabrałem numer kodu) i po upływie... raz-dwa-i-trzy... czterech sekund dowiedziałby się wszystkiego co jeden człowiek ma prawo wiedzieć o drugim, nieznanym sobie człowieku.

Proszę bardzo – Lew Abałkin i tak dalej, numer kodu, kod genetyczny, urodzony w takim to, a takim roku, rodzice (a właściwie dlaczego na kartce nr 1 nie ma mowy o rodzicach?): Stella Abałkina i Wiaczesław Ciurupa, szkoła-internat w Syktywkarze, Nauczyciel, Szkoła Progresorów, Opiekun... Wszystko się zgadza. Tak. Progresor, pracuje od roku 60-go na planecie Saraksz. Hm. Niewiele. Tylko oficjalne dane. Najwidoczniej w którymś momencie postanowił nie trudzić się dostarczaniem świeżych wiadomości służbie informacyjnej... A to co? „Adres na Ziemi nie zarejestrowany".

Zażądałem następnej informacji „Pod jakimi adresami rejestrował się na Ziemi numer kodowy taki a taki?" Po dwóch sekundach otrzymałem odpowiedź „Ostatni adres Abałkina na Ziemi – Szkoła Progresorów nr 3 (Europa)". „Też bardzo interesujący szczegół. Albo Abałkin w ciągu ostatnich osiemnastu lat ani razu nie był na Ziemi, albo też jest wyjątkowym odludkiem, nigdy nie rejestruje swoich adresów i nie zamierza nikogo o sobie informować. Zarówno jedno jak i drugie można sobie oczywiście wyobrazić, wygląda to jednak dosyć niezwyczajnie...

Jak wiadomo, Ośrodek Informacyjny zawiera tylko te informacje, dane które człowiek sam ma ochotę dostarczyć. A co zawiera kartka nr 1? Nie widzę tam absolutnie nic takiego co Abałkin mógłby chcieć ukryć. Wszystko wprawdzie zreferowane jest znacznie dokładniej, ale przecież o tego rodzaju szczegóły nikt nie będzie zwracał się do Ośrodka. Można zwrócić się do Komkon-u 1, tam to wszystko jest w aktach. A o tym czego nie wiedzą w Komkon-ie łatwo się dowiedzieć na Pandorze, wśród Progresorów, którzy albo przylatują tu na przeszkolenie, albo zwyczajnie wylegują się na Diamentowej Plaży u stóp największych w zaludnionym Kosmosie piaszczystych wydm...

Dobra, Bóg z nią, z tą kartką nr 1. Chociaż odnotowałem sobie w pamięci, że nadal nie rozumiem po co ona w ogóle jest potrzebna, i na domiar te wszystkie szczegóły. A jeśli już sporządzono ją z taką pieczołowitością, to dlaczego ani słowem nie wspomniano o rodzicach?

Stop. To akurat najprawdopodobniej nie powinno mnie obchodzić. Za to bardzo ciekawe, czemu kiedy wrócił na Ziemię nie zarejestrował się w Komkon-ie? Można to objaśnić następująco – załamanie psychiczne. Wstręt do swojej pracy. Progresor na granicy załamania psychicznego, wraca na ojczystą planetę, której nie widział co najmniej od ośmiu lat. Dokąd pojedzie? Moim zdaniem do matki w stanie takim iść nie wypada. Abałkin nie wygląda na słabeusza, a raczej wyrażając się ściśle nie powinien wyglądać. Nauczyciel? Czy Opiekun? To możliwe. To całkiem prawdopodobne. Wypłakać się na przyjaznym ramieniu. Wiem po sobie. Może raczej Nauczyciel niż Opiekun. Bo Opiekun to w pewnym sensie jednak kolega, a Abałkin z odrazą myśli o swojej pracy... Stop. Stop, powiadam! Co się ze mną dzieje? Spojrzałem na zegarek. Na dwa dokumenty

2 czerwca 78 roku

„Olszynka". Doktor Hoannek

Ze wschodniego brzegu „Olszynka" wyglądała jak mozaika białych i czerwonych dachów tonących w czerwono-zielonych zaroślach jarzębiny. Widać było jeszcze wąskie pasemko plaży i najwidoczniej drewnianą przystań do której przycumowano stadko różnokolorowych łódek. Na całym rozświetlonym słońcem zboczu nie widać było żywej duszy, tylko na pomoście siedział zwiesiwszy bose nogi ktoś w bieli – przypuszczalnie łowił ryby, bo trwał zupełnie nieruchomo.

Rzuciłem ubranie na siedzenie i bez hałasu wszedłem do wody. Dobra była woda w jeziorze Welie, czysta i słodka, płynąłem z ogromną przyjemnością.

Kiedy wdrapałem się na pomost i skakałem na jednej nodze po rozgrzanych słońcem deskach wytrząsając wodę z ucha, ten ktoś w bieli oderwał wreszcie wzrok od spławika, spojrzał na mnie z ciekawością i zapytał:

– Od samej Moskwy wędruje pan w kąpielówkach?

Znowu to był starzec mniej więcej stuletni, wysuszony i chudy jak jego bambusowa wędka, tyle tylko że nie żółty, a raczej brązowy, albo nawet powiedziałbym czarny. Niewykluczone, że na skutek kontrastu ze swoim nieskazitelnie białym przyodziewkiem. Ale oczy miał młode – nieduże, błękitne i wesołe. Oślepiająco biały kaszkiecik z ogromnym przeciwsłonecznym daszkiem osłaniał jego niewątpliwie łysą czaszkę i wyglądał w tym kaszkiecie, jak dżokej na emeryturze, albo kolega Tomka Sawyera, który zwiał ze szkółki niedzielnej.

– Podobno w tym jeziorze jest niebywała ilość ryb – powiedziałem kucając obok niego.

– Nonsens – powiedział. Krótko odpowiedział. Bez dyskusji.

– Podobno można tu przyjemnie spędzić czas – powiedziałem.

– Zależy jak kto – odpowiedział.

– Podobno to bardzo modne uzdrowisko – powiedziałem.

– Było – odpowiedział.

Skończył mi się koncept. Przez chwilę milczeliśmy.

– Uzdrowisko i to modne, młody człowieku – oznajmił pouczająco – było tu trzy sezony temu. Czy też jak powiada mój prawnuk Briaczesław „do tyłu". Widzi pan młody człowieku, obecnie nie wyobrażam sobie odpoczynku bez lodowatej wody, bez komarów, bez surowych korzonków w charakterze pożywienia, bez dzikich zarośli... „Dzikie skały – oto mój dom...", czy coś w tym rodzaju... Tajmyr i Baffinowa Ziemia, rozumie pan... Kosmonauta? – zapytał nieoczekiwanie. – Progresor? Etnolog?

– Były – powiedziałem nie bez złośliwej satysfakcji.

– A ja jestem lekarzem – powiedział nawet nie mrugnąwszy okiem. – Panu, jak sądzę, nie jestem potrzebny? Przez ostatnie trzy sezony rzadko byłem tu komuś potrzebny. Zresztą jak poucza mnie doświadczenie pacjenci skłonni są pojawiać się w masie. Na przykład wczoraj okazałem się komuś potrzebny. Powstaje pytanie – dlaczego by nie dziś? Jest pan pewien, że się panu nie przydam?

– Tylko w charakterze sympatycznego rozmówcy – odparłem szczerze.

– No cóż, dzięki choć za to – powiedział z ochotą. – W takim razie zapraszam na herbatę.

Więc poszliśmy na herbatę.

Doktor Hoannek mieszkał w drewnianej chacie przy pawilonie przychodni lekarskiej. Chata była wyposażona jak trzeba – miała ganek z balaskami, rzeźbioną okładzinę, wyciosanego z drewna koguta, ruski ultradźwiękowy piec z automatyczną regulacją, podgrzewaną wannę, dwuosobową ławę do spania oraz dwupiętrową piwnicę podłączoną zresztą do Linii Dostaw. Za chałupą w gęstwinie potężnych pokrzyw stała kabina zero-T prześlicznie stylizowana pod drewniany wychodek.

Herbata doktora składała się z lodowatego chłodnika, kaszy z dynią i gazowanego kwasu z rodzynkami. Szczerze mówiąc herbaty, herbaty jako takiej, nie było – według najgłębszego przekonania doktora Hoanneka picie mocnej herbaty sprzyjało powstawaniu kamicy, a słaba herbata stanowiła kulinarny nonsens.

przyjaciele.., nauczyciele, rozumie się... wychowawcy... A dopiero potem, że tak powiem w pełnym uzbrojeniu zabieram się do głównego obiektu... Dowiadywałem się w Komkon-ie, powiedziano mi że Abałkin powinien lada moment powrócić na Ziemię... Z Nauczycielem już rozmawiałem... Z lekarzem... Potem postanowiłem z panią... ale nie w porę... Przepraszam, jeszcze raz przepraszam. Przecież nie jestem ślepy, widzę, że zaistniał jakiś wyjątkowo nieprzychylny zbieg okoliczności...

Jednak udało mu się ją uspokoić, temu niezgrabnemu głupkowatemu dziennikarzowi. Odchyliła się do tyłu w fotelu i zasłoniła twarz dłonią. Podejrzenia znikły, pozostał wstyd i zmęczenie.

– Tak – powiedziała – zbieg okoliczności.

Teraz dziennikarz Kammerer powinien odwrócić się i wycofać na paluszkach. Ale nie taki był to człowiek ten dziennikarz. Nie mógł, ot tak sobie najzwyczajniej pozostawić w samotności udręczoną, zmęczoną kobietę, której ponad wszelką wątpliwość potrzebna była pomoc i wsparcie.

– Rozumie się, zbieg okoliczności i nic ponadto... – mamrotał – Zapomnijmy o wszystkim, niczego nie było... Może kiedyś, później, jeśli pani zechce... byłbym niezmiernie wdzięczny, rozumie się... Oczywiście, nie po raz pierwszy zdarza mi się najpierw rozmawiać z głównym obiektem, a dopiero potem... Pani Maju może kogoś tu wezwać? W tej sekundzie...

Milczała.

– Bardzo słusznie, nikogo nie trzeba... Po co? Posiedzę tu z panią... na wszelki wypadek...

Wreszcie odsunęła dłoń od twarzy.

– Nie ma powodu, żeby pan ze mną siedział – powiedziała zmęczonym głosem. – Niech pan lepiej idzie do swojego głównego obiektu...

– Nie-nie-nie! – zaprotestował dziennikarz Kammerer. – Zdążę. Obiekt obiektem, ale nie chciałbym zostawić pani samej... Czasu mam mnóstwo... – spojrzał na zegarek z niejaką trwogą. – A obiekt teraz mi nie ucieknie! Teraz go złapię!... Zresztą i tak pewnie go nie ma w domu. Znam dobrze tych Progresorów na urlopach... Włóczy się po Mieście pogrążony w sentymentalnych wspomnieniach...

– Nie ma go w Mieście – powiedziała Maja Głumowa, jeszcze panując nad sobą. – Ma pan do niego dwie godziny lotu.

– Dwie godziny lotu? Dziennikarz Kammerer był nieprzyjemnie zaskoczony. – Pani daruje, ale najwyraźniej odniosłem wrażenie...

– Abałkin jest nad Wałdajem! Uzdrowisko „Olszynka" nad jeziorem Welie! I niech pan pamięta że zero-T nie funkcjonuje!

– M-m-m-m – bardzo głośno powiedział dziennikarz Kammerer.

Dwugodzinna napowietrzna podróż najwyraźniej nie wchodziła w jego plany w dniu dzisiejszym. Można było nawet przypuścić, że w ogóle jest przeciwnikiem takich podróży.

– Dwie godziny... – zamruczał – Tak-tak-tak... Jakoś sobie zupełnie inaczej to wyobrażałem... Przepraszam bardzo, ale czy nie można się z nim połączyć, na przykład stąd?

– Zapewne można – odpowiedziała Maja Głumowa juz kompletnie zgaszonym głosem. – Tylko ja nie znam jego numeru. Niech pan posłucha Kammerer, chciałabym zostać sama. Wszystko jedno nie będzie pan miał teraz ze mnie żadnego pożytku.

I dopiero teraz dziennikarz Kammerer uświadomił sobie do końca całą niezręczność swojej sytuacji. Zerwał się z krzesła i pobiegł do drzwi. Oprzytomniał, zawrócił. Wymamrotał niezrozumiałe słowa przeprosin. Znowu popędził do drzwi przewracając po drodze fotel. W dalszym ciągu mamrocząc przepraszająco podniósł fotel, i postawił go na miejscu z największą ostrożnością, jakby ten fotel był z porcelany i kryształu. W pokłonach cofał się do drzwi, wypchnął je grzbietem i wypadł na korytarz.

Ostrożnie zamknąłem za sobą drzwi, czas jakiś stałem nieruchomo rozcierając tylną stroną dłoni zdrętwiałe mięśnie twarzy. Ze wstydu i obrzydzenia jakie czułem do siebie najzwyczajniej mnie zemdliło.

straciłem trzydzieści minut. A do tego nawet ich nie przestudiowałem, zaledwie przejrzałem. Zmusiłem się do koncentracji i nagle zrozumiałem, że sprawa wygląda kiepsko. Znienacka uświadomiłem sobie, że w ogóle nie interesują mnie rozważania na temat jak odnaleźć Abałkina. Znacznie bardziej chciałbym zrozumieć dlaczego tak koniecznie trzeba go odnaleźć. Oczywiście niezwłocznie ogarnęła mnie złość na Ekscelencję, chociaż prosta logika podpowiadała, że szef z pewnością udzieliłby mi wszelkich niezbędnych wyjaśnień, gdyby to mogło pomóc w poszukiwaniach. A jeżeli nie wyjaśnił mi dlaczego trzeba szukać i znaleźć Abałkina, jasne jest, że to dlaczego nie ma żadnego związku z problemem jak.

I w tym momencie zrozumiałem jeszcze jedną rzecz. A raczej nie tyle zrozumiałem ile wyczułem. A nawet może nie tyle wyczułem, ile zacząłem podejrzewać. Cała ta bezsensowna teczka, ta ilość papieru, cała ta pożółkła pisanina nie dadzą mi nic, oprócz być może jeszcze kilku nazwisk i niebywałej ilości nowych problemów, które w dalszym ciągu nie mają żadnego związku z odpowiedzią na pytanie jak.

1 czerwca 78 roku

Pokrótce o zawartości teczki

Do godziny 14.23 zakończyłem opis zawartości teczki.

Większą część zawartości stanowiły dokumenty napisane, jak zrozumiałem, ręką Abałkina.

Po pierwsze było to sprawozdanie z uczestnictwa w operacji „Zamarły Świat" na planecie „Nadzieja" – siedemdziesiąt sześć stron, zapisanych wyraźnym zamaszystym pismem, bez poprawek. Przejrzałem pobieżnie te stronice. Abałkin opisywał jak wraz z Głowanem Szczeknem poszukując jakiegoś obiektu (nie zorientowałem się jakiego) spenetrował opuszczone miasto i jeden z pierwszych nawiązał kontakt z resztkami nieszczęsnych tubylców.

Piętnaście lat temu Nadzieja i jej straszliwy los była na Ziemi tematem numer jeden, jako groźna przestroga dla wszystkich zamieszkałych planet Wszechświata i jako świadectwo najbliższej w czasie i największej co do swojej skali ingerencji Wędrowców w losy innych cywilizacji. Teraz uważa się za stwierdzone ponad wszelką wątpliwość, że w ciągu swego ostatniego stulecia mieszkańcy Nadziei utracili kontrolę nad rozwojem techniki, i w praktyce nieodwracalnie zakłócili równowagę ekologiczną. Przyroda uległa zniszczeniu. Odpady przemysłowe, odpady powstałe w wyniku obłąkanych i rozpaczliwych eksperymentów mających na celu poprawę sytuacji do takiego stopnia zatruły planetę, że tamtejsza ludność porażona całym kompleksem schorzeń genetycznych skazana została na całkowitą degenerację i nieuniknione wymarcie. Struktury genetyczne na Nadziei oszalały. Właściwie, o ile mi wiadomo, do tej pory nikt na Ziemi nie wykrył mechaniki tego szaleństwa. W każdym razie jeszcze żaden biolog nie skonstruował modelu tego procesu. Szaleństwo genetycznych struktur. Z zewnątrz wyglądało to jak gwałtowne, nieliniowe w czasie przyspieszenie tempa rozwoju wszystkich elementarnie złożonych organizmów. Jeżeli zaś chodzi o ludzi, do dwunastu lat rozwijali się mniej więcej normalnie, następnie zaczynali gwałtownie doroślеć, i jeszcze gwałtowniej starzeć się. Szesnastoletni wyglądali na trzydziestopięcioletnich, a dziewiętnastoletni umierali ze starości.

Rzecz jasna, że taka cywilizacja nie miała żadnej historycznej perspektywy, ale wtedy pojawili się Wędrowcy. Po raz pierwszy, o ile nam wiadomo, aktywnie zaingerowali w wydarzenia na obcej planecie. Teraz już można uważać za stwierdzone, że udało im się ewakuować przeważającą część ludności Nadziei przez tunele międzyprzestrzenne i najprawdopodobniej uratować (dokąd wyprowadzono te miliardy nieszczęsnych, chorych ludzi, gdzie się obecnie znajdują i co się z nimi stało – oczywiście nie wiemy i najpewniej dowiemy się nieprędko).

Abałkin wziął udział tylko w samym początku operacji „Zamarły Świat" i rola którą mu wyznaczono była wystarczająco skromna. Chociaż jeżeli spojrzeć na to z innego punktu widzenia, był pierwszym (i na razie jedynym) Progresorem-Ziemianinem, któremu zdarzyło się pracować w parze z przedstawicielem niehumanoidalnej rozumnej rasy.

Przeglądając to sprawozdanie stwierdziłem, że Abałkin wymienia tam sporo nazwisk, ale odniosłem wrażenie, że dla mnie interesujący może być tylko Szczekn. Wiedziałem, że na Ziemi przebywa obecnie misja Głowanów i chyba warto się dowiedzieć czy nie ma wśród nich tego Szczekna. Abałkin pisał o nim tak ciepło, że nie wykluczałem możliwości przyjacielskiego spotkania. W tym momencie miałem już odnotowane w pamięci, że Abałkin miał szczególny stosunek do „braci mniejszych" – Głowanom poświęcił kilka lat życia, na Gigandzie został psiarzem... i w ogóle...

W teczce było jeszcze jedno sprawozdanie Abałkina – z przebiegu operacji na Gigandzie. Moim zdaniem cała sprawa była mało istotna – łowczy jego wysokości herzoga Alajskiego załatwiał po protekcji posadę w banku swojemu biednemu krewniakowi. Łowczym był Lew Abałkin, a ubogim krewniakiem – niejaki Korniej Jaszmaa. W tym sprawozdaniu o ile udało mi się zauważyć nie było ani jednego ziemskiego nazwiska. Zogga, Nagon-Giga, stalmistrze, pancermistrze, ich wysokości, konferentz-dyrektorzy, hofdamy... Odnotowałem w pamięci tego Kornieja, chociaż było jasne, że raczej mi się nie przyda. Drugie sprawozdanie liczyło dwadzieścia cztery strony i więcej żadnych sprawozdań Lwa Abałkina w teczce nie było. Wydało mi się to nieco dziwne, i postanowiłem pomyśleć o tym kiedyś później – dlaczego z niezliczonych sprawozdań zawodowego Progresora do teczki 07 włożono tylko te dwa i akurat te dwa?

Obydwa sprawozdania były napisane według formuły „Laborant" i moim skromnym zdaniem niezmiernie przypominały szkolne wypracowania z gatunku „Jak spędziłem wakacje u dziadka". Pisze się takie sprawozdanie z ogromną łatwością, czyta z nieopisanym trudem. Psychologowie (którzy siedzą w sztabach) domagają się aby sprawozdania zawierały nie tyle obiektywne dane o faktach i wydarzeniach, ile absolutnie subiektywne odczucia, osobiste wrażenia i strumień świadomości autora. Przy tym formuły sprawozdania („laborant", „generał", „artysta") autor nie może wybrać sam, jest ona narzucona z góry z jakichś zagadkowych psychologicznych powodów. Zaprawdę istnieje na świecie zwyczajne, bezpardonowe kłamstwo, istnieje także statystyka, ale nie zapominajmy przyjaciele i o psychologii!

Nie jestem psychologiem, w każdym razie nie z wykształcenia, ale pomyślałem, że może i mnie uda się wyłowić z tych sprawozdań coś pożytecznego dla pogłębienia wiedzy o osobowości Lwa Abałkina.

Przeglądając zawartość teczki co i rusz natrafiałem na podobne, a nawet powiedziałbym identyczne i kompletnie niezrozumiałe dokumenty – niebieskawe arkusze grubego papieru z zieloną obwódką i monogramem wytłoczonym w lewym górnym rogu. Monogram przypominał chińskiego smoka, a może pterodaktyla. Na każdym takim arkuszu znajomym mi już zamaszystym pismem, czasem piórem, czasem flamastrem, a kilkakrotnie nie wiadomo dlaczego laboratoryjnym pisakiem ktoś wykreślał „Tristan 777". Niżej widniał zawsze ten sam zawiły podpis. O ile można było sądzić z dat, arkusze te wkładano do teczki poczynając od 60-go roku, mniej więcej raz na trzy miesiące, tak że teczka w jednej czwartej składała się właśnie z tych arkuszy.

Jeszcze dwadzieścia dwie strony zajmowała korespondencja między Abałkinem i jego zwierzchnikami. Ta korespondencja nasunęła mi pewną myśl.

W październiku 63-go roku Abałkin kieruje do Komkon-u 1 raport, w którym wyraża na razie jeszcze nieśmiałe zdziwienie z powodu przerwania operacji „Głowan w Kosmosie", przerwania bez konsultacji z nim, Abałkinem, chociaż operacja przebiegała z powodzeniem i jej dalsze perspektywy rysowały się znakomicie.

Nie wiadomo jaką odpowiedź otrzymał na swój raport Abałkin, ale w listopadzie tegoż roku pisze rozpaczliwy list do Komowa prosząc o wznowienie operacji „Głowan w Kosmosie" i jednocześnie bardzo ostre w tonie oświadczenie dla Komkon-u, w którym protestuje przeciwko skierowaniu jego, Abałkina, na kurs dokształcający. (Przy tym nie wiadomo dlaczego wszystko to robi w formie pisemnej, a nie zwyczajną drogą.)

Jak wynika z następnych faktów, korespondencja nie dała żadnego rezultatu i Abałkin jedzie na Gigandę. Trzy lata później w listopadzie 66-go, ponownie pisze z Pandory do Komkon-u i prosi aby skierowano go na Saraksz w celu dalszej pracy z Głowanami. Tym razem prośba jego zostaje spełniona, ale tylko połowicznie. Jedzie na Saraksz, ale nie na Błękitną Żmiję tylko do Chonti jako nielegalny działacz związkowy.

Z kursu szkoleniowego w lutym i sierpniu 67-go Abałkin jeszcze dwukrotnie pisze do Komkon-u (do Badera,

wykonywałem swoją pracę. Musiałem pracować. Obowiązek. Poczucie obowiązku. Każdy powinien wykonywać swój obowiązek. Takie zleżałe szorstkie słowa. Po tym wszystkim co tu usłyszałem. Plunąć na obowiązek i zrobić wszystko co w mojej mocy, żeby wyciągnąć tę nieszczęsną dziewczynę z trzęsawiska jej niepojętej rozpaczy. Może to właśnie jest moim prawdziwym obowiązkiem?

Ale wiedziałem, że to nie tak. To nie tak z wielu powodów. Na przykład dlatego, że nie umiem wyciągać ludzi z trzęsawiska rozpaczy. Po prostu nie wiem jak to się robi. Nie wiem nawet od czego należy zacząć. I dlatego najbardziej na świecie miałem ochotę wstać, przeprosić i odejść. Ale tego oczywiście nie zrobię, ponieważ za wszelką cenę muszę się dowiedzieć gdzie oni się spotkali i gdzie on teraz jest...

Nagle zapytała:

– Kim pan jest?

Zadała to pytanie pękniętym suchym głosem, a oczy miała suche i błyszczące, oczy chorego człowieka.

Zanim przyszedłem siedziała tu sama, chociaż wokół było mnóstwo jej kolegów, i nawet jak przypuszczam przyjaciół, ale i tak była sama, być może nawet podchodzili do niej, próbowali z nią rozmawiać, ale i tak była sama, dlatego że nikt tu nie wiedział i nie mógł niczego wiedzieć o człowieku, który wypełniał jej duszę tą straszliwą rozpaczą, tym palącym obezwładniającym rozczarowaniem i tym wszystkim co nagromadziło się w niej w ciągu tej nocy, wyrywało się na zewnątrz i nie znajdowało ujścia, a wtedy zjawiłem się, wypowiedziałem imię i nazwisko Lwa Abałkina – jakbym przeciął skalpelem wzbierający wrzód. Wtedy chlusnęło z niej wszystko na jakiś czas poczuła ogromną ulgę, mogła wreszcie wypłakać się, wykrzyczeć, uwolnić się od bólu, ale wtedy wyzwolił się również jej umysł i wówczas przestałem być uzdrowicielem i stałem się tym kim byłem naprawdę – absolutnie obcym człowiekiem, przypadkowym, postronnym. I teraz stało się dla niej jasne, że w rzeczywistości nie mogłem pojawić się tak całkiem przypadkowo, ponieważ takie przypadki się nie zdarzają. Nie zdarza się, że rozstajesz się z ukochanym dwadzieścia lat temu, dwadzieścia lat nic o nim nie wiesz, dwadzieścia lat nie słyszysz jego imienia po to, żeby potem nagle po dwudziestu latach spotkać się z nim, spędzić z nim noc straszną i gorzką, straszliwszą od lat rozłąki – i aby rankiem po raz pierwszy od dwudziestu lat usłyszeć jego nazwisko od zupełnie przypadkowego, obcego człowieka...

– Kim pan jest? – zapytała pękniętym suchym głosem.

– Nazywam się Maksym Kammerer – odpowiedziałem po raz trzeci starając się wyglądać jak wcielone zakłopotanie – W pewnym sensie jestem dziennikarzem... ale na miłość boską... Widocznie przyszedłem nie w porę... Widzi pani, zbieram materiał do książki o Lwie Abałkinie...

– Co on tu robi?

Nie wierzyła mi. Być może czuła, że szukam nie materiałów o Lwie Abałkinie, tylko samego Lwa Abałkina. Musiałem się przystosować. I to szybko. Więc oczywiście przystosowałem się.

– W jakim sensie? – dziennikarz Kammerer był zakłopotany a może nawet z lekka strwożony.

– Otrzymał zadanie?

Dziennikarz Kammerer osłupiał.

– Z-zadanie? N-niezupełnie rozumiem... – dziennikarz Kammerer sprawiał wrażenie żałosne. Bez żadnej wątpliwości nie był przygotowany na takie przyjęcie. Znalazł się w kretyńskiej sytuacji wbrew swojej woli i absolutnie nie wyobrażał sobie jak się z tej sytuacji wyplątać. Najbardziej na świecie dziennikarz Kammerer miał ochotę uciec. – Pani Maju ja przecież... Na Boga proszę nie myśleć... Umówmy się, że nic nie słyszałem... Zapomniałem już o wszystkim! W ogóle mnie tu nie było! Ale jeżeli w czymś mogę pani pomóc...

Dziennikarz Kammerer mamrotał coś bez sensu, czerwony jak piwonia. Nie siedział już. W uniżonej, wyjątkowo niewygodnej pozie jakby zawisł nad biurkiem i wciąż próbował opiekuńczo ująć Maję za łokieć. Wyglądał zapewne dość odrażająco, ale za to głupio i nieszkodliwie.

– ...Widzi pani, ja mam taki styl pracy... – mamrotał żałośnie próbując się usprawiedliwić. – Można by o nim dyskutować, jak sądzę, ale do tej pory zawsze dawał dobre rezultaty. Zaczynam z daleka – koledzy,

Dziesięć, dwadzieścia razy pod rząd. To ją rozśmieszyło i wtedy pierwszy raz pokazał jej gdzie raki zimują...

...To było wspaniałe – być jego rzeczą, ponieważ on ją kochał. Więcej nikogo i nigdy nie kochał. Tylko ją. Wszyscy inni byli mu obojętni. Niczego nie rozumieli i nie potrafili zrozumieć. A on wychodził na scenę, śpiewał piosenki i deklamował wiersze – dla niej. Tak właśnie mówił „To dla ciebie. Spodobało ci się?" I skakał wzwyż – dla niej. I nurkował na głębokość trzydziestu dwóch metrów – dla niej. I pisał po nocach wiersze – też dla niej. Bardzo ją cenił, ją, swoją własność i ciągle starał się być godny takiej wartościowej rzeczy. I nikt nic o tym nie wiedział. Zawsze umiał zrobić tak, żeby nikt nic nie wiedział. Do ostatniego roku, kiedy dowiedział się o tym Nauczyciel.

Wiele jeszcze innych rzeczy było jego własnością. Cały las wokół internatu był jego. Każdy ptak w tym lesie, każda wiewiórka, każda żaba w każdym rowie. Rozkazywał żmijom, zaczynał i kończył wojny między mrowiskami, umiał leczyć jelenie, i wszystkie one były jego własnością, oprócz starego łosia o imieniu Reks, którego uznał za równego sobie, ale później się z nim posprzeczał i wypędził z lasu...

... Idiotka, głupia idiotka! Na początku wszystko było tak dobrze, a potem podrosła i spróbowała się oswobodzić. Oświadczyła mu wprost, że nie życzy sobie dłużej być jego rzeczą. Przykrócił jej cugli, ale ona była uparta, stała na swoim. Wtedy znowu pokazał co potrafi, potraktował ją okrutnie i bezlitośnie tak jak traktował swoje wilki, kiedy próbowały przestać go słuchać. Ale ona nie była wilkiem, była bardziej zawzięta niż jego wszystkie wilki razem wzięte. Wtedy wyciągnął zza pasa nóż, który samodzielnie wytoczył z kości znalezionej w lesie i z wściekłym uśmiechem bardzo powoli rozpruł sobie rękę od dłoni do łokcia. Stał przed nią z tym wściekłym uśmiechem, krew chlustała mu z ręki jak woda z kranu, zapytał „A teraz?" I nie zdążył jeszcze upaść na ziemię, kiedy zrozumiała że to on miał rację. Miał rację, jak zawsze, od samego początku. Ale ona, idiotka, po stokroć idiotka, za nic nie chciała mu jej przyznać...

...A ostatniego roku, kiedy wróciła z wakacji nie było już niczego. Coś się stało. Prawdopodobnie już go wzięli w swoje ręce. Albo dowiedzieli się o wszystkim i oczywiście wpadli w panikę, idioci. Przeklęci rozumni idioci. On spojrzał na nią jak na powietrze i odwrócił się. I więcej już nie spojrzał. Przestała dla niego istnieć, tak jak wszyscy inni. Utracił swoją własność i pogodził się ze stratą. A kiedy sobie znowu o niej przypomniał, wszystko już było inaczej. Życie na zawsze przestało być tajemniczym lasem, w którym on był władcą, a ona tym najcenniejszym co miał. Już go zaczęli zmieniać, już był prawie Progresorem, był już w pół drogi do innego świata gdzie ludzie zdradzają i dręczą się nawzajem. I było widać, że stoi na tej drodze pewnie, że okazał się dobrym uczniem, pojętnym i zdolnym. Pisał do niej, a ona nie odpowiadała. Wzywał ją, a ona milczała. A powinien był nie pisać, nie wzywać tylko przyjechać, dać jej szkołę jak za dawnych czasów i być może wszystko byłoby jak dawniej. Ale nie był już żadnym władcą. Był mężczyzną jakich wielu kręci się wokół i przestał do niej pisać...

...Ostatni jego list jak zwykle napisany ręcznie – uznawał tylko ręczne pisanie, żadne tam kryształy, magnetyczne nagrania, tylko ręcznie, ostatni jego list przyszedł właśnie stamtąd znad Błękitnej Żmii – „Ptaki, zwierzaki, pod drzwiami stały, jak do nich strzelano to umierały" – napisał. I nic więcej nie było w tym jego ostatnim liście...

Mówiła gorączkowo, pochlipując i wycierając nos w pomięte laboratoryjne serwetki kiedy nagle zrozumiałem i po sekundzie powiedziała to sama – wczoraj widziała się z nim. Dokładnie w tym samym czasie kiedy dzwoniłem i rozmawiałem z piegowatym Tojwo, i kiedy dodzwaniałem się do Jadwigi, i kiedy rozmawiałem z Ekscelencją, kiedy siedziałem w domu studiując sprawozdanie z przebiegu operacji „Zamarły Świat" przez cały ten czas ona była z nim, patrzyła na niego, słuchała go, coś się tam między nimi działo i dlatego teraz tak płakała na ramieniu nieznajomego człowieka.

2 czerwca 78 roku

Maja Głumowa i dziennikarz Kammerer

Zamilkła jakby się opamiętała i ja opamiętałem się również – tyle że na kilka sekund wcześniej. Przecież

a potem do samego Gorbowskiego) zwracając uwagę na nonsensowność wykorzystywania jego, znakomitego specjalisty od Głowanów w charakterze rezydenta. Ton jego listów staje się coraz ostrzejszy, na przykład list do Gorbowskiego, trudno go nie nazwać obraźliwym. Bardzo chciałbym się dowiedzieć, co odpowiedział czarujący Leonid Andrejewicz na ten wybuch furii i obraźliwe insynuacje.

Przebywając już w Chonti jako rezydent, w październiku 67-go Abałkin wysyła do Komowa swój ostatni list – szeroki plan forsowania kontaktów z Głowanami, proponuje tam między innymi stałą wymianę misji, włączenie Głowanów do zoopsychologicznych prac przeprowadzanych na Ziemi itd. itp. Nigdy specjalnie nie interesowałem się tą dziedziną, ale mam niejasne wrażenie, że obecnie ten plan znajduje się w stadium realizacji. A jeżeli tak to sytuacja istotnie jest paradoksalna – plan się realizuje, a jego autor tkwi jako rezydent w Chonti, albo w Imperium.

W ogóle cała ta korespondencja wywarła na mnie przykre wrażenie. Dobrze, powiedzmy, że nie jestem specjalistą, nie znam się na Głowanach, nie mogę wypowiadać się w tej kwestii, możliwe zresztą, że plan Abałkina jest całkiem trywialny i nie ma sensu używanie takich wielkich słów jak „autor". Ale sprawa nie tylko na tym polega! Chłopak najwidoczniej jest urodzonym zoopsychologiem. „Zainteresowania – zoopsychologia, teatr, etnolingwistyka..." „Uzdolnienia – zoopsychologia, teoretyczna ksenologia..." A pomimo to robią z niego Progresora. Nie przeczę, istnieje duża grupa Progresorów, dla których zoopsychologia jest chlebem powszednim. Na przykład dla tych, którzy pracują na Leonidzie, albo właśnie z Głowanami. Ale nie, chłopca zmuszają do pracy z humanoidami, jest rezydentem, bojówkarzem, chociaż od pięciu lat krzyczy na cały Komkon „co ze mną wyprawiacie?" A potem jeszcze dziwią się, że jest na granicy wytrzymałości psychicznej.

Oczywiście, Progresor to taki zawód, w którym żelazna, powiedziałbym nawet wojskowa, dyscyplina jest absolutnie konieczna. Progresor nieustannie musi robić nie to na co ma ochotę, a to co mu rozkazuje Komkon. Na tym polega Progresor. I zapewne rezydent Abałkin jest znacznie cenniejszy dla Komkon-u niż Abałkin zoopsycholog. Ale pomimo wszystko jest w tej historii coś niestosownego, dobrze byłoby porozmawiać na ten temat z Gorbowskim, albo z Komowem... I cokolwiek tam wykonał ten Abałkin (a z pewnością nieźle narozrabiał) jak Boga kocham, jestem po jego stronie.

Zresztą to wszystko nie ma nic wspólnego z moim zadaniem.

Zauważyłem jeszcze, że brakuje trzech ponumerowanych kartek następujących po pierwszym sprawozdaniu Abałkina, dwóch po drugim sprawozdaniu i dwóch po ostatnim liście Abałkina do Komowa. Postanowiłem nie przywiązywać do tego znaczenia.

1 czerwca 78 roku

Prawie wszystko o możliwych kontaktach Lwa Abałkina

Sporządziłem pobieżną listę przypuszczalnych kontaktów Lwa Abałkina na Ziemi i na liście tej znalazło się zaledwie osiem osób i ponumerowałem je według zmniejszającego się prawdopodobieństwa (według mojego rozeznania rzecz jasna) wizyty u nich Lwa Abałkina. Wyglądało to następująco:

Nauczyciel Siergiej Fiedosiejew.
Matka Stella Abałkina.
Ojciec Wieczesław Ciurupa.
Opiekun Ernest Julius Horn.
Lekarz szkoły Progresorów Romuald Kseresku.
Lekarz szkoły-internatu Jadwiga Lekanowa.

W drugim rzucie miałem Kornieja Jaszmaa, Głowana Szczekna, Jakowa Van der Hoose i jeszcze pięć osób – samych Progresorów. Jeżeli zaś chodzi o takich ludzi jak Gorbowski, Bader i Komow to wynotowałem ich raczej pro forma. Nie mogłem się do nich zwracać chociażby dlatego, że żadnej legendy im nie wcisnę, a pytać wprost nie miałem prawa, nawet gdyby któryś z nich sam się do mnie zwrócił w tej kwestii.

W ciągu dziesięciu minut Ośrodek dostarczył mi następujących mało pocieszających informacji.

Rodzice Lwa Abałkina nie istnieli, przynajmniej w ogólnie przyjętym sensie tego słowa. Możliwe, że nie istnieli w ogóle. Sprawa polegała na tym, że ponad czterdzieści lat temu Stella Abałkina i Wiaczesław Ciurupa w składzie grupy „Yormala" na unikalnym gwiazdolocie „Mrok" rozpoczęli sondowanie Czarnej Dziury EN 200056. Łączności z nimi nie było, zresztą być nie mogło według współczesnych pojęć. Jak się okazuje, Lew Abałkin był ich pośmiertnym dzieckiem. Naturalnie słowo „pośmiertny" w tym kontekście nie jest zupełnie ścisłe – z dużą dozą prawdopodobieństwa można przypuścić, że rodzice jego żyją i będą żyć jeszcze miliony lat według naszej miary czasu, ale z punktu widzenia Ziemianina oczywiście można ich traktować jak zmarłych. Nie mieli dzieci, i na zawsze opuszczając nasz Wszechświat, jak wiele par przed nimi i po nich w podobnej sytuacji zostawili w Instytucie Życia zapłodnioną komórkę jajową. Kiedy stało się jasne, że zanurzenie udało się, i że załoga „Yormala" nigdy nie powróci na Ziemię, komórkę zaktywizowano i pojawił się Lew Abałkin – pośmiertny syn żywych rodziców. Teraz przynajmniej zrozumiałem, dlaczego kartka nr 1 w ogóle nie wspomina o rodzicach Abałkina.

Ernesta Juliusa Horna, opiekuna Abałkina w szkole Progresorów nie było już wśród żyjących, w 72-im roku zginął przy zdobywaniu szczytu Strogowa na planecie Wenus.

Lekarz Romuald Kseresku znajdował się na niejakiej planecie Lu, więc był absolutnie nieosiągalny. Nawet nigdy nie słyszałem o takiej planecie, ale ponieważ Kseresku jest Progresorem można przypuszczać, że planeta jest zamieszkała. Ciekawe, że starzec (ma sto szesnaście lat!) zostawił w Ośrodku Informacyjnym swój ostatni domowy adres wraz z następującym charakterystycznym posłaniem „Moja wnuczka i jej mąż z radością przyjmą pod tym dachem każdego z moich wychowanków". Należy przypuszczać, że wychowankowie lubili swojego staruszka i często go odwiedzali. Chyba powinienem mieć to na uwadze.

Z pozostałymi dwoma miałem więcej szczęścia.

Siergiej Fiedosiejew, Nauczyciel Abałkina cały i zdrowy mieszkał na brzegu Ajatskiego jeziora w domu o odstraszającej nazwie „Moskity". Miał również ponad sto lat i był chyba człowiekiem albo nadzwyczaj skromnym, albo skrytym, ponieważ oprócz adresu żadnych innych danych o sobie nie podał. Poza ściśle oficjalnymi – ukończył to i to. Archeolog. Nauczyciel. I to wszystko. Jak się mówi jabłko od jabłoni... Zdumiewająco przypomina swojego ucznia Lwa Abałkina. A tymczasem kiedy zażądałem od Ośrodka dodatkowych informacji, okazało się, że Fiedosiejew jest autorem ponad trzydziestu publikacji z dziedziny archeologii, uczestnikiem ośmiu archeologicznych ekspedycji (Azja Północno-Zachodnia) i trzech euroazjatyckich nauczycielskich konferencji. Poza tym u siebie w „Moskitach" zorganizował własne muzeum paleolityczne dotyczące Północnego Uralu. Postanowiłem skontaktować się z nim w najbliższym czasie.

A Jadwiga Lekanowa sprawiła mi niespodziankę. Lekarze pediatrzy rzadko zmieniają zawód, więc nawet już wyobraziłem sobie drobną chudą staruszkę, zgarbioną pod ciężarem specyficznego i w istocie rzeczy najcenniejszego na świecie doświadczenia, która żwawo drepcze ciągle po tych samych audytoriach szkoły w Syktywkarze. Diabła tam – drepcze! Przez pewien czas rzeczywiście była pediatrą i rzeczywiście w Syktywkarze, ale potem przekwalifikowała się na etnologa, mało tego zajmowała się kolejno: ksenologią, patoksenologią, psychologią porównawczą, lewelometrią i we wszystkich nie tak znowu blisko powiązanych z sobą dziedzinach nauki osiągnęła znaczne sukcesy, jeśli sądzić po ilości opublikowanych prac i według liczby odpowiedzialnych stanowisk jakie zajmowała. W ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat pracowała w sześciu różnych organizacjach i instytutach naukowych, a teraz działała w siódmym – w objazdowym Instytucie Ziemskiej Etnologii w dorzeczu Amazonki. Adresu nie miała, chętni mogli nawiązywać z nią łączność przez bazę Instytutu w Manaosie. No cóż, dzięki chociaż za to, chociaż mocno powątpiewam, żeby mój klient w swoim obecnym stanie próbował ją odnaleźć ciągle jeszcze w dziewiczej dżungli.

Było zupełnie jasne, że należy zacząć od Nauczyciela. Wziąłem teczkę pod pachę, wezwałem maszynę i poleciałem na jezioro Ajatskie.

Patrzyła na mnie z roztargnieniem, może nawet nie tyle na mnie, na coś poza mną, patrzyła i milczała. Biurko przed nią było puste, tylko obie jej ręce leżały na blacie, jakby położyła je przed sobą i zapomniała o nich.

– Przepraszam bardzo – powiedziałem – nazywam się Maksym Kammerer.

– Tak. Słucham pana.

Głos również miała roztargniony i powiedziała nieprawdę – nie słuchała mnie. Nie widziała mnie i nie słyszała. Najwyraźniej nie miała dzisiaj do mnie głowy. Każdy przyzwoity człowiek na moim miejscu przeprosiłby i cicho poszedł sobie. Ale nie mogłem sobie pozwolić na to, żeby być przyzwoitym człowiekiem. Byłem pracownikiem Komkon-2 na służbie. Dlatego nie przeprosiłem i tym bardziej nie wyszedłem, tylko po prostu usiadłem na pierwszym z brzegu fotelu i przybierając prostodusznie życzliwy wyraz twarzy zapytałem:

– Co się dzisiaj stało w waszym muzeum? Nikogo nie wpuszczają...

Miałem wrażenie, że się jakby zdziwiła.

– Nie wpuszczają? Doprawdy?

– Przecież mówię pani! Ledwie udało mi się dostać służbowym wejściem.

– Ach tak... Przepraszam, kim pan jest? Ma pan do mnie jakąś sprawę?

Powtórzyłem, że nazywam się Maksym Kammerer i przystąpiłem do referowania swojej legendy.

I wtedy stało się coś zdumiewającego. Zaledwie wymieniłem nazwisko Abałkina, Maja jakby się obudziła. Roztargnienie znikło z jej twarzy, krew zabarwiła policzki, dosłownie wpiła się we mnie swoimi szarymi oczami. Nie odezwała się ani słowem i wysłuchała mnie do końca. Tylko powoli uniosła swoje bezwolnie leżące ręce, splotła długie palce i wsparła na nich podbródek.

– Pan go znał? – zapytała.

Opowiedziałem jej o ekspedycji do ujścia Błękitnej Żmii.

– I o tym wszystkim pan napisze?

– Oczywiście – odparłem. – Ale to trochę mało.

– Za mało – do czego? – zapytała.

Na jej twarzy pojawił się dziwny wyraz – jakby z trudem powstrzymywała śmiech. Nawet oczy jej zabłysły.

– Rozumie pani – zacząłem ponownie – chciałbym opisać narodziny jednego z najwybitniejszych w swojej dziedzinie specjalistów. Na styku zoopsychologii i socjopsychologii on dokonał czegoś w rodzaju...

– Ale przecież nie stał się specjalistą w swojej dziedzinie – powiedziała. – Przecież oni zrobili z niego Progresora. Przecież oni go... Oni...

Nie, nie śmiech powstrzymywała, ale łzy. I teraz przestała je powstrzymywać. Ukryła twarz w dłoniach i rozpłakała się. O Boże! Kobiece łzy to w ogóle coś przerażającego, a tym razem na domiar wszystkiego jeszcze nic nie rozumiałem. Maja szlochała gwałtownie, zapamiętale, jak dziecko drżąc całym ciałem, a ja siedziałem jak głupi nie wiedząc co począć. W takich wypadkach najczęściej podaje się szklankę wody, ale w pracowni-gabinecie nie było ani szklanki, ani wody – tylko stelaże wypełnione przedmiotami o nie wyjaśnionym przeznaczeniu.

A dziewczyna ciągle płakała, strumienie łez przeciekały jej między palcami, spazmatycznie wciągała powietrze, chlipała – i mówiła tak jakby myślała na głos – przerywając samej sobie, bez celu, bez logiki.

... Trzymał ją krótko – i to jak! Jak tylko próbowała pokazać rogi, dawał jej do wiwatu, że aż huczało. Miał gdzieś że jest dziewczyną, młodszą od niego o całe trzy lata – była jego rzeczą, jego własnością. Stała się nią od razu nieomal pierwszego dnia kiedy ją zobaczył. Miała wtedy pięć lat, a on osiem. Biegał w kółko i wykrzykiwał swoją własną wyliczankę

„Ptaki, zwierzaki,
pod drzwiami stały
jak do nich strzelano
to umierały"

2 czerwca 78 roku

Maja Głumowa, przyjaciółka Lwa Abałkina

Postanowiłem nie uprzedzać Mai o swojej wizycie, tylko równo o dziewiątej poszedłem na Plac Gwiazdy.

Nad ranem spadł niewielki deszcz i ogromny sześcian muzeum z nieoszlifowanego marmuru lśnił w słońcu. Jeszcze z daleka zauważyłem przed głównym wejściem niewielki barwny tłum, a kiedy podszedłem blisko usłyszałem okrzyki pełne niezadowolenia i rozczarowania. Okazało się, że od wczoraj muzeum jest zamknięte dla zwiedzających ze względu na prace związane z nową ekspozycją. Tłum składał się głównie z turystów, ale szczególnie oburzeni byli naukowcy, którzy wybrali ten właśnie ranek, żeby popracować nad eksponatami. Nic ich nie obchodziła nowa ekspozycja. Należy uprzedzać zawczasu o tego rodzaju manewrach administracyjnych. A teraz proszę – cały dzień można uznać za zmarnowany... Zamieszanie potęgowały cyberuprzątacze, którym najwidoczniej zapomniano zmienić program i które teraz głupio plątały się pod nogami, umykając przed gniewnymi kopniakami i co chwila wywołując wybuchy śmiechu swoimi bezmyślnymi próbami przeniknięcia przez zamknięte drzwi.

Zorientowawszy się w sytuacji, nie zatrzymałem się. Niejednokrotnie bywałem w tym muzeum i wiedziałem gdzie jest służbowe wejście. Obszedłem budynek i cienistą alejką trafiłem do szerokich niskich drzwi, ledwie widocznych pod masą pnących roślin. Te udające ciemny dąb plastykowe drzwi również były zamknięte. Na progu cierpiał jeszcze jeden cyberuprzątacz. Wyglądał beznadziejnie smętnie – w ciągu nocy biedak musiał się prawie doszczętnie wyładować, a teraz miał niewielką szansę na zdobycie energii.

Odsunąłem go nogą i gniewnie zapukałem. Odezwał się pozagrobowy głos.

– Muzeum Kultur Pozaziemskich jeszcze chwilowo zamknięte z powodu przygotowywania centralnych pomieszczeń dla nowej ekspozycji. Przepraszamy, prosimy odwiedzić nas za tydzień.

– Massaraksz! – powiedziałem głośno rozglądając się dokoła z niejakim zaskoczeniem.

Nikogo rzecz jasna nigdzie nie było i tylko zafrasowany cyber szemrał u moich stóp. Widocznie zainteresowały go moje buty.

– Muzeum Kultur Pozaziemskich... – przemówił ponownie pozagrobowy głos i nagle umilkł.

Drzwi się otwarły.

– Trzeba było tak od razu – powiedziałem i wszedłem.

Cyber został za progiem.

– No? – powiedziałem do niego – Wejdź.

Ale cyber cofnął się do tyłu, jakby nie mogąc podjąć decyzji i w tym momencie drzwi się zatrzasnęły.

W korytarzach trwał silny, bardzo specyficzny zapach. Już dawno zauważyłem, że każde muzeum ma własny zapach. Szczególnie łatwo to stwierdzić w muzeach zoologicznych, ale tu też zdrowo śmierdziało. Pozaziemskimi Kulturami, jak należy przypuszczać.

Zajrzałem do pierwszego z brzegu pomieszczenia i zobaczyłem tam dwie bardzo młode dziewczyny, które z molekularnymi lutownicami w rękach dłubały we wnętrzu dziwacznej konstrukcji przypominającej do złudzenia wielki kłąb drutu kolczastego. Zapytałem gdzie mogę znaleźć Maję Głumową, otrzymałem dokładne instrukcje i rozpocząłem wędrówkę po salach i korytarzach specjalnego Oddziału Kultur Materialnych i Przedmiotów niewiadomego przeznaczenia. Nie spotkałem tu nikogo. Personel przebywał zapewne w centralnych pomieszczeniach i przygotowywał tam nową ekspozycję, a tu nie było niczego poza przedmiotami o niewiadomym przeznaczeniu. Ale za to na te przedmioty napatrzyłem się po drodze do syta i mimochodem odniosłem wrażenie, że ich przeznaczenie tak jak było nie wyjaśnione, pozostanie takim na wieki wieków amen.

Maję Głumową znalazłem w jej gabinecie-pracowni. Kiedy wszedłem, podniosła na mnie oczy– prześliczna, mało tego, przemiła dziewczyna, o pięknych kasztanowych włosach, wielkich szarych oczach. Nos lekko zadarty, obnażone silne ręce o długich palcach, luźna niebieska bluzka bez rękawów w podłużne czarno-białe paski. Urocza kobieta. Nad prawą brwią miała malutkie czarne znamię.

1 czerwca 78 roku

Nauczyciel Lwa Abałkina

Wbrew moim obawom, dom „Moskity" stał na wysokim urwisku nad samą wodą, otwarty dla wszystkich wiatrów i żadnych komarów nikt tam nigdy nie widział. Gospodarz powitał mnie bez zdziwienia, z umiarkowaną życzliwością. Usiedliśmy na werandzie w plecionych fotelach przy owalnym antycznym stoliku, na którym stała miska ze świeżymi malinami, dzbanek z mlekiem i kilka szklanek.

Powtórnie przeprosiłem za najście, i moje przeprosiny powtórnie zostały przyjęte milczącym skinieniem głowy. Patrzył na mnie ze spokojnym oczekiwaniem, jakby obojętnie, w ogóle twarz miał raczej nieruchomą jak zresztą większość tych starców, którzy mają po sto lat z hakiem i zachowują w pełni jasny umysł i krzepkie ciało. Twarz miał kanciastą, brązową od opalenizny, prawie bez zmarszczek, potężne kosmate brwi sterczały do przodu jakby zasłaniając mu oczy przed słońcem. Zabawne – prawą brew miał czarną jak smoła, a lewą śnieżnobiałą, właśnie białą, a nie siwą.

Przedstawiłem się i zreferowałem mu swoją legendę. Byłem dziennikarzem, z zawodu zoopsychologiem, zbierałem materiały do książki o kontaktach człowieka z Głowanami... I tak dalej... i tak dalej...

Przyznaję otwarcie, że przez cały czas tliła się we mnie iskierka nadziei, że moje łgarstwa zostaną przerwane zaraz na początku okrzykiem „Chwileczkę, Lew? Był u mnie dosłownie wczoraj!" Jednakże nikt mi nie przerywał więc musiałem łgać do końca – z mądrym wyrazem twarzy zreferować swoją pospiesznie skonstruowaną teorię, że osobowość twórcza formuje się w dzieciństwie, właśnie w dzieciństwie, nie w wieku dojrzewania, nie w młodości i oczywiście nie w wieku dojrzałym, właśnie formuje się, a nie wykluwa, lub kiełkuje... A kiedy wreszcie się zatchnąłem, stary milczał jeszcze przez całą minutę, a potem nieoczekiwanie zapytał co to są właściwie te Głowany.

Zdumiałem się najzupełniej szczerze. Wyglądało na to, że Lew Abałkin nie znalazł wolnej chwili, żeby pochwalić się przed swoim Nauczycielem własnymi sukcesami! Doprawdy trzeba być wyjątkowo skrytym odludkiem, żeby nie opowiedzieć Nauczycielowi o swoich sukcesach.

Z ochotą wyjaśniłem, że Głowany to rozumna kynoidalna rasa, która powstała na planecie Saraksz w rezultacie popromiennych mutacji.

– Kynoidalna? Psy?

– Tak. Rozumne psokształtne. Mają ogromne głowy i stąd – Głowany.

– A więc Lew pracuje teraz z psokształtnymi. Osiągnął to czego chciał.

Zaprzeczyłem. Powiedziałem, że nie mam pojęcia nad czym teraz pracuje Lew, jednakże dwadzieścia lat temu z wielkim powodzeniem zajmował się Głowanami.

– Zawsze lubił zwierzęta – powiedział Fiedosiejew. – Byłem przekonany, że powinien zostać zoopsychologiem. Kiedy komisja skierowała go do szkoły Progresorów, protestowałem jak mogłem... Zresztą to wszystko było bardzo skomplikowane... być może gdybym nie protestował...

Zamilkł i nalał mi mleka do szklanki. Nadzwyczaj opanowany człowiek. Żadnych okrzyków, żadnych tam „Ach, Lew! To był taki wspaniały chłopiec!" Oczywiście trudno wykluczyć ewentualność, że Lew nie był wspaniałym chłopcem.

– A więc czego pan się chciał konkretnie dowiedzieć? – zapytał Siergiej Fiedosiejew.

– Wszystkiego! – odparłem szybko. – Jaki był w dzieciństwie. Czym się interesował. Z czego był znany w szkole. Wszystkiego co pan pamięta.

– Dobrze – powiedział Fiedosiejew bez krzty entuzjazmu – Spróbuję.

Lew Abałkin był bardzo skrytym dzieckiem. Od najmłodszych lat. Skrytość była pierwszą rzeczą jaka rzucała się w oczy. Nie była ona zresztą skutkiem kompleksu niższości, poczucia niepełnej wartości, czy też małej pewności siebie. Była to raczej skrytość bardzo zajętego człowieka. Jak gdyby nie chciał tracić czasu na otaczających go ludzi, jak gdyby był stale niezmiernie zajęty swoim własnym wewnętrznym światem.

Prymitywnie definiując, świat ten składał się z niego samego i wszystkiego żywego wokół – z wyjątkiem ludzi. Nie jest to takie rzadkie zjawisko wśród dzieci, tyle że Lew był utalentowany w tym kierunku, a dziwne było coś zupełnie innego – przy całej swojej skrytości, chętnie a nawet z ogromnym zadowoleniem występował na wszelkiego rodzaju zawodach i w teatrze szkolnym. Co prawda zawsze solo. Kategorycznie odmawiał udziału w sztukach. Zwykle recytował, a nawet śpiewał z natchnionym niezwykłym dla niego blaskiem w oczach, jakby otwierał się na scenie a potem schodząc z niej znowu był samym sobą – zamkniętym, milczącym, nieprzystępnym chłopcem. I taki był nie tylko wobec Nauczyciela, ale i wobec kolegów, do końca nie udało się wykryć jaka jest tego przyczyna. Można tylko przypuścić, że jego talent we współżyciu z przyrodą tak przemożnie tłumił wszystkie odruchy jego psychiki, że koledzy – a i w ogóle wszyscy ludzie po prostu przestali go interesować. W rzeczywistości było to rzecz jasna znacznie bardziej skomplikowane – jego skrytość, jego świat, który go tak pochłaniał, był rezultatem tysięcy mikrowydarzeń, które działy się poza polem widzenia Nauczyciela. Nauczyciel przypomniał sobie taką scenę – po ulewnym deszczu Lew chodził po ścieżkach parku, zbierał dżdżownice i rzucał je z powrotem na trawę. Dzieciom wydało się to okropnie śmieszne, a były tam i takie, które umiały się nie tylko śmiać ale okrutnie wyśmiewać. Nauczyciel bez słowa przyłączył się do Lwa i zaczął zbierać dżdżownice razem z nim...

– Ale obawiam się, że Lew mi nie uwierzył. Wątpię, żeby mi się udało przekonać go, że los robaków naprawdę mnie interesuje. A miał on jeszcze jedną cechę – był absolutnie uczciwy. Nie pamiętam, żeby chociaż raz skłamał. Nawet w tym wieku kiedy dzieci kłamią z bezmyślną przyjemnością, a kłamstwo sprawia im czystą bezinteresowną radość. A Lew nie kłamał. Więcej, pogardzał tymi, którzy kłamali. Nawet jeśli kłamali bezinteresownie, z ciekawości. Podejrzewam, że musiał być w jego życiu taki moment kiedy po raz pierwszy z obrzydzeniem i zgrozą zrozumiał, że ludzie potrafią mówić nieprawdę. Ten moment również przegapiłem... Nie sądzę zresztą, żeby to pana interesowało. Pan zapewne chce się dowiedzieć w jaki sposób kształtował się Lew Abałkin, przyszły zoopsycholog...

I Siergiej Pawłowicz przystąpił do opowieści jak kształtował się Lew, przyszły zoopsycholog...

Musiałem grać dalej swoją rolę. Słuchałem z niemiernie zainteresowanym wyrazem twarzy, w odpowiednich miejscach wstawiłem „A więc tak to wyglądało?", a raz pozwoliłem sobie nawet na wulgarny okrzyk „Do diabła to jest właśnie to o co mi chodzi!" Czasami bardzo nie lubię swojego zawodu.

Potem zapytałem:

– To znaczy, że miał niewielu przyjaciół?

– Przyjaciół nie miał w ogóle – powiedział Fiedosiejew – Nie widziałem go od momentu ukończenia szkoły, ale inni uczniowie z jego grupy mówili mi, że z nimi również nie utrzymuje kontaktu. Niezręcznie im było o tym opowiadać, ale, o ile zrozumiałem, Lew po prostu uchyla się od spotkań.

I nagle jego spokój prysł.

– No, dlaczego interesuje pana akurat Lew? Wypuściłem w świat stu siedemdziesięciu ludzi. Czemu z nich wszystkich potrzebny jest panu właśnie Lew? Proszę zrozumieć, ja nie uważam go za swego ucznia! Nie mogę uważać! To moja klęska! Jedyna moja klęska. Od pierwszego dnia, dziesięć lat pod rząd próbowałem nawiązać z nim kontakt, zbudować most, choćby cienki jak włos. Myślałem o nim dziesięć razy więcej niż o każdym innym swoim uczniu. Próbowałem wszystkiego co było w mojej mocy, ale to wszystko obracało się na złe...

– Jak pan tak może mówić – powiedziałem – Abałkin jest znakomitym specjalistą, uczonym światowej klasy, znam go osobiście...

– I co pan o nim sądzi?

– Świetny chłopak, entuzjasta... To była właśnie pierwsza ekspedycja do Głowanów. Wszyscy bardzo go cenili, sam Komow pokładał w nim wielkie nadzieje... i nie zawiódł się, przeciwnie.

– Mam znakomite maliny – powiedział Siergiej Pawłowicz – najwcześniejsze maliny w okolicy. Niech pan skosztuje, bardzo proszę...

Zamilkłem, wziąłem talerzyk z malinami.

niczego nie ukrywałem posiada zdolność ujarzmiania i zabijania mocą swego ducha. Miejmy nadzieję, że tylko psy, a zresztą kto go tam wie... U diabła, dlaczego jest mi tak przykro?

Szczekn błyskawicznie wyczuwa gorycz w moim głosie, ale interpretuje ją na własny sposób.

– Nie bądź łapczywy – mówi. – Za to wy Ziemianie macie to czego my nie mamy i nigdy nie będziemy mieć. Wasze maszyny i wasza nauka...

Wychodzimy na plac i natychmiast zatrzymujemy się, ponieważ widzimy armatę. Stoi za rogiem po lewej stronie przysadzista, jakby przywarła do jezdni – długa lufa z ciężką naroślą hamulca wylotowego, niska szeroka tarcza ochronna pomalowana w maskujące plamy, grube koła na gumie... Z tej pozycji padł niejeden strzał, ale to było dawno, bardzo dawno. Rozsypane wokół łuski pocisków przeżarła na wylot czerwona i zielona rdza, lemiesz rozdarł asfalt do ziemi i teraz tonie w gęstej trawie i nawet malutkie drzewko zdążyło wyrosnąć z lewej strony. Zardzewiały zamek jest odciągnięty, celownika nie ma w ogóle, a z tyłu za armatą poniewierają się przegniłe skrzynki od pocisków. Wszystkie są puste. Strzelano tu do ostatniego pocisku.

Patrzę ponad lawetę i widzę gdzie strzelano. To znaczy, mówiąc ściśle, najpierw widzę ogromne zarośnięte bluszczem dziury w ścianie domu naprzeciwko i dopiero potem zwraca moją uwagę niejaki dysonans architektoniczny. U stóp domu z dziurami, zupełnie bez sensu stoi niewielki, matowo żółtawy pawilon, parterowy, z płaskim dachem i teraz jest dla mnie jasne, że ostrzeliwano właśnie ten pawilon, a dziury w ścianie domu nad nim – to skutki chybionych strzałów, chociaż z takiej odległości wydaje się nie sposób chybić. Zresztą chybiano niezbyt często i można tylko podziwiać solidność tej niepokaźnej żółtej budowli, która przyjęła w siebie tyle pocisków i nie zamieniła się w kupę gruzu.

Pawilon usytuowany jest bezsensownie i początkowo wydało mi się, że straszne bombardowanie artyleryjskie przesunęło go do tyłu, wcisnęło na trotuar i prawie wepchnęło kątem w ścianę domu. Ale oczywiście nie miałem racji. Pawilon oczywiście stoi tam gdzie stał od urodzenia, gdzie go postawili obłąkani architekci, zagradzając cały chodnik i spory kawałek jezdni, co naturalnie musiało przeszkadzać w ruchu ulicznym.

Wszystko co się tu zdarzyło, zdarzyło się w odległych bardzo czasach, wiele lat temu i dawno już znikł zapach pożarów i strzelaniny, ale w dziwny sposób zachowała się przygniatająca atmosfera strasznej nienawiści, furii i wściekłości, które opanowały wówczas nieznanych artylerzystów.

Zacząłem, dyktować kolejne doniesienie, a Szczekn siedzi nie opodal, dolna warga mu opadła, jest pełen niesmaku i demonstracyjnie głośno burczy zezując żółtym okiem „ludzie... jakie tu można mieć wątpliwości... Rozumie się, że ludzie... Ogień i żelazo, rozwalone domy, zawsze jedno i to samo..." Widocznie on również wyczuwa tę atmosferę i zapewne jeszcze intensywniej niż ja. Na domiar złego wspomina teraz swój kraj ojczysty – lasy nafaszerowane śmiercionośną techniką, spopielone przestrzenie, na których sterczą martwe, radioaktywne pnie drzew, ziemię przesyconą nienawiścią, strachem i śmiercią.

Na tym placu nie mamy już nic do roboty. Możemy tylko budować hipotezy, a wyobraźnia może podpowiadać nam straszne sceny, jedną okropniejszą od drugiej. Idziemy dalej, a ja myślę, że w epokach globalnych katastrof cywilizacje wyrzucają na powierzchnię bytu całe draństwo, całą ohydę nagromadzoną przez stulecia w genach społeczności. Formy tej piany są niezmiernie różnorodne i według nich można osądzać na ile zdegenerowana była konkretna cywilizacja w momencie kataklizmu, ale bardzo niewiele da się powiedzieć o naturze tego kataklizmu, ponieważ najróżniejsze kataklizmy – czy to będzie globalna pandemia, czy wojna światowa, czy też katastrofa geologiczna – wychlustują na powierzchnię taką samą pianę – nienawiść, zwierzęcy egoizm, okrucieństwo, które wydaje się usprawiedliwione, ale którego żadną miarą usprawiedliwić nie sposób.

Doniesienie od Espady – nawiązał kontakt. Rozkaz Komowa – wszystkie grupy mają przygotować translatory do przyjęcia lingwistycznej informacji. Sięgam ręką do tyłu i po omacku wciskam przełącznik podręcznego tłumacza...

I wtedy nagle nad skrzyżowaniem rozlega się rozpaczliwy pisk. Wataha pęka oczyszczając drogę. Po kilku sekundach przecznica po prawej jest już zupełnie pusta, a ulicę po lewej wypełnia żywa, drgająca masa kosmatych ciał, zapierających się łap i wyszczerzonych pysków.

Mijamy skrzyżowanie zasypane brudnymi kłakami, wyjące piekło zostaje za plecami i wtedy siłą woli zmuszam się, żeby stanąć i spojrzeć do tyłu. Środek skrzyżowania jest pusty po dawnemu. Stado zawróciło. Po obu stronach kolumny ciężarówek sunie teraz aleją od nas w kierunku przedmieścia. Pisk i wycie powoli ucicha, jeszcze chwila i – znowu wszystko jest jak poprzednio – słychać tylko pracowity tysiącnogi tupot, postukiwanie pazurów, sapanie, prychanie. Głęboko oddycham i chowam skorczer do kabury. Nieźle najadłem się strachu.

Van der Hoose robi nam dzikie piekło. Otrzymujemy naganę. Obaj. Zachowaliśmy się jak smarkacze. Mówiąc otwarcie Szczekn jest niesłychanie wrażliwy na reprymendy, ale tym razem z niejasnych powodów nie protestuje. Tylko mamrocze „Powiedz mu, że nie było żadnego ryzyka. – i dodaje – Prawie..." Dyktuję meldunek o incydencie. Nie zrozumiałem co się stało na skrzyżowaniu i rzecz jasna jeszcze mniej rozumie Van der Hoose. Na jego wypytywania odpowiadam wymijająco. Kładę nacisk głównie na to, że wataha idzie w kierunku statku.

– Jeśli dojdą do was, postraszcie je ogniem – kończę.

Przechodzimy przez cały dwudziesty drugi kwartał i nagle zauważam, że wszystko co żyje znikło z ulicy – nie ma ani jednego szczura, ani jednej żmii, i nawet żaby gdzieś przepadły. Ukryły się przed psami, myślę niezdecydowanie. Wiem, że to nie tak. To Szczekn.

W czwartym roku naszej znajomości okazało się nagle, że Szczekn nieźle zna angielski. Mniej więcej w tym samym czasie dowiedziałem się, że Szczekn komponuje muzykę – oczywiście nie symfoniczną, tylko piosenki, proste melodie, całkiem miłe dla ziemskiego ucha. A teraz znowu coś nowego.

Szczekn zezuje na mnie żółtym okiem.

– W jaki sposób odgadłeś ogień? – pyta.

Staję się czujny. Okazuje się że odgadłem ogień. Kiedy to zrobiłem?

– To zależy o jaki ogień chodzi – mówię na chybił trafił.

– Nie rozumiesz o czym mówię? Czy nie chcesz powiedzieć?

Ogień, ogień, myślę pospiesznie. Czuję, że może w tej chwili uda mi się dowiedzieć coś ważnego. Jeżeli nie będę się spieszył. Jeśli moje odpowiedzi będą właściwe. Kiedy to mówiłem o ogniu. Ach tak, „Postraszcie je ogniem".

– Każde dziecko wie, że zwierzęta boją się ognia – mówię – Dlatego odgadłem. Czy to było takie trudne – odgadnąć?

– Moim zdaniem – trudne – mruczy Szczekn. – Do tej pory nie odgadywałeś.

Milknie i przestaje zezować. Porozmawialiśmy. A jednak mądry facet z tego Szczekna. Rozumie, że albo ja nie zrozumiałem, albo nie chce mówić przy postronnych... I w jednym i w drugim przypadku lepiej rozmowę zakończyć... A więc odgadłem ogień. Tak naprawdę to niczego nie odgadłem. Po prostu powiedziałem „Postraszcie je ogniem". A Szczekn pomyślał, że coś odgadłem. Ogień, ogień... Szczekn naturalnie nie miał żadnego ognia... A więc, to znaczy, że miał. Tylko ja go nie widziałem, a psy widziały. Tak, tego tylko jeszcze brakowało. Brawo.

– Poparzyłeś je? – pytam chytrze.

– Ogień parzy – sucho odpowiada Szczekn.

– Czy to potrafi każdy Głowan?

– Tylko Ziemianie nazywają nas Głowanami. Degeneraci z Południa nazywają nas wilkołakami. A w ujściu Błękitnej Żmii nazywają nas pomroczami. A na Archipelagu – „Osechu"... Po rosyjsku nie ma odpowiednika. To znaczy – ten, który żyje pod ziemią i umie ujarzmiać i zabijać siłą swego ducha.

– Jasne – mówię.

Zaledwie pięć lat wystarczyło mi, żeby się dowiedzieć, że mój najbliższy przyjaciel, przed którym nigdy

– Głowany – powtórzył z goryczą – No cóż, to możliwe. Ale widzi pan, ja sam dobrze wiem, że Lew ma talent. Tylko że nie ma w tym żadnej mojej zasługi...

Czas jakiś w milczeniu jedliśmy maliny z mlekiem. Przeczuwałem, że z minuty na minutę zbliża się zmiana tematu rozmowy, będziemy mówić o mnie. Siergiej Pawłowicz wyraźnie nie zamierzał więcej rozmawiać o Abałkinie i zwyczajna grzeczność kazała zainteresować się moją osobą. Powiedziałem szybko:

– Ogromnie jestem panu wdzięczny. Dał mi pan mnóstwo interesującego materiału. Szkoda tylko, że Lew nie miał przyjaciół. Bardzo liczyłem, że znajdę jakiegoś bliskiego przyjaciela Abałkina.

– Mogę jeśli trzeba podać panu nazwiska jego kolegów z klasy... – umilkł na chwilę, a potem powiedział nieoczekiwanie – Więc tak. Niech pan odszuka Maję Głumową.

Wstrząsnął mną wyraz jego twarzy. Absolutnie nie sposób było sobie wyobrazić co mu się przypomniało, jakie skojarzenia powstały w jego głowie w związku z tym nazwiskiem, ale można było zaręczyć, że skojarzenia te były wyjątkowo nieprzyjemne. Nawet twarz jego pokryły bure plamy.

– Szkolna przyjaciółka? – zapytałem, żeby ukryć zakłopotanie.

– Nie – odpowiedział Fiedosiejew. – To znaczy oczywiście uczyła się w naszej szkole. Maja Głumowa. Zdaje się, że została historykiem.

1 czerwca 78 roku

Incydent z Jadwigą Lekanową

O 19.23 wróciłem do siebie i zacząłem poszukiwania Mai Głumowej, historyka. Nie upłynęło nawet i pięć minut kiedy jej karta informacyjna leżała na moim stole.

Maja Głumowa była o trzy lata młodsza od Lwa Abałkina. Po ukończeniu szkoły poszła na kurs pomocniczego personelu przy Komkon-ie i wzięła udział w realizacji osławionego projektu „Arka", następnie rozpoczęła studia historyczne na Sorbonie. Początkowo specjalizowała się w epoce pierwszej Rewolucji Naukowo-Technicznej, a następnie zajęła się historią wczesnych badań Kosmosu. Miała jedenastoletniego syna, Tojwo Głumowa, a o mężu nie podała żadnych danych. W chwili obecnej – co za szczęście! – pracowała w Muzeum Kultur Pozaziemskich, które znajdowało się tuż obok nas, trzy kwartały dalej na placu Gwiazdy. Mieszkała także bardzo blisko – w Alei Świerków Kanadyjskich.

Zadzwoniłem do niej niezwłocznie. Na ekranie pojawił się płowy, niezmiernie poważny osobnik z zadartym, łuszczącym się nosem otoczonym gwiazdozbiorami piegów. Bez wątpienia był to Tojwo – Głumow junior. Patrząc na mnie przejrzystymi polarnymi oczami wyjaśnił, że mamy nie ma w domu, że zamierzała być, ale później zadzwoniła i powiedziała, że wróci jutro wprost do pracy. Co jej przekazać? Powiedziałem, że nic nie trzeba przekazywać i pożegnałem się.

Tak. Trzeba poczekać do rana, a rano Maja będzie sobie długo przypominać kto to taki ten Lew Abałkin, następnie przypomni sobie wreszcie i powie z westchnieniem, że już od dwudziestu pięciu lat niczego o nim nie słyszała.

Dobra. Na mojej liście pierwszych w kolejce został jeszcze jeden człowiek, z którym zresztą nie wiązałem szczególnych nadziei. Koniec końców po ćwierćwiekowej rozłące, ludzie chętnie odwiedzają rodziców, bardzo często swego Nauczyciela, nierzadko szkolnych przyjaciół, ale tylko w szczególnych powiedziałbym niezwykłych okolicznościach tęsknią do swojego szkolnego lekarza. Tym bardziej, jeśli wziąć pod uwagę, że ten szkolny lekarz jest uczestnikiem ekspedycji na drugim końcu świata, a zero-łączność zgodnie z komunikatem już drugi dzień funkcjonuje niesprawnie z powodu fluktuacji pola neutrinowego.

Ale po prostu nie miałem innego wyjścia. Teraz w Manaosi był akurat dzień i jeżeli w ogóle zamierzałem dzwonić, to powinienem dzwonić właśnie w tej chwili.

Miałem szczęście. Jadwiga Lekanowa była już raz w punkcie łączności i mogłem porozmawiać z nią od razu, na co w żadnym wypadku nie liczyłem. Jadwiga Michajłowna Lekanowa miała pełną, opaloną twarz, wspaniały rumieniec, figlarne dołeczki, błękitne promienne oczy i potężną szopę zupełnie siwych włosów. Miała też trudno

uchwytny ale uroczy defekt wymowy i głęboki aksamitny głos, który nasuwał frywolne i zupełnie nie na miejscu przypuszczenia, że dama ta mogła, gdyby tylko miała taką fantazję, zawrócić w głowie każdemu mężczyźnie. I najwidoczniej zawracała.

Przeprosiłem ją, przedstawiłem się i wyłożyłem swoją legendę. Jadwiga Michajłowna zmrużyła oczy, zmarszczyła sobole brwi i zaczęła sobie przypominać.

– Lew Abałkin? Lew Abałkin? Przepraszam nie dosłyszałam pańskiego nazwiska?

– Maksym Kammerer.

– Jeszcze raz przepraszam, ale chyba niezupełnie zrozumiałam. Czy jest pan prywatną osobą, czy też reprezentuje pan jakąś organizację?

– Jakby to najlepiej wyjaśnić... Przeprowadziłem rozmowy z wydawnictwem... Są bardzo zainteresowani...

– Ale pan sam – czy jest pan po prostu dziennikarzem, czy też jednak gdzieś pan pracuje? Nie ma przecież takiego zawodu – dziennikarz...

Wydałem z siebie pełen szacunku chichot gorączkowo zastanawiając się co mówić dalej.

– Widzi pani, to dosyć trudno sformułować... W zasadzie jestem... no chyba jednak Progresorem, chociaż kiedy zaczynałem pracować, ten zawód jeszcze nie istniał... W niedawnej przeszłości byłem zatrudniony w Komkon-ie... zresztą i teraz jestem z nimi związany w jakimś sensie...

– Został pan wolnym strzelcem? – zapytała Lekanowa.

Nadal uśmiechała się, ale teraz w jej uśmiechu brakowało czegoś bardzo ważnego. I zarazem bardzo, bardzo zwyczajnego.

– Wie pan, Maksym – powiedziała – z przyjemnością porozmawiam z panem o Lwie Abałkinie, ale jeśli pan łaskaw – za jakiś czas. Umówmy się, że zadzwonię, no powiedzmy za godzinę, półtorej.

Wciąż jeszcze uśmiechała się i wreszcie zrozumiałem czego brak w jej uśmiechu – najzwyczajniejszej życzliwości.

– Ależ naturalnie – powiedziałem – Jak pani wygodnie.

– Bardzo, bardzo pana przepraszam.

– Ależ co znowu, to ja powinienem przeprosić...

Zanotowała numer mojego kanału i rozstaliśmy się. Dziwna jakaś była ta rozmowa. Jakby dowiedziała się skądś, że ja kłamię. Dotknąłem swoich uszu. Były gorące. Przeklęty zawód!... „I zaczęło się najwspanialsze polowanie – polowanie na człowieka..." O tempora, o mores! Jak często jednak mylili się klasycy! Dobrze, poczekamy. A przecież pewnie przyjdzie mi lecieć na ten Manaos. Poprosiłem o prognozę. Zero-łączność była nadal niepewna. Wobec tego zamówiłem stratolot, otworzyłem teczkę i zacząłem czytać sprawozdanie Lwa Abałkina z przebiegu operacji „Zamarły Świat".

Zdążyłem przeczytać około pięciu stron, nie więcej. Ktoś stuknął w drzwi i na progu ukazał się Ekscelencja. Wstałem.

Rzadko zdarza się nam widzieć Ekscelencję inaczej niż za jego biurkiem i jakoś ciągle zapominam jaki to kolos. Nieskazitelnie biały garnitur wisiał na nim jak na wieszaku i w ogóle mocno przypominał cyrkowca na szczudłach, chociaż jego ruchy wcale nie były kanciaste.

– Siadaj – powiedział. Złożył się w pół i opadł na fotel przede mną.

Pospiesznie usiadłem również.

– Referuj – rozkazał.

Zreferowałem.

– To wszystko? – zapytał z nieprzyjemnym wyrazem twarzy.

– Na razie wszystko.

– Źle – oświadczył.

– Może nie tak bardzo źle, Ekscelencjo – powiedziałem.

nie schodzi z trasy. My – również. Van der Hoose jest zdenerwowany do ostatecznych granic, jego głos to jedno wielkie błaganie o litość.

Kapitan raczej się nam nie udał. Kapitan Espady jest Progresorem. Kapitan Żełtuchina – również. A naszym kapitanem jest Van der Hoose. To logiczne. Espada – to grupa kontaktowa, Rem – dostarcza lwią część informacji, a my ze Szczeknem jesteśmy po prostu pieszymi zwiadowcami w pustym i bezpiecznym rejonie. Ale kiedy coś się wydarzy – a zawsze coś się wydarza – możemy liczyć wyłącznie na siebie. Koniec końców stary, sympatyczny Van der Hoose – to zaledwie astronauta, doświadczony kosmiczny wilk. Ma we krwi instrukcję 06/3 „W przypadku stwierdzenia na planecie obecności rozumnego życia należy natychmiast startować zniszczywszy uprzednio w miarę możliwości wszystkie ślady swojego pobytu..." A tu – ostrzegawcza strzelanina, widoczna gołym okiem niechęć do nawiązania kontaktu i nikt nie tylko nie zamierza startować natychmiast, a przeciwnie wszyscy kontynuują swoje poszukiwania i w ogóle pchają się tam gdzie ich nie proszą.

Domy są coraz wyższe i bardziej luksusowe. Złuszczony spleśniały luksus. Długa kolumna najprzeróżniejszych ciężarówek stojących na poboczu z lewej strony. Prawdopodobnie ruch był tu lewostronny. Część ciężarówek jest odkryta, widać sprzęty domowe, toboły. Wygląda na pozostałość masowej ewakuacji, tylko nie wiadomo dlaczego jechali w kierunku centrum miasta. Może do portu?

Szczekn nagle zatrzymuje się, z gęstego futra na czubku głowy wysuwa trójkątne uszy. Jesteśmy bardzo blisko od skrzyżowania, skrzyżowanie jest puste, aleja przed nami również o ile można to stwierdzić przy tej widoczności.

– Śmierdzi – mowi Szczekn. I po sekundzie przerwy. – Zwierzęta. – I jeszcze po chwili – Dużo. Idą tu. Z lewej strony.

Teraz i ja czuję zapach, ale to tylko zapach mokrej rdzy na ciężarówkach. I nagle – tupot tysiąca nóg, stukot pazurów, piski, przygłuszone warczenie, sapanie i prychanie. Tysiące nóg. Tysiące gardeł. Wataha. Rozglądam się szukając odpowiedniej bramy, żeby przeczekać.

– Paskudztwo– mówi Szczekn. – Psy.

I w tym samym momencie z uliczki po lewej stronie chlusnęło. Psy. Setki psów. Gęsty szaro-żółto-czarny potok sapiący, tupiący i ostro cichnący mokrą psią sierścią. Czoło potoku już znikło w przecznicy po prawej, a potok wciąż płynie i płynie, ale oto kilka bestii odłącza się od stada i ostro rusza w naszą stronę – wielkie wyliniałe zwierzęta, straszliwie chude, sfilcowana sierść zwisa na nich płatami. Biegające zaropiałe ślepia, żółte zaślinione kły. Cieniutko, jakby żałośnie poszczekując biegną do nas truchtem i nie po prostej ale jakimś dziwacznym łukiem, garbiąc grzbiety i podkulając pod siebie drgające ogony.

– Do domu! – krzyczy Van der Hoose – Dlaczego stoicie? Do domu!

Proszę go, żeby przestał hałasować. Wsuwam rękę pod klapę kombinezonu i ujmuję kolbę skorczera. Szczekn mówi:

– Nie trzeba. Ja sam.

Powoli kołysząc się rusza na spotkanie psów. Nie przybiera bojowej pozy. Po prostu idzie.

– Szczekn – mówię. – Lepiej się w nic nie wdawajmy.

- Nie wdawajmy się – mówi Szczekn i idzie dalej.

Nie rozumiem co on zamierza i trzymając skorczer lufą w dół w opuszczonej ręce idę równoległym kursem wzdłuż kolumny ciężarówek. Muszę zwiększyć pole ostrzału na wypadek, jeśli brudnożółty potok nagle skręci w naszym kierunku. Szczekn ciągle idzie, a psy zatrzymały się. Cofają się, zwrócone do Szczekna bokiem, jeszcze bardziej zgarbione i ogony już całkiem podwinęły pod siebie, a kiedy do najbliższego zostało nie więcej niż dziesięć kroków, niespodziewanie z panicznym skomleniem rzucają się do ucieczki i znikają gdzieś w głębi stada.

A Szczekn wciąż idzie. Prosto, środkiem jezdni, niespiesznie kołysząc się, jakby skrzyżowanie przed nim było całkowicie puste. Wówczas zaciskam zęby, unoszę skorczer do strzału i skręcam na środek, żeby znaleźć się tuż za Szczeknem. Brudnożółty potok jest tuż.

W chwili kiedy przechodzimy obok pochylonej bramy, z mokrych bujnie rozrośniętych krzewów wyskakuje z szumem i dźwiękiem dzwoneczków wzorzysty, bezsensowny, wysoki mężczyzna.

Jest chudy jak szkielet, twarz ma zżółkłą, policzki zapadnięte i szkliste spojrzenie. Mokre, rude kołtuny sterczą we wszystkie strony, telepią się, jakby miały bardzo wiele stawów ręce, a długie nogi bezustannie tańczą i podskakują w miejscu tak, że spod ogromnych stóp wylatują opadłe liście i mokry pokruszony cement.

Mężczyzna od stóp do głów obciągnięty jest czymś w rodzaju trykotu w różnobarwną kratę w kolorze czerwonym, żółtym, niebieskim i zielonym, bez przerwy dzwonią dzwoneczki naszyte jak popadnie na rękawach i nogawkach trykotu, długie węźlaste palce człowieka dźwięcznie pstrykają w skomplikowanym szybkim rytmie. Arlekin. Pajac. Jego błaznowanie byłoby zapewne śmieszne, gdyby nie było straszne w tym martwym Mieście pod szarą sypką mżawką, na tle zdziczałego parku przemienionego w las. Człowiek bez wątpienia jest obłąkany. Jeszcze jeden obłąkany.

W pierwszej chwili wydaje mi się, że to ten sam z przedmieścia. Ale tamten miał kolorowe wstążki na błazeńskim kołpaku z dzwoneczkami, był znacznie niższy i nie wydawał się aż tak wychudzony. Po prostu obaj są kolorowi, obaj niespełna rozumu i wydaje się całkowicie nieprawdopodobne, żeby dwaj pierwsi, napotkani tubylcy okazali się zwariowanymi klownami.

– To nie jest niebezpieczne – mówi Szczekn.

– Mamy obowiązek mu pomóc – mówię.

– Jak chcesz. Będzie nam przeszkadzać.

Sam dobrze wiem, że będzie nam przeszkadzać, ale nie mam wyjścia i zaczynam zbliżać się do tańczącego pajaca, przygotowując w rękawiczce przyssawkę z trankwilizatorem.

– Niebezpieczeństwo za tobą! – mówi nagle Szczekn.

Odwracam się gwałtownie. Ale na drugiej stronie ulicy nie widzę nic szczególnego – stoi piętrowa willa z resztkami jadowicie fioletowej farby, podrabiane kolumny, ani jednej całej szyby, rozwalone na półtorej kondygnacji wejście zieje mrokiem. Dom jak dom, ale Szczekn patrzy właśnie na ten dom a jego poza wyraża najgłębsze skupienie. Przysiadł na gotowych do skoku łapach, pochylił nisko głowę, nastroszył małe trójkątne uszy. Poczułem strumyczek zimna między łopatkami – od początku naszego wymarszu nie zdarzyło się, żeby Szczekn przybrał tę niezwykłą dla niego pozę. Z tyłu rozpaczliwie dźwięczą dzwoneczki i nagle robi się cicho. Tylko szelest deszczu.

– W którym oknie? – pytam.

– Nie wiem – Szczekn powoli obraca ciężką głowę z prawej na lewą. – W żadnym oknie. Chcesz – zobaczymy?... Ale już mniej... ciężka głowa powoli się unosi. – Koniec. Jak zawsze.

– Co?

– Jak na początku.

– Niebezpiecznie?

– Na samym początku niebezpiecznie. Słabo. A teraz było mocno. I znowu jak na początku.

– Ludzie? Zwierzę?

– Bardzo wiele złości. Niepojęte.

Patrzę na park. Zwariowanego pajaca już nie ma i nie sposób rozróżnić cokolwiek w gęstej mokrej zieleni.

Van der Hoose jest straszliwie zaniepokojony. Dyktuję doniesienie. Van der Hoose obawia się, że była to zasadzka i że pajac miał odwrócić moją uwagę. W żaden sposób nie chce zrozumieć, że w takim wypadku spokojnie wpadłbym w zasadzkę, ponieważ pajac rzeczywiście odwrócił moją uwagę do tego stopnia, że nic nie widziałem i nie słyszałem oprócz niego. Van der Hoose proponuje, że przyśle nam posiłki, ale odmawiam. Nasze zadanie jest niezmiernie proste i najpewniej już niedługo cofną nas z trasy i przerzucą do pomocy chociażby Espadzie.

Komunikat grupy Espady – ostrzelano ich. Pociskami świetlnymi. Wygląda na salwę ostrzegawczą. Espada

– Źle! Opiekun umarł. A szkolni przyjaciele? Widzę, że nawet ich nie umieściłeś na liście! A jego koledzy ze szkoły Progresorów?

– Niestety, Ekscelencjo, Abałkin najwidoczniej nie miał przyjaciół. W każdym razie w internacie. A jeżeli chodzi o szkołę Progresorów...

– Oszczędź mi z łaski swojej tych rozważań. Sprawdź wszystko. I nie rozpraszaj się. Skąd tu nagle lekarz pediatra?

– Staram się sprawdzić wszystko – powiedziałem i zaczęła mnie ogarniać złość.

– Masz za mało czasu, żeby się włóczyć po świecie na stratolotach. Zajmuj się archiwami a nie lataniem.

– Archiwami zajmę się też. Mam nawet zamiar zająć się tym Głowanem. Szczeknem. Według określonego planu... Wcale nie uważam, że lekarz pediatra to całkowita strata czasu.

– Siedź cicho przez chwilę – powiedział. – Daj no mi swoją listę.

Wziął listę i długo ją studiował, od czasu do czasu marszcząc kościsty nos. Gotów byłem dać głowę, że wlepił oczy w jedną linijkę i patrzy na nią nie odrywając wzroku. Potem zwrócił mi moją listę i powiedział.

– Szczekn – to nie najgorzej. I twoja legenda też mi się podoba. A cała reszta do chrzanu. Uwierzyłeś, że on nie miał przyjaciół. Niesłusznie. Tristan był jego przyjacielem, chociaż w teczce nie znajdziesz o tym nic. Szukaj. I tę... Głumową... to dobry pomysł. Jeśli między nimi była miłość, to jest jakaś szansa. A Lekanową zostaw w spokoju. Nie jest ci potrzebna.

– Ale przecież ona tak czy inaczej zadzwoni!

– Nie zadzwoni – powiedział.

Spojrzałem na niego. Okrągłe zielone oczy nie mrugały i zrozumiałem, że tak. Lekanowa nie zadzwoni.

– Niech pan posłucha, Ekscelencjo – powiedziałem – Czy nie wydaje się panu, że praca szłaby mi trzy razy lepiej, gdybym wiedział o co chodzi?

Byłem przekonany, że usłyszę krótkie „Nie zdaje się". Moje pytanie było czysto retoryczne. Chciałem po prostu zademonstrować mu, że cała atmosfera tajemnicy, która otacza Lwa Abałkina została przeze mnie zauważona i bardzo mi przeszkadza.

Ale usłyszałem coś innego.

– Nie wiem. Sądzę, że nie. Ale tak czy inaczej na razie nie mogę nic powiedzieć. Zresztą nie chcę.

– Tajemnica osobowości? – zapytałem.

– Tak – odparł. – Tajemnica osobowości.

Ze sprawozdania Lwa Abałkina

... Do dziesiątej system poruszania się zostaje ustalony ostatecznie. Idziemy środkiem ulicy, na przedzie, na osi marszruty – Szczekn, za nim i trochę na lewo – ja. Od systemu przyjętego na początku – tuż przy ścianach domów, musieliśmy zrezygnować, ponieważ chodniki zawalone są pokruszonym tynkiem, kawałkami cegieł, okiennego szkła, zardzewiałą blachą do krycia dachów i już dwukrotnie bez żadnego widocznego powodu kawałki gzymsów spadały nam nieomal na głowy.

Pogoda nie zmienia się, niebo po dawnemu pokryte jest chmurami, wilgotny ciepły wiatr nadlatuje w silnych podmuchach, goni po rozbitej jezdni niesprecyzowane śmieci, marszczy cuchnącą wodę w czarnych stojących kałużach. Nadlatują, rozpraszają się i znowu nadlatują chmary komarów. Szturmowe dywizje komarów. Cyklony komarów. Bardzo dużo szczurów. Niepojęte czym się żywią na tej kamiennej pustyni. Może pożerają żmije? Żmij jest też strasznie dużo, skupiają się szczególnie przy wejściach do kanałów, i leżą zwinięte w żywe drgające kłęby. Czym żywią się żmije też nie wiadomo. Może szczurami.

Miasto bez wątpienia jest od dawna opuszczone. Człowiek, którego spotkaliśmy na przedmieściu, był oczywiście niespełna rozumu i trafił tu przypadkowo.

Wiadomość z grupy Rema Żełtuchina. Do tej pory nikogo nie spotkali. Jest zachwycony swoim wysypiskiem śmieci i przysięga, że w najbliższym czasie określi indeks tutejszej cywilizacji z dokładnością do drugiego

miejsca po przecinku. Próbowałem wyobrazić sobie to wysypisko – gigantyczne bez początku i końca śmietnisko które zasypało pół planety. Tracę humor i przestaję o tym myśleć.

Mimikroidowy kombinezon działa niezadowalająco. Zabarwienie ochronne, zgodne z tłem pojawia się z opóźnieniem pięciominutowym, a czasami w ogóle się nie pojawia a zamiast niego występują niezwykłej urody i ostrości plamy w najczystszych kolorach tęczy. Sądzę, że w tutejszej atmosferze jest coś co rozregulowuje procesy chemiczne zachodzące w mimikroidzie. Eksperci z komisji techniki kamuflażu utracili nadzieję na usunięcie awarii na dystans. Udzielają rad jak wyregulować kombinezony na miejscu. Stosuję się do tych rad i w rezultacie mój kombinezon rozregulował się ostatecznie.

Eksperci kategorycznie protestują przeciwko decyzji Espady, który chce całkowicie zrezygnować z kamuflażu. Mały, ale za to hałaśliwy skandal w eterze. Szczekn zrzędzi.

– Słynna ziemska technika. Zabawne!

Szczekn nie nosi żadnego kombinezonu, ani ciężkiego hełmu z elementami hanstornującymi chociaż to wszystko było dla niego specjalnie przygotowane. Kategorycznie odmówił przyjęcia zarówno hełmu jak i kombinezonu, jak zwykle bez objaśnienia przyczyn.

Biegnie wzdłuż zatartej linii środkiem jezdni, kołysząc się i z lekka zarzucając tylnymi łapami, podobnie jak nasze psy, gruby, kosmaty, jego ogromna okrągła głowa jak zawsze pochylona jest w lewo, tak że lewem okiem patrzy prosto przed siebie, a prawym jakby zezuje na mnie. Na żmije nie zwraca uwagi w ogóle, jak zresztą i na komary, a szczury interesują go wyłącznie z gastronomicznego punktu widzenia. Teraz zresztą jest syty.

Mam wrażenie, że Szczekn już ma jakieś hipotezy w związku z miastem, a być może w związku z całą planetą. Z całkowitą obojętnością odmawia zwiedzenia zdumiewająco dobrze zachowanej willi w siódmym kwartale, willi która razi swoją czystością i elegancją wśród obdrapanych, oślepłych, zgryzionych zębem czasu i zarośniętych dzikim bluszczem budynków. Jedynie ze wstrętem obwąchał dwumetrowe koła pancernego wojskowego samochodu pogrzebanego w połowie pod gruzami rozwalonego domu, ostro i przenikliwie śmierdzącego benzyną. Szczekn bez żadnego zainteresowania obserwował szalony taniec i dziwaczne grymasy na twarzy nieszczęsnego tubylca, który wyskoczył na nas, obwieszony dzwoneczkami w różnobarwnych ni to łachmanach, ni to wstążkach. Wszystkie te niepojęte zjawiska Szczekn obserwuje z całkowitą obojętnością, nie wiadomo dlaczego nie chce ich wydzielić z tła powszechnej katastrofy, chociaż początkowo, w czasie pierwszych kilometrów naszej drogi, był wyraźnie podniecony, czegoś szukał, bez przerwy naruszał ustalony system poruszania się, próbował coś wywęszyć, parskał i spluwał, mruczał coś niezrozumiałego w swoim języku...

– A to jest coś nowego – mówię.

Przypominało to kabinę dla jonowych natrysków – cylinder mniej więcej dwumetrowej wysokości, o średnicy około metra z półprzezroczystego materiału podobnego do bursztynu. Owalne drzwi na całą wysokość cylindra – otwarte. Prawdopodobnie kiedyś kabina stała pionowo, potem pod jej bok podłożono ładunek wybuchowy i teraz była mocno przechylona, tak że kawałek jej podłogi razem z przywarłym do niej płatem asfaltu i gliniastej ziemi uniósł się do góry. Poza tym kabina nie ucierpiała, zresztą niby dlaczego miała ucierpieć – wewnątrz była pusta niczym próżna szklanka.– Szklanka – mówi Van der Hoose. – Ale z drzwiami

Dyktuję mu doniesienie. Przyjmuje je, a potem informuje się:

– Masz jakieś pytania?

– Dwa się narzucają – w jakim celu postawiono tutaj ten przedmiot i komu on przeszkadzał. Zwracam uwagę – żadne kable ani przewody do niego nie prowadzą. Szczekn, chcesz o coś zapytać?

Postawa Szczekna wyraża coś więcej niż obojętność. Siedzi tyłem do kabiny i drapie się.

– Mój naród nie zna takich przedmiotów – oświadcza wyniośle. – Nas to nie interesuje. – I ponownie zaczyna się drapać nader wyzywająco.

– To wszystko – zawiadamiam Van der Hoosa, Szczekn natychmiast wstaje i rusza przed siebie.

Jego naród nie jest zainteresowany takimi przedmiotami, myślę idąc w ślad za nim, trochę na lewo. Mam ochotę uśmiechnąć się ale tego nie należy robić w żadnym wypadku. Szczekn nie znosi uśmieszków tego

rodzaju, jego wrażliwość na najmniejsze odcienie ludzkiej mimiki jest zdumiewająca. Dziwne skąd u Głowanów taka wrażliwość? Przecież ich fizjonomie (a może mordy?) są prawie całkowicie pozbawione mimiki, w każdym razie z punktu widzenia człowieka. Najzwyklejszy kundel ma mimikę po stokroć bogatszą. W ogóle Głowany znacznie lepiej znają się na ludziach niż ludzie na Głowanach. I nawet wiem dlaczego. My, ludzie, czujemy się skrępowani. Głowany są rozumne i jest nam jakoś nieporęcznie obserwować je. A one nie mają żadnych oporów. Kiedy mieszkaliśmy u nich w Twierdzy, kiedy nas karmiono, pojono, opatulano, strzeżono ileż to razy nagle orientowałem się, że przeprowadzono ze mną kolejny eksperyment! Marta skarżyła się Komowowi na to samo, Rawlingson także, tylko jeden Komow nigdy się nie skarżył – myślę że po prostu nie pozwalała mu na to ambicja. A Taras koniec końców zwyczajnie uciekł. Pojechał na Pandorę, zajmuje się swoimi straszliwymi tachorgami i jest szczęśliwy... Dlaczego Szczekna tak zainteresowała Pandora? Na wszelkie możliwe sposoby starał się opóźnić odlot. Trzeba będzie później sprawdzić czy to prawda, że grupa Głowanów chce się przesiedlić na Pandorę i poprosiła o środki transportowe.

– Szczekn – mówię – czy chciałbyś mieszkać na Pandorze?

– Nie. Muszę być z tobą.

On musi być. Nieszczęście polega na tym, że w ich języku zawsze jest tylko jedna modalność. Żadnej różnicy między „trzeba", „należy", „muszę", „chcę", „mogę". I kiedy Szczekn mówi po rosyjsku, używa tych pojęć właściwie na chybił trafił. Nigdy nie można ściśle sprecyzować co właściwie ma na myśli. Być może chciał teraz powiedzieć, że mnie lubi, że jest mu beze mnie źle, że chce być tylko ze mną. A być może że to jego obowiązek – być ze mną, że polecono mu ze mną być i że on zamierza uczciwie wypełnić polecenie, chociaż najbardziej na świecie chciałby przedzierać się przez pomarańczowe dżungle, chciwie łowiąc każdy szelest, rozkoszując się każdym zapachem, których na Pandorze jest nieprzebrana mnogość.

Wzorzystą, metaliczną wstęgą przepełzła przez ulicę ogromna żmija, zwinęła się w spiralę przed Szczeknem i ostrzegawczo uniosła głowę w kształcie rombu. Szczekn nawet się nie zatrzymuje – niedbały szybki zamach przedniej łapy i głowa w kształcie romba odlatuje na trotuar, a Szczekn truchtem biegnie dalej zostawiając za sobą wijące się bezgłowe ciało.

Dziwni ludzie, bali się mnie wypuścić we dwójkę ze Szczeknem! Zapaśnik pierwszej klasy, inteligentny, z niebywałym wyczuciem niebezpieczeństwa, absolutnie nieustraszony – nadludzko nieustraszony... Ale. Oczywiście nie można się obejść bez pewnego „ale". Jeśli zajdzie potrzeba będę walczyć w jego obronie, jak w obronie Ziemianina, jak w obronie samego siebie. A Szczekn? Nie wiem. Naturalnie na planecie Saraksz Głowany walczyły w mojej obronie, walczyły i zabijały i ginęły osłaniając mnie, ale nie wiadomo dlaczego zawsze wydawało mi się, że walczyły nie w mojej obronie, nie w obronie przyjaciela ale dla jakiejś abstrakcyjnej i bardzo ważnej dla nich zasady... Przyjaźnię się ze Szczeknem już pięć lat, jeszcze miał błony między palcami kiedyśmy się poznali, uczyłem go języka i korzystania z Linii Dostaw. Nie odstępowałem go kiedy zapadał na swoje straszne choroby, których nasi lekarze do dzisiaj nie są w stanie zrozumieć. Znosiłem jego fatalne maniery, nie reagowałem na jego bezceremonialne wypowiedzi, wybaczałem mu to, czego nie wybaczam nikomu na świecie. I do dzisiaj nie wiem, kim dla niego jestem.

Sygnał ze statku. Van der Hoose zawiadamia nas, że Rem znalazł na swoim śmietnisku broń. Informacja całkowicie nieistotna. Po prostu Van der Hoose nie chce, żebym milczał. Bardzo się niepokoi kiedy zbyt długo milczę. Rozmawiamy o głupstwach.

Za każdym razem kiedy łączę się ze statkiem, Szczekn zaczyna zachowywać się jak pies. Iska się, drapie, coś tam żre, świetnie wie, że ja tego bardzo nie lubię i urządza demonstracje, jakby odgrywał się na mnie za to, że przerywam naszą samotność we dwoje.

Zaczyna mżyć. Aleję przed nami zaciąga szara chwiejna mgła. Mijamy siedemnasty kwartał (przecznica wybrukowana jest kocimi łbami), mijamy przerdzewiałą furgonetkę na przebitych oponach, mijamy nieźle zachowany budynek oblicowany granitem, okna na parterze ochraniają kute żelazne kraty i po lewej stronie zaczyna się park odgrodzony od ulicy niskim murem.

ZABAWA W STRZELANEGO



Andrzej Pągowski

Prowadził samochód nonszalancko. Piąta aleja była teraz prawie całkowicie bezludna. Uważnym wzrokiem obserwował samochody ustawione wzdłuż krawężników. Większość z nich była koloru czerwonego. Przez moment zwrócił uwagę na dwóch mężczyzn, którzy majstrowali przy bagażniku dużego, czarnego Mercedesa, ale sądząc po wyrazie twarzy, które mu mignęły, robili to najzupełniej legalnie. Skręcił w lewo. Po tłoku na chodnikach można było poznać, że zbliża się do centrum. Sięgnął ręką i dotknął gałki radia. Głos spikera rozbrzmiał natychmiast po trzasku wyłącznika.

...ten dzień. Świadczą o tym tysiące ludzi, którzy zebrali się na placu Waszyngtona. Wszyscy w napięciu oczekują przybycia prezydenta. Ma on przyjechać za dwadzieścia minut. Aha, nie wiem czy wiecie, ale nic tak nie skraca dłużącego się czasu, jak miniradioodbiornik firmy „Philips", zapamiętajcie minira...

Głos urwał, gdyż Dawid wyłączył radio. Na jego twarzy malował się dziwny uśmiech, tak jakby komunikat zapowiadał coś bardzo przyjemnego. Popatrzył na zegarek. „Jeszcze czterdzieści minut" – wyszeptał. Podniósł wzrok zza kierownicy i rozejrzał się. Zaułek, który biegł za budynkiem teatru najwyraźniej mu się spodobał, gdyż tam skierował wóz. Wolno jadąc, zaparkował koło sterty śmieci, kryjących przypuszczalnie śmietnik. Tak jak sądził, nikt nie miał ochoty tędy przechodzić. „Mieli rację ci, co uważali Nowy York za niebezpieczne miasto" – pomyślał. Przechylił się do tyłu i zrzucił koc ze smukłego kształtu leżącego na tylnym siedzeniu. Był to AR-10 z celownikiem optycznym; wspaniała broń, szczególnie gdy chce się kogoś trafić z odległości dwustu pięćdziesięciu metrów. Położył karabinek na kolanach, pieczołowicie przecierając chusteczką soczewki. Spojrzał pod światło – były czyste. Z górnej kieszonki koszuli wyjął garść nabojów. Odliczył piętnaście, a resztę wsypał z powrotem. Potem jeden po drugim włożył do magazynka, nerwowo przesuwając językiem po wargach. Gdy skończył, ze szczęknięciem zamknął zamek i owinął sztucer w koc. Położył go na siedzeniu obok i zapalił silnik. Tyłem wycofał się na główną ulicę. Witryny mijanych sklepów szybko migały za oknem. Po pięciu minutach już był na miejscu. Trzysta metrów dalej widać było ustawiony rzędem kordon policji. Tam był plac Waszyngtona. Samochód zaparkował tuż przed białą linią zakazu postoju. Wysiadając zostawił kluczyk w wozie. Obszedł wóz i dyskretnie rozglądając się wyjął przez okienko przygotowany przedmiot. Zaklął, gdyż broń o mało nie wysunęła mu się z koca. Od strony placu dobiegał głośny szmer tłumu. Popatrzył w górę. Niebo było czyste, tylko z zachodu płynęło kilka małych obłoczków. Na ich tle widać było strzelisty kształt bryły budynku. Hotel „Iluzjon" miał dwadzieścia pięter. Gdy wszedł do środka, portier za kontuarem z niechęcią odwrócił się od telewizora. Na ekranie widać było miejsce, gdzie miał wystąpić prezydent.

– Słucham – burknął portier.

Dawid spojrzał na gablotkę z kluczami. Kasetka z numerem 483 była pusta.

– Ja do pana Edwarda Bola z pokoju 483 – powiedział uśmiechając się szeroko.

Portier tylko spojrzał na gablotkę i tak jak Dawid się spodziewał, odparł:

– Jest w pokoju. Proszę, tam jest winda.

Palcem pokazał mu drogę i obrócił się z powrotem do telewizora. Jego plecy wymownie świadczyły, że uważa rozmowę za zakończoną. Drzwi od windy z cichym sykiem zamknęły się za Dawidem. Wcisnął klawisz z szóstką. Korytarz na tym piętrze był pusty. Po sfałdowanym dywanie podszedł do drzwi toalety. Przystanął przy nich i spojrzał na zegarek. Pokręcił głową i nacisnął klamkę. Ślad na niej upewnił go, że dłoń ma całą mokrą od potu. W toalecie było przeraźliwie biało. Na glazurowej ścianie tkwił rząd dużych luster, które odbijały wnętrza białych umywalek. Odwrócił się upewniony, że jest sam i spojrzał na zamek drzwi. Z zadowoleniem stwierdził, że można je zamknąć od środka, czego nie omieszkał uczynić. Pachniało jakimś środkiem odkażającym, zapach wiercił w nosie. Chwycił za krzesło stojące w kącie i przestawił je na środek pomieszczenia. Następnie cicho wszedł na nie i powoli się wyprostował. Parapet okna miał na wysokości pasa. W dole widać było mrowie ludzi. Wolny był tylko dojazd do trybuny. Dawid schylił się i podniósł sztucer. Następnie przyjrzał się przez lunetkę jakiemuś mężczyźnie. Wybrał tego, który stał w miejscu, gdzie za kilka minut powinien stanąć prezydent. Twarz wyraźnie była widoczna na zarysie małego krzyżyka. „W porządku" – pomyślał. Upewnił się jeszcze, czy celownik jest ustawiony na 250 metrów i zastygł w bezruchu. Wiedział, że obserwatorzy na dachach nie mogą go ujrzeć, gdyż całe to pomieszczenie było w głębokim cieniu. Nieprzypadkowo wybrał taki budynek, który o tej porze był oświetlany przez słońce z przeciwnej strony. Teraz było południe. Plac na dole cały był zalany słonecznym blaskiem, nie dając żadnego schronienia oczekującym ludziom. Tłum delikatnie falował, zalegając na podobieństwo jakiegoś samoistnego stwora. Nagle przeszła przez niego duża fala, potem druga jeszcze większa; coś się działo. Dawid spojrzał w bok. Środkiem szpaleru sunęły trzy czarne limuzyny. Wiedział, że w środkowej jedzie prezydent. Słychać było narastający ryk tłumu. Stwór ożył, wiwatując tysiącami rąk. Dawid podniósł broń. Samochód prezydenta zatrzymał się tam, gdzie przewidział. Otoczyło go kilku osobników, których postura i sposób poruszania się jednoznacznie określały ich profesję. Grupka ta rozdzieliła się na dwie strony, starannie osłaniając prezydenta, który właśnie ukazał się w otwartych drzwiczkach wozu. Tłum zachłysnął się krzykiem. Reszta dostojników wysiadła z drugiego samochodu i pozdrawiając ludzi podchodziła do prezydenta. Ten uśmiechnięty coś wołał. Jego śmiech i błysk białych zębów wyraźnie widać było przez soczewki. Tak samo wyraźnie, jak czoło z blond włosami na którym rysował się krzyżyk sztucera Dawida. „Teraz albo nigdy" – pomyślał, sprężając się cały. Ani jeden mięsień nie miał prawa drgnąć! Gdy krzyżyk spoczął na nasadzie nosa, lekko pociągnął za spust. Nie odkładając broni, patrzył przez lunetkę. Na czole prezydenta wykwitła mała plamka wielkości monety centowej. Jednak ten obraz zaraz mu zniknął z pola widzenia. Prezydent osunął się na ziemię i zastygł w groteskowej pozie. Na placu zapadła cisza.

– Brawo – krzyknął ucieszony – Udało się! I to z wolnej ręki.

Odpowiedział mu przeraźliwy wrzask; tam z dołu. Obnażył zęby w uśmiechu.

– A teraz mnie gońcie – wyszeptał.

Zeskoczył z krzesła i wrzucił sztucer do muszli klozetowej. Lufa kretyńsko wystawała z otworu, lecz nie zwracał na to uwagi zajęty odblokowywaniem zamka. Na korytarzu wciąż było pusto. Podskoczył do windy. Zjawiła się prawie natychmiast. Po dziesięciu sekundach znalazł się na parterze. Pierwszą osobą, którą ujrzał, był portier. Zastygły w dziwnej pozycji, gapił się w telewizor. Musiał jednak usłyszeć szum windy, gdyż odwrócił się w jego stronę.

– Panie, prezydenta nam zabili – wybełkotał.

Na ekranie widać było chaotycznie biegających ludzi. Spiker mówił:

...drań. Pewnie z któregoś z budynków wokół placu. Nie wiem, ale może to z tego hotelu...

Dawid dalej nie słuchał, gdyż zobaczył, że portier zrozumiał.

– To ty! Miałeś strzelbę w tym kocu! – zaczął, wymachując groźnie pięściami.

Uderzenie w podbródek zwaliło go na podłogę. Dawid dla pewności kopnął go jeszcze w brzuch. Tamten załkał i skulił się jak ślimak. Dawid przeskoczył go i wybiegł na ulicę. Krzyk z prawej strony upewnił go, że popełnił błąd. Gdyby wyszedł powoli, nikt nie zwróciłby na niego uwagi. A tak? Trzech policjantów biegnących w jego stronę odpinało kabury. Nie dali mu czasu do namysłu. Wskoczył do wozu i przekręcił kluczyk. Samochód szarpnął i skoczył do przodu z akompaniamentem pisku opon. Kiedy wyszedł na prostą, spojrzał w lusterko.

Widać było dwa wozy policyjne z wrzaskiem syreny prujące za nim, a zza zakrętu wylatywał właśnie trzeci. Na pełnym poślizgu skręcił w prawo, mocno odbijając kierownicą; tył zarzucił, o milimetry mijając hydrant. Łomot, który dobiegł go z tyłu wskazywał, że tamtym nie poszło to tak dobrze. Jeszcze raz spojrzał w lusterko. Zostały dwa wozy, no i ludzie. W tej samej chwili kula strzaskała mu tylną szybę. Poszukał oczami najbliższego zakrętu i wtedy poczuł, że wóz gwałtownie ściąga w prawo. Zupełnie tak samo, jak wówczas gdy przestrzeli się oponę przy szybkości 100 km/h. Nic nie mógł zrobić. Wóz wpadł w poślizg i zatrzymał się w poprzek jezdni. Wyskoczył, chowając się za karoserią. Nadbiegli ludzie. Błyskawicznie zlustrował sytuację i szybkim zygzakiem przebiegł do drzwi pobliskiego budynku. Wbiegał właśnie do środka, gdy kula rozbiła w nich szybę. „Po schodach nie zdążę" – pomyślał. Na zegarku brakowało jeszcze 10 minut. Podbiegł do otwartych drzwi windy i wcisnął ostatni klawisz u góry. Drzwi zasuwały się powoli, bardzo powoli. Przez malejącą szparę zobaczył policjantów, którzy wbiegali do holu. Najbliższy musiał go dojrzeć, gdyż stanął w postawie strzeleckiej. Na widok wycelowanej lufy, Dawid uskoczył. W tym samym momencie drzwi windy zasunęły się i stalowa klatka ruszyła do góry. Otarł pot z czoła i oparł się o ścianę. Jego wzrok padł na lustro. W środku była dziurka otoczona wianuszkiem pęknięć. Zrozumiał, że policjant zdążył strzelić.

– Ale głupio bym wpadł – powiedział do siebie. – Na 10 minut przed końcem. Winda powoli sunęła na dwudzieste piętro. Wiedział, że w ten sposób zyska około pięciu minut, gdyż w tym bloku była tylko jedna winda. Oddech mu się uspokajał. Wszystko zaczęło się dwa lata temu, kiedy był zrównoważonym i w miarę spokojnym fizykiem w Instytucie Mc'Donalda. Pracował wtedy nad jakimiś głupimi monokryształami. Ale to była praca oficjalna. On sam mierzył znacznie wyżej. Mówiąc krótko, chciał zbudować maszynę czasu. Oczywiście, wszystko robił sam, gdyż o dodatkowych funduszach nie miał co marzyć. Do podania o ich przyznanie musiałby załączyć wstępne wyniki badań. Tymi zaś nie dysponował. Po pewnym czasie zrozumiał, że to co konstruuje wcale nie jest maszyną czasu. Sam nie wiedział, jak to nazwać. Jego urządzenie pozwalało na zawrócenie biegu zdarzeń naszego świata. Wyglądało to w ten sposób: powiedzmy o godzinie 0 włączał aparat i następnie przez sześćdziesiąt minut wszystkie zjawiska naszego świata biegły normalnym torem. Jednak w sześćdziesiątej minucie wszystko wracało do stanu z godziny 0, jego maszyna powodowała małą, godzinną pętlę naszej czasoprzestrzeni. Oczywiście to go nie zadowoliło, gdyż pamięć ludzka również wracała do stanu wyjściowego. Jego sukcesem było to, że udało mu się tak skonstruować aparat, aby zachowywał dla niego pamięć o przeżyciach w ciągu tej godziny. Mógł pamiętać to, co się nigdy nie zdarzyło, a może to, co będzie, ale nikt tego nie zapamięta. Uśmiechnął się na myśl niuansów językowych, zupełnie bezużytecznych w tej sytuacji. Dobrze pamiętał swoją pierwszą próbę, która ograniczała się do spaceru po mieście. I radość kiedy uczuł falę gorącą, gdy stał przy jakimś słupie ogłoszeniowym. A potem uczucie, że siedzi z powrotem na fotelu w swojej pracowni. Na tym samym fotelu, na którym siedział godzinę wcześniej. Zegary w jego laboratorium również były na godzinie startu. Wtedy zrozumiał, że rzeczywiście ukradł sześćdziesiąt minut dla siebie. Triumfował. W następnych próbach posuwał się coraz dalej, bawiąc się możliwościami, które się przed nim otworzyły. Sam przyznawał sobie w duchu, że postępuje niepoważnie. Rozbijał witryny sklepów, robił burdy, a raz nawet wyszedł nago na Manhattan. Do tej chwili pamięta idiotyczne miny policjantów, którzy go zatrzymali. Oczywiście za każdym razem, w sześćdziesiątej minucie, wszystko, jak zwykle, wracało do normy. Tego co robił nie mógł jednak nikomu udowodnić, gdyż jedyne co zabierał z tej godziny, to były jego wspomnienia. Wynalazek miał zamiar ogłosić na najbliższym posiedzeniu Rady Instytutu, zapraszając któregoś z tych nadętych pacanów do wspólnej godzinnej podróży. Wtedy mu uwierzą. Jednak zanim to zrobi, musi przeżyć jeszcze jeden seans. Seans, w którym zabije prezydenta. Naturalnie zabije tylko na kilka minut, gdyż potem świat wróci znów do stanu początkowego. Musiał wykorzystać ten szczęśliwy traf, jakim był przyjazd prezydenta w ramach kampanii wyborczej. Nie wiedział sam, dlaczego to go tak pociągało. Ale wiedział, że marzył o tym od lat. Broń Boże! Wcale nie miał instynktów morderczych, po prostu robił to dla samej przyjemności zabicia na niby kogoś tak wysoko postawionego. Ryzyko było jego namiętnością. Przecież nawet w instytucie wszyscy go znali jako zapalonego myśliwego.

Winda zatrzymała się na ostatnim piętrze. Wysunął głowę – pusto. Przytrzymując drzwi sięgnął po popielniczkę stojącą w kącie i postawił ją tak, aby drzwi nie mogły się zamknąć. Podszedł do schodów. W studni klatki schodowej słychać było zbliżające się głosy i tupot wielu kroków. Do pełnej godziny brakowało mu jeszcze pięciu minut. Sam zresztą nie wiedział, dlaczego aparat reagował tylko przez sześćdziesiąt minut. Sądził, że jest to wynikiem istnienia pewnej stałej i podstawowej właściwości naszego wszechświata. Odwrócił się i pobiegł w górę. Po drodze minął strzałkę z napisem „Wyjście na dach". Klapa była nad nim. Pchnął – zamknięta. Ze złością uderzył pięścią w jej łuszczący się lakier. „Cholera, jednak mnie złapią – pomyślał – do końca mi się nie udało". Sam nie wiedział co ma robić dalej, gdyż z chęcią by się jeszcze pobawił w „policjantów i złodziei". Nagle przeszedł go dreszcz. „Oni mogą mnie zabić" – myśl odezwała się natrętnie. – „To musi być okropne uczucie. Nawet jeśli mają mnie zabić za cztery minuty, gdyż tyle brakowało do końca eksperymentu". Wzdrygnął się i po namyśle usiadł, z rękoma na karku, na ostatnim stopniu. Wydał mu się bardzo zimny. Tamtym brakowało dosłownie kilka pięter, jak wnioskował z narastającego hałasu. Wtem poczuł ogromny strach, który wypełzł z jednej myśli. „Jeżeli w godzinie powrotu będę martwy, to również martwy znajdę się w moim fotelu. Przecież aparat przenosi cały świat do punktu wyjścia, z wyjątkiem mnie, aby zapamiętał to, co się zdarzyło. Przenosi on bez zmian mój stan fizjologiczny, a konkretnie j nerwowy". Wyobraził sobie swoje martwe ciało, które znajdą w laboratorium. Laboratorium zamkniętym na klucz. „Boże! Morderstwo doskonałe" – przeszło mu przez głowę. „Jak on mógł to przeoczyć! Musi uciekać – jeszcze tylko cztery minuty". Wstał gwałtownie i z całej siły naparł na klapę. O dziwo! Podniosła się od razu. Zrozumiał, że była otwarta tylko zawiasy się zatarły. Wyskoczył energicznie na dach. Chłodny wiatr owiał spocone czoło. Zatrzasnął klapę, zamykając jednocześnie zasuwkę. Niemal od razu usłyszał z dołu stłumione krzyki i po chwili w klapę poczęły bębnić mocne uderzenia. Na zegarku brakowało dwóch minut. Łomot umilkł i z dołu dobiegły go głośne pojedyncze kaszlnięcia. Fontanny strug drewna i metalu koło zamka uświadomiły mu ich znaczenie. Oglądając się nerwowo, pobiegł w kierunku dużego komina wentylacyjnego. Gdy się za nim schował, postrzelana klapa odskoczyła w górę. Ostrożnie, milimetr za milimetrem, wysunął prawe oko zza swej zasłony. Ich było pięciu. Z odbezpieczonymi pistoletami rozsypali się w tyralierę po dachu. Jak na gust Dawida, robili to stanowczo zbyt sprawnie. Ostrożnie przebiegali od jednego występu dachu do drugiego. Ich wściekłe twarze wskazywały, że mogą go zabić. Spojrzał na zegarek – brakowało trzydziestu sekund. Musiał jednak pokazać im przy tym fragment ciała, gdyż dwie kule ze świstem zrykoszetowały o metal daszku. Padł na brzuch. Asfalt był rozgrzany i miękki. Kula, która go trafiła, rozorała mu nasadę dłoni. Ból był paskudny. „Jeszcze dziesięć sekund" – pomyślał. Aby ich zatrzymać jeszcze na tę chwilę, rzucił w ich stronę zegarkiem. Błyskawicznie opadli na dach. U góry zaterkotał helikopter. Pewnie tamci też go zauważyli. Liczył, starając się nie popadać w panikę „...osiem, dziewięć, dziesięć." I nic! Ciągle był rozciągnięty na dachu. Tamci powoli zaczęli się znowu skradać. „To niemożliwe, niemożliwe" – szeptał bezwiednie. Musi zyskać na czasie. Podniósł się i uniósł ręce wysoko nad głowę. Musi wyjść im naprzeciw. Zatrzymali się kierując broń w jego stronę.

– Nie strzelajcie, to pomyłka – wychrypiał. – Poddaję się!

Czuł, jak zraniona ręka mu omdlewa. „Co się stało?" – myślał. – „Przecież godzina już minęła. Jak ja im to wytłumaczę?" Myśli przelatywały mu przez głowę. Jeszcze to przeklęte słońce, które go tak razi. Nagle odezwał się sierżant, który stał najbliżej niego.

– Chłopcy! On ucieka, prawda? – mówił przez zaciśnięte zęby.

Głos jego był podejrzanie łagodny. Tamci się uśmiechnęli, szczerząc zęby.

– Tak, John – odpowiedział najwyższy. – On ucieka, a my nie możemy na to pozwolić.

Dawid zbladł i powoli zaczął się cofać.

– To się nazywa „zabity w czasie próby ucieczki" – ciągnął wysoki, nerwowo przygryzając wargę.

– Tak, Bill – odpowiedział sierżant – to właśnie tak się nazywa.

Dawid obrócił się na pięcie, kątem oka widząc, jak sierżant staje w rozkroku na lekko ugiętych nogach. Zdołał przebiec dwa metry, gdy uświadomił sobie bezsens ucieczki. „Przecież i tak nie ma gdzie uciec" – pomyślał. Zwolnił i odwrócił się w ich stronę. W tym samym momencie bryłka stali ugodziła go w lewą skroń. Zobaczył jeszcze snop iskier, a potem była tylko ciemność.

Następnego dnia tylko nieliczni czytelnicy miejscowej gazety zainteresowali się małą notatką na ostatniej stronie:

Pożar w Instytucie Mc'Donalda, który wybuchł wczoraj w południe, zniszczył całą aparaturę, jaka znajdowała się na Wydziale Monokryształów, w tym również prywatne urządzenia pracowników. Przyczyny wypadku dopatruje się w uszkodzeniu instalacji elektrycznej. Szkody są szacowane na...

■

Andrzej DRZEWIŃSKI urodził się w 1959 roku we Wrocławiu. Po ukończeniu w 1978 roku XI LO podjął studia na wydziale fizyki teoretycznej Uniwersytetu imienia Bolesława Bieruta we Wrocławiu. Studiuje w toku indywidualnym. Jako autor opowiadań SF zadebiutował w 1981 roku na łamach „Młodego Technika" oraz w antologii „Spotkanie w przestworzach" t. 1 (KAW). W przygotowaniu do druku debiutancki tomik opowiadań „Zabawa w strzelanego", który ukaże się nakładem KAW w Rzeszowie w 1982 roku.

Motto: Ordo est anima rerum

Co większe muchy

Kiedy otwierają się drzwi i wchodzi Kucharz, wszyscy stoimy na baczność koło stołów. Nikt też nie mówi. Nie zdarzyło się nigdy, aby ktoś mówił na widok chleba leżącego w równych stosikach na tacy. Jest to niepisana umowa i dlatego dziwnie byłoby ją złamać. A jednak panuje umiarkowana cisza, o ile pominąć bzykanie co większych much. Więc wszyscy stoimy na baczność, podczas gdy Kucharz stoi nieco rozkraczony trzymając tę tacę ze spiętrzonymi kromkami chleba. Tym razem ma dobry humor. Da się to zaobserwować po sposobie patrzenia na nas. Kiedy Kucharz jest zły, a zdarza mu się to nader często, nie dostrzega nas w ogóle. Nie istniejemy dla niego, czego nie można powiedzieć jednak o ścianach (wyższe partie), którym przygląda się w takich wypadkach z największym zainteresowaniem.

Taca do chleba podzielona jest na cztery części. Odpowiada to czterem stołom, które znajdują się na sali. Każdy stół i część tacy posiadają swój numer. Wychodząc z założenia, że przy stole mieści się szesnaście osób i że na jedną osobę w porze obiadowej przypadają po dwie kromki, łatwo dochodzi się do wniosku, iż na jednej części tacy leżą trzydzieści dwie kromki, a ponieważ taca podzielona jest na cztery części, ogólna liczba kromek znajdujących się na tacy wynosi sto dwadzieścia osiem. Do tego dochodzą jeszcze cztery kromki przypadające po jednej na każdego ze Starszych, którzy zajmują frontowe miejsca przy stołach. Te cztery kromki na tacy jednak nie leżą. Kucharz przynosi je dopiero wówczas, gdy obiad ma się już ku końcowi.

Procedura rozdawania posiłków przebiega następująco.Każdy z nas określony jest dwoma znakami. Pierwszy z nich pochodzi od stołu do którego jest się przydzielonym, a drugi stanowi zgłoskę alfabetyczną, przy czym każdy Starszy Stołu nosi A, zaś siedzący po jego prawej stronie B i dalej C, D... Ponieważ przy każdym stole siedzi szesnaście osób, delikwenci siedzący po lewej stronie Starszych noszą dźwięczną samogłoskę O. Kucharz, chcąc wręczyć danemu osobnikowi porcję, wykrzykuje cyfrę stołu i odpowiadającą zgłoskę alfabetu. Wydawanie posiłków odbywa się zatem kolejno według stołów i alfabetu, każdy więc może się zawczasu przygotować. Dzięki temu rozdawanie posiłków obiednich przebiega szybko i sprawnie.

Kiedy Kucharz, przykładowo, wywołuje 3K, osobnik ten odpowiada „jestem", po czym, zaznaczając tempo, zbliża się na odległość wyciągniętej ręki do Kucharza, który stoi rozkraczony pod bocznymi drzwiami. W chwili otrzymania posiłku 3K wypowiada słowa „serdecznie dziękuję", następnie wykonuje w tył zwrot i nadal, zaznaczając tempo, powraca na swoje miejsce, gdzie przyjmuje postawę zasadniczą. W tym czasie przygotowuje się 3L. Już w chwili wywołania sąsiada – w tym wypadku 3K – przyjmuje on postawę zasadniczą: „pręży się jak struna". Wszyscy w tym czasie stoją również na baczność, ale nieco luźniej, aby „baczność" przygotowującego się widoczne było w całej pełni. Kiedy 3K powraca na swoje miejsce, 3L unosi się już nieco na palcach i w tej pozycji oczekuje wywołania, na które odpowiada „jestem". Następnie zespół czynności powtarza się. Zaznaczyć wypada, iż po powrocie na miejsce 3K natychmiast przyjmuje pozycję „wyprężony jak struna". W ten sposób, podczas wywołania osobnika 3L, 3K oraz 3M przyjmują pozycję „wyprężony jak struna", w której trwają do powrotu sąsiada. Innymi słowy pozycja ta dotyczy zawsze sąsiadów wywołanego. Kiedy Kucharz jest zły, a zdarza mu się to nader często, hasła rzucane są niedbale i niewyraźnie. Jednak dzięki zwyczajowi wywoływania nas kolejno nigdy nie dochodzi do jakiegoś poważniejszego incydentu.

Podczas wydawania posiłków obowiązuje postawa zasadnicza do chwili, kiedy ostatni, 40, powróci na swoje miejsce. Natychmiast po tym, na komendę „do krzeseł" – rzuconą również przez Kucharza – należy wykonać zwrot „frontem do krzeseł". Starszych komenda ta nie obowiązuje, gdyż w czasie wydawania posiłków stoją już w pozycji „frontem do krzeseł". W tym czasie przyjmują jedynie pozycję „wyprężony jak struna", aby zaznaczyć, że komenda do nich dotarła.

Na komentę „siad", wszyscy energicznie siadają, przy czym każdy zwraca pilnie uwagę na to, aby czynność ta wypadła jednocześnie.

Kiedy Kucharz jest zły, a zdarza mu się to nader często, komendę „siad" wykonuje się wielokrotnie do momentu, w którym trzask towarzyszący siadaniu podobny jest do salwy. Od tej chwili wolno konsumować i rozmawiać ale „stosunkowo cicho", a ponieważ kryteria terminu „stosunkowo cicho" uzależnione są wyłącznie od humoru Kucharza, rozmów podczas posiłków nie ma. Słychać jedynie mlaskanie – nie licząc oczywiście bzykania co większych much – i w takich momentach twarz Kucharza rozpogadza się nieco, a on sam przechadza się między stołami mrucząc z zadowoleniem słowa używane niekiedy przez naszego Szefa Sali: „sala je".

Czas konsumpcji wynosi pięć minut. Zegar umieszczony jest nad drzwiami wejściowymi po lewej stronie sali. Ponieważ podczas posiłków oglądać się nie wolno, wszyscy siedzący tyłem do zegara pilnie obserwują swoich partnerów z przeciwka, którzy zaznaczają każdą minutę posiłku silnym mruganiem obu oczu. W ten sposób osobnicy siedzący tyłem do zegara orientują się, ile czasu pozostaje im na jedzenie.

Czas zjadania każdej z kromek nie podlega szczegółowej normie. Niektórzy uważają, iż pierwszą należy zjadać w ciągu minuty a drugą w ciągu pozostałych czterech. Zapytani mówią, że ten sposób daje im większą szansę delektowania się chlebem, minuty natomiast mijają. Kucharz nazywa ich Smakoszami.

Większość zjada swoje porcje w ciągu trzech pierwszych minut. W grupie tej przeważają osobnicy siedzący na wprost zegara. Przeważnie chodzi o zakład „kto szybciej zje", co jako hazard jest wyraźnie zakazane. Kucharz jednak patrzy na to przez palce. Nazywa ich Rekinami. Nieoficjalny rekord w Szybkości Zjadania Dwóch Kromek Chleba wynosi piętnaście sekund. Ustanowiony został Raz Na Zawsze przez siedzącego przy stole 2, pod zgłoską D. Jest to osobnik niepokaźnego wzrostu, chudy, posiadający wielkie, głębokie oczodoły, we wnętrzu których tkwią luźno smutne oczy.

Osobną grupę stanowią Starsi Stołów. Są to osobnicy nie zawsze wiekiem najstarsi, ale za to najlepiej wsłuchani w ciszę – pominąwszy bzykanie co większych much – nie tylko podczas posiłków. Jednakże w wypadku posiłku obiedniego przysługuje im pewien przywilej. Otrzymują bowiem dodatkową kromkę chleba, której nie muszą wcale konsumować. Mogą ją nosić przy sobie po obiedzie, tak jak w ogóle mogą nosić szelki. Starsi Stołów niesłychanie powolnie jedzą swoje podstawowe dwie kromki chleba. Na tę czynność zużywają całe pięć minut.

Kiedy Kucharz ma dobry humor, co zdarza się nader rzadko, posiłek wraz z rozdzieleniem porcji zajmuje około dwudziestu minut. W przeciwnym wypadku może się on przedłużyć do godziny, a nawet dwóch. Zdarzyło się nawet – o ile wierzyć Famie – że posiłek obiedni trwał osiemnaście godzin. Uzależnione to jest w głównej mierze od humoru Kucharza oraz innych czynników takich, jak:

1. chyżość przemieszczania się osobników zdążających z odległych stołów po porcje
2. długość zgrywania komendy „siad"
3. ilość nowicjuszy siedzących przy stołach 1, 2, 3, 4, pod zgłoskami M, N, O, mających systemy nerwowe jeszcze nie wdrożone do wykonywania wszystkich komend jednocześnie.

* * *

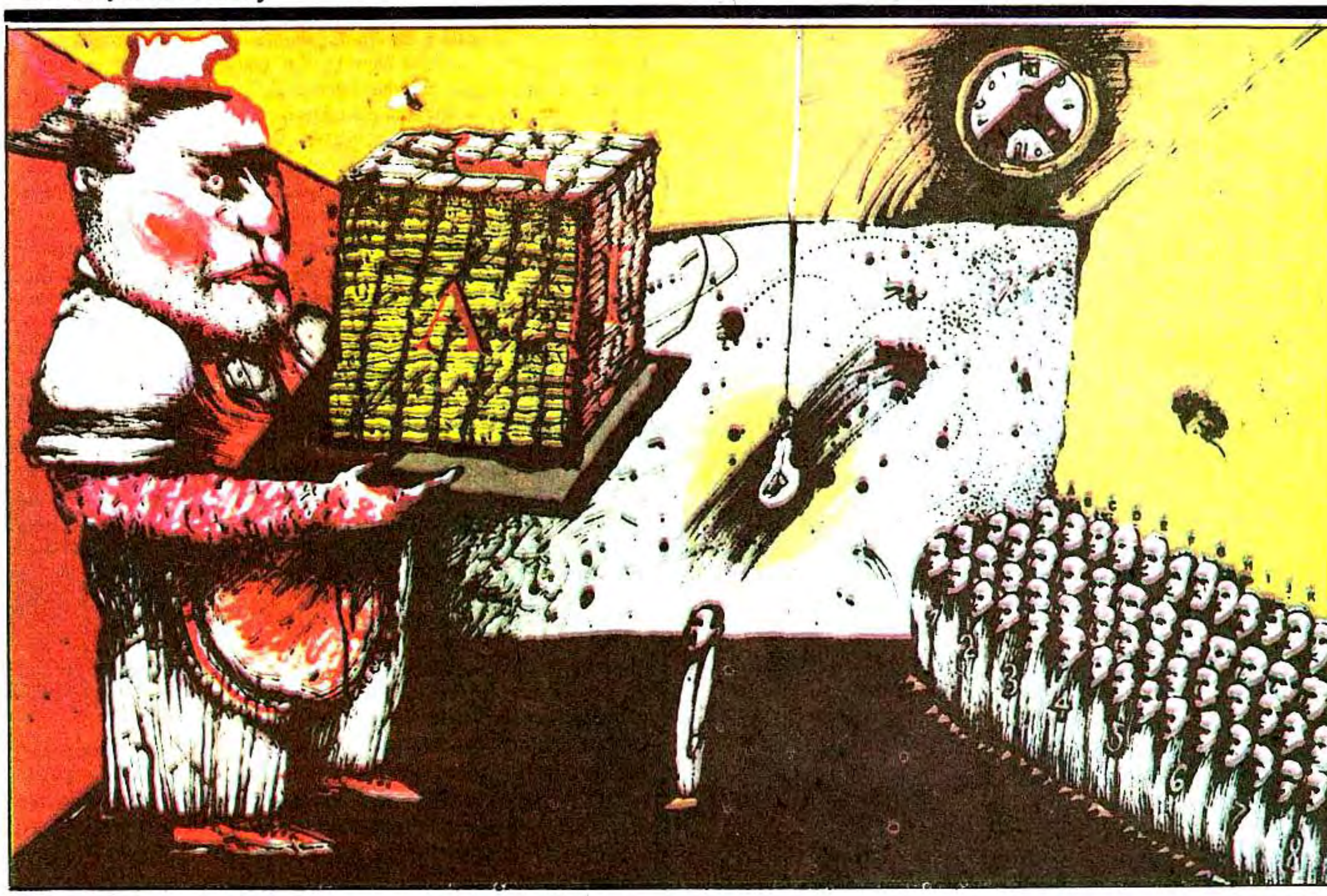
Tym razem stoimy na baczność. Wprawnym, trenowanym od lat krokiem podążam przed siebie precyzyjnie zaznaczając tempo, podczas gdy oczy Kucharza nieuważnie biegają po głowach stojących.

Gdy zatrzymuję się w przepisowej odległości z wyciągniętą dłonią, wzrok Kucharza na chwilę styka się z moim wzrokiem, co synchronizuje się ze zwiększonym ciężarem mojej dłoni. Kiedy wymawiam słowa „serdecznie dziękuję", jakby od niechcenia, z ową wprawą jakiej nabiera się tutaj, jednocześnie czuję przyjemną szorstkość dwóch kromek ciemnego chleba. Na koniec zastygam w bezruchu, wczuwam się w znikomy ciężar własnego ciała i tym samym jakby nabieram rozpędu do zwrotu w tył, który wykonuję w ułamek sekundy później. Powracam na miejsce zaznaczając tempo i tam przyjmuję pozycję „wyprężony jak struna", kątem oka obserwując wspięcie na palce mojego sąsiada 1B. Potem patrzę na zegar.

Sztuka ta znalazła się w moim repertuarze dzięki przychylności 1G, który wtajemniczył mnie w jej arkana trzydzieści lat temu podczas przeglądu ogólnego z okazji Święta Otwarcia Pieca. Wykonuje się ją błyskawicznie w chwili, gdy sąsiad, bądź sąsiad sąsiada staje przed Kucharzem. Wtedy bowiem moment jest najbardziej dogodny z psychologicznego punktu widzenia. Dwie kromki chleba leżącego na wierzchu równego stosiku łącznie z różową i pulchną dłonią Kucharza absorbują jego wzrok w dostatecznym stopniu.

W celu wykonania manewru Która Godzina, należy w momencie wywołania delikwenta umieścić wzrok na ścianie, na wysokości paska znajdującego się tuż pod sufitem, gdyż na takiej samej wysokości, zaraz pod drzwiami, po lewej stronie sali umieszczony jest zegar. Następnie w skupieniu słucha się kroków zaznaczającego rytmicznie tempo. Kroki zaś rozlegają się niesłychanie wyraźnie. W chwili gdy wywołany przystaje, zalega umiarkowana cisza, wliczając oczywiście bzykanie co większych much. I właśnie w tym momencie należy błyskawicznie wykręcić głowę w lewo do pozycji, w której wzrok napotka pałającą niezwykłą wprost jasnością tarczę zegara, by po ułamku sekundy bezruchu, w którym oczy

Jerzy LIPKA urodził się w 1943 roku w Rabce. W 1967 roku ukończył studia na Wydziale Rybactwa Morskiego w szczecińskiej Akademii Rolniczej. Następnie, do roku 1976 pracował jako pracownik naukowy w Instytucie Ekologii PAN. W 1976 roku uzyskał stopień doktora nauk przyrodniczych. Od pięciu lat pracuje jako dziennikarz. Prócz publikacji popularnonaukowych napisał książkę dla młodzieży „Wakacje kapitana Nemo". Jako autor SF debiutował w 1978 roku na łamach „Przeglądu Technicznego".



intensywnie obserwują odcinające się czarno wskazówki, z równą szybkością umieścić głowę na powrót w przepisowym kierunku. W ten sposób całość operacji zamyka się w połowie sekundy.

Jest godzina dwunasta dwie, a zatem osiem minut stania w pozycji zasadniczej do komendy „siad". Kucharz ma zbyt dobry humor. Instynkt, który wyrobił się we mnie przez lata mówi mi, że stanie się coś najbardziej godnego pożądania, czym niewątpliwie jest wizytacja Szefa Sali.

W takim przypadku należy bacznie obserwować Kucharza, który winien mrugnąć znacząco. Jest to jedyny, ogólnie znany, nieoficjalny gest porozumienia między nami a Kucharzem. Gest ten prawdopodobnie nigdy nie miałby miejsca, gdybyśmy nareszcie zrozumieli, co on naprawdę oznacza. Z chwilą dostrzeżenia znaku, osobnik oznaczony jako 1A upoważniony jest (przy czym nieoficjalność upoważnienia jest rzeczą bezsporną) do wydania z siebie, niezbyt głośno, charakterystycznego chrząknięcia, jakie w niektórych okolicznościach emitują tutejsze liczne gryzonie. Chrząknięcie to powinno być na tyle silne, aby mogło być dosłyszane w którejś z przerw między rozlegającymi się krokami. W tej, odpowiednio umiarkowanej ciszy – uwzględniając bzykanie co większych much – chrząknięcie znaczy tyle co słowa: „szef idzie". Następuje ostre pogotowie, swoista dyspozycja, w której wszyscy przybierają pozycję „wyprężony jak struna", podczas gdy głos Kucharza spada sztucznie o kilka tonów niżej, co kojarzy się wszystkim z głuchym, pustym rzężeniem suzafonu na którymś z Tutejszych Festynów.

Mobilizuję zatem uwagę na twarzy Kucharza, który z rutyną lecz i z pewną nerwowością spełnia swoje powinności. Nie każdy zaobserwowałby tę nerwowość w ruchach Kucharza, którego twarz jest kamienna. Czyżbym się jednak mylił? Rozterka zamienia się w pewność w momencie gdy Kucharz patrzy na mnie, a jego Mrugnięcie zlewa się w jedność z moim Chrząknięciem, w wyniku czego umiarkowana do tej pory cisza – jeśli wziąć pod uwagę bzykanie co większych much – przechodzi w następną formę ciszy częściowej. Wszyscy, ma się rozumieć, przyjmują pozycję „wyprężony jak struna", a kroki zaznaczającego tempo delikwenta wydają się bardziej dobitne. Jednocześnie nasze niezwykle wyczulone uszy wychwytują obce dźwięki, które rozlegają się tuż za Drzwiami. Przywołują one na myśl ciche i drapieżne stąpanie Szefa, który jest daleko zaawansowanym starcem o chytrych oczach Niuta, w których maluje się błyskotliwa inteligencja. Dzięki niej i nadziei, że uda mu się zaskoczyć Kucharza, Szef Sali żyje odwiecznie. Na Salę wpada jak bomba i wraz z niesłychanym trzaskiem otwieranych Drzwi, wita go oszalały ryk Kucharza, który stojąc w pozycji „wyprężony jak struna" – wszyscy stoją nieco bardziej napięci – krzyczy: „baczność!, „na lewo patrz!"

W momencie gdy Drzwi się otwierają, wszyscy stojący tyłem wykonują „w tył zwrot" i wszystkie głowy się w tę lewą stronę odwracają, nie wyłączając osobników, którzy w momencie otwierania Drzwi stali „frontem do drzwi", albowiem mieli oni odwrócone głowy nieco w prawo, aby komenda: „na lewo patrz" widoczna była w całej pełni. Dotyczy to wszystko również tych, którzy w momencie otwierania Drzwi wykonywali „w tył zwrot". Jedyny wyjątek stanowią Starsi, którzy po prostu wykonują „na lewo patrz".

Kiedy tak wszyscy patrzą „na lewo", to znaczy „na wprost", wyjąwszy oczywiście Starszych, zalega umiarkowana cisza – wliczając bzykanie co większych much – która trwa niejaką chwilę. W tym samym czasie Kucharz stoi w pozycji „wyprężony jak struna", przy czym przez napięte spodnie wyraźnie odznacza mu się członek, zaś Szef toczy wzrokiem po okolicznych osobnikach. W pewnej chwili wzrok Szefa nieruchomieje. Jest to sygnałem dla Kucharza, który energicznym krokiem, zaznaczając tempo, podbiega do Szefa i staje przed nim o trzy przepisowe kroki meldując: „Kucharz Sali Numer Dziesięć, Szefowi Sali Numer Dziesięć, melduje Salę Numer Dziesięć. Stan Pogłowia: sześćdziesiąt cztery sztuki w formie wyśmienitej". Jak głosi Fama, zdarzyło się kiedyś, że podczas meldowania, przy słowach – sześćdziesiąt cztery, Kucharz dodał: plus cztery... O tym się jednak nie mówi, bo to jest wzbronione. Wszyscy jednak, przy słowach sześćdziesiąt cztery, uśmiechają się w duchu. Szef Sali o tym wie i dlatego po meldunku Kucharza formułuje następujący rozkaz, który podany jest gniewnym tonem pełnym wyrzutu: „spocznij" – tu chwila przerwy, w której umiarkowana cisza, wliczając oczywiście bzykanie co większych much, jakby się wzdryga przed klątwą, która miałaby sunąć niebawem na głowy stojących w skupieniu w pozycji „wyprężony jak struna". Szef jednak odwraca się tyłem. Następnie ledwo dosłyszalnym szeptem wypowiada: „40".

Na konkretne wywołanie symbolu, określające danego osobnika, delikwent winien bezzwłocznie odkrzyknąć „jestem" – co nawet nowicjusze zdaje się rozumieją. Potem pada komenda „aport", po której wywołany, biegiem, jak najszybciej, zaznaczając tempo zbliżyć się powinien do Szefa i zatrzymać w przepisowej odległości wypowiadając: „40 aport". W wypadku niezgodności z procedurą – co u nowicjuszy zdarza się nader często, rozlega się Gwizd (to Szef gwiżdże na specjalnym gwizdku marki Golc), po którym wbiegają na Salę Przyjaciele. Zakładają oni nowicjuszowi kaftan i całość – Nowicjusza Wraz z Kaftanem – układają pod ścianą w ten sposób, aby Twarz zwrócona była w kierunku Sufitu, po czym wycofują się za Drzwi, gdzie czekają na dalsze komendy w pogotowiu. Następnie, na komendę pojawia się Kaszanka w Bieli Skąpany, która to biel zasłania mu Twarz aż po nasadę nozdrzy. Przed nadmiernym światłem chronią oczy Kaszanki okulary dymne w masywnej rogowej oprawce. Jego ręka zaopatrzona jest w strzykawkę napełnioną pięćdziesięcioprocentowym Rozśmieszaczem.

W tym samym czasie Szef stoi nadal tyłem, nieporuszony. Kiedy pojawia się Kaszanka, Szef wykonuje ruch przedramieniem z góry ku dołowi, przy czym obciągnięty kciuk wyraźnie wskazuje podłogę. Na ten znak Kaszanka natychmiast podchodzi do nowicjusza i przyklęka na lewe kolano. Jego głowa i ręka trzymająca strzykawkę wypełnioną pięćdziesięcioprocentowym Rozśmieszaczem, uniesione są w górę, zaś wzrok bacznie obserwuje igłę. Kaszanka naciska kciukiem tłok strzykawki do momentu, w którym ukazuje się pierwsza kropla pięćdziesięcioprocentowego Rozśmieszacza. Następnie szybkim i wprawnym ruchem wbija igłę w to miejsce Kaftana Wraz z Nowicjuszem, gdzie można dostrzec czerwone koło, w którego środku widnieje biały punkt. Przez chwilę silnie naciska tłok, po czym energicznym ruchem wyjmuje igłę.

Po krótkiej chwili, kiedy ciałem Nowicjusza Wraz z Kaftanem wstrząsają pierwsze

spazmy śmiechu, rozlega się Gwizd – to Szef Sali gwiżdże na specjalnym gwizdku marki Golc – co jest sygnałem dla Przyjaciół, którzy pojawiają się natychmiast wraz z noszami. Układają na nich ryczącego, spazmującego Nowicjusza Wraz z Kaftanem i wychodzą. Dodać należy, iż nosze te w przeważającej ilości przypadków są za krótkie, tak że głowa lub nogi wystają poza ich płaszczyznę, odchylając się od poziomu na korzyść pionu; zjawisko da się najlepiej zaobserwować w wypadku nóg. W chwilę później zalega zupełna cisza, o ile zaniedba się bzykanie co większych much.

Tymczasem Kaszanka unosi raz jeszcze strzykawkę pod światło i sprawdza ile zostało pięćdziesięcioprocentowego Rozśmieszacza. W wypadku zaobserwowania jego resztek naciska intensywnie tłok do końca, bacznie obserwując cieniutki strumyczek wyciekający z końca igły, który opada na podłogę w kształcie paraboli. Następnie wychodzi zamykając za sobą Drzwi. W tym samym czasie napięte w okolicy rozporka spodnie Kucharza napinają się jeszcze bardziej. Jego twarz jest kamienna ale źrenice są niezwykle rozszerzone. W sekundę później zalega umiarkowana cisza, o ile wliczyć bzykanie co większych much. Szef stoi nadal tyłem. Widać jego wątłe barki oraz ptasią głowę osadzoną na cienkiej szyi z mocno zaznaczającymi się tętnicami, bądź też żyłami. Powlekająca szyję skóra jest w najwyższym stopniu przezroczysta i gdy pada na nią światło widać pulsującą gwałtownie krew.

Przeciętnie całość czynności, związanych z przybyciem Szefa, powtarza się kilkakrotnie w zależności od pogłowia nowicjuszy. Jeżeli nowicjusz przebrnie przez wstępne trudności, otrzymuje następną komendę do wykonania, podaną w formie podchwytliwego pytania: „nazwisko?" Wykonanie komendy: „40". W wypadku podania prawdziwego nazwiska jakie mógłby posiadać odpowiadający nowicjusz, rozlega się Gwizd (to Szef gwiżdże na specjalnym gwizdku marki Golc) i całość owych zespołowych czynności, łącznie z pojawieniem się Przyjaciół i Kaszanki, powtarza się. Potem Szef zadaje następne pytanie, które tutaj nazywamy Tekstem Inteligencji: „ile lat żyjesz?" Delikwent powinien wyrecytować jednym tchem: „nie żyję i nigdy nie żyłem". Poprawna odpowiedź zazwyczaj zadowala Szefa, bowiem usłyszawszy ją odwraca się z wolna na pięcie a na twarzy pojawia się nikły i przyjemny uśmiech.

Zalega umiarkowana cisza o ile wliczyć bzykanie co większych much. Osobnik „pręży się jak struna", podczas gdy Szef Sali mówi „won". Jest to komenda, na którą osobnik wykonuje „w tył zwrot" i intensywnie zaznaczając tempo przemieszcza się w kierunku stołu, gdzie ponownie przyjmuje pozycję „wyprężony jak struna".

Po wstępnych czynnościach, Szef przystępuje do powitania ogólnego, które wyraża się w energicznie i porządnie wypowiedzianych słowach: „dzień dobry" i „smacznego". Następnie Szef wychodzi a Kucharz wydaje komendę „siad". Obiad dobiega końca, będzie więc można udać się do latryny, gdzie w myśl przepisów można przebywać z górą całe dziesięć minut. Jak zwykle na moment przed komendą „powstań", oznajmiają koniec posiłku obiedniego, zalega umiarkowana cisza – o ile wliczyć bzykanie co większych much.

Latryna jest pomieszczeniem o wymiarach 4 × 8 × 3 metry, w którym znajdują się cztery sedesy. W ścianę przylegającą do sedesów wbite są cztery wielkie gwoździe, które usytuowane są w ten sposób, by znajdowały się po lewej stronie siadającego na sedesie. Na każdy gwóźdź nawleczonych jest szesnaście prostokątnych kawałków nieaktualnych gazet o wymiarach 20 × 25 cm. Korzystający z sedesu ma Prawo do Jednego z szesnastu prostokątów, przy czym kawałek ów należy starannie złożyć we dwoje; kciuk i wskazujący palec lewej dłoni przesuwają się po grzbiecie złożenia. Uzyskane w ten sposób dwie części, z wyraźnie zaznaczonym brzegiem zgięcia, należy rozłożyć na powrót i ostrożnie rozerwać. Powstałe, oddzielone już od siebie dwie części kawałka wyjściowego odznaczają się porządnym i schludnym wyglądem. Nałożone jeden na drugi pokrywają się w najwyższym stopniu i brzegi przerwania zwykle proste upodabniają je w dużej mierze do pomniejszonych o połowę prostokątów wyjściowych. Przygotowany w ten sposób Papier nadaje się do Podwójnego Użycia. Przepisy bowiem wspominają, iż osobnik udający się do latryny w celu odbycia defekacji winien z Papieru Korzystać.

Na osobne omówienie zasługuje System Spłukiwania Wodą zawartości wgłębienia kloacznego.

Nad każdym sedesem umieszczony jest Zbiornik Metalowy o wymiarach 6 × 9, pokryty minią. Do każdego Zbiornika z lewej jego strony przymocowane jest ruchome Ramię-Dźwignia, której część wystająca na zewnątrz zaopatrzona jest w Pętlę. Ramię wspiera się na Osi umieszczonej w dwóch piątych długości Ramienia, mierząc oczywiście od strony Pętli. Do Końca znajdującego się natomiast wewnątrz Zbiornika przymocowany jest Pływak-Wentyl, który w Momencie Wyjściowym opiera się na Krawędzi. W ten sposób, Pływak-Wentyl uniemożliwia napływającej wodzie dostanie się do światła Rury. Zarówno Rura jak i Pływak posiadają Uszczelki koloru czerwonej gumy, z której są zresztą wykonane. Do zbiornika doprowadzona jest woda Otworem. W momencie, kiedy Zbiornik napełniony jest wodą, Pływak-Wentyl uszczelnia wlot Rury znajdujący się na samym Dnie, jak również spełnia Funkcję zawsze bezpieczeństwa przed napływem nadmiaru wód. Od góry Zbiornik nakryty jest wieczkiem, które uniemożliwia przedostanie się Drobnych Zanieczyszczeń do wewnątrz.

Do Dźwigni – biorąc pod uwagę część wystającą na zewnątrz – przymocowany jest sznurek, którego Początek związano nierozerwalnie z Pętlą, zaś Koniec zespolony jest ściśle z Witką mieszczącą się w górnej części Uchwytu Porcelanowego.

Położenie części i urządzeń w chwili pociągnięcia za Uchwyt: Naprężony sznurek pociąga Dźwignię, zewnętrzna część Dźwigni opuszczona ku dołowi, Ramię naciska na Oś w stopniu znacznie wyższym niżby się to mogło wydawać na pierwszy Rzut Oka, wewnętrzna część Dźwigni uniesiona bezradnym gestem w górę, Pływak dolną swą częścią odsłania Otwór, woda swobodnie spływa wewnątrz, porywa ekskrementy i dwa zmięte prostokąty nieaktualnych gazet, znika wraz z zawartością w głębi Syfonu, słychać bulgot przybierający z wolna na sile, który całkowicie zagłusza bzykanie co większych much.

Każdy poszczególny stół „ma" swój odpowiadający sedes. Wynika z tego, że z jednego sedesu korzysta przeciętnie szesnaście osób w porządku alfabetycznym. Biorąc pod uwagę fakt, iż na załatwienie potrzeby dla szesnastu osób przydzielono dziesięć minut, przypuszczać należy, że poszczególna jednostka korzystać może z sedesu przez okres trzydziestu siedem i pół sekundy co, ma się rozumieć, nie mija się z prawdą. Ponieważ, jednocześnie, Zbiornik wypełnia się wodą w przeciągu pięciu minut i w tych pięciu minutach przez sedes przemieszcza się ośmiu osobników, rzeczą zrozumiałą staje się fakt, iż Prawo do Spuszczania Wody ma każdy Starszy Stołu oraz osobnicy pod hasłami 1I, 2I, 3I, 4I, jak również 10, 20, 30, 40. Reszta praktycznie wody nie spuszcza, lecz może ciągnąć za Uchwyt do woli.

Po wykonaniu komendy „powstań", będącej oficjalnym zakończeniem posiłku obiedniego zalega umiarkowana cisza, o ile wliczyć bzykanie co większych much. Następnie Kucharz udaje się do Kuchni, a z Drzwi, nad którymi wisi zegar wychodzi pięć Kostycznych Umiłowanych Pań, z których najchudsza drze się, co jest równoznaczne z komendą: „do latryn stołami". Na tę komendę należy biegiem jak najszybciej opuścić miejsce przy stole i ustawić się w szeregach pod drzwiami latryny. W żadnym wypadku nie należy zapominać o zaznaczeniu tempa.

* * *

W tym samym tempie – kiedy równomierny tupot przerywa umiarkowaną ciszę, zakłócaną do tej pory jedynie bzykaniem co większych much – musimy udawać się do teatru. Znakomity nasz teatr, jedyna nam sądzona rozrywka, kiedy chyłkiem i z przyzwoleniem oglądamy normalność.

Spektakle odbywają się dwanaście razy dziennie w sali widowiskowej znajdującej się w zachodniej części gmachu. Aktorzy wywodzą się zazwyczaj z Personelu, co, ma się rozumieć, podnosi poziom artystyczny, przyczyniając się tym samym do z góry zamierzonego sukcesu.

Najważniejszą rolę odgrywa jednak Narrator. Osobnik ten zapowiada aktorów, kwiecistym językiem odtwarza sytuacje, tłumaczy scenografię, czasami daje się ponieść elokwencji i wikła w dygresjach. Spętany nimi milknie na koniec, dzięki czemu zalega upragniona, umiarkowana cisza, o ile wliczyć bzykanie co większych much.

Zadaniem Aktorów jest poprawne odczytywanie dialogów, przy czym tekst powinien być podany w sposób możliwie najbardziej werbalny. Widowisko poprawnie przygotowane cieszy się powszechnym uznaniem. Każdą premierę kolejnej wersji tego samego widowiska wita sala wypełniona po brzegi. W pierwszym rzędzie licząc od Sceny, znajduje się miejsce Szefa Generalnego a z prawej i lewej strony miejsca Podszefów, którzy są Szefami poszczególnych Sekcji. W dalszych szeregach siedzą Szefowie Sal, a jeszcze dalej Personel: Kucharze, Umiłowane Panie Kostyczne, Fryzjerzy et all. W drugiej części Sali oddzielonej Specjalnym Przejściem siedzą osobnicy ponumerowani według sal, stołów, miejsc i sedesów.

Od wielu lat wystawia się wyłącznie jednoaktówkę pt. „Małe miasteczko w środku lata", której najbardziej zaangażowany urywek pozwolę sobie przedstawić:

NARRATOR
– Z ulicy Trzeciej wypada na rynek Latający Motocykl. Słychać przeraźliwy pisk hamulców. Nad kierownicą widać zgarbioną sylwetkę Motocyklisty. Latający Motocykl skręca gwałtownie, wpada na trotuar, wbija się w latarnię i jak łódka brodzi. Powietrzem targa eksplozja. Ludzie stojący w dole słyszą śmiech, który trwa tak krótko, iż wydawać się może wiatrem, złudzeniem... Mężczyźni zbliżają się do dymiącego wraku i ciekawie zaglądają pod Motocykl. Leży pod nim Motocyklista. Odskakują.

CHÓR MĘŻCZYZN:
– Cholera!
NARRATOR:
– Didi zbliża się sam, inni idą w pewnej odległości za nim. Wystająca spod kierownicy głowa Motocyklisty szczerzy do nich zęby przyciśnięta policzkiem do gumowej gruszki.
CHÓR MĘŻCZYZN:
– Cholera!...

Jednoaktówka się kończy. Natychmiast zalega umiarkowana cisza, bo trzeba wliczyć bzykanie co większych much. W tej umiarkowanej ciszy rozlega się głos Porządkowego: „trzy, cztery". Jest to komenda, na którą wszyscy mają dźwignąć dłonie, sposobiąc je do klaskania. Na komendę: „raz, dwa, raz, dwa...", cała Sala klaszcze w równych sekundowych odstępach. Czas trwania oklasków uzależniony jest wyłącznie od Szefa Generalnego. Znakiem do zaprzestania oklasków jest dźwignięcie jego prawej ręki w górę.

Oklaski trwają już około dziesięciu minut. W myśl procedury, autor sztuki znajdujący się na Sali powinien klaskać na równi z innymi, gdyż w ten sposób daje wyraz swojej wrodzonej skromności. Nieklaskanie oznacza pogardę dla wykonawców i widowni. Oznacza to również, iż autor uważa jakoby nikt niczego nie pojął. „U nas wszyscy wszystko rozumieją" – są to słowa Kucharza.

Więc oklaski trwają już około dziesięciu minut, kiedy to Szef wstaje, dźwiga rękę do góry. Będzie zabierał głos. W tym przypadku obowiązuje cisza bezwzględna, co zdaje się nawet muchy rozumieją:

– Moi mili. Zarówno ja sam, jak i całe nasze kierownictwo jesteśmy pełni uznania zarówno dla autora jak i dla wykonawców. Widać przecież od razu, że światopogląd autora dramatu, który przecież z powodzeniem wystawiamy od lat, pokrywa się prawie w całości z naszymi wyobrażeniami o wszechświecie. Największą bodaj wartością jest tutaj głębokie przywiązanie do wszelkiego rodzaju Czynności, które autor zresztą podkreśla niezwykle zręcznie. Mimo niewątpliwych zalet, jakimi charakteryzuje się dramat, nie mogę nie wnieść pewnych poprawek, co będzie symbolicznym, ale jakże wiele mówiącym wkładem kierownictwa w tego rodzaju działalność kulturalną i sportową. Proszę o powtórzenie sceny z Latającym Motocyklem.

Szef Generalny w milczeniu wskazuje na osobnika siedzącego w dalszym rzędzie. Można go poznać, bo to Kucharz Sali Numer Jedenaście. Podrywa się on natychmiast i zaznaczając tempo zbliża się do Szefa Generalnego:
– Kucharz Sali Numer Jedenaście melduje się na rozkaz.
– Będziesz Motocyklistą – rzecze Szef i siada.
– Tak jest, będę Motocyklistą.
Szef wstaje ponownie:

– TERAZ JA JESTEM REŻYSEREM – w jego głosie wyczuć można wielkie zadowolenie – potrzebny jest pniak i pała!

Na scenę wnoszą pniak i pałę. Następnie Szef gwiżdże na specjalnym gwizdku marki Golc, na którego dźwięk pojawiają się dyżurni Przyjaciele, po czym wskazuje im palcem Kucharza Sali Numer Jedenaście stojącego w pozycji „wyprężony jak struna". Dyżurni Przyjaciele ubierają Kucharza Sali Numer Jedenaście w kaftan i na komendę Szefa Generalnego wnoszą na scenę, gdzie kładą mu głowę na pieńku w ten sposób, aby ustawiona była Twarzą do widowni.
– Proszę o tekst!

Zostaje mu dostarczony oryginalny rękopis złożony w Pomieszczeniu Służącym Do Składania Rękopisów 8, Szef wczytuje się w umiarkowanej ciszy, przerywanej jedynie bzykaniem co większych much. Wychodzi na proscenium i kiwa na Kurtynowego, który jest wielkim osobnikiem. A kiedy ten przepisowo wyprężony melduje:
– Kurtynowy Sali Widowiskowej melduje się na rozkaz – pochyla głowę w jego kierunku i coś szepce.
– Narrator!
Narrator przyjmuje postawę „wyprężony jak struna", ale Szef protestuje gestem:
– Zaczynać od słów „Z ulicy Trzeciej wypada na rynek Latający Motocykl..."
– Tak jest!
– Na mój znak.
– Na znak!

Szef odwraca się powoli i staje przodem do widowni. Następnie dźwiga prawą rękę do góry i zdecydowanie opuszcza. Jego oczy są nieco przymrużone, co wydaje się naturalne wobec świateł jupiterów, zaś na Twarzy pojawia się ledwo dostrzegalny uśmieszek. Całość Szefa Generalnego zastyga w bezruchu, a tymczasem Narrator przystępuje do powtarzania sceny.

NARRATOR:
– Z ulicy Trzeciej wypada na rynek Latający Motocykl. Słychać przeraźliwy pisk hamulców. Nad kierownicą widać zgarbioną sylwetkę motocyklisty (Kucharz Sali Numer Jedenaście wydaje stłumiony dźwięk). Latający Motocykl skręca gwałtownie, wpada na trotuar, wbija się w latarnię i jak łódka brodzi...

Tu Szef dźwiga rękę do góry, a następnie opuszcza ku dołowi, przy czym kciuk wyraźnie wskazuje podłogę. Oczy ma całkowicie zamknięte, usta otwarte, a w świetle jupiterów widać wyraźnie szyję z nabrzmiałymi tętnicami bądź żyłami. Na znak Szefa zza kulis wypada zaznaczając tempo Kurtynowy Sali Widowiskowej i zbliża się do klęczącego z głową na pniaku Kucharza Sali Numer Jedenaście, a w jego ręku widnieje potężna pała. Kurtynowy Sali Widowiskowej zatrzymuje się przed Kucharzem, po czym z impetem spuszcza pałę na plecy Kucharza Sali Numer Jedenaście. W tym czasie Kucharz wydaje z siebie okrzyk:
– Niech żyje Numer Jedenaście babl...chrrraaa!

NARRATOR:
– ...Powietrzem targa eksplozja...

Słychac chrapliwy oddech Szefa Generalnego, podczas gdy Kucharz Sali Numer Jedenaście wali się na podłogę.

NARRATOR:
– ...Ludzie stojący w dole słyszą śmiech, który trwa tak krótko, iż wydawać się może wiatrem, złudzeniem... Mężczyźni zbliżają się do dymiącego wraku i ciekawie zaglądają pod Motocykl. Leży pod nim Motocyklista. Odskakują.
Szef podchodzi do leżącego koło pniaka Kucharza Sali Numer Jedenaście i wskazując palcem mówi:
– Ooo!
CHÓR MĘŻCZYZN:
– Cholera

NARRATOR:
– Didi zbliża się sam, inni idą w pewnej odległości za nim. Wystająca spod kierownicy głowa Motocyklisty szczerzy do nich zęby przyciśnięta policzkiem do gumowej gruszki.
Szef podchodzi do Głowy Kucharza Sali Numer Jedenaście i wskazując w nią palcem, mówi:
– Ooo!
Zza Kulis wyłania się Kurtynowy Sali Widowiskowej niosący gumową gruszkę, którą kładzie na policzku Kucharza Sali Numer Jedenaście.
– Realizm! – mówi Szef.
CHÓR MĘŻCZYZN:
– Cholera!

Zalega umiarkowana cisza, o ile wziąć pod uwagę odgłos stąpania Szefa Generalnego oraz delikatny szmer oddechów, jak również bzykanie co większych much. Aż daje się słyszeć głos Porządkowego: „trzy, cztery". Następnie na komendę: „raz, dwa, raz, dwa", wszyscy intensywnie klaszczą, nie zapominając o sekundowych odstępach. Po dziesięciu minutach Szef Generalny wstaje i zaczyna się przemieszczać w kierunku wyjścia, a na jego obliczu maluje się nikły i łagodny uśmiech.

Taki sam uśmiech zawsze pojawia się na obliczu Pana, kiedy przychodzi powiedzieć nam dobranoc. Pan jest łysiejącym mężczyzną w średnim wieku o dużej kwadratowej szczęce. Nos jego jest nad wyraz wąski, a oczy głęboko osadzone. Z oczu Pana Naszego bije siła i pewność siebie. Czasami przebija z nich również dobroć. W takich momentach roztkliwia się on nad sobą i płacze...

Więc Pan Nasz jest jednym z tych łysiejących mężczyzn w średnim wieku o dużej kwadratowej szczęce. Nos jego jest nad wyraz wąski, a oczy głęboko osadzone. Z tych oczu Pana bije siła i pewność siebie. Czasami przebija także dobroć. W takich momentach roztkliwi się on prawdopodobnie nad sobą. Stoi teraz przed nami rozkraczony. Można go dokładnie obserwować. Ręce Pana są bardzo spracowane i dlatego wyglądają jak niemyte. Pełno na nich zeschłej gliny pomieszanej z roślinami. Pan się ich trochę wstydzi, gdyż trzyma je przeważnie za sobą. Na szczególną uwagę zasługują oba kciuki. Lewego nie widać dokładnie. Zasłania go obszerna szata, w jaką Nasz Pan jest ubrany. Niemniej przypuszczać należy, że jest on taki sam jak prawy, w czym utwierdza głęboko zakorzenione przekonanie o idealnej symetrii Pana. Prawy kciuk odznacza się bardzo pięknym różowym paznokciem, dziwnie kolidującym z resztą dłoni. Jest on utrzymywany we wzorowej czystości, często piłowany, posiadający ów charakterystyczny opływowy kształt, który tak chętnie podziwiamy u osób należących do sfer wyższych. Jest on jakby Głową palca, posiadającą dumny arystokratyczny profil. Trudno więc zrozumieć tę dziwną wstydliwość Pana, która każe mu trzymać ręce schowane w ukryciu, za sobą.

Reszta kciuka natomiast stoi w ostrej sprzeczności z paznokciem, bowiem naskórek w miarę oddalania się od nasady paznokcia, staje się coraz bardziej chropowaty i łuszczący, a przy pierwszym Stawie zamienia się wręcz w twardy pancerzyk, przywodzący na myśl skorupy chitynowe jakimi okryte są liczne Stawonogi. W wyniku tych obserwacji nasuwa się przypuszczenie, iż Pan Nasz nie próżnuje bynajmniej w zrozumieniu pracy fizycznej. Skóra na tych zrogowaceniach jest szara, pokryta resztkami dwuliściennych, gliny i jeszcze jakiejś trudnej do sprecyzowania materii. Lecz oto kciuk się poruszył. PAN NASZ RUSZYŁ PALCEM. Dało to możność zobaczenia przez moment palca wskazującego. Z drugiej jednak strony moment ten trwał tak krótko, że być może uległem jakiemuś złudzeniu. Bo dlaczego niby miałby poruszać kciukiem? Akurat kciukiem? Nic przecież nie wskazuje na to aby zrogowaciała skóra pozwalała na jakikolwiek ruch. Mniejszym zaskoczeniem byłoby poruszenie się paznokcia, ale kciuk?

Pan Nasz ostatnio się nie pojawia – pozostaje więc tylko marzenie o kciuku. A tymczasem otwierają się drzwi i wchodzi Kucharz. Znowu stoimy na baczność koło stołów i nikt nie mówi. Panuje umiarkowana cisza – o ile wliczyć bzykanie co większych much. ■

DIALEKTYK Z KRAKOWA

Franz ROTTENSTEINER, jeden z bardziej znanych, współczesnych krytyków SF, urodził się w Austrii, w roku 1942. Studiował dziennikarstwo i filologię angielską na Uniwersytecie Wiedeńskim. Tu też doktoryzował się na podstawie pracy z zakresu SF. Jest wydawcą wielu antologii o tematyce fantastycznej i fantastyczno-naukowej, m.in. „Science Fiction der Welt" (Insel Verlag), („The Science Fiction Book" „London Thames and Hudson – 1975), „The Fantasy Book" (London Thames and Hudson – 1978). Od 20 lat jest edytorem jednego z najbardziej znanych, światowych czasopism SF: „Quarber Merkur" oraz członkiem redakcji amerykańskiego czasopisma „SF Studies". Stale współpracuje z wydawnictwami Suhrkampa, Fischera i P. Zsolnay (tu m.in. ukazały się: „H.G.Wells Edition", „Die phantastischen Romane", „Polaris" (Ein SF Almanach = Insel Taschenbuch, od 4 numeru = Suhrkamp Taschenbuch). Ocena twórczości Lema, dokonana przez znanego wydawcę zachodnioeuropejskiego, może być interesującym uzupełnieniem polskich omówień krytycznych i świadectwem aktualnego odbioru tej literatury poza granicami naszego kraju. Artykuł: „Der dialektische Weise aus Krakow" został zamieszczony w zbiorze: „Über Stanislaw Lem" (Hrgb. von Werner Berthel, Phantastische Bibliothek) Suhrkamp Taschenbuch, ss. 199–209).

A. N.

W trzecim numerze „Magazynu Literackiego", ukazującego się nakładem wydawnictwa Rowohlt, Günter Herburger tak pisze o Stanisławie Lemie: „Wraz z nim i jego rodziną zamieszkują – jak opowiadał mi przyjaciel autora – trzy kobiety zajmujące się domem. Podobno odszukały go powodowane uczuciem uwielbienia. Ponieważ nie wyglądało na to, że zrezygnują, zatrudnił wszystkie trzy naraz, płacąc im nawet więcej, niż normalną stawkę". Pomysł oddanych literaturze wzorowych gospodyń domowych, który Herburger rozwija w wątek polskiej Simone de Beauvoir, wiernie prowadzącej Lemowi dom, jest uroczy i zabawny, ale stanowi jednocześnie przykład na to, w jaki sposób narastają wokół osoby Lema legendy.

Lem mieszka w niepozornym, szarym domku na cichym przedmieściu Krakowa. Jego sąsiadem jest przyjaciel, literaturoznawca, Jan Błoński. W pobliżu znajduje się jedynie kiosk z gazetami, do sklepów w centrum daleko, połączenia komunikacyjne są niezbyt korzystne. Cztery razy w tygodniu Lem odwozi do miasta swoją żonę niemal nowym Mercedesem 250. Żona jest rentgenologiem, pracuje po kilka godzin dziennie w jednym z krakowskich szpitali. W domu małżonkowie dzielą się obowiązkami. Kiedy żona pracuje, Lem robi zakupy, uwzględniając przede wszystkim artykuły spisane na kartce, sporządza przy tym prognozę futurologiczną i zajmuje się ekonomią porównawczą: przeprowadza sondaż, aby wiedzieć, w którym sklepie będzie mógł kupić bez kłopotów, na przykład trochę świeżych warzyw albo kawałek szynki.

Kto robił zakupy razem z Lemem, wędrując po sklepach w poszukiwaniu takich czy innych artykułów, zaczyna rozumieć, dlaczego centralną rolę w jego sposobie myślenia odgrywają przypadek i teoria prawdopodobieństwa. Można przypuścić, że owa „filozofia przypadku" (tak zresztą brzmi tytuł jednego z jego bardziej znaczących traktatów teoretycznych) została ukształtowana w równym stopniu przez doświadczenia dnia codziennego, jak i przez nowoczesną teorię poznania. Decydującym czynnikiem były tu oczywiście przeżycia z okresu okupacji hitlerowskiej, kiedy kwestia przetrwania zależała nierzadko od przypadku: czy wyszło się z domu pięć minut wcześniej czy później i czy SS-mani przeprowadzali akurat łapankę. Odbicia tych problemów widać w książkach Lema na każdym kroku, zwłaszcza tam, gdzie w sposób czysto teoretyczny oddaje się on najbardziej podniosłym i abstrakcyjnym rozmyślaniom. To właśnie dodaje jego, samej w sobie chłodno-intelektualnej twórczości, akcentów bardziej przyziemnych, bliższych pospolitym sprawom życiowym.

Rozkład dnia jest u Lema ściśle ustalony, on sam pracuje w sposób sumienny i regularny. Wszelkie dodatkowe zainteresowania ustąpiły już dawno przed nadmiernie rozrośniętym balastem obowiązków. Pisarz wstaje skoro świt i zasiada do pracy jeszcze przed śniadaniem. Wszystko zaczyna się od góry listów sięgającej niemal sufitu. Lem zajmuje się tylko tymi najważniejszymi, ale i tak, ilekroć zbliża się pora nadejścia listonosza, oczekuje go w ponurym nastroju. Początkowo pisali do niego jedynie Polacy i Rosjanie, później również obywatele NRD. Obecnie listy przychodzą niemal z całego świata, a w nich roi się od zaszczytów i zaproszeń: to trzeba napisać, tamto zrecenzować, tu wygłosić odczyt, tam wziąć udział w sympozjum. Autorzy proszą o ocenę swoich prac, tłumacze – o niezbędne wskazówki. Lem ma wyrazić swoje zdanie, przygotować artykuł, współpracować, występować, odpowiadać na pytania, rozstrzygać jakieś szczególnie zawile problemy ezoteryczne. Czas upływa, a tak niewiele spraw zostało załatwionych! To właśnie dręczy Lema; jego zasady są nierozerwalnie związane z pracą, a czas, kiedy nie pisze czegoś nowego i istotnego, uważa za stracony. Po południu pracuje ponownie przez kilka godzin, załatwia ważniejszą część świeżo otrzymanej korespondencji, po czym korzysta z krótkiego relaksu. Wieczór to okres kontynuowania pracy, ale państwo Lemowie udają się na wypoczynek stosunkowo wcześnie. W ciągu dnia występują ustawicznie przerwy i zakłócenia w ustalonym wcześniej porządku: na przykład dzwoni telefon – źródło prawdziwych utrapień pisarza – lub przychodzą goście. Można sądzić, że Kraków stał się ulubionym celem wizyt redaktorów czasopism ukazujących się w NRD i RFN, oraz dziennikarzy radia i telewizji. Bezustannie ciągną w te strony pełni optymizmu reżyserzy, którzy marzą o przeniesieniu na ekran czegoś autorstwa Lema. Szybko jednak muszą pożegnać się z tą myślą, gdyż pisarz wyrzuca ich po prostu za drzwi; jak dotychczas, jest bezgranicznie rozczarowany ekranizacjami swojego materiału. W całym tym rozgardiaszu tylko jeden obowiązek traktuje poważnie na równi z pisarstwem: zabawę z sześcioletnim synkiem, Tomkiem. To zadanie posiada znaczenie nie mniejsze, niż prognozowanie losów świata. Mimo owego rwetesu wokół osoby i twórczości Lema – faktem bezspornym, chociaż zadziwiającym – jest olbrzymi dorobek pisarza: do tej pory ponad trzydzieści tomów, w tym część bardzo obszernych.

Kiedy jednak Lem pragnie tak naprawdę uwolnić się od natrętnych gości, ucieka do Zakopanego. Właśnie tam, w przystępie istnego szału twórczości powstało wiele jego książek. Efektywność polskiego autora jest doprawdy imponująca, zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę jego niezmiernie rozrzutny styl pracy. Lem nie sporządza notatek, według których mógłby następnie wykonać projekt nadający się do dalszej obróbki, aż do uzyskania pożądanej formy. Kiedy to, co napisał, nie zadowala go (a z początku jest tak zawsze), wyrzuca to po prostu i rozpoczyna od nowa. Zanim uzna, że poradził sobie z tekstem, że odpowiada mu efekt, potrafi powtarzać ową mozolną procedurę nawet po kilkanaście razy. Przypomina to trening maratończyka, który chcąc rozgrzać się, pokonuje swój dystans kilkakrotnie przed samymi zawodami. Sam Lem wyznał kiedyś, że jest autorem co najmniej trzydziestu opublikowanych tomów, chociaż faktycznie napisał dziesięć razy tyle. Można więc sobie wyobrazić, ile książek zostało zniszczonych; po prostu zniknęły one z tego świata bez śladu, padły ofiarą ewolucji literackiej. Wcześniejsze wywiady zawierają tytuły utworów, które nie ujrzały światła dziennego, gdyż metoda pisarska Lema, chociaż tak pracochłonna, nie zawsze bywa uwieńczona sukcesem; w tej ewolucji zdarzają się i ślepe zaułki. I tak na przykład w numerze 12/1964 miesięcznika „Polska" można znaleźć wzmiankę o powieści „Rozbitek", która w rzeczywistości nie istnieje: po 200 stronach wylądowała w koszu na śmiecie. Jaka była ta powieść? „Utajona" twórczość Lema, niewidzialne części jego dzieła, to dręcząca niepewność. Czyż nie nasuwa się myśl, że to, co Lem odrzuca jako niewypał, mogłoby być dla innego pisarza punktem kulminacyjnym jego twórczości? Taką właśnie zagadkę stanowił przez dłuższy czas „Katar", drugi po „Śledztwie" wypad Lema w dziedzinę powieści kryminalnej. Na włoskich autostradach trwa seria tajemniczych wypadków śmiertelnych, dla których autor wymyślił zaskakujące rozwiązanie: splot najrozmaitszych okoliczności – pozornie niegroźnych, jeśli rozpatrywać je z osobna – tworzy w efekcie potworny halucynogen, strącający ofiary w otchłań śmierci. O tej prostej, pełnej napięcia historii wspomniał

Lem przed laty i można się było spodziewać, że przeniesie ją prędko na papier. Tymczasem przyszły nowe pomysły, halucynogen rozrósł się do cywilizacji halucynatorycznej, do opanowanego przez „psychemię" świata, a prostolinijny realizm wypaczył się do groteski. W ten sposób powstał niezwykle zawiły „Kongres futurologiczny", podczas gdy „Katar" nie opuścił szuflady biurka w oczekiwaniu na dogodny moment, chociaż ostatnio wszystko wskazuje na to, że Lem znalazł już brakujące ogniwo tej nie dającej mu spokoju historii. Właśnie taki rozwój jest dla niego typowy: mogąc wybierać pomiędzy czymś prostym a trudnym do wykonania, decyduje się zawsze na to drugie. Jest najsurowszym krytykiem dla siebie samego, sam wyznacza sobie zadania, zwiększając stale wymagania. Lem teoretyk ustawia przed Lemem pisarzem coraz to większe przeszkody, a pisarz usiłuje zadać kłam teoriom głoszonym przez teoretyka. Efektem tego jest, jedyna w swoim rodzaju, dialektyczna gra przemian, oscylowanie pomiędzy żartem a powagą, sprawami podniosłymi i zabawnymi; wyszlifowane, cięte pisarstwo, czyniące jego lekturę skomplikowaną, ale jedyną w swoim rodzaju i wartą zachodu zabawę.

Jakże płodny jest Lem! Jego utwory, zwłaszcza groteski, skrzą się wprost od pomysłów, pisarz sypie nimi, z pozornie niedbałą elegancją, strona za stroną. Podczas gdy wielu innych autorów dąży do osiągnięcia optymalnego efektu przy minimalnym nakładzie pracy, on korzysta ze swych koncepcji bez opamiętania.

To samo bogactwo pomysłów, widoczne w książkach Lema, cechuje również jego samego. Z postawy niepokaźny, mówi – i to nie tylko po polsku – szybko, niemal gorączkowo, gwałtownie, ale zawsze precyzyjnie, formułując starannie swoje wypowiedzi, z dużą dozą ironii i podstępnego, szelmowskiego humoru, czasem w sposób niemal błazeński. Ludzi zadufanych w sobie, patrzących na innych z góry może doprowadzić do rozpaczy. Nie zachowując się w sposób grubiański ani agresywny, potrafi zmusić do zastanowienia, czy przypadkiem nie jest się wyśmiewanym. Z podstępną otwartością formułuje najbardziej zwariowane pomysły, tak że nie wiadomo, czy mówi poważnie czy też jest to jedynie żart. „Byłem cudownym dzieckiem" – pisze Norbert Wiener w swojej autobiografii. „Byłem potworem" – odparowuje Lem, dodając chytrze: „ale w miarę". Zachowanie proporcji ma dla niego ogromne znaczenie. „Nikt nie śmieje się z wszechświata – twierdzi – bo jest tak duży". Zdarza się, że w ten sam sposób rozprawia o seksie i pornografii. Wszystko musi być utrzymane w odpowiednich proporcjach, czy to w erotyce literackiej, czy też w pornografii. Stosunki płciowe pomiędzy istotami wielkości mrówek byłyby po prostu śmieszne, nie mogłyby ekscytować erotycznie. Taki sam efekt grozi w przypadku zbyt wielkiego powiększenia: owłosienie łonowe przywodziłoby wtedy na myśl splątane sitowie, a całość budziłaby jedynie wstręt i odrazę.

W podobny sposób zajmuje się futurologią: na wpół z zaangażowaniem, na wpół z dystansem. Nigdy nie żartuje z przyszłości, z większym przymrużeniem oka traktuje natomiast ludzi, którzy parają się przyszłością zawodowo. W stosunku do nich przejawia takie same mieszane uczucia, jak wobec bractwa profesjonalnych proroków – autorów literatury science fiction. Jest jednym z założycieli polskich towarzystw: cybernetycznego i astronautycznego. Wchodzi w skład komitetu „Polska 2000", z tym że pełni tam raczej rolę, jaką w sądzie odgrywa advocatus diaboli. Stowarzyszenie pisarzy „Science Fiction Writers of America" nadało mu tytuł członka honorowego, ale Lem ośmiesza ich samych oraz ich twórczość przy każdej okazji. Współpracuje w pewnym sensie z futurologami i autorami science fiction i choć nie angażuje się w pełni, uważa, że jego obowiązkiem jest wiedzieć, co czynią inni. Dlatego też ustawicznie zapoznaje się z najnowszymi przepowiedniami dotyczącymi zagłady świata, które krążą po krajach zachodnich i są tam obecnie modne.

Lem jest dziś z całą pewnością najpopularniejszym na świecie polskim pisarzem współczesnym. Do długiego rejestru przekładów dochodzi przynajmniej 15 nowych tłumaczeń rocznie, a prócz tego ukazują się wznowienia dawnych utworów. Sukces ten wiąże się na pewno z zainteresowaniem, jakim cieszy się literatura fantastyczno-naukowa na całym świecie, ale jego źródła sięgają głębiej.

Lem jest właściwie człowiekiem apolitycznym, którego bardziej interesują problemy teoretyczno-poznawcze i ogólnofilozoficzne niż aktualne dogmaty polityczne i ideologie. Jego wypowiedzi, przybrane w maskę satyry lub baśni, zawierają wprawdzie akcenty krytyki społecznej, ale w całokształcie twórczości tego pisarza są to kwestie o charakterze drugorzędnym. Herezja Lema ma fundamentalny, chociaż nie od razu widoczny charakter: polega nie tyle na łatwych do rozszyfrowania aluzjach natury socjalnej, co na radykalnym sposobie stawiania pytań, nie uzależnionym od żadnej ideologii ani dogmatów. Pisarz nie dostarcza gotowych odpowiedzi, ale przy każdym problemie stawia znak zapytania. Uroku dodaje fakt, że Lem kieruje ostrze swojej krytyki nawet przeciwko tym zasadom, którym sam hołduje. Nie ma spraw, których nie wolno krytykować; wątpliwość jest dla niego postawą i metodą. Ta gra przemienna nie oznacza bynajmniej asekuracji polegającej na okolicznościowej krytyce przeciwnika w celu zaakceptowania krytyki własnego obozu, ani nie jest też czystą kazuistyką lub dzieleniem włosa na czworo, ale stanowi kompleksową, subtelną metodę odkrywania prawdy.

Te właśnie cechy ułatwiają i jednocześnie utrudniają lekturę utworów Stanisława Lema. Ułatwiają, gdyż Lem jest tak pomysłowy i skory do żartów, jak Dyl Sowizdrzał czy Münchhausen. Jego książki – z nielicznymi wyjątkami – czyta się lekko, Lem jest bowiem, w pewnym sensie, pisarzem staroświeckim, jego metoda twórcza odpowiada niemal stylowi panującemu w wieku XVIII. Nie należy do literackiej awangardy, jego wypowiedzi nie zawierają ciemnych miejsc, eksperymentów lingwistycznych, których znaczenie można rozszyfrować dopiero po długich staraniach. Jego frazy są jasne i rytmiczne, jego żart jest żartem słownym, ukazującym czytelnikowi przynajmniej jedno znaczenie. Lema można czytać z przyjemnością nawet wtedy, kiedy nie jest się w stanie odnaleźć wszystkich podtekstów, ukrytych pod maską dykteryjek i fantazji. Z drugiej strony, pisarz utrudnia zadanie swoim czytelnikom, umieszczając pod połyskliwą, niesforną, gęsto naszpikowaną terminami technicznymi powierzchnią taką masę raf filozoficznych, że doprawdy trudno się przez nie przedrzeć. Można przypuszczać, że Lem jest czytany z najprzeróżniejszych powodów, ale wielostronność i wielowarstwowość jego twórczości jest naprawdę imponująca. Trudno się dziwić, że pierwszymi odbiorcami Lema byli technicy i naukowcy. Czuli, że mają do czynienia z pisarzem mówiącym ich językiem i rozumiejącym ich problemy. Ten zachwyt trwał nadal nawet wtedy, kiedy jego książki stały się trudniejsze w odbiorze, bardziej złożone.

Po Związku Radzieckim największe zafascynowanie twórczością Lema utrzymuje się w NRD, gdzie tylko kilka pozycji tego autora osiągnęło łączny nakład w wysokości ponad 1,5 miliona egzemplarzy, a nowe książki ukazujące się w każdorazowym nakładzie 30 000 egz. nie zaspokajają w ogóle popytu. W Polsce jego utwory są praktycznie stale wyczerpane. Mimo corocznych wznowień w wysokości 100 000–150 000 egz, nigdy nie goszczą długo na półkach księgarskich. Do aplauzu czytelników doszły w ostatnich latach oficjalne gesty uznania, ordery i nagrody literackie. Radziecka Akademia Nauk kilkakrotnie już zaprosiła nie-naukowca Lema do ZSRR. Mimo iż jego wypowiedzi w dziedzinie teorii literatury i filozofii nie cieszyły się powszechnym uznaniem, zawsze znajdowali się uczeni, którzy witali te prace z zachwytem. Ogólnie rzecz biorąc, twórczość Lema wywoływała reakcje ekstremalne: z jednej strony pełną entuzjazmu akceptację, z drugiej – gwałtowny protest. Jest wielu kompetentnych literaturoznawców, którzy przyznają otwarcie, że po prostu nie potrafią sobie poradzić z Lemem. Właśnie oryginalność i wieloznaczność jego książek utrudniają ogarnięcie spojrzeniem i poznanie „całego" Lema. Zresztą do tej pory nikomu spośród obcokrajowców nie udało się tego dokonać, jeśli nie liczyć kilku znawców języka polskiego.

Uznanie Lema w RFN za autora, który zrehabilitował pod względem literackim fantastykę naukową jest, być może, najdrobniejszą cząstką jego recepcji. Dopiero kiedy zostaną poznane obszerne traktaty teoretyczne Lema, będzie można oddać sprawiedliwość zadziwiającemu dziełu tego pisarza. W niektórych krajach proces przewartościowania rozpoczął się już wcześniej, ale wszystko wskazuje na to, że recepcja Lema nastąpi najszybciej i najgruntowniej w RFN, gdyż jego wszystkie utwory będą ukazywały się w tym kraju tak prędko, jak tylko będą je w stanie przełożyć tłumacze.

Przełożył **Mieczysław Dutkiewicz**

■

SŁOWNIK POLSKICH AUTORÓW S-F

Aczkolwiek polska beletrystyka fantastyczna zdobywa sobie rosnącą popularność w wielu środowiskach czytelniczych naszego kraju, historia tego gatunku jest nieznana nawet w fachowych kręgach polonistów. Ten stan rzeczy wynika, w pewnej mierze, z trudności uzyskania najprostszych informacji o charakterze bibliograficznym. W słowniku „Polskich pisarzy współczesnych (1944–1970)" L. Bartelskiego figurują wyłącznie sylwetki Stanisława Lema, Jerzego Broszkiewicza, Andrzeja Ostoi, Czesława Chruszczewskiego i Konrada Fiałkowskiego. O wielu innych prawie nic nie wiemy, a jeśli chodzi o tych, którzy debiutowali przed II wojną światową – sprawa przedstawia się tragicznie. Krótkie, syntetyczne artykuły A. Smuszkiewicza, zamieszczane w latach siedemdziesiątych na łamach poznańskiego „Nurtu", dotyczyły tylko wybranych problemów polskiej SF, natomiast inicjalny rozdział książki A. Wójcika i M. Englendera („Budowniczowie gwiazd", Warszawa 1980) zaledwie sygnalizował podstawowe fakty i zagadnienia. Polski czytelnik musi dziś z dużym nakładem sił przedzierać się przez różne terminy zamieszczane na kartach opracowań literackich, a jego wysiłek nie zawsze będzie nagrodzony sukcesem. Tymczasem dzieje naszej utopii, fantastyki i beletrystyki science fiction są zjawiskiem złożonym i fascynującym, obfitującym w tak ciekawe wypowiedzi, jak utwory Bolesława Prusa, Jerzego Żuławskiego, Antoniego Langego, Władysława Umińskiego, Stefana Grabińskiego, Mieczysława Smolarskiego i Antoniego Słonimskiego.

W związku z tą sytuacją zrodziła się koncepcja redagowania podręcznego słownika polskich autorów literatury fantastycznej. Ta swoista „encyklopedia" nie rości sobie pretensji do pełnego usystematyzowania prezentowanych materiałów: chodziłoby raczej o krótką charakterystykę wybranych sylwetek autorskich, o dokonanie pierwszego kroku, który, być może, zaowocuje kiedyś pracą o bardziej szczegółowej dokumentacji.

Kryteria doboru nazwisk, którymi się kieruję, uwzględniają nie tyle i l o ś ć opublikowanych tekstów literackich, ile pewne f a k t y z dziejów recepcji (popularności) danego pisarza, a także z n a c z e n i e jego dorobku w ogólnym przekroju polskiej beletrystyki fantastycznej. Na sam dobór haseł słownika i wiadomości przekazywanych za ich pośrednictwem wpłyną także domniemane potrzeby czytelnika, przypuszczalny poziom jego wiedzy i przewidywane rodzaje sytuacji, w których będzie się nim posługiwał.

W układzie haseł osobowych obowiązuje porządek alfabetyczny. Każde hasło zawiera informację bibliograficzną, krótką charakterystykę twórczości autora oraz, tam gdzie to jest możliwe, podstawowe wskazówki bibliograficzne. Strzałka (→) poprzedzająca jakieś nazwisko oznacza, że nazwisko to ma w słowniku swoje własne hasło, którego znajomość jest w danym wypadku istotna. Skrót „por." zwraca uwagę na inne hasła, w których zawierają się informacje uzupełniające. Skrót „zob." jest stosowany w hasłach odsyłaczowych (np. pseudonimów literackich). Skrót „zob. też" występuje wtedy, gdy literatura przedmiotu dołączona do danego hasła wymaga uzupełnienia pozycjami wymienionymi w innym haśle.

Sposób prezentacji literatury przedmiotu podyktowany jest względami praktycznymi, dlatego też obok dat pierwodruków (niekiedy trudno dostępnych) podaję daty nowych wydań znajdujących się w bibliotekach i czytelniach.

Andrzej Niewiadowski

ADAMOWICZ BOGUSŁAW (1870–1944)

Poeta i powieściopisarz

Urodzony 13 I 1870 (1871 – wg S. Lama, zob. „Encyklopedia" Trzaski, Everta i Michalskiego, tom I), w Mińsku, na Białorusi. Syn Emeryka i Józefiny ze Szretterów. Gimnazjum ogólnokształcące ukończył w Mińsku. Później wyjechał do Paryża na studia malarskie (specjalizował się w malarstwie miniaturowym). W latach 1906–1911 przebywał w Krakowie. Około roku 1911 wrócił do Mińska i w latach 1918–1920 był redaktorem „Gońca Mińskiego". W roku 1920 wyjechał do Warszawy – zamieszkał tu na stałe, aż do 1944 roku. Ewakuowany przymusowo po powstaniu warszawskim, zaginął bez wieści.

Do najważniejszych wypowiedzi literackich Adamowicza należy zaliczyć wybory poezji: „Gra wyobraźni" (Kraków 1893), „Melodie" (Warszawa 1897), „Tragedia krwi" (Kraków 1897), „Rapsod ludzkości" (Paryż 1911). Adamowicz jest również autorem opowiadań i powieści o tematyce fantastycznej: „Wojna z duchami" (w:) „Głos Warszawski" 1908 (174–219); przedruk ze zmienionym tytułem: „W starym dworze" (w:) „Czas" 1909 (141–171); wyd. osobne: „W starym dworze. Powieść fantastyczna", (Kraków 1909); wznowienie: „Wojna z duchami" (w:) „Przegląd Wieczorny" 1923 (261–296); toż wyd. osobne – Kraków 1924; „Tajemnica długiego i krótkiego życia" (zawartość: „Dzieje niewiadomego doży") pierwodruk (w:) „Czas" 1909 (43–45), „Potworek", „Bajka o bajce", „Zegar" pierwodruk (w:) „Romans i Powieść" – dodatek „Świata" 1909 (10), „Triumf śmierci", „Tajemnica długiego i krótkiego życia" pierwodruk (w:) „Tygodnik Ilustrowany 1910 (52–53) Warszawa 1911; „Nieśmiertelne głupstwo. Fantazja powieściowa" pierwodruk (w:) „Museion" 1911 (I–II) Warszawa 1912; „Wesoły marszałek" („Wesoły marszałek", „Dzieje doży", „Pogańska ofiara", „Tajemnica długiego i krótkiego życia") Warszawa 1922; „Triumf żółtych" pierwodruk (w:) „Przegląd Wieczorny" 1925 (242–282) pt. „Świat na żółto") Warszawa 1926, wyd. 2 – Warszawa 1927.

W Paryżu ukazał się przekład francuski „Tajemnicy długiego i krótkiego życia" pióra P. Cazin (w:) „Le Mille nouvelles", Paryż (bez daty).

Opowiadania Adamowicza, owiane aurą tajemniczości i grozy, wykorzystują literacki efekt „obcości", „odrębności" budzącej strach, zdumienie, ciekawość niewiadomego („Potworek", „Dzieje..."). Autor nawiązuje do motywów baśniowych („Bajka o bajce"), tworzy konstrukcje alegoryczne („Zegarmistrz"), przeniknięte wpływami spirytyzmu i mesmeryzmu („Wesoły marszałek"). Z powodzeniem sięga do kanonu poetyki humorystycznej ośmieszając popularne wątki katastroficzne (np. mit panmongolizmu w „Triumfie żółtych"). Akcję lokalizuje w „typowych" siedzibach duchów, posiłkując się rekwizytami „starych zamków", „upiorów", „widm wstających z grobu"... („W starym dworze"). W wielu przypadkach stara się jednak zachować pewien dystans wobec opisywanych wydarzeń idąc neoromantycznym tropem prymatu „ducha nad materią" (surowa ocena postaw czysto naukowych w „Starym dworze", tu też: sugestywna wizja natchnionych żołnierzy – automatów). Krytyczne spojrzenie na otaczający świat w połączeniu z proroctwem ukazanym w zwierciadle śmiechu doprowadza do interesujących rozwiązań poznawczych (niezwykłe wynalazki chińskie „w dziedzinie kinematografii" przypominające współczesne, fantastyczno-naukowe refleksje nad przyszłością fantomatyki

BIBLIOGRAFIA

Nowy Korbut. *Bibliografia literatury polskiej t. 13*

S. Lam. *Współcześni pisarze polscy. Literatura piękna i krytyka literacka. Warszawa 1922*

J. Krzyżanowski *Neoromantyzm polski (1890–1918) Wrocław 1963*

RECENZJE WYBRANE:

„Wojna z duchami"

L.H. Morstin, *Kurier Warszawski 1910/72*

j.b., *Słowo Polskie 1910/216*

W. Mielżyńska, *Dziennik Poznańsk. 1924–269 „Tajemnica długiego i krótkiego życia"*

E. Czekalski, *Sfinks 1911/t.I*

Z. Dębicki, *Kurier Warszawski 1911/198*

(...) Nowele – fantazje, Tygodnik Ilustrowany 1911/17 „Wesoły marszałek" „Triumf żółtych"

Świat 1922/49

Wiadomości Literackie 1927/22

Kurier Polski 1927/I

BALIŃSKI STANISŁAW (1899–)

Poeta i nowelista

Syn poety Ignacego Balińskiego i Marii z Chomętowskich, prawnuk Jędrzeja Śniadeckiego, urodzony w Warszawie, w roku 1899. Pochodzi z rodziny ziemiańskiej. Ukończył studia muzyczne, teoretyczne i kompozycyjne w Wyższej Szkole Muzycznej w Warszawie. Na Uniwersytecie Warszawskim studiował przez dwa lata prawo i polonistykę. Debiutował w roku 1922 w „Kurierze Polskim". Od 1922 roku pracował w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. W latach 1924–1925 przebywał w Brazylii. W latach 1925–1927 był attaché poselstwa w Teheranie, od 1928 do 1933 – wicekonsulem w Mandżurii, w Chinach. W 1934 roku pełnił funkcję kierownika referatu rumuńskiego w centrali MSZ. W latach 1935–1937 był sekretarzem, potem radcą poselstwa w Kopenhadze. Od 1939 do 1940 – Minister Informacji przy rządzie emigracyjnym w Paryżu. W latach 1940–1945: emigracyjny Minister Spraw Zagranicznych w Londynie. Mieszka w Anglii, członek angielskiego PEN – Clubu. W 1955 otrzymał nagrodę Instytutu Polskiego w Wielkiej Brytanii za całokształt twórczości literackiej.

W latach międzywojennych Baliński był pisarzem luźno związanym z grupą literacką „Skamander". W roku 1922 opublikował tom wierszy „Musujący poranek", w roku 1941 w Londynie – „Wielką podróż": wiersze przesiąknięte subtelną, romantyczną nostalgią przeszłości.

W roku 1924 Baliński ogłosił drukiem „Miasto Księżyców" (Biblioteka Dzieł Wyborowych, Warszawa 1924) – zbiór nowel wydawanych pierwotnie na łamach czasopisma literackiego „Skamander" w latach 1921–1923. Zdaniem autora wstępu – S. Lama – był to „najbardziej udany tomik tego autora". Tytułowa opowieść zbioru jest historią eksperymentu profesora Jana Laukena, poety, który wynajduje eliksir dający możliwość zerwania kontaktu ze światem zewnętrznym, „przeniesienia świadomości poza granice sensu, do innego świata, którym rządzą prawa miłości, szczęścia, bezgranicznej, nieskończonej radości".

„Baliński, jak profesor Lauken ponad wszystko pragnie urzeczywistnić najbardziej niebezpieczne marzenia każdego poety – ożywić treść wyobraźni" – pisał Stefan Napierski, jeden z pierwszych recenzentów „Miasta Księżyców". „Po wypiciu księżycowego płynu następuje przemiana w poezję, fantastykę, na pograniczu wspaniałego i straszliwego absurdu, złych snów, nieokreśloności, fantasmagorii".

Opowiadanie „Lustro" z tego tomu zostaje podporządkowane fatalistycznej koncepcji życia, zagadkom ontologii i poznania. Nie ustępuje mu „Koniec rodziny Jasnych", utwór rozgrywający się w scenerii starego, tajemniczego dworku, w gronie postaci, które okazują się zjawami z „tamtego brzegu, innego świata".

„Bohaterowie nowel Balińskiego" – zauważa Z. Dębicki – „z życiem nie mają nic wspólnego, bo nie są z ciała, ani z krwi, lecz z delikatnej pajęczyny marzenia. Przechodzą obok nas, lecz mijają nas, jak cienie na ekranie, pozostawiając po sobie coś nieuchwytnego..."

Twórczość Stanisława Balińskiego nawiązuje w pewnym sensie do nowelistyki (→) Stefana Grabińskiego. Wspólny jest tu krąg zainteresowań – podejmowanie niezaspokojonych pytań poznawczych i egzystencjalnych, refleksja nad zagadkami ludzkiej osobowości. Poetyckie etiudy Balińskiego, splatające motywy jawy i snu, operujące stylizacją i techniką zestawień eliptycznych lokują się na pograniczu pytań o zasięgu metafizycznym. Tradycje tego ujęcia sięgają Romantyzmu i romantycznych interpretacji zagadek średniowiecza. Fantastyka (podobnie jak u E.T.A. Hofmana, E.A. Poego, G. de Nervala, H. Balzaka, G. de Maupassanta, Ch. Baudelaire'a, Barbey de Aurevillego, Villiers de L'Isle – Adama) jest tu pełnoprawnym składnikiem kreowanego świata.

BIBLIOGRAFIA

OGÓLNA:

Nowy Korbut. *Bibliografia literatury polskiej t.13*

Literatura polska lat 1918–1932 tom I, oprac. A. Brodzka, H. Zaworska, S. Żółkiewski, Warszawa 1975

RECENZJE WYBRANE:

„Miasto Księżyców"

Z. Dębicki, *Kurier Warszawski 1924/199*

J. Lorentowicz, *Ekspres Poranny 1924/186*

S. Napierski, *Wiadomości Literackie 1924/37*

S. Podhorska – Okołów, *Bluszcz 1925/18*

Stanisław Baliński

Miasto Księżyców

Fragmenty

Biblioteka Dzieł Wyborowych, tom 65, red. S. Lam, Warszawa 1924, ss. 9–31

Naczelnik policji w Billings nad Yellowstone w Stanach Zjednoczonych wydał rozkaz aresztowania profesora Jana Laukena, zamieszkałego w Hearten, tak zwanej wsi-ogrodzie, odległej o półtora kilometra od Billings.

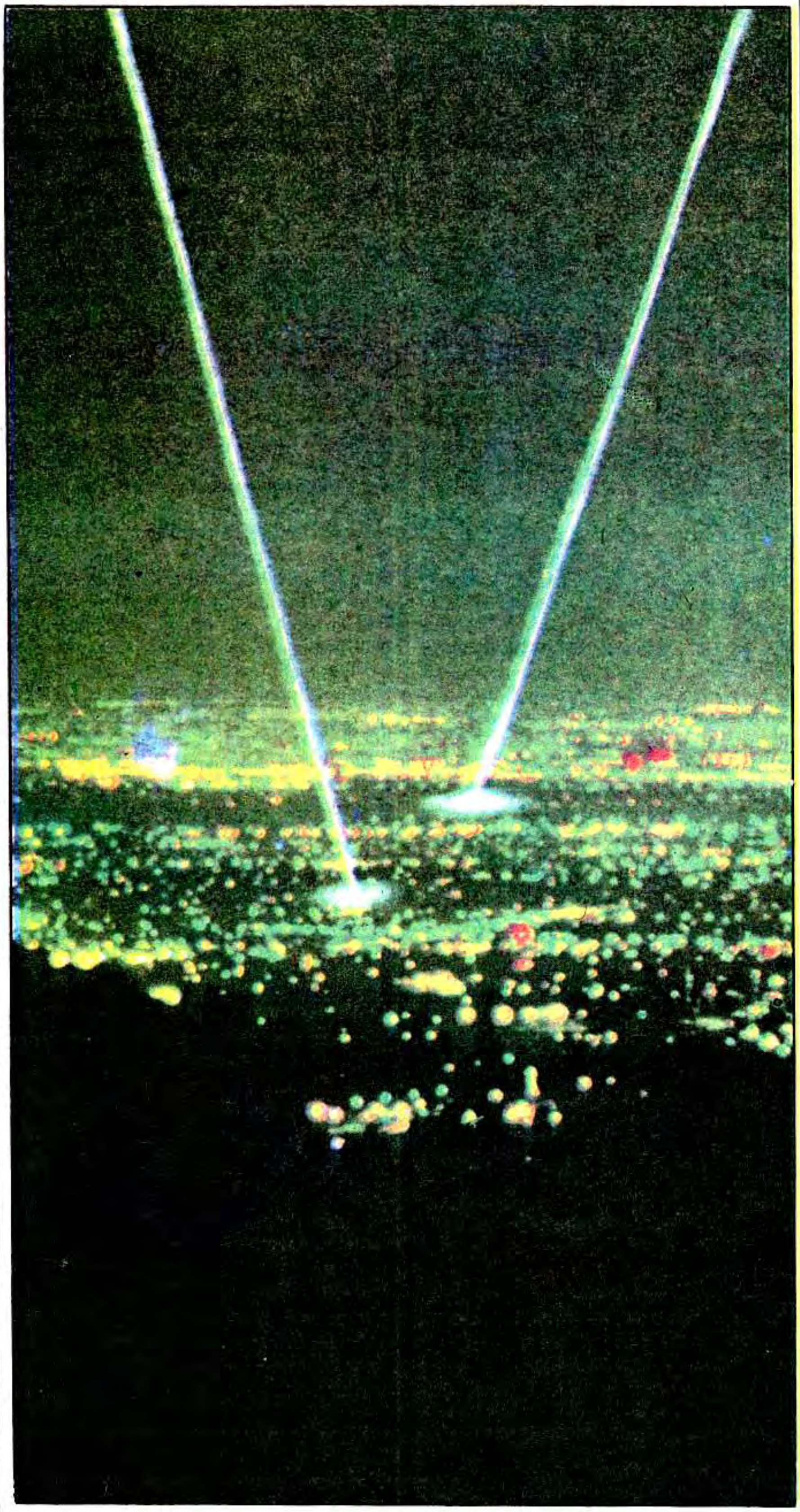
Profesor Lauken w pełni sił rzucił katedrę chemii na uniwersytecie w Harwich i przeniósł się do własnej rezydencji w Hearten nad Yellowstone. Miał dość rozległe lecz oficjalne stosunki w Billings i okolicy; mówiło się, że pracuje nad urzeczywistnieniem najbardziej szalonych teorii (pamiętano jeszcze jego młodzieńcze dzieło o „Istocie rzeczywistości", które nazywano traktatem poetycznym), ale nikt nic konkretnego powiedzieć o jego pracach nie umiał. Zwracał uwagę zawsze uśmiechniętą linią ust i tym wdziękiem zupełnie młodzieńczym, którym tak zachwycają się panie w przedjesiennej epoce życia.

I oto stał się bohaterem sensacyjnej od paru dni sprawy księżycowej: wydano rozkaz uwięzienia go, oskarżając o rzekome wymuszanie ofiar dla zbrodniczych eksperymentów. Sprawa, zdaniem komisarza policji, musiała być wyjaśniona niezwłocznie: depeszowano do sławnego profesora Ernesta Glaessa w Bostonie, wzywając go jako eksperta.

Dotychczas nikt właściwie na pewno nie wiedział na czym polega istota owej księżycowej przemiany (czy wynalazku), nikt nie mógł dowieść konkretnie, czy Lauken jest jego twórcą i czy on właśnie stosuje go w praktyce, skoro owi ludzie – rzekome ofiary profesora – zaklęci od paru dni w księżyc zatracają wszelką zdolność porozumiewania się ze światem rzeczywistym i ożywają życiem nieznanym tylko nocami.

Wszystkie pozory świadczyły przeciwko niemu. Pomijając już cały aparat dziwnego i samotnego życia (dom ustronny w głębi ogrodu, dziwaczne i tajemnicze akcesoria studiów), przypominano sobie dokładnie szereg faktów, które w swoim czasie wprowadzały w zdumienie, teraz jednak mogły rzucić trochę światła na zagadkową sprawę.

Tak więc parę miesięcy temu państwo James, wracając autem z Chilstern do Billings w piękny księżycowy wieczór, spostrzegli prawie z przerażeniem, że wszystkie promienie księżycowe jak gdyby skupiły się razem



i szły ogromną smugą, zatrzymując się tylko na jednym punkcie. Tym punktem mógł być jeden z domów wsi Hearten, którą widać było na horyzoncie. Kiedy przejeżdżali przez Hearten, na skręcie do Billings, skąd widać było wyraźnie fasadę domu profesora, uderzyło ich w twarz niezmiernie mocne światło.
W otwartym oknie frontowym ujrzeli sylwetkę profesora z ogromnym lustrem w ręku: wszystkie linie księżycowych promieni skupiały się w owym lustrze, niby w ogromnej soczewce i buchały mocnym, srebrnym światłem.
Pani James określiła to: światłem dnia nierzeczywistego.
Innym razem uczniowie szkoły technicznej spieszyli bardzo zapóźnieni z wycieczki na wzgórza Big Horn i, przechodząc parami koło posiadłości profesora, dostrzegli go znowu w oknie: w ręku trzymał niby ogromną kulę, wezbraną światłem.
Tu mowa była o reflektorach, i tylko jeden marzący chłopiec zwrócił uwagę „na ów nieuchwytny most promieni" – jak się wyraził – „pomiędzy księżycem a ową srebrną kulą czy lustrem".

Mówiono o profesorze, że musi być obłąkany, że ma konszachty z nierozumną sztuką magii, z hipnotyzmem; nazywano go szarlatanem, szaleńcem, zbrodniarzem...
A nikt nie zwrócił uwagi, nikt nie powiedział nigdy, że „Jan Lauken jest poetą".
(...) Przypadek, traf odkrył mu kiedyś działanie skroplonych promieni słońca załamanych przez księżyc. Doświadczenie zgadzało się najzupełniej z teorią, którą wysnuł przedtem. Nazwał to bezwiednie: przemianą w poezję.
Ci przemienieni musieli być pozornie bliżsi nieskończoności: ich życie trwać musiało dotąd, dopóki trwało działanie promieni księżycowych, skoro właśnie owe promienie księżyca stawały się ich jedynym pożywieniem: nierealne, o siłach nieodgadnionych – przenosiły świadomość poza wszelkie granice sensu na te płaszczyzny, gdzie panuje niepodzielnie ekstaza. W tej chwili ci wszyscy ludzie spali jeszcze i mieli srebrne twarze; po zachodzie słońca – ożyją życiem gwiazd i przestrzeni. Wirować będą w każdą noc, dalsi od nas i jaśniejsi, jak najpiękniejszy poemat.
Profesor Lauken pomyślał: urzeczywistnienie!
Nachylony nad uśmiechniętymi, radosnymi „księżycami o świcie", starał się czytać z każdej twarzy – pogodnej i nieruchomej...
(...) O zmierzchu rozpoczął się proces świetlny. Tłumy patrzyły już w górę: zdziwienie ma w sobie coś z najbardziej dalekich pieśni: tłum milcząc śpiewał.
A owi kawalerowie księżyca, owe pochylone snopy promienne wirowały radośnie i poważnie. Unosząc się w górę, stawały się coraz większe, coraz jaśniejsze, ogromne, błyszczały światłem coraz silniejszym, wciąż potężniejszym, wreszcie korowodem – niby olbrzymi meteor – linią ukośną, pochyłą, gdzieś między gęstymi chmurami znikły.
W miastach okolicznych zapanowało najwyższe zdumienie: obserwowali wszyscy: ogólnie mówiono: wędrowne planety, krążące w kształcie tancerzy.
I tylko dwie niepoważne osoby komentowały zjawisko jako rzecz najzwyklejszą w świecie. Dwoje dzieci, bardzo niegrzecznych, które nie chciały zasnąć, siedziało cichutko przy oknie, licząc gwiazdy. Gdy zobaczyły z daleka jaśniejący korowód księżyców, uśmiechnęły się z zadowoleniem:
– Otóż to: olbrzymy idą do pracy.
– Czy to ci sami, którzy nas straszą czasami, stukając nocą do okna? – spytał braciszek.
– Tak. Ale teraz wcale się ich nie boję.

(...) Nazajutrz, jednego z ostatnich dni maja, o godzinie dwudziestej, czterech uzbrojonych, osobliwie wyglądających policjantów, zajechało autem przed dom Jana Laukena.
Przeszli ogrodową aleją z wielką powagą.
Drzwi od domu naroścież otwarte...
Przechodzili amfiladą pustych pokoi.
Profesor siedział w ostatnim, narożnym salonie, w dużym fotelu przy otwartym oknie, z czołem opartym o kryształowy flakon, który stał przed nim na framudze okna i śpiewał jakąś cichą, zaledwie słyszalną melodię.
Przez długą chwilę słuchali nieruchomo...
I nagle profesor poruszył się, odsunął od siebie flakon, oparł się o poręcz fotela i zaczął się obracać twarzą do oczekujących policjantów – bardzo powoli... bardzo uważnie.
W tej chwili wszyscy czterej ujrzeli – wschodzący księżyc.

opracował:
Andrzej Niewiadowski

Zachować wiarę w człowieka...

„Najdonioślejsza funkcja fantastyki naukowej nie polega na przewidywaniu przyszłości, lecz jest taka sama, jak całej literatury: ukazywanie problemów współczesności w pełniejszym świetle, by łatwiej przychodziło je rozwiązywać" – pisał przed laty autor „Kosmicznych braci" w jednym z artykułów poświęconych twórczości science fiction. Najnowsza książka Krzysztofa Borunia zdaje się potwierdzać wagę powyższych spostrzeżeń. Powieść „Małe, zielone ludziki" wywodzi się, co prawda, z doświadczeń poetyki „cudownego wynalazku", ale daleko jej do fascynacji możliwościami twórczego przekształcania świata. Kategoria „prognozy" dotyczy raczej społecznych, psychologicznych konsekwencji już dokonanych odkryć i aktualnego rozwoju technologii. Nie chodzi tu bynajmniej o popularyzację nowych dziedzin wiedzy i wskazanie kierunków ekspansywnego wzrostu sił wytwórczych, istota sprawy polega na weryfikacji kryteriów zastosowania dorobku współczesnej nauki, ujawnieniu procesów prowadzących do katastrofalnych następstw w sferze gospodarki, kultury, polityki. „Cudowne antidotum" (środki psychotropowe) w rękach osób niezrównoważonych psychicznie, żądnych władzy, stosujących środki gwałtu i przemocy, domagających się, pod hasłem „powszechnej utopii", nieograniczonego prawa panowania nad światem – to broń potężna, mogąca zagrozić ludzkości w skali całej planety i wcale nie tak bardzo odległa, jeśli idzie o techniczne warunki jej realizacji. Rozważania nad konsekwencjami nieetycznego użycia wynalazku pojawiały się już na kartach wcześniejszych wypowiedzi K. Borunia (choćby w „Fabryce szczęścia" (1958), czy w „Progu nieśmiertelności" (1975), ale nigdy dotąd nie były podporządkowane tak szerokiej panoramie społeczno-politycznej, konfliktom i zmaganiom o charakterze ponadnarodowym. Drugi tom historii „Vortex" staje się właściwie alegoryczną przypowieścią o możliwych mechanizmach manipulowania strukturą osobowościową jednostki (rozmowa w forcie Knox). Tym samym jego ostrzeżenie ulega wielokrotnemu wzmocnieniu, przybiera na sile, niepokoi.

To jednak nie wszystko. Powieść Krzysztofa Borunia jest utworem znacznie bardziej złożonym, podejmującym drugi, bardzo chętnie realizowany motyw fantastyczno-naukowy: temat „kontaktu" z obcą cywilizacją. I tu znów należą się autorowi słowa uznania, ponieważ jego interpretacja wywodzi się z najbardziej interesujących osiągnięć gatunku – „Pikniku na skraju drogi" A. i B. Strugackich i „Robota" A. Wiśniewskiego-Snerga. Wątek „spotkania" zostaje skrzyżowany z problematyką „niezwykłego odkrycia", w gruncie rzeczy chodzi bowiem o sprawy całkiem podobne: kwestię sterowania ludzkim losem oraz skuteczność działania środków obronnych. Co istotniejsze, „Małe, zielone ludziki" bliskie są tym wszystkim tendencjom awangardowym, które poszukują nowych form wyrazu dla poetyki science fiction. Przejmujące, nieco surrealistyczne relacje z funkcjonowania anomalii biopola przywodzą na myśl eksperymentalną technikę obrazowania G. Ballarda i Ph. Dicka. W przeciwieństwie do wielu publikacji science fiction, utwór K. Borunia jest książką nie tylko sugestywną, przemawiającą do wyobraźni odbiorcy, ale przede wszystkim doskonale umotywowaną w sensie poznawczym, opierającą się skutecznie wszelkiego rodzaju testom na spójność w wydarzeniach i w ich racjonalnym wykładaniu. Autor zabiera głos w kwestii tak popularnej, jaką jest hipoteza istnienia Niezidentyfikowanych Obiektów Latających i trzeba przyznać, że potrafi narzucić czytelnikowi swój własny punkt widzenia. Jego propozycja, dopuszczająca myśl o naturalnym, przyrodniczym pochodzeniu zjawiska, nie wyklucza interwencji Istot Rozumnych (teoria powszechnego psychooddziaływania) i, co ważniejsze, rodzi się w ogniu dyskusji, nie operuje zatem jednoznaczną wykładnią interpretacyjną. Takie rozwiązanie należy do rzadkości w historii polskiej powojennej fantastyki naukowej i szczególnie trafnie określa charakter naszego poznania, które jest zawsze działaniem otwartym i finalnie niezdeterminowanym.

Motyw „kontaktu" zostaje przedstawiony na tle problematyki socjologicznej, kultu-

FANTASTYKA ZAPOWIADA

Głębie i mielizny oceanu niespokojnego

Kolejna książka Michała Markowskiego, przedstawiciela pokolenia „Nowej Fali SF" („Ożeniłem się z brzydką dziewczyną" Warszawa 1980), jest jedną z ciekawszych, jakie ostatnio recenzowałem. Rzadko się zdarza, ażeby powieść fantastyczno-naukowa odznaczała się takim stopniem komplikacji fabularnej. Pierwsza część „Oceanu niespokojnego" stanowi odmianę antyutopii przyszłościowej przestrzegającą przed wyborem fałszywego kierunku doskonalenia cywilizacyjnego. Społeczeństwo Markowskiego jest ubezwłasnowolnionym, chorym organizmem, poddanym surowym restrykcjom kulturowym. Rządy dyktatury stawiające na nieograniczony wyścig zbrojeń, nie umiejące zapobiec narastającej klęsce głodu i bezrobocia, jedyną drogę wyjścia widzą w dalszym wzmacnianiu totalitaryzmu, zaostrzaniu represji administracyjnych i propagowaniu takich metod kształcenia, które przeciwdziałają narastaniu tendencji indywidualistycznych, tłumią instynkt samozachowawczy i reakcje emocjonalne. Na tym tle obserwujemy sugestywną, przejmującą historię buntu dwojga ludzi wydających walkę szaleństwu stosunków personalnych, aberracjom myśli naukowej i wypaczeniom systemu edukacyjnego. Robert i Harriet skazani na kosmiczną banicję, zamknięci w pojeździe księżycowym zdążającym ku „Nowej Ziemi", usiłują kształtować swoje losy niezależnie od rygorystycznych, poniżających dyspozycji zwierzchników ingerujących w najbardziej intymną sferę życia osobistego. Cel ten zostaje częściowo osiągnięty. Bohaterowie dalekiego zwiadu zachowają względną niezależność, pozostając wierni ideałom swojej młodości. Ale długoletni Exodus kończy się zgodnie z przewidywaniami jego inicjatorów: Harriet i Robert nie doczekają momentu lądowania, ich przeznaczeniem jest urodzić syna, który zstąpi na nową Ziemię w ostatnim dniu wyprawy. Dziecko zostaje odebrane rodzicom i poddane „specjalnej" edukacji. Po trzydziestu latach młody bóg wojny, opętany żądzą władzy i niszczenia, nienawidzący swoich współbraci, przybiera imię Jezusa i w kosmicznej Arce wyrusza na spotkanie mieszkańców obcej planety.

Tak oto przedstawia się w ogromnym skrócie streszczenie pierwszej części powieści Michała Markowskiego. Nie oddaje ono, niestety, walorów literackich tekstu, do których należy przekonująca charakterystyka bohaterów oraz plastyczne zarysowanie konfliktów sytuacyjnych. Historia Roberta przypomina dzieje Starego Człowieka z trylogii Jerzego Żuławskiego. W obu tekstach mamy do czynienia ze zjawiskiem kosmicznego exodusu, które zapoczątkowuje pytanie o warunki narodzin ziemskich mitów i predyspozycji o charakterze religijnym.

Druga część książki, ujęta w ramy tradycyjnej narracji wszechwiedzącej, kontynuuje obserwację losów Jezusa wykorzystując schemat zaborczej „wyprawy inwazyjnej" rozszerzony o konwencję powieści kryminalnej oraz scientyficznej odmiany „cudownego wynalazku". Historia działalności Przybysza stanowi zasadniczą akcję utworu, niezmiernie sugestywną, obfitującą w różnego rodzaju zaskoczenia, unikającą zbędnych powtórzeń i retardacji, poprawnie rozkładającą akcenty napięcia i czytelniczego zainteresowania. Przede wszystkim jest to jednak opowieść o zmaganiu się Dobra ze Złem. Dobra, które nie ma w sobie nic z abstrakcyjnych dociekań filozoficznych oraz Zła, które jest realne i przerażające dzięki swej typowo ludzkiej proweniencji. Autor nawiązuje do problematyki pierwszej części utworu, podejmując kwestię sterowania ludzkim losem, ustalenia zakresu odpowiedzialności społecznej, realnej walki z siłami zagrażającymi codziennej egzystencji człowieka. Postawa samozwańczego boga wydaje się jednak zbyt schematyczna w przewrotnym dążeniu do totalnej negacji pierwowzoru. Markowski wykorzystuje w tym celu elementy stylizacji biblijnej (sylwetka Judasza, motyw walk o podłożu religijnym), ale

rowej. Opis zachowania grup społecznych, umieszczonych w poszczególnych sferach anomalii, należy do najciekawszych fragmentów powieści, a tym samym świadczy o skali uprawnień fantastyki naukowej, która, za pomocą naruszenia określonych parametrów rzeczywistości, może podejmować zagadnienia i tematy niedostępne innym gatunkom literackim. Żywa, pasjonująca akcja, obfitująca w liczne zwroty, niespodzianki i zaskoczenia, sprzyja porozumieniu z czytelnikiem, zainteresowaniu losami postaci działających.

Co prawda, wobec powieści Krzysztofa Borunia można wysunąć te same zarzuty, z którymi musi się liczyć większość tekstów scientyficznych, a zatem pewnego rodzaju rozbieżności sensacyjnego biegu wydarzeń oraz powagi sytuacji, jaka tym sposobem jest komunikowana. Perypetie akcyjne przesłaniają nierzadko perspektywę ustaleń ideologicznych (niektóre sceny wydają się przeszarżowane w dążeniu do natychmiastowego wywołania reakcji odbiorcy). Ale trzeba pamiętać, że wspomniana metoda prezentacji konfliktów fabularnych pozwala przyciągnąć uwagę czytelnika, jest zatem zjawiskiem pożądanym z punktu widzenia dydaktycznych uwarunkowań przekazu. Podobną funkcję pełni pierwszoosobowa narracja personalna dająca złudzenie subiektywnego ujęcia tematu, niepełności i fragmentaryczności uzyskiwanych informacji. Autor wychodzi obronną ręką z wielu pułapek konstrukcyjnych, nie dopuszczając do powstania jakiejkolwiek rysy w strukturze motywacyjnej utworu (konieczność rozszerzenia wyjaśnień uzasadnia ograniczoną zdolnością percepcji bohaterów (dr Quinta), błędy konkretyzacji wizualnej tłumaczy naiwnym spojrzeniem dziecka (wypowiedzi Alicji), podejrzenia o stworzenie sylwetki supermana oddala poprzez wskazanie na prawdopodobieństwo pomocy „z zewnątrz" (zadania Agni Radej). Tego rodzaju umiejętności są niesłychanie ważne w kreacji tekstów fantastyczno-naukowych i niewielu pisarzy może się nimi poszczycić.

Wedle wszelkich reguł prawdopodobieństwa powieść Krzysztofa Borunia wejdzie do grona utworów tworzących czołówkę polskiej, powojennej fantastyki naukowej. Mimo ogólnej wymowy faktów, nie pozostawiających złudzeń, co do intencji poszczególnych grup społecznych zaangażowanych w rozszyfrowywanie zagadek „antydyspozytorni", „Małe, zielone ludziki" dopuszczają ten sam rodzaj optymizmu, jaki pojawił się w „Pikniku na skraju drogi" A. i B. Strugackich, biorący się nie tyle z oczekiwania na interwencję Przybyszów czy regulacyjnych mechanizmów Natury, ile z udzielenia votum zaufania Człowiekowi, który w bezmiarze fałszywych ideologii potrafi odnaleźć drogę wiodącą ku rozumnej przyszłości.

Andrzej Niewiadowski

Krzysztof BORUŃ, *Małe, zielone ludziki*, t. 1–2, KAW, Katowice 1982.

obiera drogę stosunkowo najłatwiejszą przestawiając jedynie znaki wartościujące. Wyzwalając się spod wpływów jednej konwencji, dostaje się tym samym w zasięg działania drugiej. Jego Uzurpator jest postacią nazbyt alegoryczną, a sygnały stopniowych przeobrażeń psychiki bohatera nie są dość konsekwentnie zarysowane. Interpretacja mitu kulturowego nie wypada najlepiej, ponieważ zostaje sprowadzona do typowo apriorycznych supozycji narzuconych przez autora tekstu. W „Zwycięzcy" Jerzego Żuławskiego ocena działania Chrystusa dokonywała się post factum i była pochodną rozbieżnych postaw ideologicznych komentatorów. Markowski nie dopuszcza do jakiejkolwiek wieloznaczności: potępiającą charakterystykę poczynań Przybysza zastępuje konsekwentnie optymistycznym spojrzeniem w przyszłość (Jezus ginie, wyznawcy półksiężyca ponoszą klęskę, zabójczy bakcyl nienawiści zostaje zniszczony w zagładzie „Starej Ziemi").

Aczkolwiek kompozycja omawianego tekstu decyduje o jego niepodważalnych walorach literackich, również i w tej dziedzinie dają się odczuć pewne niedociągnięcia warsztatowe. Cała wypowiedź zostaje niejako zawieszona pomiędzy tonacją „serio" i „baśniową", a jest to między innymi konsekwencją dwupłaszczyznowości odniesień sytuacyjnych: bardziej rzeczowych w sferze konfliktów personalnych, lecz ewoluujących w kierunku przypowieści, jeśli chodzi o ideologiczną zawartość utworu. Symbolika baśniowa towarzyszy wielu istotnym wydarzeniom fabularnym. Taka odmiana baśni wywodzi się z mitologii powieści popularnej, gdzie złe uczynki zostają pomszczone, dobre – nagrodzone, kategoria przypadku funkcjonuje na zasadzie deus ex machina, a sama akcja ociera się o melodramat. Mam również zastrzeżenia w kwestii przebiegu wybranych partii dialogowych, które wypadają zbyt schematycznie wobec zawartości, jaką komunikują (rozmowy Tesarriego z Harriet i Robertem, generała z Jezusem).

Zsumowanie powyższych uchybień konstrukcyjnych mogłoby prowadzić do wniosku, iż ocena postawiona we wstępie recenzji nie jest uzasadniona. Niezaprzeczalne wartości poznawcze tekstu, jego szeroka skala oddziaływania emocjonalnego uprawniają jednakże do stwierdzenia, że „Ocean niespokojny" Michała Markowskiego znajdzie swoich zwolenników.

A.N.

Michał MARKOWSKI, *Ocean niespokojny*, KAW, Warszawa 1982.

Ponadto wydawcy zapowiadają:

- Aldiss B.W. – Cieplarnia „Iskry" 15 ark., 50 000 egz.
- Ballard J.G. – Ogród czasu WL 19 ark., 20 000 egz.
- Oramus M. – Senni zwycięzcy „Czytelnik" 14 ark., 30 000 egz.
- Vonnegut K. – Syreny z Tytana „Czytelnik" 14 ark., 30 000 egz.

KOSMOS ZACZYNA SIĘ NA ZIEMI

Era energetyki jądrowej...

rozpoczęła się na Ziemi w roku 1954 z dniem uruchomienia w Obninsku (ZSRR) pierwszej na świecie elektrowni jądrowej o mocy 5 megawatów. Do połowy roku 1979 w dwudziestu dwóch krajach uruchomiono 240 reaktorów o łącznej mocy 130 000 megawatów. W trakcie budowy znajdowało się wtedy 220 kolejnych reaktorów energetycznych, zaś w stadium projektów 130.

Q...

to stosowana przez energetyków jednostka równa trzystu bilionom kWh. Ocenia się, iż około roku 2000 globalne zapotrzebowanie energetyczne Ziemi wyniesie 0,5 Q. Czy w związku z tym grozi nam głód energetyczny? Eksperci-optymiści zapewniają, że choć zapasy ropy wyczerpią się już na początku przyszłego wieku, to węgla powinno nam wystarczyć na jeszcze kilkaset lat. Zasoby uranu i toru dają możliwość dalszej produkcji energii, co – według owych ekspertów – chwilę energetycznego kryzysu odsuwa od nas o całe wieki. Czyżby więc tylko z nadmiaru ostrożności prowadzi się coraz intensywniejsze prace nad użytkowaniem energii Słońca, wiatru i wody, próbuje się tworzyć nowe ogniwa bio- i elektrochemiczne? Wydaje się, iż rację mają ci eksperci, którzy faktu istnienia zasobów energetycznych nie przeceniają. Nie wystarczy bowiem fakt posiadania określonych bogactw – równie ważny jest sposób, w jaki się z tych bogactw korzysta.

Konkurent Darwina i Dänikena...

belgijski antropolog Jean-Paul Hallet w swojej książce „Pigmy Kitabu" wysuwa tezę, iż rzeczywistymi przodkami całej ludzkości są... Pigmeje afrykańscy. Na poparcie swego rewelacyjnego przypuszczenia cytuje stare opowieści i legendy plemienia Efe. Według Halleta są one zadziwiająco zbieżne z kultem Ozyrysa, bogini Izis i dziewicy-matki, zawierają również mit o niezwykłych narodzinach pierwszego człowieka, jego śmierci, cudownym zmartwychwstaniu i wniebowstąpieniu. W legendach Pigmejów Efe zawarty jest także motyw kataklizmu kosmicznego, w wyniku którego Pigmeje wejdą w przyszłości do rodziny narodów cywilizowanych.

Miłośnicy SF zapewne pamiętają wydaną przez Wydawnictwo Literackie w roku 1977 książkę „Rękopis z Amalfi" Marka Baterowicza. Przy wszystkich swoich zaletach „Rękopis z Amalfi" ma tę samą wadę, co teoria zawarta w „Pigmy Kitabu". Żadna

z tych książek nie wyjaśnia, skąd wzięli się Pigmeje.

Sterowanie ewolucją...

to temat równie drażliwy, jak sterowanie społeczeństwem. Przekonał się o tym profesor William Shockley – twórca tranzystora warstwowego i laureat nagrody Nobla w roku 1956. Usiłował on propagować ideę tworzenia „banków plemników", pobieranych od ludzi o wysokim ilorazie inteligencji (taki „bank geniuszy" powstał w Kalifornii) po to, by przyszłe pokolenia uchronić przed skarłowaceniem. Studenci Uniwersytetu w Princeton uznali Shockleya za niemoralnego głupca, nie pozwalając mu na dokończenie wykładu. Oczywiście, dokonali tego w imię wyższych wartości etycznych. Niestety, wcale nie ma gwarancji, że jedną z owych wyższych wartości nie było ich prywatne prawo do niekontrolowanego rozrodu.

Układ Słoneczny...

składa się nie tylko ze Słońca, Wenus, Marsa i Ziemi, jak można byłoby wnioskować z lektury większości książek SF. Co więcej – planety naszego układu zazwyczaj wyglądają trochę inaczej niż prezentowane czytelnikom fantastyczno-naukowe wizje. Na przykład na Marsie odkryto wulkan o kraterze mającym ponad 500 kilometrów średnicy. Ze zdjęć wykonanych przez „Voyagera 1" i „Voyagera 2" naukowcy dowiedzieli się o wybuchach wulkanicznych na jednym z satelitów Jowisza. Słup wybuchających gazów wzniósł się na wysokość 270 km. Ponadto „Voyager 2" przekazał na Ziemię sporo informacji o najbliższym otoczeniu Saturna – drugiej co do wielkości planety Układu Słonecznego. Stwierdzono, iż Saturn otoczony jest gazowymi obłokami złożonymi z silnie najonizowanych cząstek. Panuje tam temperatura dochodząca do trzystu i nawet pięciuset milionów stopni. To „gazowe piekło" jest jednak tak rozrzedzone, że nie okazało się groźne dla międzyplanetarnej sondy.

Podbój kosmosu...

to bardzo wiele żmudnych prac przygotowawczych i trochę zadziwiających odkryć. Metalurg Buehler z amerykańskiego laboratorium uzbrojenia marynarki wojennej odkrył dotychczas nieznaną właściwość stopów niklu z tytatem i kobaltu z tytanem. Stopy te kształtuje się w odpowiednio dobranej temperaturze („zapamiętywanie" kształtu). Po jej obniżeniu przedmioty wykonane z tych stopów można dowolnie odkształcać. Po dostarczeniu ich na miejsce przeznaczenia – bez względu na to, czy będzie to przestrzeń kosmiczna czy głębiny oceanów – oraz po podgrzaniu do określonej temperatury przedmioty te samoczynnie przybierają „zapamiętany" kształt.

SME...

to amerykański satelita geofizyczny Solar Mesospheric Explorer, który od kilku miesięcy krąży po okołoziemskiej orbicie. Przeznaczono go do badań zjawisk zachodzących w górnych warstwach ziemskiej atmosfery pod wpływem działalności Słońca. Program satelity przewiduje badania warstwy ozonowej dookoła Ziemi, szczególnie w strefie intensywnego promieniowania ultrafioletowego. Celowość badań Ziemi z Kosmosu potwierdza eksperyment „Ziemia" prowadzony przez kosmonautów na pokładzie „Saluta 6". Niewielka seria zdjęć kosmicznych dostarcza tak ogromnych ilości materiału oceanograficznego, że aby go uzyskać tradycyjnymi metodami trzeba byłoby zaangażować na kilkanaście lat ogromną flotę statków badawczych.

Cały świat,..

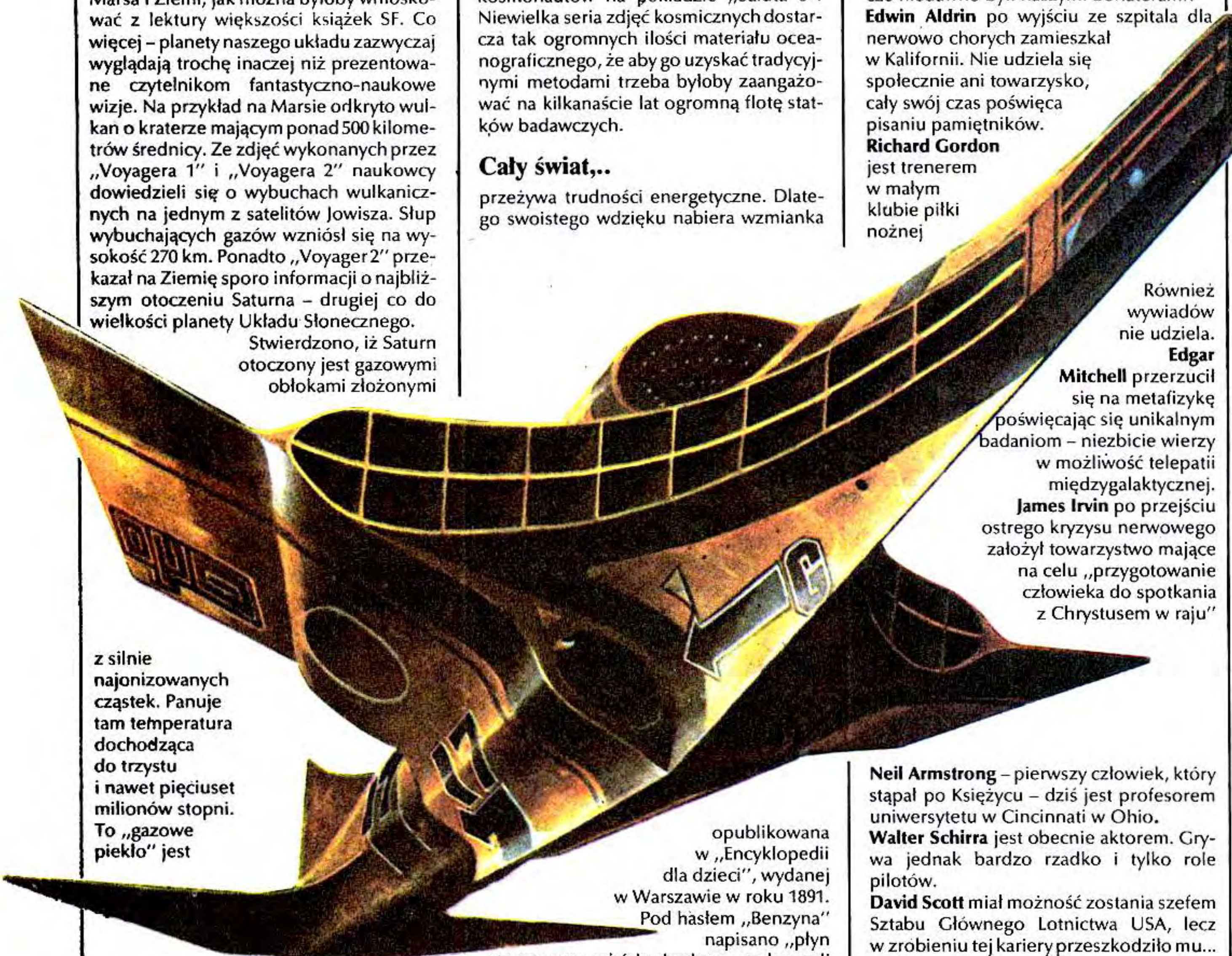
przeżywa trudności energetyczne. Dlatego swoistego wdzięku nabiera wzmianka opublikowana w „Encyklopedii dla dzieci", wydanej w Warszawie w roku 1891. Pod hasłem „Benzyna" napisano „płyn otrzymywany w fabrykach ze smoły węgli kamiennych, służący głównie do wywabiania plam".

Choroby i cudowne białko.

W krajach trzeciego świata bardzo często – i zgodnie z prawdą – jako bezpośrednią przyczynę zgonów podaje się zapalenie płuc czy dziecięcą odrę. Najczęściej jednak te choroby zaczynają się od innych objawów – łuszczącej się skóry, kruchych włosów o rudawym odcieniu i rozdętego żołądka. Z ratunkiem przychodzi technika. Dzięki niej już obecnie z białka soi wzbogaconego w aminokwasy i witaminy produkuje się „sztuczne mięso", zaś mleko „Vitasoy" (bardzo popularne w Japonii, krajach Dalekiego Wschodu i USA) przy pełnej zawartości składników mleka krowiego jest dwukrotnie tańsze!
Tym samym wyprzedzono prognozy ekspertów z amerykańskiego zrzeszenia Rand Corporation, którzy w roku 1964 opłacalną produkcję sztucznej żywności przewidywali na rok 1990. Ci sami eksperci przewidują, że około roku 2050 rozpoczną się: eksploatacja bogactw naturalnych innych planet naszego układu, regularna wymiana handlowa i komunikacja z kolonią na Księżycu, oraz pierwsze pozaziemskie uprawy.

Powrót z gwiazd...

to nie tylko ponowne postawienie stóp na Ziemi. Wymaga odporności psychicznej równie wielkiej, jak opuszczenie naszej planety. Co dziś robią ludzie, którzy jeszcze niedawno byli naszymi bohaterami?
Edwin Aldrin po wyjściu ze szpitala dla nerwowo chorych zamieszkał w Kalifornii. Nie udziela się społecznie ani towarzysko, cały swój czas poświęca pisaniu pamiętników.
Richard Gordon jest trenerem w małym klubie piłki nożnej. Również wywiadów nie udziela.
Edgar Mitchell przerzucił się na metafizykę poświęcając się unikalnym badaniom – niezbicie wierzy w możliwość telepatii międzygalaktycznej.
James Irvin po przejściu ostrego kryzysu nerwowego założył towarzystwo mające na celu „przygotowanie człowieka do spotkania z Chrystusem w raju"
Neil Armstrong – pierwszy człowiek, który stąpał po Księżycu – dziś jest profesorem uniwersytetu w Cincinnati w Ohio.
Walter Schirra jest obecnie aktorem. Grywa jednak bardzo rzadko i tylko role pilotów.
David Scott miał możność zostania szefem Sztabu Głównego Lotnictwa USA, lecz w zrobieniu tej kariery przeszkodziło mu... 7000 dolarów. Oczywiście mowa tu o dolarach zarobionych przez niego za „księżycowe znaczki pocztowe".
Allen Shepard okazał się wyjątkowo odporny psychicznie, pozostał szefem astronautów w służbie czynnej. W ciągu kilku lat na jego koncie bankowym przybyło 8 zer na końcu.



NASZA LISTA BESTSELLERÓW

Zadaniem pisma literackiego przeznaczonego dla szerokich rzesz odbiorców jest nie tylko prezentacja określonych zjawisk literackich i ich komentarz, ale również pewna próba wartościowania. Owo wartościowanie może mieć kilka oblicz – poważnej, naukowej krytyki poszczególnych dzieł, subiektywnych spojrzeń krytyków wywodzących się z różnych szkół i charakteryzujących się różnymi gustami, wreszcie dyskusji czytelników, którzy wybierają, również subiektywnie, najbardziej odpowiadające im książki, najbardziej lubianych pisarzy, najodpowiedniejszy dla siebie kierunek i styl literacki.
Ponieważ jednak za jedno z podstawowych zadań naszego pisma uważamy dyskusję nad kształtem prezentowanej polskiemu czytelnikowi literatury SF postanowiliśmy spróbować owe rozbieżne oceny ze sobą konfrontować. Służy temu, postulowana od dawna przez przedstawicieli polskiego ruchu miłośników fantastyki i pisarzy, stała „lista bestsellerów fantastyki". Tworzyć będziemy ją wspólnie. Począwszy od przyszłego roku w każdym numerze prezentować będziemy dwie „klasyfikacje" dostępnych na rynku książek. Pierwszą układać będziemy na podstawie głosów czytelników. Suma oddanych na każdą pozycję głosów decydować będzie o pozycji tytułu na liście. Drugą „klasyfikację" tworzyć będą współpracujący z pismem krytycy. Sąsiedztwo obu kolumn powinno nas zbliżyć do owego wymarzonego złotego środka w ocenie.
Ze względu na cykl produkcyjny, pierwszych głosów czytelniczych spodziewać się możemy dopiero w listopadzie, pierwsze listy tworzymy sami w wyniku redakcyjnych dyskusji i głosowania. Pod uwagę bierzemy książki, które na rynku księgarskim ukazały się po 1 stycznia 1982, i które dotarły do redakcji najpóźniej 30 lipca, a więc w dniu zamknięcia numeru. Klasyfikacja dotyczy zarówno książek nowych jak i wznowień, gdyż tym sposobem mamy wszyscy możliwość uświadomienia sobie roli poszczególnych książek w polskim świecie SF.
Dziesięć tytułów sklasyfikowanych w tabeli to utwory, które uzyskały najwięcej głosów. Punktów na razie nie podajemy, bo nie o nie, a o pozycję książki w naszym odczuciu chodzi. Utwory wymienione poza tabelą to te, które w danym momencie uzyskały najmniej głosów, co nie znaczy jednak, że jak na każdej prawdziwej liście przebojów nie mogą następować nawet bardzo istotne zmiany w ich pozycjach. W rubryce „nowości" podawać będziemy każdorazowo pozycje, które wchodzą w zakres naszego wspólnego zainteresowania. To jak długo dana książka utrzyma się na liście zależy już więc tylko od Was. Życzymy Wam i sobie wspaniałej zabawy. Czekamy na listy. Mamy też nadzieję, że owa „lista bestsellerów" będzie również dla autorów bodźcem do tworzenia coraz ciekawszych i lepszych artystycznie książek.

1.	Stanisław Lem	**SOLARIS**	Iskry
2.	Philip K. Dick	**SŁONECZNA LOTERIA**	Czytelnik
3.	Antologia	**SPOTKANIE W PRZESTWORZACH** t. 1 i 2	KAW
4.	Harry Harrison	**PLANETA ŚMIERCI**	Czytelnik
5.	Stanisław Lem	**NIEZWYCIĘŻONY**	Iskry
6.	Maciej Parowski	**TWARZĄ KU ZIEMI**	Czytelnik
7.	Andrzej Krzepkowski	**ŚPIEW KRYSZTAŁU**	Wyd. Lubelskie
8.	Stefan Wul	**REMEDIUM**	KAW
9.	Janusz A. Zajdel	**OGON DIABŁA**	KAW
10.	Andrzej Krzepkowski	**KREKS**	KAW
–	Kate Williams	**GDZIE DAWNIEJ ŚPIEWAŁ PTAK**	Czytelnik
–	Andrzej Mercik	**MGŁA**	Wyd. Literackie
–	Jacek Sawaszkiewicz	**KRONIKA AKASZY 2**	Wyd. Poznańskie
–	Mirosław Jabłoński	**KRYPTONIM „PSIMA"**	Iskry
–	E. Szymańska A. Szarłat	**BOGOWIE NASZEJ PLANETY**	KAW
–	Ryszard Głowacki	**RAPORT Z REZERWATU**	KAW

2. Trzecia, po „Ubiku" i „Panu z wysokiego zamku" wydana w Polsce powieść zmarłego na początku bieżącego roku znanego amerykańskiego autora, jednego z koryfeuszy gatunku. Jak zwykle u Dicka pełna niespodzianek i niezwykłych rozwiązań akcja prowadzi czytelnika w daleki od potocznych przewidywań świat XXIII wieku, w którym toczy się walka o władzę i... o poglądy.
Philip K. Dick „Słoneczna loteria" (tłumaczył J. Zieliński), Czytelnik 1981, cena 50 zł.
3. Dwa pierwsze tomy zapowiedzianej jako almanach antologii młodej polskiej science fiction zawierające utwory dwudziestu pięciu autorów debiutujących w latach 1976–1979, w większości związanych z działającym w latach 1976–1981 Ogólnopolskim Klubem Fantastyki i Science Fiction. Spore bogactwo pomysłów, dużo dobrych literacko opracowań, szeroki wachlarz stylów. Pierwsza w Polsce tak bogata propozycja spojrzenia na rodzącą się nową fantastykę.
„Spotkanie w przestworzach" t 1 i 2, antologia młodych 1979, wybór i opracowanie A. Wójcik, KAW 1982, cena t. 1 – 55 zł, t. 2 – 60 zł.
4. Pierwszy w naszym universum science fiction tom znanego irlandzkiego pisarza amerykańskiego pochodzenia, autora kilkudziesięciu bardzo w świecie poczytnych książek. „Planeta śmierci", napisana w 1960 roku jest pierwszym tomem trylogii opowiadającej o przygodach międzyplanetarnego szulera Jasona dinAlta, którego niezwykłe przygody rzucają na niebezpieczne dla ludzi planety, gdzie o życie trzeba walczyć wszystkimi możliwymi sposobami.
Harry Harrison „Planeta śmierci" (tłumaczył Wacław Niepokólczycki), Czytelnik, Warszawa 1982, cena 60 zł.
6. Powieściowy debiut w dziedzinie science fiction próbującego swych sił w krótkich formach od 1970 roku dziennikarza. Wyrosła w atmosferze końca lat siedemdziesiątych opowieść o poszukującym i walczącym o prawdę bohaterze, który przypadkowo odkrywszy prawa rządzące jego społeczeństwem w imię własnego luksusu staje się konformistą.
Maciej Parowski „Twarzą ku ziemi". Czytelnik 1981, cena 55 zł.
7. Trzecia książka debiutującego w 1976 roku młodego warszawskiego autora, który mimo bardzo rozbieżnych opinii panujących o jego twórczości w kraju poszczycić się może kilkoma znaczącymi przekładami swojej twórczości, między innymi na bardzo opornie przyjmujący naszą fantastykę (z wyjątkiem Lema) rynek RFN. Przewrotna opowieść, stanowiąca swoisty pastisz „Powrotu z gwiazd" Stanisława Lema, choć miejscami jeszcze nie do końca przemyślana artystycznie, z pewnością świadczy o dużych twórczych możliwościach autora.
Andrzej Krzepkowski „Śpiew kryształu", Wydawnictwo Lubelskie 1982, cena 40 zł.
8. Coś dla zwolenników niezbyt dotąd u nas popularnej „space opera". Tajny agent policji przybywa na planetę pokracznych cepodów, aby rozwikłać zagadkę tajemniczych zniknięć gospodarzących w najlepsze na nie swojej ziemi ludzi. Jedna z kilkunastu książek (pierwsza w Polsce) popularnego we Francji, ciągle wznawianego „niedzielnego pisarza" Stefana Wula, który w krótkim okresie ośmiu lat spłodził cały swój dorobek i przestał interesować się pisarstwem.
Stefan Wul „Remedium" (tłumaczył Andrzej Pruszyński), KAW 1982, cena 40 zł.
9. Kolejny zbiór opowiadań znanego pisarza debiutującego w latach sześćdziesiątych. Filozoficzna refleksja, żart, uwaga o niezmiennej ludzkiej naturze, paradänikenowska hipoteza powstania piramid, cybernetyczna opowieść Chrystusa – trudno to sprowadzić do wspólnego mianownika. Istnieje jednak motyw wspólny – nigdy tak do końca nie wiadomo kto kogo obserwuje...
Janusz A. Zajdel „Ogon Diabła" KAW 1982, cena 48 zł.
10. Jeśli nawet będzie to burza w szklance wody to i tak będzie to pierwsza od dłuższego czasu burza wokół polskiej science fiction. Przed czterema laty znany polski teoretyk science fiction – Ryszard Handke zwrócił uwagę na swoisty dziwoląg budowy utworów SF: „Są to utwory o przyszłości opowiedziane przez dzisiejszych twórców, ale z przyjęciem perspektywy czasu przeszłego. Prawdziwa science fiction powinna wyglądać całkiem inaczej." Uczestniczący w dyskusji młody autor wziął to sobie widać do serca, gdyż otrzymaliśmy pierwszą rodzimą, a być może i jedną z pierwszych w świecie powieść SF, której narrator antycypuje przyszłe wypadki, które go spotkają. Coś na kształt szalonego jasnowidza, gdyż i przygody przewidywane są zarówno szalone jak i podobne sennym majakom.
Andrzej Krzepkowski „Kreks", KAW 1982, cena 45 zł.

MIŁE ZŁEGO POCZĄTKI?

mówi red. EWA TROSZCZYŃSKA, kierownik redakcji popularnonaukowej IW „Nasza Księgarnia"

– Osiem lat temu Nasza Księgarnia wydała pierwszy tomik opowiadań SF z serii „Stało się jutro". Ukazały się już 22 tomiki. Kilku polskich autorów, dla których były debiutami, jest dziś uznanymi twórcami gatunku. Jakie były założenia serii? Co z tych założeń się ostało?

– Zmieniło się wiele. Kiedy zaczynaliśmy, fantastyka nie była w Polsce popularnym – jak dzisiaj – gatunkiem. Istniały wówczas tylko dwie fantastyczne serie Iskier: antologia „Kroki w nieznane" p. Jęczmyka i tomiki „Fantastyki-Przygody". Młodzież dopiero zaczynała się interesować fantastyką, a ponieważ nam również wydawała się ona godną spopularyzowania odmianą literatury, już w roku 1969 zaczęliśmy przygotowywać koncepcję serii. W założeniach miała ona prezentować młodemu czytelnikowi polską SF. Na pierwsze trzy tomiki złożyły się najlepsze opowiadania wybrane z numerów „Młodego Technika". Pierwotna koncepcja polegała bowiem na tym, by wydawać tomiki tematyczne z opowiadaniami różnych autorów. Niestety, częściowo została ona złamana w wyniku środowiskowych nacisków. Światek literacki potrafi być nieubłagany. Tylko młodzi autorzy piszą z czystej literackiej miłości i nie myślą o pieniądzach. Potem, jak uczy doświadczenie, z młodości się wyrasta.

– To oczywiście nie jedyny powód, że koncepcja serii się załamała, albo powiedzmy inaczej – nie wypaliła od razu.

Założenia były takie, by drukować 4 tomy w roku, ale w latach 1976–78 nie było tylu dobrych opowiadań młodych polskich autorów. W każdym razie nie docierały one do naszego wydawnictwa. Dostawaliśmy natomiast stosy niedobrych tekstów. Młodzi ludzie brali się za wymyślanie tematów, o których nie mieli pojęcia, mnożyli standardowe wątki w sposób nie mający nic wspólnego nie tylko z nauką i fantazją, ale i literaturą. Nie znali praw, którymi rządzi się literatura, nie mieli pojęcia o konstruowaniu opowiadania. Nie było w tym ani iskry literackiego talentu, ani oryginalnego pomysłu, który warto szlifować. Nic!

– Społeczno-literackie założenia serii już znamy – miała lansować młodych autorów, ośmielać ich, ułatwiać debiut. Jakie kryteria literackie przyświecały pani jako selekcjonerowi serii?

Na pewno na kształcie tomików „Stało się jutro" zaciążył mój gust literacki. Mało mianowicie obchodzą mnie powielane w setkach standardowych utworów, wymyślane na siłę obce planety i wielopalczaste stwory z mackami. Znacznie bardziej interesuje mnie człowiek, którego psychika zmienia się w dziejach niewiele. Człowiek poddany różnym cywilizacyjnym stresom. Człowiek sprawdzający się w konflikcie z nieznanym, z przerostem techniki. Człowiek, któremu w wyniku technologicznych i cywilizacyjnych przekształceń zło miesza się z dobrem. Człowiek, który musi sprostać groźnej przyrodzie, kosmicznej pustce, politycznym wynaturzeniom. Lubię fantastykę psychologizującą, pretekstową, posługującą się kamuflażem – taką, która nie buja w obłokach, ale boryka się z problemami współczesności. I zrazu nie znajdowałam tych walorów w większości tekstów nadchodzących do wydawnictwa.

– A kiedy się okazało, że nie ma zbyt wielu autorów spełniających te warunki...

... to sięgnęliśmy po wybitnych pisarzy radzieckich, jak Warszawski, Bilenkin, Bachnow...

– Wielu pomyśli teraz: właściwie szkoda, że posucha w polskiej fantastyce z początku lat siedemdziesiątych ustąpiła lawinie u schyłku dekady. Gdyby nie to, sięgnęłaby Pani z czasem i do autorów anglosaskich.

O, nawet chciałam sięgnąć, ale redakcja popularnonaukowa dysponowała małą ilością dewiz. Dodatkowo były trudności z umowami, zagraniczni agenci dyktowali bardzo wysokie ceny. Tymczasem za pierwszy radziecki tomik wydany w roku 1974, jeszcze przed przystąpieniem ZSRR do konwencji chroniącej prawa autorskie, nie musieliśmy płacić ani grosza. Sięgnęliśmy także do innych krajów obozu – w najbliższym czasie ukażą się dwa tomiki literatury czeskiej. No i w tzw. międzyczasie skończyły się kłopoty z literaturą polską. Mówienie o lawinie to może przesada, w każdym razie mamy w tej chwili zapas zupełnie przyzwoitych opowiadań na 3–4 tomiki.

– Skąd ta odmiana, co według Pani stało się przyczyną urodzaju?

Nasza Księgarnia nawiązała kontakt z Warszawskim Klubem Miłośników Fantastyki, który zaprosił mnie do jury ogólnego konkursu. Nadesłano na ten konkurs dużo tekstów młodych autorów, w tym kilkanaście naprawdę niezłych. Myślę, że zaowocowały tu także dobre wzory zagraniczne rozpowszechniane przez inne wydawnictwa. Pojawiło się parę rzeczywistych talentów, jak Żwikiewicz, Górska, Sawaszkiewicz i tłumacz z języka rosyjskiego, Siwiec. Bardzo inteligentne są teksty Oramusa, które czytałam w sfanowskich drukach powielaczowych. Żwikiewicz to przykład autora rozwijającego się, pisze wspaniałe opowiadania – każde inne i wszystkie doskonałe. Natomiast Sawaszkiewicz jest autorem o wielkiej łatwości pisania, który ostatnio jakby stanął w miejscu zadowalając się tym, co już potrafi. Ale może to tylko tak wygląda z mojej perspektywy, bo na przykład wydawana poza naszą serią w Oficynie Poznańskiej trylogia „Kronika Akaszy" to dobra książka. Dobre teksty dostajemy od autorów piszących dla „Młodego Technika" takich jak Czechowski, Filar, Zajdel.

– W procesie odchodzenia autorów serii „Stało się jutro" do współpracy z oficynami „dorosłymi", jak „Czytelnik", Iskry, KAW, Wyd. Poznańskie i Lubelskie, tkwi chyba głębsza prawidłowość. Nasza Księgarnia, „oficyna dla dzieci", musi narzucać rozwijającym się autorom jakieś ograniczenia – formalne, tematyczne, czyli dotyczące stopnia fachowości i zrozumiałości tekstu.

Poprawię pana – oficyna dla dzieci i młodzieży. Boję się, że nie docenia pan młodzieżowego czytelnika. Jedyne ograniczenia, których staramy się przestrzegać, to unikanie ostrych scen erotycznych i językowych wulgarności. Cała reszta mogłaby się u nas zmieścić, łącznie z panią Le Guin i jej opowieścią o dwupłciowcach. Nie ma właściwie tematyki, której nie moglibyśmy poruszyć. Poza tym proszę pamiętać, że wydajemy różnorakie tomiki – dla czytelników mniej i bardziej wyrobionych. Tych drugich jest coraz więcej, młodzież jest przecież oczytana w fantastyce. Nasza oficyna ma ambicje, żeby zdobywać rynek dobrą literaturą, a nie tylko sprzedawać książki na tej zasadzie, że czytelnik kupi wszystko, co mu przypomina SF bo na rynku jest ogromny głód gatunku. I dlatego na przykład unikamy ułatwionej pseudofantastyki kowbojskiej. Tylko że to nie są specyficzne ograniczenia „wydawnictwa dla dzieci", ale świadomie uniesiona w górę poprzeczka. Powinna tak postępować każda szanująca się oficyna.

– Jak pani ocenia obecną sytuację w polskiej SF. Kluje się tu nam coś nowego, czy przeciwnie – mamy zastój?

Typowy zastój panował parę lat temu, teraz charakterystyczne jest to, że ludzie, którzy dotychczas namiętnie czytali fantastykę, sami próbują ją pisać. To bardzo ciekawe i niebezpieczne zarazem.

– Boi się pani prostego sprzężenia zwrotnego – wróci do nas to co już napisane?

Nie tylko to i nie to przede wszystkim. Oczytanie nie wystarczy do pisania – do tego potrzebny jest czas, talent i duża praca nad sobą. Ale fakt, że sięgają po pióro dotychczasowi czytelnicy, ma głębszą, racjonalną przyczynę. Polski czytelnik jest zniecierpliwiony gatunkiem, oczywiście w jego polskim wydaniu, bo to co ukazuje się z zagranicznej fantastyki, na ogół otwiera nowe horyzonty. Natomiast w polskiej literaturze SF czegoś brakuje, czytelnik po lekturze polskich autorów nie czuje się nasycony, nie jest zadowolony. Za dużo mamy nieomal identycznych – cóż z tego, że czasem nawet sprawnie napisanych – kosmicznych igraszek. Poruszanie się w kręgu podobnych pomysłów i pojęć, że ktoś gdzieś poleciał i coś odkrył, wymyślanie innych formuł życia, bardzo zewnętrzne opisywanie kontaktów z innym cywilizacjami – zaczyna nużyć.

– A gdybyśmy tę awitaminozę gatunku nazwali następująco – fantastyka nie wykorzystuje możliwości kamuflażu, czytelnikom brak odbicia współczesnych konfliktów w owych nadto przyszłościowych konwencjonalnych wizjach.

Zgoda... i może jeszcze brak polskiej fantastyce rodzimej wersji inner space. Brak penetracji wnętrza człowieka z krwi i kości, z bogatą wielowymiarową psychiką, etyką, wątpliwościami, człowieka widzianego w momentach moralnych, politycznych, społecznych konfliktów, w które

na pewno obfitować będzie przyszłość i których nie brakuje w teraźniejszości. Chciałabym, i czytelnik pragnie także, zobaczyć od czasu do czasu w tej literaturze zmaltretowaną wyrazistą jednostkę, a nie herosa kosmosu kolektywnie kreowanego od lat, którego czytelnik zna już w setkach wariantów.

– Kiedy w ciągu ostatnich 2–3 lat rzeczywistość odkrywała swoje znaczone karty, brakowało na rynku – nie tylko fantastycznym – książek, które mogłyby uczestniczyć w przyspieszonym procesie społecznego dochodzenia do prawdy o naszym życiu. Czy Nasza Księgarnia przygotowuje książki, które mogłyby wystąpić w tej trudnej konkurencji?

Myślę, że będziemy mogli już wkrótce powrócić do tego tematu, kiedy ukaże się złożona u nas na początku roku 1980 książka Filara „We własnej skórze". Podobnie jest z dwoma wydanymi już tomikami Górskiej „Sprawa precedensowa" i „Zamknięty krąg". W jednym z tych tomików można znaleźć opowieść o istocie próbującej zakwestionować powszechnie uznawane w jej świecie kanony prawdy, które nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. Będą to tomiki edytorskie nieco uboższe od dotychczasowych. Natomiast nie sądzę, by można było wysuwać pod adresem tych książek te dość typowe zarzuty dotyczące drugorzędnej SF, które padają w naszej rozmowie.

– Pytania na zakończenie dotyczące społecznych okolic literatury SF. Jak układają się kontakty Wydawnictwa z czytelnikami? Czy macie państwo jakąś wypracowaną formę uzyskiwania czytelniczego odzewu?

Czytelnicy prawie nie piszą już do wydawców, nie te czasy. Bardzo udany jest natomiast kontakt ze środowiskiem miłośników SF zgrupowanym w klubach fanów. To nasi pierwsi i najlepsi krytycy. Mamy pod tym względem bardzo dobre doświadczenia.

– Natomiast zawodowa krytyka literacka zdaje się bojkotować gatunek, bądź chłoszcze go bez opamiętania.

O tak, krytycy literaccy piszą o fantastyce bardzo mało i sporadycznie. Zbyt często zajmują się tym przypadkowi ludzie, którzy mają do fantastyki negatywny stosunek, nie rozumieją tej literatury, nie lubią i w ogóle odmawiają jej prawa do nazywania się literaturą. Tymczasem, gdyby uczciwie zmierzyć proporcje, jestem przekonana, że złej „literatury pięknej" ukazuje się znacznie więcej niż złej fantastyki. Niestety, tej pierwszej poświęca się nieproporcjonalnie wiele uwagi i miejsca. Nam tymczasem naprawdę jest porzebna rzetelna merytoryczna krytyka – niechby nawet skoncentrowana na wyliczaniu samych potknięć, bo to też mogłoby być wskazówką dla, czasem już zupełnie zagubionego, wydawcy. Myśleliśmy kiedyś o wydawaniu krytycznego miesięcznika poświęconego twórczości dla dzieci, sprawy fantastyki również mogłyby w nim znaleźć swe miejsce, ale w obecnej sytuacji sprawę należy odłożyć na daleką przyszłość. Dlatego wiążemy duże nadzieje na krytyczne wsparcie ze strony nowo powstałego miesięcznika, który pan reprezentuje.

– My też liczymy na wiele. Bardzo dziękuję pani za rozmowę.

Notował: **Maciej Parowski**

Europejskie Towarzystwo Science Fiction

Powstanie Europejskiego Towarzystwa Science-Fiction jest ściśle związane z historią Europejskich Konwencji SF. Zaczęło się w roku 1972, kiedy „Centro Culturi Science Fiction" postanowiło w Trieście (Włochy) za zgodą wszystkich europejskich entuzjastów SF zorganizować EUROCON I. Komitet organizacyjny składał się z delegatów wszystkich krajów europejskich, a nawet delegatów z innych części świata. Komitet ten postulował, aby EUROCON stał się imprezą cykliczną organizowaną co dwa lata przez jeden z krajów starego kontynentu. Tak więc działalność nie ustała wraz z zakończeniem EUROCONU I, lecz była prowadzona dalej przez niesformalizowany Europejski Komitet Science Fiction.
W roku 1974 odbył się EUROCON II w Grenoble (Francja) a dwa lata później w Poznaniu miał miejsce EUROCON III (po raz pierwszy w kraju socjalistycznym). W roku 1978 (150 rocznica urodzin Julesa Verne'a) odbył się EUROCON IV w Brukseli, na którym wybrany Koordynator Pierre Barbet proponuje ujęcie działalności organizacji w ramy statutowe. Po dyskusji i wielu zmianach statut zostaje zatwierdzony na EUROCONIE V w Stresie (Włochy, maj 1980). Dotychczasowy komitet przekształca się w Europejskie Towarzystwo Science Fiction. Przypomnijmy, iż na tymże EUROCONIE pierwszą nagrodę za poziom i działalność propagatorską w dziedzinie SF otrzymało polskie wydawnictwo – Krajowa Agencja Wydawnicza.
W sierpniu br. w Mönchengladbach (RFN) odbył się EUROCON VI. W następnym numerze „FANTASTYKI" zamieścimy relację naszego wysłannika.

Polskie Stowarzyszenie Miłośników Fantastyki

Zostało zarejestrowane w Urzędzie m.st. Warszawy dnia 15 czerwca 1981 r. pod numerem 1047.
Powstało ono z inicjatywy i dzięki staraniom grupy członków założycieli:
Leszka Gruceli (Olsztyn), Macieja Jabłońskiego (Kraków), Ryszarda Krauze (Wrocław), Andrzeja Krzepkowskiego (Warszawa), Marka Kubali (Łódź), Andrzeja Kudzi (Gorzów Wlkp.), Macieja Makowskiego (Warszawa), Cezarego Michalskiego (Toruń), Marka Milewskiego (Warszawa), Mirosława Murawskiego (Poznań), Ryszarda Müllera (Kraków), Krystyny Nowickiej (Warszawa), Leszka Olczaka (Warszawa), Zbigniewa Prostaka (Warszawa), Krzysztofa Przybyła (Grudziądz), Jacka Rodka (Warszawa), Ewy Siarkiewicz (Jelenia Góra), Jerzego Sroczyńskiego (Lublin), Andrzeja Szatkowskiego (Warszawa), Jacka Szydłowskiego (Tomaszów Maz.), Dariusza Świerczewskiego (Warszawa), Witolda Thyma (Częstochowa), Andrzeja Wójcika (Warszawa) i Jana Zawiślaka (Lublin).
Obecnie PSMF (siedziba główna w Warszawie ul. Elbląską 53) ma następujące oddziały:
LUBLIN – 20-010, ul. Podgrodzie 3,
CZĘSTOCHOWA – 42-200, ul. Racławicka 2,
BYDGOSZCZ – 85-790, ul. Fordońska 397,
ŁÓDŹ – w trakcie załatwiania formalności prawnych.
W lipcu 1982 r. PSMF wydało biuletyn wewnętrzny „Fanotron", zawierający informacje o ruchu fanów, artykuł o Stanisławie Lemie i zapowiedzi wydawnicze na rok 1982.
W listopadzie 1981 r. wespół z Klubem Fantastyki „SFAN" i Staromiejskim Domem Kultury, PSMF zorganizowało seminarium poświęcone twórczości Stanisława Lema. Na seminarium przybyli pisarze, wydawcy oraz krytycy literatury SF: Krzysztof Boruń, Andrzej Trepka, Wiktor Żwikiewicz, Adam Wiśniewski-Snerg, Janusz A. Zajdel, Lech Jęczmyk, Ewa Truszczyńska, Zbigniew Dworak i Antoni Smuszkiewicz.
Obecnie PSMF organizuje centralną bibliotekę F-SF, która ma się mieścić w Młodzieżowym Centrum Gier i Rozrywek „Groteka" w Warszawie przy Al. Jerozolimskich 2. W trakcie załatwiania formalności jest sprawa przydziału książek fantastycznych i science fiction dla członków PSMF.

OPRÓCZ
oddziałów PSMF na terenie naszego kraju działają:

ŚLĄSKI KLUB FANTASTYKI – 40-956 Katowice, ul. Mariacka 17a,
KLUB FANTASTYKI NAUKOWEJ „ORBITA" – 60-161 Poznań, ul. Newtona 6a/7,
KLUB MIŁOŚNIKÓW FANTASTYKI NAUKOWEJ – 66-400 Gorzów Wlkp., ul. Wyczółkowskiego 6/25/26,
KLUB MIŁOŚNIKÓW FANTASTYKI I SF „PULSAR" – 58-500 Jelenia Góra, ul. 15 Grudnia,
KLUB FANTASTYKI – Kraków, ul. Poselska 9, Klub Środowiskowy „Zaułek".
SFAN – Warszawa, Al. Jerozolimskie 2 „Groteka"

Wszystkie kluby nie ujęte w naszym spisie prosimy o podanie adresów. Będziemy je publikować. Prosimy również o informacje dotyczące działalności poszczególnych klubów.


EKSPONAT AX
STATEK KOSMICZNY „ARYSTOTELES" WYLĄDOWAŁ NA NIEZNANEJ PLANECIE, ZWABIONY DZIWNYMI SYGNAŁAMI RADIOWYMI. CZYŻBY PLANETĘ KTOŚ ZAMIESZKIWAŁ? WĄTPLIWE, GDYŻ POKRYWAŁY JĄ TYLKO ZWAŁY PIASKU. A JEDNAK TRZECH CZŁONKÓW ZAŁOGI „ARYSTOTELESA" ZNIKNĘŁO TU W TAJEMNICZYCH OKOLICZNOŚCIACH. POZOSTALI - EWA, JANUSZ I KRZYSZTOF, PRÓBUJĄ ICH ODNALEŹĆ.
CAŁA TRÓJKA ZNIKNEŁA W TYM ZIELONYM OKRĘGU.
...ŻADNYCH SYGNAŁÓW. PRZEPADLI...
POJADĘ TAM Z KRZYŚKIEM. NIE MOŻEMY ICH PRZECIEŻ TAK ZOSTAWIĆ.
EWUŚ! SKĄD WIESZ, ŻE CHCIAŁEM Z TOBĄ JECHAĆ?
PRZECZUCIE, MÓJ DROGI.
NIE POWINIENEM IM POZWOLIĆ NA TĘ ESKAPADĘ. EWA JEST ZBYT PORYWCZA.
KIEDYŚ WPAKUJĘ SIĘ W KABAŁĘ PRZEZ TE KOBIETY. PRZECZUCIE! DOBRE SOBIE! NIBY KTO MIAŁ JECHAĆ JAK NIE JA?
KRZYSZTOF, TU JANUSZ. JESTEŚCIE NA GRANICY STREFY, W KTÓREJ ZNIKNĘŁA CAŁA TRÓJKA.
HEJ, OBUDŹ SIĘ WRESZCIE.
CZYŻBY I NAS KTOŚ PORWAŁ?
STRACIŁAM KONTROLĘ NAD ŁAZIKIEM. COŚ GO CIĄGNIE KU STREFIE!
WYSKAKUJMY! SZYBKO! TO NASZA OSTATNIA SZANSA!


TERAZ JUŻ WIEMY, JAK TO BYŁO Z TAMTYMI. TYLKO, CO TO ZA SIŁA...?
JUŻ WAS SŁYSZĘ! NADAWAJ!
MASZYNA PORWANA! IDZIEMY DALEJ NA PIECHOTĘ!
WARIACI! ZGINIECIE!
TU MUSI BYĆ JAKAŚ BAZA KOSMICZNA OBCEJ CYWILIZACJI. PRZECIEŻ KTOŚ MUSI NADAWAĆ TE SYGNAŁY RADIOWE... PORYWAĆ POJAZDY...
WIEMY O TYM OD DAWNA. TO NICZEGO NIE TŁUMACZY.
ZAUWAŻ, ŻE IDZIEMY I NIKT SIĘ NAMI NIE INTERESUJE. A WIĘC...
...TA BAZA JEST AUTOMATYCZNA! NIE MA W NIEJ ISTOT ŻYWYCH...
SŁUCHAJCIE! KOMPUTER STERUJĄCY TĄ BAZĄ MOŻE SIĘ NIE ORIENTOWAĆ, ŻE W PORYWANYCH POJAZDACH SĄ LUDZIE!
W TYM SAMYM CZASIE, WIELESET METRÓW POD POWIERZCHNIĄ PLANETY, TRÓJKA ZAGINIONYCH ZASTANAWIAŁA SIĘ NAD SWOIM POŁOŻENIEM.
WSZYSTKO JUŻ SPRAWDZILIŚMY. STĄD NIE MA ŻADNEGO WYJŚCIA.
MOŻE ZACZNĄ NAS POSZUKIWAĆ... JANUSZ...
...ZNAJDZIE WEJŚCIE?
NIE MA SIĘ CO ROZTKLIWIAĆ. SPRÓBUJMY CHOCIAŻ ZBADAĆ TE APARATY.
SŁUSZNIE. MOŻE DOWIEMY SIĘ CZEGOŚ O GOSPODARZACH TEJ BAZY.
ALBO UDA NAM SIĘ Z NIMI POROZUMIEĆ.
NIBY PROSTE, A DO CZEGO TO MOŻE SŁUŻYĆ?
SCHOWAJ DO TORBY. POMYŚLIMY NAD TYM NA „ARYSTOTELESIE”.
CHCECIE Z TYM WSZYSTKIM WYJŚĆ?
ONI NAS TEŻ NIE POWINNI...
RACJA... I GDYBY NIE NASZE ZAPASY ŻYWNOŚCIOWE...



TO NIE MA SENSU. APARATY NICZEGO NIE WYKAZUJĄ. TAK, JAKBY NASZ ŁAZIK SCHOWAŁ SIĘ ZA JAKĄŚ MAGICZNĄ KURTYNĘ.
KURTYNA! JASNE! MUSZĘ TYLKO SPRAWDZIĆ TO NA SOBIE!
NIE RUSZAJ SIĘ Z MIEJSCA! OBSERWUJ!
EWA?! GDZIE JESTEŚ? JANUSZ! PORWALI EWĘ. POSPIESZ SIĘ!
PRZESTAŃ PANIKOWAĆ. TO TYLKO MIRAŻ- -SZTUCZNY OBRAZ PUSTYNI.
FATAMORGANA? A WIĘC PUSTYNIA JEST NASZYM UROJENIEM?!
A NIE MÓWIŁAM? NIKT NAS NIE PORWAŁ?
NIE TRAĆ NADZIEI. TO MI SIĘ NIE PODOBA.
MAŁO WAM JEDNEGO SKOKU NA ŁEB NA SZYJĘ?
NIE MA TU ŻADNEGO OTWORU. MOŻE TO TEŻ MAMIDŁO?
A NA DACHU?
TEŻ NIC.
IDĘ DO CIEBIE!
KRZYSZTOF! GDZIE JESTEŚ? NIE WYGŁUPIAJ SIĘ!
WIĘC JEGO TAKŻE...?!


NO, NARESZCIE RACZYŁAŚ SIĘ ZJAWIĆ.
CO TO ZA SPADNIA, ŻE NIC NAM SIĘ NIE STAŁO?!
TU NIE MA ŻADNYCH DRZWI.
ALE MOGĄ BYĆ JESZCZE INNE SALE, DO KTÓRYCH WPADLI NASI...
TO MAPA GWIEZDNA.
A TEN PATYK JEST JEDYNYM MEBLEM, JAKI TU ZNALAZŁEM.
WYGLĄDA JAK BATUTA... MOŻE TO SZKOŁA DYRYGENTÓW?
RACZEJ DOM WARIATÓW.
POPATRZ, TU JEST ZIEMIA.
NIEWĄTPLIWIE MASZ W SOBIE COŚ Z BELFRA, TYLKO JAK SIĘ TAM DOSTANIEMY?
TYMCZASEM GDZIEŚ W ZAKAMARKACH TAJEMNICZEJ BAZY...
MÓWIŁAM, ŻEBY NIE ROZBIERAĆ WSZYSTKIEGO!
NIE ZGUBCIE TOREB Z EKSPONATAMI. TO DLA NAS NAJWAŻNIEJSZE.
CO TO?! UWAŻAJCIE!
COŚ NAS CIĄGNIE! GDZIE MY LECIMY?!
NIEZWYKŁA, NAELEKTRYZOWANA?... PRZECHOWALNIA...


TE EKSPONATY POCHODZĄ Z ZIEMI!
CAŁA NASZA ZIEMSKA HISTORIA...
I TO TA NIEZBYT DLA NAS POCHLEBNA...
PATRZCIE, CZŁOWIEK!
...A TAM... MAŁY ZIELONY CZŁOWIECZEK!
A TEN DIABEŁ TO NIBY TEŻ CZŁOWIEK?!
A TU NASZ ŁAZIK!
MIEJMY NADZIEJĘ, ŻE NASI NIE PÓJDĄ W NASZE ŚLADY.
CO SIĘ ŚMIEJESZ? MOŻE TA PAŁKA JEST MAGICZNA?!
TO NIE TE CZASY...
TO NASI... GDZIE ONI SĄ?
A WIĘC ŻYJĄ... ZRÓB JESZCZE COŚ Z TĄ PAŁKĄ!
O NAS TEŻ NIE ZAPOMNIELI.
KTO?...TO INFORMACJE, SYGNAŁY OSTRZEGAWCZE, A MOŻE PRAGNĄ NAM COŚ POWIEDZIEĆ?
CHCĄ, ŻEBYŚMY ODLECIELI.
MAJĄ NAS DOŚĆ, OBY WSZYSTKICH!


POJAZDÓW NIE ZWRÓCILI...
ŁĄCZ SIĘ Z JANUSZEM!
PARĘ DNI PÓŹNIEJ „ARYSTOTELES" MKNĄŁ JUŻ KU ZIEMI.
NIC NIE ROZUMIEM. DLACZEGO NIE UDAŁO NAM SIĘ DOSTAĆ POWTÓRNIE DO TEJ TAJEMNICZEJ BAZY?
BO TO BYŁO KOSMICZNE MUZEUM.
I PORWANO NAS PRZEZ POMYŁKĘ, JAKO NOWE EKSPONATY?
?!?
PORWANO NASZE MASZYNY A NIE NAS WSZYSTKICH PRZECIEŻ WYPUSZCZONO.
RACZEJ WYRZUCONO, JAK OBCE CIAŁO...
TRUDNO SIĘ DZIWIĆ. ROZEBRALIŚMY IM POŁOWĘ URZĄDZEŃ.
TYM BARDZIEJ, ŻE BAZĄ TĄ STEROWAŁ KOMPUTER...
...KTÓRY NIE ZROZUMIAŁ NASZYCH BADAWCZYCH, A NIE NISZCZĄCYCH CELÓW.
JEŚLI TO BYŁ KOMPUTER, TO WZIĄŁ NAS ZA ZŁODZIEI, WRĘCZ WANDALI. EWA WZIĘŁA NAWET PAŁECZKĘ. TRUDNO WIĘC SIĘ DZIWIĆ, ŻE NIE WPUSZCZONO NAS TAM PONOWNIE.
SPÓJRZCIE NA EKRAN! DETEKTORY NIE MOGĄ ODNALEŹĆ PLANETY Z KTÓREJ WYSTARTOWALIŚMY.
NIEMOŻLIWE. SPRAWDŹ JESZCZE RAZ.
TO NIC NIE DA. CZYŻ PRZED ZŁODZIEJAMI NIE ZAMYKA SIĘ DRZWI WSZYSTKICH MUZEÓW?
A „ARYSTOTELES" MKNĄŁ DALEJ KU ZIEMI... JAKBY NIC SIĘ NIE ZDARZYŁO...
KONIEC